

TOM CCLXXXIV.

ROK 71.

ZESZYT 850.

De. II 1.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PAŹDZIERNIK.

1911.

TOM IV.—ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.


—
1911.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
1. MICKIEWICZ w r. 1848,—przez <i>d-ra Tadeusza Grabowskiego</i>	1
2. MŁODE LATA KOŚCIUSZKI,—przez <i>Włodzimierza Andrzeja Dzwonkowskiego</i>	22
3. NASZA NAJNOWSZA POWIEŚĆ I JEJ WZORY,—przez <i>Antoniego Mazanowskiego</i>	55
4. KARTKI Z PAMIĘTNIKA MICHAŁA STARZEŃSKIEGO	79
5. RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orwida</i>	109
6. FRANCISZEK LISZT,—przez <i>d-ra Józefa Władysława Reissa</i>	133
7. PODSTAWY ETYKI SCHOPENHAUERA,—przez <i>d-ra Zygmunta Bukajowskiego</i>	148
8. PIŚMIENICTWO:	
HENRYK WIERCIEŃSKI: „W sprawie wydzielenia Chełmszczyzny,—przez <i>Wacława Dunina</i>	169
EDWARD MILEWSKI: „Sklepy społeczne“ (Rzecz o kooperacyi spożywców),—przez <i>d-ra Zygmunta Gargasa</i>	172
MARYAN GAWAŁEWICZ: „Poeta promienisty,—przez <i>H. M.</i>	179
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Z powodu zamachu.—Na marginesie głośnego procesu.—Rozprawy o zmniejszeniu liczby świąt.—Trwożna pogłoska.—Wystawa w Sandomierzu.—Stołypin i Kokowcow	181
10. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
ś. p. Księżę Kardynał Puzyna i ś. p. d-r Jan Stella Sawicki,—przez <i>L. W.</i>	186
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	201

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Ogólnego zbioru Tom 284.



BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1911. — Tom IV.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1911.



De. II 1.

MICKIEWICZ w r. 1848.

I.

Jeszcze w r. 1858 wyrzekł Klaczko w swych paryskich wykładach o Mickiewiczu, że korespondencya jego w niczem nie umniejsza naszego dla niego kultu. Jeżeli drobne sprawy i koła małych czynów dowiodły tego przed pół wiekiem, nie inne świadectwo wydały i wielkie. Oświeciły one postać litewskiego wieszca w sposób nader dokładny. Pokazały go nam tedy, jako organizatora filomatów, wodza emigracyjnych mistyków, kierownika legionu, publicystę politycznego i społecznego. Wielostronna działalność pogłębiła oczywiście różnicę, która dzieli go od dwóch innych poetów tego samego kierunku i czasu.

Znano Mickiewicza, jako człowieka, mało, skoro poezya jego pociągała przedewszystkiem. Korespondencya dała mniej, niż się spodziewano, o człowieku urabiano sobie pojęcia stosownie do panujących poglądów. Starano się dostroić człowieka do tonu współczesnego. A tymczasem przybywające świadectwa wyjaśniły wiele szczegółów mniej zrozumiałych, odkryły lepiej człowieka, by pokazać dowodnie, jak wypełnił to, co zapowiedział niejako na wstępie do życia, w pamiętnej wszystkim, a rozmaicie ocenianej, odzie młodości. I okazało się, że był w pełni człowiekiem ewolucyi nietylko w poezyi, że sprzął się nierozdzielnie ze swym wiekiem, że jego indywidualizm nie był wolnomyślnością, odbiciem się od reszty, wydzieleniem się z tłumu.

Był raczej poszukiwaniem prawdy, określaniem prawdy, usiłowaniem do urzeczywistnienia prawdy, której część jedynie zawarła poezya. Ta prawda rosła w miarę lat, choć była właściwie jedną od początku. Geniusz poetycki nie był dla Mickiewi-

cza niebezpieczeństwem. Wypowiadał on bowiem to, w co wierzył, gdy wirtuoz poetycki wierzy w to, co mówi. Nie dał porywać się potokowi słów własnych, w chwilach najwyższego natchnienia nie sądził przecież, że myśli sam przez siebie. Czuciem doszedł do myśli, czuciem zyskał też rząd dusz. Czucie doprowadziło go do wiary, gdy od niej odstąpił, czucie wznosiło jego lot, gdy się obniżał, czucie kazało mu iść z epoką, która wyszła z czucia. Szedł zrazu z ogólnym prądem liberalnym, który pragnął uchrześcijanić tylko, potem—społecznym, gdy liberalny wyszedł na korzyść tylko jednej warstwy. Ostatecznie nawet najbardziej odlegli od niego kierunkiem uznawali, że jest w nim coś, co stanowi o jego epokowości, że jest w nim wykładnik dążeń czasu, że filomata, towiańczyk, legionista, publicysta społeczny składają się na olbrzyma, który wyrósł ogromnie nad programy i dążenia późniejsze.

Duchowo wyrósł on odrazu nad Słowackiego i Krasińskiego bezosobistym charakterem swej działalności, prostotą myśli i wyrazu, mocą woli męskiej i skłonnej do czynu, nie liczącej się z niczem. Jego historia jest historią jego czasu, w nim tkwią najszlachetniejsze jego dążenia i myśli. Jeżeli jednym z najciekawszych przedmiotów badania jest człowiek, to jeszcze bardziej ciekawym musi być człowiek-naród. Mickiewicz nadaje się zaś najlepiej do podobnego badania. W jego charakterze mieści się tajemnica jego działania, choć kierunek tego działania zawisł od przyczyn określających.

II.

Ani poezya, ani korespondencya, ani świadectwa udziału w sprawie filomatów, towiańczyków, legionu rzymskiego, organu rewolucyjnego nie zawierają śladu pozy, której tyle było u romantyków. Jest to tem cenniejsze, że nim zaczęło się wtedy pisać, trzeba było żyć romantycznie. Wydobyć z ruiny, jak określił Lasserre romantyzm wyszły z myśli Rousseau, treść żywotną, nie dać się opętać złudzeniom, zachować trzeźwość i świadomość drogi wśród chaosu sofizmatów, stanowiło wysiłek wyższej inteligencji. Był nią Mickiewicz, gdyż żył potężniej od filomatów. Historia ich myśli jest w jego myślach człowieka, który, mimo romantyzmu, nie gardzi życiem, nie żyje marami, jest organizatorem zręcznym i ostrożnym. Głosząc potrzebę służby społecznej,

podnoszenia oświaty, działania rozważnego i praktycznego dla osiągnięcia tajemnego celu, wyraża się on zwięźle i z pewnością człowieka czynu.

Już w młodości jest w nim dogmatyzm, który pragnie widzieć spartańskiego ducha w narodzie, nagiąć jednostki do wytrwałej a świadomej pracy dla ogółu, obudzić w duszach heroizm w nieugiętym wypełnianiu obowiązku. Zmysł rzeczywistości znać u niego na każdym kroku; w przemowach do filomatów niema goryczy, niema pychy romantycznej, niema pesymizmu. Filomatyzm ma przywrócić duszom czystość, którą utraciły. Podobnie ma działać i towianizm, którego wódz wyrasta nad mistrza Towiańskiego. Czuje bowiem w sobie moc do czynu, którym nie była poezya, nie były wykłady w Collège de France. Jak niegdyś w Wilnie, tak teraz w Paryżu chodzi o uświadomienie jednostek, obudzenie tonu, wzniesienie się nad poziomność płazów w skorupie. Tam polegało wszystko na myśli o ojczyźnie, kształceniu inteligencji, ćwiczeniu w wypełnianiu obowiązku, tu na drgnięciu dusz za każdą cenę, dostrojeniu się do wyższej ekstazy mistycznej, napięciu wewnętrznym trwałem i mocnym.

Chodziło, jednym słowem, o doświadczenie mistyczne pod różnemi formami, o zdobycie siły wyższej, o uzyskanie energii, która zrazu staje w przeciwieństwie do dawnego stanu ducha, potem stwarza w nim nowe życie. Chodziło o realizację ducha boskiego w nas, o intuicyę bytu bezwzględnego, o unicestwienie form świadomości zwyczajnej. Każdy człowiek jest bowiem narzędziem myśli niewidzialnej, z którą może się zjednoczyć, gdy złoży w ofierze siebie i obudzi w sobie większe i czynniejsze życie duchowe. W ten sposób rota towiańczyków miała rozszerzyć ducha Chrystusowego na masy, wpuścić do gmachu kościoła nieco świeżego powietrza, związać życie religijne z praktycznym. Wiek XIX zastał bowiem obaloną religię, także związaną z nią moralność. By liberalizm i demokracja nie stały się szkodliwymi społeczeństwu, należało pragnąć odnowienia religii i moralności w duszach, co nie wyłączało wiary w wartość wolności, równości, braterstwa, co nie usuwało wiary w postęp. Mickiewicz pragnie tedy, by demokracja była religijną, jeżeli nie ma pograżyć się w upadającym ją materyalizmie.

Wszystko zaś, co dzieje się w Europie, napawa go nadzieją, że ważne wypadki się gotują. Francji przyznawał zasługę zrobienia Europy katolicką, wątpił jednak, by teorye ówczesnych polityków i moralistów mogły ją zbawić. Prawdę widział w Polsce, gdyż źródłem jej potęgi były entuzjazm, wiara w zależność

świata widomego od niewidomego, wytężenie ducha, a nie kult form i więzów. Ta potęga odezwała się w konfederacyi barskiej, rozplęnęła w legionach, zajaśniała w poezyi romantycznej. Na niej należy się oprzeć, tą potęgą ożywieni cudzoziemcy mogą też pomódz Polsce do spełnienia jej zadania. Serce jest bowiem źródłem wielkich myśli i czynów, intuicyi i przeczuć, wiedzy wewnętrznej, która lekceważy wiedzę rozumu. Może znaleźć się nawet człowiek-naród, który zrealizuje zadanie zbudowania jedności religijnej, politycznej, społecznej. Przeczuwał takiego człowieka de Maistre, przeczuwa i Mickiewicz, by widzieć w nim ruch ducha nie tylko Polski, ale i globu. Temu człowiekowi toruje drogę w wykładach w Collège de France, potem organizacją legionu i wydawnictwem organu rewolucyjnego. Dlatego żądał czynu, pragnął walki, chciał realizacyi usiłowań ducha.

„Czyn, jako owoc ofiary ducha naszego — mówił — jest najwyższą rzeczą, do której każdy z nas powołany. Tej ofiary nie mogliśmy spełnić bez Pana naszego. Jego życie bowiem jest ciągłą ofiarą.“¹⁾ Czyn nie nadchodził jednak długo, choć wypadki świadczyły, że odmiana jest możliwą. Mickiewicz obserwuje je z uwagą, ubolewa tylko, że we Francyi niema władzy duchowej, że indywidualizm jednostek nie daje możności ustalenia takiej władzy. I żąda, by rota towiańczyków świeciła przynajmniej pokazywaniem nowego życia, jeżeli stary porządek ma upaść. Nie wątpił bowiem, że i mała liczba może dokonać odmiany siłą wewnętrzną, ciemną nieskończonością, duchem boskim, który jest w nas, że może zabłysnąć czystem światłem odrodzenia.

III.

I wtedy nastąpiły wypadki rzymskie, które odwróciły jego myśl od Francyi. Sądził teraz Mickiewicz, że doktryneryzm zabił w niej entuzjazm, że Rzym stanie raczej na czele ruchu rewolucyjnego, skoro Pius IX odznacza się duchem liberalnym a król sardyński Karol Albert wypowiada wojnę odwiecznemu wrogowi wolności. Naród włoski stawał niejako z grobu, z Rzymu posyłano wojska na pomoc Karolowi Albertowi, Mickiewicz

¹⁾ „Współdział A. Mickiewicza w sprawie An. Towiańskiego.“ T. I, Paryż 1877, str. 221.

głosił zaś jedność ludów już dawno. Śpieszył więc do Rzymu prawie pieszo, marzył o czynie wbrew woli roty i chęci stronnictw emigracyjnych. Opierał wszystko, jak dawniej, na ruchu mas ludowych, szukał ratunku w ludzie a nie w dynastyach, jak zachowawcy dawniej i dzisiaj. Zwracał się jednak do papieża, gdyż upatrywał w nim władzę duchową, jakiej potrzebę głosił oddawna.

Jako rewolucjonista, nie mógł mieć poparcia u zachowawców, jako towiańczyk, nie mógł mieć uznania u katolików. Szedł sam, iść z nim nie chciał właściwie nikt. Tracił nawet sympatyje demokracji, gdyż zwracał się do znieawidzonego przez nią Rzymu. Upokarzał się wobec ludzi, którzy mu nie ufali, by tylko zjednać ich dla swej myśli. Czy nie tak nazwać należy bowiem spowiedź przed zmartwychwstałą Jełowickim? Nie był to wcale wallenrodyzm, była raczej ofiara, której genezy nie rozumiano wtedy. Mickiewicz wiedział bowiem, że francuski rząd republikański, choć wyszedł z rewolucji lutowej, nie idzie z ludem, nie myśli podnieść sprawy Polski. Musiał tedy szukać oparcia w Rzymie, gdyż zdawał się on stawać na czele rewolucji. Nadchodziła wreszcie wieść o rewolucji w Wiedniu, lud rzymski strącał dwugłowego orła z ambasady austriackiej.

Gdy w emigracji gotowano się wreszcie do pochodu na pomoc walczącym w różnych punktach Europy, Mickiewicz wierzył w powodzenie sprawy włoskiej. Papiestwo stawało się bowiem naprawdę siłą kierującą ruchem, godzina czynu wybijała. A Mickiewicz tworzył legion, którego członkowie zobowiązywali się iść na pomoc narodowi, zrzucającemu austriackie jarzmo, by następnie, wzmocnieni zastępami słowiańskimi, ruszyć do ojczyzny. Liczyli na powstanie Słowian za przykładem Włoch, co w owym czasie nie zakrawało na fantazyę. Legion liczył jednak tylko dwunastu zaciężnych, nie imponował liczbą, ale duchem, jak rota towiańczyków. Co się tyczy zasad, określał je jego wódz duchowy, któremu piąty krzyżyk pobieliał włosy, ale nie osłabił ducha.

Pierwsza zasada głosiła potrzebę czynów wolnych ducha chrześcijańskiego. Znaczyło to, że mają one wynikać z czystej woli, nie pochodzić z żadnego przymusu, nie być ujęte w żadne formy, jak dotąd w rocie towiańczyków. Druga żądała, by prawo ewangeliczne stało się prawem narodów, jak tego domagał się również towianizm. Trzecia uważała za konieczność, by kościół stał się stróżem tego prawa. Znaczyło to oczywiście, że papież miał czuwać nad jego realizacją. Teokracja stanowiła niby podstawę systemu, w który wchodziła dopiero Polska ze swą

boską misją w dziejach. Nie mogło być zresztą inaczej, skoro wykłady paryskie głosiły mesyanizm otwarcie, mistyczny nastrój wodza legionu nie zmienił się zaś bynajmniej, skoro zalecał teraz i później ¹⁾ pozbycie się egoizmu i przejęcie się sprawą milionów.

Czwarta zasada objawiała wyraźnie, że w Polsce ma realizować się Słowo. Uzupełniały ją cztery inne o duchu polskim, służącym Słowu, o wolności wyznań, o wolności Słowa i równości wszystkich wobec prawa. Siedem ostatnich zasad dotyczyło wprost stosunków społecznych. Stanowiły one obieralność urzędów, zrównanie Żydów w prawach z ogółem ludności, nadanie praw obywatelskich kobiecie. Każdy Słowianin miał równe prawa w ludowej rzeczypospolitej, innym narodom obiecano pomoc chrześcijańską. Co się tyczy własności, obiecywał ją Mickiewicz rodzinie i gminie, gdy chodziło oczywiście o chłopów, inną własność kazał szanować i oddać pod straż urzędowi.

W tak zwanym symbolu politycznym legionu zawarły się tedy raz pierwszy poglądy społeczne Mickiewicza. Wynikały one logicznie już z programu wodza filomatów, który był republikańskim. Wszakże Rousseau radził zaszczerpić republikę w sercach, by uczynić je opornymi na wpływy zewnętrzne. On zaś był rousseauistą nie tylko dlatego, że dawał przewagę uczuciu nad rozumem. W Wilnie marzył już o wszechwładzy ludu, na ludach opierał też przyszłość w Paryżu, gdy po raz pierwszy wystąpił z artykułem w emigracyjnym organie. Naturalnym jego sojusznikiem był teraz Rzym, skoro podawał pomocną rękę zmartwychwstającemu ludowi włoskiemu. Widział w Piusie IX zapewne ową władzę duchową, o której marzył, ceniony przez niego wysoko, Saint Simon wraz z ogółem mistyków czasu. Postać Towiańskiego zacieraa się w jego duszy szybko, na plan pierwszy wysuwała się nowa, a zwracająca oczy nawet skrajnych rewolucjonistów. Więc mesyanizm uzupełnił ją poglądami na ustrój społeczny Polski. ²⁾

Uczucie podyktowało zwięzłe zasady symbolu, uczucie kazało nie zważać na pokątne intrygi arystokracji polskiej w Rzymie i szyderstwa emigracyjnych organów w Paryżu. Miłość ludu wzrosła w poecie żywiołowo, jak to było i u Micheleta, którego dzieła odczytywał uważnie. Ta miłość ludu kazała mu odpowiedzieć Piusowi IX, że duch Boży kryje się w bluzach paryskiego ludu, że Chrystus nie troszczył się o władców świata. Wiara w nieo-

1) „Mémorial de la légion polonaise,” t. I, Paris 1877, str. 289.

2) „Współdział,” t. II, str. 76.

myślność, świętość, boskość ludu zabłysła w jego systemie, jak u Lamennais'go i Micheleta. Ta wiara żyła w nim dawno, by towarzyszyć mu odtąd nietylko na audyencyi u papieża. Jeżeli dążenie do władzy duchowej, jeżeli wiara w lud przypominały poglądy ówczesnych idealistów, to rola rodzinna i gminna stanowiły jakby zaczątek wspólnej własności. Była to jakby negacya własności indywidualnej przynajmniej w odniesieniu do chłopów, którzy wtedy własności nie mieli. Naogół symbol był nowem urządzeniem społecznem, w którem nawet kobiety zrównano z inężycznymi, jak chcieli również saint-simoniści.

Mickiewicz nie znosił zresztą własności istniejącej czyli szlacheckiej, jak nie czynił tego i Saint Simon. Jest ona pod strażą narodowego rządu, który jest wybieralny. Można tedy przypuścić, że miliony wyborców mogłyby inaczej rozrządzić o własności. Symbol nie mówi o tem, mówi jednak odezwa do towiańczyków, w której wspólnota słowiańska jest podniesioną nader wysoko.¹⁾ Było to jednak przemówienie poufne, symbol musiał unikać podobnych wynurzeń, gdyż naraziłyby one sprawę legionu na straty niepowetowane. Jakkolwiek było, symbol stanowił wstęp do działania, które, mimo swych pokrewieństw ze społecznymi teoryjami czasu, było jednak politycznem. Miało ono pociągnąć pod chorągiew polską ludy słowiańskie, miało uterować tej chorągwi drogę do ojczyzny, miało dać równość polityczną i uwłaszczenie, którego domagali się oddawna emigracyjni demokraci. Polska szlachecka zmieniała się w ludową, realizowała ideał, do którego dążyć miały dopiero Czechy i Rosya.

Rzeczywistość sprzysięgała się jednak przeciw Mickiewiczowi. Liberalny papież zawodził bowiem jego oczekiwania, kłeski włoskiego oręża miały wnet zniszczyć jego dzieło. Pius IX nie mógł przecież walczyć z Austryą, skoro była ona państwem katolickim, Francya nie mogła również narażać się na wojnę z trzema państwami zaborczymi. A on żądał od niej interwencji, godnej prawdziwej republiki, i realizacyi haseł lutowych, które tę republikę świata obwieściły. „System nie interwencji—pisał wtedy—wynaleziony zresztą w przelotnym interesie dynastycznym, nie może mieć żadnej wartości, jest antychrześcijańskim. Akcyja Francyi w pewnych wypadkach, naprzykład w Polsce albo we Włoszech, jest potrzebną i zbawienną, zarówno dla tych krajów, jak i dla Francyi.“²⁾ Poczęła się w Paryżu walka sprzecznych dą-

¹⁾ „Współdział“, t. II, str. 78.

²⁾ „Korespondencya A. Mickiewicza“, t. II, Paryż—Lwów 1880, str. 12.

ności mieszczaństwa i robotników, walka, oparta w końcu na organizującej się mieszczańskiej gwardyi narodowej. I w partyi socjalistycznej ścierały się dwa prądy. Umiarkowany, w którym przewodził Blanc, nie chciał rewolucyi, skrajny Blanquiego i Babeusa pchał do przewrotu.

IV.

I przewrót zbliżał się szybko, by objawić się z całą grozą w dniach czerwcowych. Zmartwychwstały wspomnienia wielkiej rewolucyi, kiedy formuła Robespierre'a o własności, jako prawie ograniczonego używania, miała pozyskać dla wnioskodawcy lud robotniczy. Nie zapomniano o żądaniach Babeufa, który odrzucił własność prywatną, różnice majątkowe, niezorganizowaną produkcję bogactw. Tajne stowarzyszenia wystąpiły teraz z jawnem działaniem, idee Saint Simona, Fouriera, Leroux, pani Sand były na wszystkich ustach. Saint Simon utrwalił, zwłaszcza w gorętszych sercach, przekonanie, że stary porządek musi runąć, że trzeba szerzyć kult pracy i braterstwa a tępić egoizm za każdą cenę. Człowiek żyje bowiem dla społeczeństwa, oboje muszą uleść odnowieniu wewnętrznemu, jeżeli życie społeczne ma iść normalnie.

Fourier organizował społeczeństwo przyszłości. Miały w niem ustać walka jednych z drugimi, nastać harmonia warstw, zniknąć przeciwieństwa interesów jednostek. Falanster regulował zajęcia każdego w sposób pedantyczny, niszczył instynkta indywidualne, przywracał stan natury, zgodny z przeszłością ludzkości. Potężny prąd uczucia rozlewał się w duszach, które oczekiwały powszechnego szczęścia z całą naiwną wiarą. Pani Sand widziała już wiek harmonii, opartej na miłości, równości, zasłudze jednostki. „Mówią—głosiła jedna z bohaterek jej romansu „Meunier d'Angibault—że to jest zagadnienie, które najwięksi święci chrześcijańscy i najwięksi mędracy ludzkości próbowali rozwiązać. Mówią jeszcze, że ta religia jest gotową zejść w serca ludzkie, choć wszystko zdaje się w istocie spiskować przeciw niej...“¹⁾ Tą religią był socjalizm, od socjalizmu spodziewano się pogromu materializmu, bałwochwalstwa, egoizmu, które niszczą prawdziwą religię.

¹⁾ G. Sand: „Oeuvres complètes“, t. XXXII, Paris, b. r. str. 140.

Niebrakło też praktycznych organizatorów przyszłego społeczeństwa. Considérant malował tedy barwnie położenie robotnika, żądał zaopatrzenia go w narzędzia pracy i zarobku. Chciał przywrócenia prawa naturalnego, które uczyniło ludzkość użytkownikiem globu, usunięcia grabieży jednych przez drugich przez postanowienie, że każdy posiada to, co zdobył własną pracą. Nowe pokolenie znajdzie w ten sposób kapitał naturalny i stworzony, prawo do pracy i wysokość płacy musi nadzorować państwo, jeżeli porządek społeczny niema uleść zepsuciu. Liberalizm nie pomyślał bowiem o wywłaszczonych,¹⁾ liberalizm stworzył wolną konkurencyę, która niszczy nawet mieszczaństwo, a czyni robotnika niewolnikiem. Państwo, uzupełniał tedy Blanc, może stać się regulatorem produkcji, tworzyć warsztaty, z których dochody pójdą do równego podziału, na utrzymanie słabych, na zakupno narzędzi. W ten sposób kapitał uspołeczni się stopniowo i pokojowo, praca zostanie zorganizowaną, czego pożądamy wszyscy.

Formułą postępu jest moralne i materyalne polepszenie losu wszystkich przez wolny współdział i braterskie uspołecznienie.²⁾ Powszechnie głosowanie nie jest przecież lekarstwem radykalnem, wyzwolenie polityczne nie jest bowiem celem, ale środkiem do usunięcia tyranii ekonomicznej, do ułatwienia człowiekowi rozwoju przyrodzonych zdolności pod panowaniem sprawiedliwości i strażą ustawy. Jeszcze dalej szli zaś Cabet i Proudhon. Żądali oni już wprost zniesienia własności, uspołecznienia kapitału. Pierwszy rozprawiał o uregulowaniu wszystkiego przez państwo, równości płacy, podniesieniu materyalnem i duchowem ogółu, drugi elektryzował masy dyalektyką, w której zwalczał mechanizm życia przemysłowego, skazywał na śmierć własność prywatną, żądał sprawiedliwości. Dzieje ludzkości są bowiem jej poszukiwaniem ciągłym i trwałym.

Rząd republikański nie myślał tymczasem o żadnych reformach. Sądził, że Francya uczyniła dość, gdy dała równość polityczną obywatelom, przykład innym ludom. W warstwach robotniczych wrzało tymczasem, idea solidarności uciśnionych przeciw ujarzniciełom zyskiwała z dniem każdym zwolenników. Idee Mickiewicza płonęły istotnie w piersiach ludu paryskiego.³⁾ Wresz-

¹⁾ „Théorie du droit de propriété,” Paris 1848, str. 34.

²⁾ „Organisation du travail,” 9-e édition, Paris 1850, str. 17.

³⁾ Władysław Mickiewicz: „Żywoł A. Mickiewicza,” t. IV, Poznań 1895, str. 100.

cie dnia 15 maja 1848 r. stutysięczny tłum ruszył w kierunku Izby, by żądać upragnionej interwencji. Gdy zaś Izba odmówiła wręcz podobnemu żądaniu, rząd tymczasowy, złożony z socyalistów, wypowiedział w ratuszu wojnę mocarstwom zaboreczym. Zaaresztowano go jednak, reszty dokonała gwardya mieszczańska. W sercach polskich pozostała tylko pamięć niesłychanego wydarzenia, po którym nastąpiły wypadki czerwcowe.

Socyalizm francuski solidaryzował się w ten sposób ze sprawą, a czynił to tem skwapliwiej, że w powstaniu krakowskiem — z przed dwóch lat — wyczuwał echo swych poglądów. Wszakże wtedy mówiono już o układzie społecznym, w którym każdy znajdzie zabezpieczenie siebie i rodziny. Przejmował ten objaw radością Worcella, wzmagął poczucie solidarności wśród francuskich socyalistów.

V.

Mickiewicz zbierał równocześnie we Włoszech dowody sympaty. Jego słowa przyjmowano z entuzjazmem, zdawało się, że cała armia ludów stanie na nogi, by rozpocząć pochód ku wolności. I ton przemówień wodza legionu stawał się coraz bardziej uroczysty. Ścisnął on niejako całą treść swej jaźni, miłością jednoczył wszystkich, wcielał w siebie jakby rysy człowieka-narodu, o którym mówił niegdyś w wykładach. Wydało mu się, że, jak niegdyś z ziemi włoskiej, ruszą znów legiony polskie, na ich czele stawał zaś nie Dąbrowski, ale mistyk, ekstatyk, wizjoner. Włochy miały stać się podstawą realizacyi, religijna hipokryzya, zimne okrucieństwo, ponura dyplomacya miały teraz dopiero ponieść zupełną klęskę.

Legioniści przybywali też licznie,¹⁾ choć rosły jednocześnie przeszkody. Karol Albert nie godził się na propozycyę wodza, również w Paryżu podnoszono wątpliwości, czy symbol legionu nie trąci zbyt rewolucyjnością. Tragedya czerwcowa podcięła jeszcze bardziej pasmo nadziei, skoro republikanizm począł nawet tracić podstawy w społeczeństwie. Mieszczaństwo zdobyło przecież równość polityczną, przeraziło się zaś teorią, które mogły wytrącić go ze stanu posiadania. I we Włoszech Austria brała górę, jedynie w Rzymie republikanizm wzmagął się na siłach z po-

¹⁾ „Mémorial de la légion polonaise,” t. II, Paris 1909, str. 86.

wodu niezadowolenia z polityki papieża. Należało koniecznie w Paryżu działać dla zagrożonej sprawy legionu, choć obrót wypadków nie wróżył rzeczy pomyślnych.

Okazało się, że i powrót do Paryża nie wpłynął niczem na zmianę usposobienia emigracyi. Mickiewicz nie był bowiem związany z żadną partją, posiadał tylko nieliczną garstkę przyjaciół. Osnowa działania darła się, należało przeczekać burzę, ucisk, reakcyę. Na propozycyę katedry w Krakowie odpowiedział, że ją przyjmie, jeżeli nie dotknie jego uczuć chrześcijańskich i obywatelskich. Była to odpowiedź, godna republikanina, demokraty, apostoła nowych idei, który w Krakowie, gdzie wkrótce miała zwyciężyć zachowawczość z Siemieńskim na czele, nie miał chyba wiele do czynienia. Należało stworzyć tedy podstawę działania na miejscu. Nasuwała się ona niejako sama, nie była bynajmniej w sprzeczności z tem, co głosił wieszcz litewski z katedry w Collège de France. Wiadomo przecież, że widział w Napoleonie I człowieka ewolucyi, pracy w duchu, ofiarę Waterloo. Do niego zwracał się w słowach ekstazy, z nim rozmawiał w widzeniach, o nim nie zapominał i teraz, gdy gwiazda synowca wielkiego cesarza wyblýskała na horyzoncie lutowej republiki.

W napoleonizmie uznał jakby nowy rozkwit idei przez siebie wyznawanych. Skoro jeden geniusz upada—mówił już dawniej—następuje drugi, człowiek przeznaczenia musi mieć swego następcę.¹⁾ Mógł nim być też nowy prezydent, skoro był wybrańcem pięciu milionów ludzi i wyrażał niejako tajemne nadzieje czasu. Wyrażał też czynnik obcy partyom i jednostkom, łączył przeszłość z przyszłością. Sądził więc Mickiewicz, że realizacya napoleonizmu, który uosabia ewolucyę doszłą do władzy i działającą legalnie, musi być zadaniem chwili. Towiański marzył ciągle o służbie u papieża, on zwracał się do nowej służby, skoro papież zawiódł nadzieje ludów. Wracała dawna niechęć do Rzymu, z nią budził się dawny zapal filomaty, który stawał z kolei na czele rewolucyjnego dziennika.

Miał ten dziennik zwracać uwagę na walki we Włoszech i na Węgrzech, przeciwdziałać reakcyi mieszczańskiej, głosić napoleonizm. W jego redakcyi znaleźli się zaś ludzie najprzeciwniejsi sobie poglądem. Z redaktorem nie godził się właściwie nikt, najmniej zaś Hercen. Mickiewicz był rousseauistą, mistykiem, wieszczem, Hercen należał do pokolenia, którego nie znał

¹⁾ „Literatura słowiańska,“ t. IV, Poznań 1865, str. 165.

już redaktor. Dwie szkoły rysowały się właśnie w tem pokoleniu. Jedna widziała w Rosyi to, co Mickiewicz w Polsce, druga żyła jedynie negacją. Wobec tej drugiej grudniowcy byli tylko przednią strażą rewolucjonizmu, nowi ludzie byli nihilistami. Stracili związek z duszą narodu, znienawidzili ją nawet, zgubili się w abstrakcyach. Z nich wyszedł przecież Turgeniew, który cieszył się, że został zachodowcem i zerwał z życiem rosyjskiem, który stworzył bohatera, nie chylącego się przed żadną wielkością, nie znającego żadnej zasady. Mickiewicz zasady miał, stał na stanowisku chrześcijańskim i polskim, gdy oni nie mieli żadnego.

Rozwinał też swe zasady ponownie, choć przechylił się odtałał stanowczo na stronę Francyi. Widział w niej tedy przedstawicielkę idei solidarności ludów, republikanizmu, postępu społecznego. Chciał teraz uświadamiać ją tylko w jej posłannictwie, którego pamięć tkwi w duszy ludu. „Francya, jak ją pojmujemy—mówił—to ten sam duch, który stał się ludem i wcielił w formę republikańską. Znaczy to, że będziemy bronili obecnej konstytucyi, że będziemy współpracowali z całymi siłami, by przyspieszyć jej rozwój w kierunku republikańskim ze wszystkimi jego konsekwencyami.“¹⁾ Znaczyło to, że redaktor nie myślał bronić monarchizmu, ideę napoleońską pojmował inaczej od prezydenta, godził swój republikanizm z kultem jego osoby. Nie mylił się tylko w tem, że republikanizm uważał za podporę postępu.

Co się tyczy socjalizmu, odnosił się do niego z sympatją. Uważał go bowiem za sprzymierzeńca w dążeniu do realizacji solidarności ludów. O nią zaś chodziło mu głównie, nie o reformy społeczne. Swój dziennik uważał za trybunę ludów, walczących o wolność polityczną. Wiedział zaś, że słowo „socjalizm“ ma wtedy urok mistyczny, skoro stawiano je nad ewangelią, tolerującą niewolników, nad filozofią, cierpiącą proletaryzm. Pamiętał też socjalizmowi manifestację majową, bronił jego przedstawicieli, gdy trybunał w Bourges oskarżył ich o zdradę. Czyn majowy uważał za godny wielkiego narodu.²⁾ Jego serce polskie nie mogło bowiem znieść myśli, że obrońcy Polski mają cierpieć, gdyż chcieli zmienić teorye lutowe w rzeczywistość, wyrzucić ze sprzeczności między słowem a czynem, rozwiązać zagadnienie porzucone przez mieszczaństwo. Tu tkwił prawdziwy powód jego sympatyi dla socjalizmu.

¹⁾ „Tribune des peuples,“ Paris—Cracovie 1904, str. 60.

²⁾ Robert du Var: „Histoire de la classe ouvrière,“ Paris 1845, IV vol. str. 52.

Ale równie energicznie piętnował reakcyę, gdy spostrzegł ją we Włoszech. Oskarżał tam o brak poparcia sprawę wolności arystokrację piemontką, która boi się republikanizmu, rząd włoski i papieża, że nie zrozumieli dążeń czasu i przygotowali Custozę i Novarę. Głosił nawet, że papież może istnieć bez listy cywilnej, żandarmów, regimentów szwajcarskich. Protestował przeciw wyprawie rzymskiej, szydził z potęgi, która nie może zwalczyć demona rewolucyi. A tymczasem wyprawa rzymska przychodziła do skutku, republika francuska podawała dłoń absolutyzmowi dla zwalczenia republiki rzymskiej. Był to objaw groźny dla samego redaktora, złowróźbny dla sprawy republikanizmu wogóle.

W tem położeniu zwracał oczy Mickiewicz na osobę prezydenta, którego stawiał nad królów, narzuconych ludom. Wierzył w niego więcej, niż w Izbę, że nie poprze on narodowego egoizmu, nie pójdzie drogą kłamstwa, chciwości, materyalizmu, wskrzesi epokę bohaterską wielkiego stryja. Izba, rząd, dyplomacya zapomniały bowiem o Polsce, nie stanęły na czele rewolucyi powszechnej. Prezydenta powołał do władzy lud, który odczuł w nim męża epoki. Sprawa Polski wiąże się zaś ściśle ze sprawą republiki, z upadkiem pierwszej ginie druga. Rozumieli to robotnicy w manifestacyi majowej, reakcyja chce tedy zabić republikę hasłem nieinterwencyi.

Tem uporniej wracała teraz myśl popierania prezydenta za wszelką cenę. O nim jednym odzywał się redaktor z szacunkiem, na niego myślał działać, z nim szukał zbliżenia duchowego. Jego bronił ze szlachetnym gestem oburzenia, by tem ostrzej traktować reakcyjne zakusy katolików typu Veuillota, liberałów typu Thiersa, konserwatystów, marzących ciągle o powrocie na tron prawowitej dynastyi. I dosadnie charakteryzował spółkę żywiołów najprzeciwiejszych a sprzysiężonych dla obalenia dzieła państwa dla wszystkich ludów europejskich roku.

VI.

„Zgromadzenie narodowe ma niewątpliwie słuszność—mówił redaktor—gdy zajmuje wobec rządu stanowisko stanowczo nieprzychylnie; by je poparł jednak lud, musi ono poznać pragnienia i życzenia ludu dzisiejszego, który nie jest ludem ani dni lipco-

wych ani lutowych.“¹⁾ Znaczyło to, że ogół ludowy pragnie interwencji na rzecz ujarzmionych, chce porozumienia z żywiołami rewolucyjnymi Europy. Ma to porozumienie sprzeciwić się sojuszowi ultramontanów i absolutystów, ma liczyć się tylko z interesem ludów a nie tronów. Słowa te zjawiały się w czasie, który widział właśnie taki sojusz w samej Francyi. Lud, na który powoływał się jego trybun, milczał, robotnicy i drobni mieszczaństwo nie mieli już siły, by wystąpić czynnie przeciw reakcyi. Zaplanowywała ona wszędzie, wyrażała się w polityce prezydenta republiki.

Napoleonizm redaktora czekały więc ciężkie próby. Bronił on przecież gorąco nawet Proudhona, gdy skazano go na więzienie za artykuł przeciw prezydentowi. A jednak były między nimi ogromne różnice. Mickiewicz wierzył w lud, Proudhon nazywał pojęcia ludowe głupstwem, Mickiewicz wypowiadał się dogmatycznie, Proudhon był tylko dyalektykiem, walącym własne systemy. Burzył on właśnie ideę wszechwładzy ludu, narodowości, religii. Tych zasad nie pozwalał tknąć jego obrońca, idący jedynie za uczuciem, widzący w uczuciu siłę, chcący związać ludzi w narodzie, chrześcijaństwie, ludzkości. Była jednak w nich wspólność obrony przed reakcją.

Dyktuje ją, zdaniem obrońcy Proudhona, interes materyalny, gdy propagandę rewolucyjną dyktuje wiara. Nie ma ta wiara nic wspólnego z wiarą ultramontanów, która pochwała despotyzm i łączy sprawę papieża ze sprawą absolutyzmu. Trzeba odnowić tedy pierwotne chrześcijaństwo, trzeba uchrystusować politykę. „Nie mówcie—wołał redaktor do sfer duchownych—że ludy was opuszczają, to wy je opuściliście, one was szukają na waszej stolicy i nie znajdują; chcą się podnieść a wy się poniżacie. Macie siłę niezwykłą, bogactwo niezniszczalne i życiodajne, porzuciliście te skarby nieba dla ziemskich, które zabijają ducha.“²⁾ W słowach tych malował się żal do Piusa IX, że zawiódł ludy, wyrażał się protest przeciw polityce kuryi papieskiej, która zmieniła się dopiero za dni Leona XIII. Wokoło szalała zaś prawdziwa burza sprzecznych prądów.

Mistyczna wiara w poprawę świata rozpadała się w gruzy, na gruzach widać było garstkę zrozpaczonych obrońców budowanego długo gmachu. Odrzucano bowiem wszelkie reformy, zer-

¹⁾ „Tribune des peuples,“ str. 97.

²⁾ Tamże, str. 139—140.

wano nawet z ideą organizacyi pracy Blanca. Egoizm mieszczański wiązał się z zapędami monarchistów, interes przeważył istotnie nad wszelkimi objawami uczucia. Zawrzała walka namiętna, ludzie nie rozumieli już siebie wzajemnie. Tem usilniej pragnął Mickiewicz ratować sprawę odwoływaniem się do idei napoleońskiej. I wyjaśniał, że lud francuski zna tylko jedno imię, trzyma się tradycyi, przechowuje skarby przeszłości. Co oznacza to imię? — pytał 8 kwietnia 1849 r. Oznacza przymioty, które lud i armia podziwiały w Napoleonie, wiarę w wielki naród, wiarę w zasady przez niego głoszone, wiarę w tryumf tych zasad, zgodność słowa z czynem, słowo krótkie a wielki czyn, człowieka czynu, odpowiadającego na owe słowo.“¹⁾ Napoleonizm był zatem, wedle redaktora, jedynym środkiem ratunku dla świata, który idzie ku reakcyi.

Widział on w nim nawet reformatora społecznego, skoro wiadomo było ogólnie, że prezydent sympatyzował z teoryjami utopistów w latach wygnania. Ale i teraz milczał lud, milczał i prezydent. Pierwszy spodziewał się po drugim zmniejszenia podatków, drugi pragnął zadowolnić ultramontanów, by tylko utrzymać się przy władzy. O robotników dbał najmniej, skoro pozwolił przywrócić nawet dziesięciogodzinny dzień roboczy. Nie zawiedli się na nim zwolennicy dotychczasowego porządku, Mickiewicz widział zaś reakcyę wszędzie, ale nigdy w działaniu prezydenta. Natomiast z dumą stwierdzał, że rewolucye ostatnie nie zmazały się bezprawiem, że lud nie zmazał się egzekucjami Grzegorza XVI ani rzezią szlachty Metternicha. Lud gardzi zyskiem, odrzuca mord, stoi moralnie wyżej nad gnębicielami. Stoi on wyżej też nad ludźmi banków, kredytów, syndykatów, patrzy dalej od zwolenników przemocy.

I zwracając się do rządu, głosił, że każda władza musi opierać się na idei. Nie ma jej władza dzisiejsza we Francyi, nie ma jej Rzym. Upadły tradycye, przysięgi, zapewnienia, znikła powaga kiółów, stracono zaufanie do ciał, wybranych głosami ludu, gdyż zapominają one o uchwałach. Nie trzeba jednak tracić nadziei, że w gruzach nawet jest zarodek życia. Tkwi on głęboko, choć starano się go zniszczyć. Przyszłość okaże jednak, że pesymiści nie mieli słuszności.

¹⁾ „Tribune des peuples,” str. 150.

VII.

Należał więc Mickiewicz do polityków dalekich od sceptycyzmu, wnikających w życie społeczne, poszukujących usilnie niezbędnej dla ludzi władzy duchowej. Jedni—jak mówi Faguet—tworzyli nową władzę, drudzy chcieli odnowić starą. Żaden z nich nie dał określonego systemu, choć każdy kierował się uczuciem i tworzył sny na temat powszechnego szczęścia. Snem wieszczą litewskiego był napoleonizm, który miał zawieść go strasznie, jak zawiódł później pokolenie czynne w powstaniu styczniowym. Wszędzie towarzyszyła mu jednak myśl o ojczyźnie, pojętej tylko coraz bardziej szeroko, opartej na braterstwie słowiańskim, związanej węzłami ludzkości z Europą. Organ miał dopomóc do tej ewolucji, która nie była przecież zwrotem do republiki socjalnej.

W socyalizmie francuskim widział redaktor sprzymierzeńca, skoro on jeden dążył do odniamy, miał ideały bliżkie mistycyzmu, wznosił się nad poziome żądze mieszczaństwa. Ale i socyalizm cechowała nieokreśloność programu. Symbol rzymski był właściwie programem ludowym, nie mówił o robotnikach, gdyż ich wtedy w Polsce nie było. Francuski opierał się na proletaryacie robotniczym, ale z wyjątkiem hasła organizacyi pracy, nie dawał nic pozytywnego. Spostrzegł ten brak redaktor, by dać określenia ówczesnego socyalizmu dziwnie głębokie i wyczerpujące. Wedle niego, socyalizm nie jest negacyą, gdyż wynika z czystego porwywu serca. „Socyalizm nowożytny—mówi 17 kwietnia 1849—jest tylko wyrazem uczucia tak dawnego, jak życie, uczucia tego, co jest niezupełne, zepsute, nienormalne, a więc tego, co jest niepomyślne w naszym istnieniu. Uczucie socyalistyczne jest wzlotem ducha ku bytowi lepszemu, nie indywidualnemu, ale wspólnemu i zjednoczonemu. Godzi się zupełnie, że to uczucie objawiło się z siłą niezwykle nową; jest to nowy kierunek, który człowiek duchowy zdołał sobie stworzyć, jest to nowa namiętność.“¹⁾ Jest to uczucie człowieka wzniesionego nad materję, afirmacya duszy, wykwit inteligencyi, nie zamkniętej w dogmatach, ale odradzającej się w pragnieniach i zagadnieniach.

Zgodnie z Du Varem, określał redaktor socyalizm, jako nową religię, opartą na religii i ojezyźnie. Symbol rzymski zaczynał i kończył imieniem ojezyzny, nie trącił żadnym kosmopoli-

¹⁾ Tamże, str. 167—168.

tyzmem. Obecne określenie zbiegało się z określeniem mistycyzmu ulubionego mu Saint Martina.¹⁾ Socjaliści wyglądali w niem na iluminatów, apostołów, męczenników teorii bliżej nie określonej. Mickiewicz wierzył zaś, że w każdej sprawie, gdzie idzie o ducha, jest myśl objawienia boskiego, czucie i wiara nowego stronnictwa imponowały mu, jak zawsze dawniej i teraz. Zresztą przeważała w nim troska nie o socjalizm, ale o sprawy polityczne. Jeżeli uderzał na mieszczaństwo syte znaczenia i władzy, zrezygnowane nawet na monarchię, byle zniszczyła ona wszelką myśl lutowej rewolucyi, egoistyczne i materyalistyczne, to nie szczędził krytyki sprzymierzeńcom. Zarzucał im, że mówią za wiele, że nie celują jasnością, że stronią od życia i czynu. Muszą tedy uledz, gdyż czyn jest rzeczą najważniejszą, a przeciwnicy mają też za sobą administracyę i wojsko.

Nie w socjalizmie widział zbawienie, ale w napoleonizmie. Nie zważał na solidarność żywiołów reakcyjnych, odważnie bronił sztandaru narodowości, choć nie zapominał i o robotnikach, gdy kazał pamiętać o ich dobrobycie i nie czynić nawet z przedsięwzięć, mających polepszyć niby ich los, narzędzia polityki klasowej. Ale mylił się strasznie, gdy wierzył w instynkta republikańskie ludu wiejskiego. Ostrzegał nawet lud przed rządem i klerem, którzy wyzyskują go dla celów wyborczych i straszą zamachem socjalizmu na własność. Szydził z tego podstępu reakcyi, skoro wiadomo, że konfiskata dóbr szlacheckich dała zdobycz jedynie spekulantom wielkiej rewolucyi. Czy wiadomo, że lud nie położył ręki na skarbach królewskich? Ten lud nie pożąda też ziemi chłopskiej, nie myśli o zaborze cudzej własności, jak głośił już symbol rzymski.

Zapomniał jednak Mickiewicz, że Proudhon uderzał na własność argumentami Rousseau'a, że Cabet żądał niepodzielności ziemi. Nie mylił się, gdy bronił idealizmu ówczesnych socjalistów, gdy wynosił wysoko nawet idealizm mas ludowych. Nie mylił się, gdy piętnował egoizm jednostek rządzących się tylko rachunkiem. Takich jednostek, stwierdzał z oburzeniem, świątynią jest giełda, nie znają one Boga, ojczyzny, idei. Znają tylko interes, fakt, porządek, choćby opierał się on na bezprawiu, choćby na obu jego wagach zwieszały się niegodziwości. Ocalić społeczeństwo od ich panowania może tylko lud, gdyż dał on władzę jed-

¹⁾ „Oeuvres posthumes de Mr. de Saint Martin. Homme du désir,“ t. II, Paris 1827, str. 251.

nostce. Ona jest obroną przed monarchizmem orleanistów, ona wyraża wolę milionów. Jest to jednostka opatrnościowa, którą swymi artykułami chciał obronić od podszeptów reakcyi.

Chciał mieć ją niezależną od stronnictw, chciał od niej ruchu woli, ruchu napoleońskiego, ruchu, godnego dawnych zamachów stanu, gdy obecny prezydent był tylko wygnanym prezydentem. „Oto—mówił 15 maja 1849 r.—teorya, idea istnieje tak długo, póki ją wyobraża żywa indywidualność, człowiek. Francya jest przesycona teoryami, wszystkie idee religijne i filozoficzne, które miały obieg w starym świecie i średniowieczu, krążą ciągle wśród nas. Ze wszystkich stron objawiają się pragnienia i nadzieje, że nastąpi czyn, że nastąpi samorzutnie wielki i piękny czyn. A jednak nic pięknego, nic wielkiego się nie dzieje. Ta masa idei i teoryi wybuchła w dniach lutowych; świat został niemi olśniony i wstrząśnięty i znów spadliśmy w rzeczywistość ciemniejszą niż kiedykolwiek. Francya miała idee i idee, nie znalazła swego człowieka. Beznadziejność stała się cechą czasu, gdyż republikanizm nie zna idei religijnych, obcych historykom i adwokatom.

Była to aluzya do Guizota i Thiersa, był to też wyzyw, jak wyraziliby się towiańczycy, do prezydenta. Tymczasem ten prezydent posługiwał się właśnie partjami, nie myślał o ideach. Lud spał spokojnie, gdy on rzucał jedno stronnictwo przeciw drugiemu, niszczył republikę rzymską. Jedynie Paryż trzymał się na wyłomie, poza nim nie było już ludzi, mogących pojąć dążenie rewolucyjnego organu. Uderza w nim szerokość horyzontu, dar obserwacyi, zdolność charakterystyki stronnictw, walczących z sobą. Przedewszystkiem imponuje jednak polot uczucia, które ożywia myśli tak głębokie i świetne, że dorównywają w całości myślom, wypowiedzianym niegdyś w Collège de France, a siłą i zwięzłością przewyższają wszystko, co wypowiedziała ówczesna polityczna myśl polska.

VIII.

Nadeszły w końcu chwile, w których praca w kierunku raz obranym stała się całkiem bezcelową. Ogromna większość zachowawcza zgnębiła zupełnie garstkę postów, działających w myśl haseł pamiętnego roku rewolucyi. Pierzchało złudzenie, że Paryż pokona politycznych bezpłciowców, skoro wniosek Ledru Rollina

o postawienie ministrów w stan oskarżenia upadł haniebnie. Upadło powstanie węgierskie, reakcja zwyciężyła na całej linii. Stan obłączenia zmusił organ Mickiewicza do milczenia, sam redaktor krył się miesiąc w pokoiku studenta, Francuza, który uczcił w nim obrońcę wolności.

Gdy organ począł wychodzić nanowo, przygnębienie uwydatniło się wyraźnie w artykułach. Ale i teraz oświadczył redaktor, że służy sprawie ludów, choć nie myśli pchać do wojny domowej. Idea narodowości przeżyje klęski włoskie i węgierskie, przeżyje odstąpienie od niej papieżstwa, monarchii, arystokracji. Skryje się w żywiołach, które to odstąpienie decydującym czynnikiem zapamiętają, wywoła zrewolucjonizowanie groźne i złowieszcze. Teraz bierze górę we Francji reakcja, w Niemczech duch kasarniany, w Austrii bezwzględny absolutyzm. Na straży porządku stanęły bowiem mocarstwa świętego przymierza.

Intuicyjnie widział tedy Mickiewicz przyszłość, przeczuwał, jakie skutki wywoła powrót reakcji, zwłaszcza we Włoszech. I nie wahał się raz jeszcze zalecić swego programu republice, która była już zamaskowaną monarchią. Zbawić Francję, mówił, może tylko sojusz idei napoleońskiej i socyalnej.¹⁾ Rewolucjonizm doktrynerski opiera wszystko na sile i gardzi przeszłością, napoleonizm opiera się na woli ludu, wyrażonej swobodnie i legalnie. Siła narodu tkwi w narodowości, socjaliści nie liczą się z odrębnościami narodowymi, są doktrynerami, są kosmopolitami. Francja ma swą misję dziejową, psuje ją tylko mieszczańskie kółtństwo, które myśli jedynie o sobie, cieszy się z upadku wolności, jest solidarne w każdym kraju tylko w złem. Ono na miejsce sprawiedliwości stawia interes, paraliżuje chrześcijańską miłość bliźniego przez doktrynę dla siebie, uniemożliwia wszelką akcyę społeczną i narodową.

Interes wabi pod swój sztandar ultramontanów, wolteryanów, Żydów. Jest to sojusz potworny tak samo, jak przymierze Rzymu z gabinetami europejskimi. Religia nie ma bowiem na celu zapewnienia sobie dóbr doczesnych i sprawiania obrządków; uczucie chrześcijańskie może jedynie odrodzić duchowo naród i politykę. Inaczej obawa i nienawiść staną się czynnikami głównymi życia, rozsadzają budowę społeczną. Od rozwoju i wpływu uczuć chrześcijańskich zależy też przyszłość. Nie widział ich Mickiewicz w polityce obecnej. Zamiast nich szerzyła się niechęć

¹⁾ „Tribune des peuples,” str. 274—276.

do republiki, upadały ostatnie zdobycze rewolucyi lutowej, zniknęła wszelka nadzieja poprawy. Organ wolności ludów upadał z powodu trudności walki.

I cesarstwo nie spełniło też oczekiwań napoleonisty. Nazwał on, jak wiadomo, Napoleona III duszą pospolitą, zamknął się odtąd w ciszy życia domowego. Wyrwała go z niej wojna krymska, w czasie której podjął niejako swą myśl legionu na Wschodzie. Ale teraz spotkała go dobroczynna śmierć, gdyż i ten legion miał skończyć się smutnie. Żywot, zaczęty filomatyzmem, zamknął się harmonijnie. Nie rządził się w nim wieszcz litewski żadnem uprzedzeniem klasowem, jak Krasiński, nie zajmował się sobą i nie układał poematu ze swego przedwiekowego bytowania, jak Słowacki. We wszystkim, co czynił, przeważała bezosobistość.

Czy był socjalistą, jak głosi ¹⁾ krytyka partyjna? Socjalizm jego opiera się na symbolu rzymskim, który jest programem republikańskim, katolikiem, zwolennikiem uwłaszczenia włościan pod względem ekonomicznym i społecznym. Przenika go duch ewangeliczny najzupełniej, obcy nietylko obu odłamom dzisiejszego socjalizmu, ale i radykalizmu. Jest w tym symbolu nawet przykra niejasność. Skoro osobnik chłopski nie ma, wedle symbolu, własności indywidualnej, nie może nią rozporządzać, nie ma tych samych praw, co szlachcic. Równość praw wydaje się tedy dość względną, co razem wskazuje, że punkta symbolu były płodem chwili i zawierały sprzeczność rażącą.

Co się tyczy artykułów o socjalizmie, podyktowanych ogólną wtedy dla niego sympatją, to Mickiewicz nie zapomniał przecież zaznaczyć, że socjalizm jest pragnieniem ducha osiągnięcia lepszego bytu, co nie może być rzeczą szkodliwą. Inaczej nie mógł się wyrazić, jako człowiek wiary, postępu, wolności. Socjalizm, idący do walki z wiarą i narodowością, znalazłby w nim wroga zaciętego. Były jego artykuły aktem sympatii człowieka szczerze wierzącego, obywatela, nie chcącego w nikim widzieć niewolnika i przedmiot wyzysku, Polaka, wdzięcznego za manifestacyę majową. Wątpić zaś należy, że dążyły one naprzykład do unarodowienia ziemi. Mickiewicz chciał jej dla chłopów, jak demokraci emigracyjni, własności szlacheckiej nie znosił, a co zatem idzie, zachowywał osobne szlachty w narodzie znaczenie.

Wiara była, jak stwierdzono, regułą, prawem, kierunkiem jego życia i programu. Nie rozumiał niewiary, którą wyczuwał

1) Artur Śliwiński: „Mickiewicz, jako polityk“, Kraków 1908, str. 144.

w młodzieńczej poezji Słowackiego, brak prawdziwej wiary zarzucał bohaterowi Krasieńskiego. Potępił indywidualizm, natchnienie chciał mieć społecznem a nie indywidualnem. Z chrześcijaństwa nie wyszedł, demokratów tego czasu nie przypominał. W jego wierze w lud był ślad wiary Lamennais'go w nieomylność zgody powszechnej. Dowodziło to, że zmysłu filozoficznego w istocie nie posiadał, metodę, obserwację, doświadczenie stawiał niżej od instynktu mniej lub więcej idealnego. Pomylił się, gdy szło o Napoleona III, wskazał jednak drogi przyszłości, gdy żądał sojuszu demokracji i chrześcijaństwa, gdy zdrowie społeczeństwa uczynił zależnem od reform społecznych, dokonywanych przez władzę, czyli państwo, rządzone nawet przez jednostkę. Nie był więc republikaninem aż do zaślepienia, sądził, że nawet w monarchii można osiągnąć ideał życia społecznego, o którym marzyli wtedy przeważnie utopiści.

DR. TADEUSZ GRABOWSKI.

Młode lata Kościuszki.

Najukochańszą postacią ginącej Rzeczypospolitej był dla nas zawsze Kościuszko, pierwszy z pogrobowców, co przemarzył sen o rycerskiej szpadzie. Naród w sercach swoich świętą wznosił mu kaplicę, w nim uosabiał wszystkie zalety Polaka-obywatela, z mlekiem matki przekazywał imię jego, jako ożywcze hasło, nimbem bohaterstwa owiane, z pokoleń w pokolenia. Znany go wszyscy od dzieciństwa takim, jakim go wyobraził Chełmoński, w poświęceniu miesiąca przewodzącym orszakowi duchów, witeziów nowej, budzącej się ledwie do życia Polski wszechstanowej. Ten kult, ta cześć dla jego postaci i działalności odbiła się, odbić się musiała na historyografii polskiej, na wzmożonem zainteresowaniu się jego osobowością, myślą i czynem. Swoi i obcy szkicowali podobizny pierwszego wodza polskiej irredenty, pisali jego życiorysy, notowali wspomnienia o nim, drobiazgi jego życia. Wreszcie za naszych czasów, pierwszy z plejady sterników Polski upadającej, doczekał się monografii naukowej, sumiennej, obszernej, z dokumentów wysnutej. Dzieło to o „Kościuszcze“ prof. Korzona pozostanie zawsze znakomitym punktem wyjścia dla wszelkich badań nad epoką kościuszkowską, kręgosłupem niejako dalszych prac w tym kierunku.¹⁾ A prace te postępują w ostatnich czasach we wzmożonem tempie. Historycy polscy dotarli obecnie do wszystkich niemal głównych archiwów Europy, a wielu z nich zwróciło szczególną uwagę na dobę kościuszkowską.

W niniejszym krótkim szkicu chodziło mi o dorzucenie odrobiny światła na wychowanie i wykształcenie Kościuszki, zarówno

¹⁾ „Kościuszko,“ życiorys z dokumentów wysnuty przez K. (Kraków, 1894), str. 691. Dopelnienia przy wydaniu drugim, str. 86.

ogólne, jak i fachowo-wojskowe. Na rzecz tę złożyą się bądź pewne wyniki pozytywne, bądź odmienna nieco interpretacja źródeł, zużytkowanych już przez czcigodnego biografę Kościuszki, bądź wreszcie rezultaty negatywne, pozwalające jednak ostrzedz badaczy, by, nie tracąc czasu, nie ponawiali wysiłków w tym samym kierunku.

Długoletni spór o miejsce i rok urodzenia Kościuszki rozstrzygniętym dotąd nie został i wątpliwe, czy kiedykolwiek ostatecznie załatwionym będzie. „Tygodnik Ilustrowany“ a za nim prof. Korzon podali *in extenso* metrykę chrztu Tadeusza. Znaną ona była i dawniej, gdyż częstokroć w krótkich biografjach Kościuszki polskich i francuskich data chrztu, 12 luty 1746 r., figuruje jako data jego urodzin. Prof. Korzon cofa o dni osiem dzień przyjścia Tadeusza na świat, motywując to swoje przypuszczenie tem, że chrzciny z gośćmi przyjezdnymi nie mogły odbyć się w kilka godzin po urodzeniu. Trafia mi do przekonania hipoteza prof. Korzona o „przyniesionem“ sobie przez Kościuszkę imieniu (na pierwsze imię miał Andrzej) i ustalenie daty jego urodzin na dzień 4 lutego, trafia tembardziej, że zupełnie identyczny wypadek, nawet co do dnia i co do imienia, zdarzył się z piszącym niniejsze. Ale jeżeli chodzi o ustalenie roku urodzenia przyszłego wodza, to równie dobrze można supponować rok 1746, jak 1745, a nawet 1744. Wszak w dawnej Polsce chrzczono nieraz dzieci w rok, dwa, a czasami nawet i w siedem lat po urodzeniu, który to termin krańcowy przekazany nam był tradycyjnie z pradawnych jeszcze pogańskich czasów, jako przeżytek dawniejszych postrzyżyn. Jedynym argumentem, przemawiającym u prof. Korzona za przyjętym przez niego rokiem 1746, są adnotacye o wieku Kościuszki w aktach szkolnych korpusu kadetów. Ale dowód ten opiera się, niestety, na myłce w odejmowaniu. Jedna z tych adnotacyi datowaną jest 18 grudnia 1765 r. i oznacza wiek Kościuszki na lat 18, druga z dn. 5 maja 1768 r. liczy Kościuszcze lat 21. Świadczą one pozornie, że przyszły Najwyższy Naczelnik urodził się w r. 1747, czyli w rok po chrzcie swoim, co oczywiście jest niemożliwem. Poprostu adnotacye były nieściśle i nie mogą iść w rachubę. Ale w takim razie rok urodzenia Kościuszki pozostaje nieustalonym. A jeżeli niewiadomym jest rok, to tem samem niewiadomem się staje i miejsce urodzenia. Mogła Tekla z Ratomskich odbyć połów u stryjostwa w Siechnowiczach—wszak bywają połogi przedwczesne, niespodziane, zresztą od czegoż gościnnosc staropolska—a potem w rok czy dwa chrzcić syna w parafii kossowskiej. Być może, że więcej danych przemawia za Mere-

czowszczyzną, są to jednak dowolne intuicyjne przypuszczenia i nie więcej nadto. Jeżeli chodzi o ścisłość dokumentalną—kwestya pozostaje otwartą.¹⁾

Wychowanie Kościuszki, jak na owe czasy, szczęśliwie się złożyło. W dzieciństwie pierwsze ziarna zamięłowania do wiedzy rzucił w tę żyzną glebę jakiś nieznaną wuj, brat matki, czy też blizki jej krewniak, który dużo podróżował i wiele doświadczeń zbierał po świecie, a potem czas dłuższy bawił w domu Kościuszków, zapewne w charakterze guwernera, czyli t. zw. dyrektora. On pierwszy rozwinął w dziecku dominujące potem zamięłowanie do rysunków i matematyki, dał mu początki francuszczyzny, zaszczerpił pociąg do Zachodu z jego nauką i sztuką, rozbudził wrażliwość i subtelność, lot marzeń mocniejszy, wyższy ponad szarzyznę otoczenia. Ulubioną lekturą dziecka był wtedy Plutarch.²⁾

Dalsze wykształcenie szkolne pobierał Kościuszeko szczęśliwym trafem nie w zatęchłych, przytępiających murach jezuickich konwiktów, lecz pod ożywczym, humanitarnym kierunkiem światłych pijarów w głośnie swego czasu collegium Lubieszowskiem, położonem opodal Pińska.³⁾ Co roku, w maju, odbywał praktykę

¹⁾ Ibidem, 35, 69 sq., 575 sq.

²⁾ Art. „Kościuszeko“ w *Biographie universelle et portative des contemporains...*, polecanej przez Aularda, *Bibl. Nat. G.* 27903: „L'oncle maternel du jeune Thadée lui enseigna la langue française et lui imprima le goût des sciences, à la culture desquelles il s'attacha avec ardeur. La lecture de Plutarque était son occupation favorite...“ Potwierdzają to i uzupełniają Jullien, Falkenstein i Rychlicki (Dzieduszycki).

³⁾ Teka Wileńska № 2 z r. 1857, wzmianka Eust. Tyszkiewicza; art. ks. A. Moszyńskiego w *Sprawozd. Wydz. hist.-filozof. Akademii*, II, 1875; ks. A. Moszyński, *Kronika Collegium Lubieszowskiego ks. Pijarów*, 1876; *Słownik geograficzny*, V, 1884, pod wyrazem „Lubieszów“; czasopismo *Kościuszeko* 1893—10, 142 sq.; rkp. „16 księga szkolna...“ szkół lubieszowskich, *Bibl. Uniw. Jag.* № 1016.—Kolegował Kościuszeko w szkole lubieszowskiej z Rafałem Józefem Czerwiakowskim, ojcem chirurgii polskiej, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, naczelnym lekarzem w lazarecie głównym w 1794 r.—Adam Moszczeński w swym *Pamiętniku* pisze, że jezuiti nie uczyli, oprócz reguł języka łacińskiego w Alwarze, wierszem łacińskim wyłożonych, których nikt zrozumieć nie był w stanie. Cała ich moralność i nauka zasadzały się na nabożeństwie, należącym do *sodalitas marianus*, i na przykładach z życia świętych. Dopiero pijarzy zaczęli młodzież uczyć pisać, wprowadzili do swych szkół naukę języka polskiego, historyi i matematyki. Zaczęły słabnąć przesady, ludzie nabierali stylu i wyszła z ich szkół cała ta plejada mocnych głów i tęgiech charakterów, co uświetnić miała ostatnie lata Rzplitej.

mierniczą pod kierunkiem nauczyciela geometryi, robiąc pomiary okolicy i rysując plany—pierwsze nieśmiałe kroki przyszłego inżyniera i strategika.¹⁾

Kościuszkowie zaliczali się do partyzantów Czartoryskich, łączyły ich liczne a zawile stosunki z wybitnymi filarami „familii“—Flemingiem i Sosnowskim; matka Tadeusza dzierżyła od Fleminga, podwakoć zięcia a potem i teścia Czartoryskich, na prawie zastawnem folwark Mereczowszczyznę; jako właściciele dóbr Szpitale, Czartoryscy sąsiadowali z dziedzicznymi Kościuszków Siechnowiczami; wreszcie w procesie Józefa i Tadeusza Kościuszków z Radziwiłłami uzyskali Kościuszkowie przychylny dla siebie a zdaje się stronny wyrok od sądu generalnej konfederacji W. Ks. Litewskiego, kierowanej podczas bezkrólewia przez „familie.“ Jako dziedzice Wołczyzna i posiadacze starostwa w województwie brzeskiem, Czartoryscy ogromnie protegowali szlachtę brzeską i z niej formowali rdzeń swego stronnictwa. Sprzyjał również brześcianom król Stanisław August, urodzony w Wołczyźnie. Łatwo więc było przy takiej protekcji Tadeuszowi Kościuszce dostać się do świeżo w Warszawie erygowanego korpusu kadetów, którego komendantem był ks. Adam. Od czasów reformacji była to pierwsza w Polsce świecka szkoła.

Jeszcze w paktach konwentach 1699 r. włożono na króla obowiązek założenia szkoły rycerskiej własnym kosztem, by się młodzież ćwiczyła *in mathematica militari*, w fortyfikacjach *et omnibus exercitiis bellicis*. W paktach konwentach, podpisanych 7 września 1764 r., Stanisław August wyrażał chęć założenia takiej szkoły i obiecywał przyłożyć się znacznie do wydatków na nią, o ile Rzplita zechce pokryć część kosztów z funduszków państwowych. Ale brak czasu oraz nawał spraw bieżących nie pozwoliły Sejmowi koronacyjnemu zająć się ułożeniem projektu szkoły, puszczono więc materyę tę w reces do Sejmu następnego. Nie czekał jednak król na zatwierdzenie projektu szkoły: „uprzedzając skutek obowiązku *pactis conventis*,“ sam założył „własnym kosztem... szkołę rycerską dla edukacji szlacheckiej młodzieży i sposobienia jej do zdalnych usług ojczyźnie w radzie i boju.“ Cel w tem miał podwójny. Chodziło mu z jednej strony o wytworzenie kadrów oficerskich dla regularnej armii, z drugiej—o wychowanie elity młodzieży szlacheckiej w przywiązaniu do rządu i króla, o oderwa-

¹⁾ Kościuszek przebywał w szkole pijarskiej od 1755 do 1760. Dalszy pięcioletni okres życia jego, 1760—1765, pozostał dotychczas zupełnie nie wyjaśnionym.

nie jej od nikczemnego pobytu po dworach na służalstwie u magnatów, którzy żywieniem, odziewaniem i bawieniem synów, oddanych próżniactwu, rozpucie i pijaństwu, przywiązywali do siebie całe ich rodziny i wytwarzali w ten sposób te kohorty awanturnicze, przedajne, niesforne i zuchwałe, które były ciemieczkami w swoich prowincjach i ostoją anarchii w Rzplitej (Trembicki).¹⁾

Należy odróżniać dwie fazy w dziejach warszawskiego korpusu kadetów, mało mające z sobą wspólnego—okres przed reformą i po reformie. Początkowo korpus kadecki był wyższą szkołą wojskową, z przewagą praktycznego wychowania nad teoretycznym wykształceniem. Przyjmowano do niego młodzież obywatelską szlachecką po skończeniu szkół, w wieku lat 16—18, chętną do wojska i pięknie zbudowaną. Brygadyerowie i wicebrygadyerowie szkoły kompletowali się pierwotnie z wybranych oficerów zagranicznych, dopiero później, w miarę tego, jak wytwarzał się kontyngens oficerski z kończących szkołę kadetów, oficerowie cudzoziemcy byli usuwani i zastępowani przez zdolniejszych adeptów szkoły.²⁾ Promocya taka objęła i Kościuszkę. Ten pierwszy

¹⁾ Na założenie szkoły oraz utrzymanie jej przez pierwszy rok szkolny wydał król do dn. 1 września 1766 r. 676,432 złp. i sumę tę Rzplitej darował. Na przyszłość obiecał ofiarować 200,000 złp. rocznie, wypłacanych mu ze Skarbu Rzplitej wzamian za zniesione cło *in Regno*, Sejm zaś 1766 r. dodał do tej sumy 400,000 złp. z funduszków państwowych. Te łącznie sześćkroć Korona miała pokrywać w dwóch trzecich, Litwa w jednej trzeciej. Wystarczyć to miało na utrzymanie i kształcenie 200 kadetów, projekt ten jednak nie był zrealizowanym: pierwotna liczba stu uczniów zredukowaną została wskutek klęsk narodowych i ubóstwa Skarbu do sześćdziesięciu; w 1774 r. zgodził się król przyjęć jeszcze dwudziestu kadetów na własny ich koszt. Korpus umieścił Stanisław August tymczasowo w dziedzicznym pałacu Kazimierzowskim, na budowę zaś specjalnego gmachu wyasygnował Sejm 1766 r. trzy miliony złp., płatne w dziesięciu rocznych ratach, począwszy od 1 września 1768 r. Konstytucya 1768 r. projekt ten zmodyfikowała, asygnując jedynie półtora miliona w pięciu rocznych ratach, w połowie na kupno pałacu Kazimierzowskiego wraz z koszarami, w połowie zaś na dobudowanie na placu tegoż pałacu niezbędnych budynków. Konstytucye Sejmów 1778 i 1780 r. obwarowały, aby młodź kadecka nabieraną była w równej części z Wielkopolski, Małopolski i Litwy „z szlachty starożytnej polskiej“; Volumina legum, VII, 101, 168, 204 sq., 299, 302, VIII, 100, 550, 562, 580, 585 sq.; Smoleński, Dzieje narodu polskiego, III, 92; Korzon, Wewn. Dzieje Polski za Stan. Aug., III, 71, 75, 184, 199, 296, 299.

²⁾ Konstytucya 1778 r. postanowiła ostatecznie, aby odtąd oficerowie korpusu „szlachta polscy byli.“ Vol. leg., VIII, 585.

korpus przechodził w piękności ludu i w umiejętności robienia bronią gwardye i garde du corps zagranicznych królów, a Stanisław August szczyił się, że nigdzie równej szkoły nie było i stąd, pomimo swego wstrętu do wojskowości, korpus odwiedzał, nosił mundur kadecki, bywał na egzaminach, rozdawał nagrody, opiekował się młodzieżą i nawet ją bardzo przywiązał do siebie. Komendantem korpusu był ks. Adam Czartoryski, generał ziem podolskich. Przystojny i zręczny z natury, łagodny i dziwnie przyjacielski w obejściu, mówca dobry i nie zawył, świetny znawca wszelkich niemal Europy języków, człowiek wszechstronnie wykształcony, wpoił Czartoryski w kadetów „delikatność w obcowaniu szlachty francuskiej, punkt honoru wielki, obudził uśpioną tyłu wiekami odwagę...” (Moszczeński). Kadeci słuchali go ślepo przez przywiązanie, lecz w stosunku do oficerów cudzoziemców istniał nastrój wrogi, spotęgowany tem, że wielu z nich pochodziło z gminu i nie mogłoby udowodnić ani jednej kropli błękitnej krwi; kadeci dokuczali im i aż nadto często zdarzały się wypadki jawnej niesubordynacji. Tkwiły jeszcze w szkole przeżytkowe tradycje i zwyczaje, panoszyło się pijaństwo i pojedynkowiczostwo, niesforność i swawola, w naukach nie było widocznego postępu, ale mimo tych licznych braków, ci pierwsi kadeci wyszli na dobrych i odważnych oficerów. Zręczność ciała i zdatność w tańcu i fechtunku, francuska elegancja i łatwość wysłowienia, biegłość niektórych w matematyce, rysunku i pisanii cechowały ówczesnych kadetów pierwszej formacji.¹⁾

Mimo tych pewnych niezaprzeconych zasług korpus zawiódł jednak nadzieje i oczekiwania króla. Dyalog p. t. „Kawaler młody...”, datowany 1 sierpnia 1770 r., powiada, że „korpus nasz pierwiastkowy, ze starszych złożony, był podobny do pięknego ogrodu... lecz część największa nie udała się. Jedne z drzew nie urodziły, drugie same tylko przyniosły liście... a co najsroźsze były w nich takie... które przykrem wonieniem zarażały szczep

¹⁾ Znaczna część papierów korpusu kadetów przechowuje się w Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie ms. 1817 sq., 1850, 2291, 2597, 2807—2821. Częściowo użytkował je prof. Korzon, nie spostrzegł się jednak, że istniały dwie formacje korpusowe. Podany na str. 76—77 rozkład lekcji w korpusie odnosi się do czasów Sejmu czteroletniego. Ciekawe przyczynki do dziejów korpusu oraz charakterystykę kadetów obydwóch formacji dają: Moszczeński, Pamiętniki, (1888), 47, 56, 98 sq.; Niemcewicz, Pamiętniki czasów moich, 27—31, 33, 34, 37, 40, 49, 53, 54; Antoni Trembicki, O rewolucji r. 1794 czyli Powstaniu Kościuszkowem, rkp. w jednej z bibliotek prywatnych.

nowy, sączyły z siebie jad zaraźliwy...“ Jaśniej tłumaczy to nam Trembicki: „Ze wszech stron przybywały do korpusu dzieci obywatelskie, ale nie takie jeszcze, którychby nieskażone serce i umysł mogła nagiąć do dobrego i użytecznego światła edukacya, lecz już wyrostki złymi nałogami napojone, już w swawoli i rozpuście zepsowane, już do ludzi, do kobiet, do rozrywek, do niesubordynacyi lgnące, ale nie do nauki, do pracy, do myślenia, do posłuszeństwa zdadne.“ Więc król „rozwalił swoje dzieło, a miejsce to zasadził drzewem młodem... Starszych trzymać nie chcą... Powiadają, że król samych małych w korpusie trzymać postanowił...“ (Kawaler młody).

Korpus zreformowano w r. 1770. Przekształcono go na szkołę łącznie średnią i wyższą z ogólnie kształcącym 7-letnim kursem nauk. Straciła ona cechę wyłącznie rycerską, wychowywała dzieci szlacheckie od 8—12 roku życia na urzędy zarówno cywilne, jak i wojskowe. „Stała się tem, czem być była powinna, odpowiedziała życzeniom i celowi króla... Prawdziwa młodzież, to jest istoty jeszcze nie zepsowane, wolne od wad i przesądów, mogły w tym znamienitym instytucie przyjąć wszelkie udoskonalenia, jakie za czasem usposobiły ich w różnych zawodach służyć z zapalem i honorem ojczyźnie“ (Trembicki). Nauka stała w tym nowym korpusie na dość wysokim poziomie. Posady nauczycieli zajęły najlepsze siły naukowe współczesne, ludzie tej miary, co Józef Franciszek Łęski, znakomity astronom i matematyk, przyszły profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor doskonałego podręcznika miernictwa wojennego („Teoretyczna i praktyczny nauka żołnierskich rozmiarów, czyli miernictwo wojenne,“ 1790), oraz obszernego traktatu „O taktyce,“ składającego się z 4 części, a wydawanego podczas Insurekcyi pośpiesznie, zeszytami, z portretem Kościuszki na czele; Michał Jan Hube, wychowaniec Lipska i Getyngi, ceniony fizyk i matematyk; wreszcie jezuita, ks. Jan Wulfers, znawca historii i literatury polskiej, tłumacz Korneliusza Neposa, Liwiusza i Kurcyusza. „Tego korpusu młodzież—powiada Moszczeński—nie znała kielichów pijaństwa, przyzwyczaiła się do ochędóstwa, do subordynacyi wojskowej, a nauczywszy się języka francuskiego, przejęła się francuskim krytycyzmem. W modę weszło... czytać książki filozofów ostatniego wieku; znać ich maksymy i o nich mówić w kompaniach było zwyczajem.“ Radykalną krytykę zastosowano do wszystkiego, co tchnęło przeszłością. Zarzucono ubiory polskie. Myśl filozoficzną przekuwano do walki z tradycjami szlacheckimi. Prowadziła ona od wiary formalnej i scholastycznego dogmatyzmu do wewnętrznych do-

świadczeń i wyzwolenia jednostki. Odstąpiono od fanatyzmu, zarzucono przesady. Przeciwwstawiono bezpośrednią żądzę serca wszelkim normom obyczajowym. Łączyło się to z rozluźnieniem więzi rodzinnej, z swobodną galanterią francuską w obcowaniu z kobietami.

Kościuszko należał do pokolenia pierwszej formacji, z okresu przed reformą. Korpus prawidłowo funkcyonować począł od października 1765 r. Miecznikowicz brzeski wstąpił doń 18 grudnia tegoż roku. Kurs był wtedy roczny, na wzór odpowiednich szkół zagranicznych, chociażby francuskiej szkoły artyleryjskiej w Bapaume. Naukę wojskowości przeszedł przyszły dyktator pod okiem dorywczo zaangażowanych i to na krótkie terminy oficerów cudzoziemców; komenderowali oni w języku obcym, francuskim lub niemieckim; kancelarya, zapisy przyjęć i rejestra prowadzone były również po niemiecku. Do nielicznych wyjątków w gremium oficerskiem należał, zaangażowany zresztą nieco później, Józef Wodzicki, przyszły generał i towarzysz broni a podwładny Kościuszki, który z wojska saskiego wszedł do korpusu na brygadyera z rangą kapitana we wrześniu 1766 r. Dyrektorem nauk był Anglik Lind (czy Linoe?) ¹⁾, kapelanem ksiądz Dziewanowski, matematykę wyższą i fizykę wykładał Pfleiderer (vel Phleiderer) z Tübingi, arytmetykę i geometryę Edling, któremu sucha specyalność nie przeszkadzała pracować nad „Początkami krajopisarstwa,“ nauki moralne i ekonomię polityczną — Marcin Nikuta, łacinę — Konderski, język francuski i historię — Duclos, późniejszy tłumacz pracy biskupa Załuskiego o prawach polskich podczas bezkrólewia, język niemiecki — Jankowski z Prus polskich, literaturę i historię polską — eks-jezuita ks. Nagurczewski, literaturę francuską — Dutané, rysunki — Müller, prawdopodobnie ten sam E. Müller, który w r. 1795 wydał w Wiedniu mapę p. t. „Neueste Karte von Polen und Litauen“; tańców uczył Lilenheim, fechtunku — Martin. Były to wszystko postacie nieznanne ani w nauce, ani w późniejszym życiu polkiem. Wyjątek stanowił Marcin Nikuta, królewiecki filozof i moralista, z czasem jedna z najpopularniejszych osobistości Warszawy ²⁾; Kościuszko musiał się bliżej zapoznać z jego licznymi traktatami z dziedziny etyki. Zresztą był to rok organizacyi korpusu i kompletowania go, rok próbnych

¹⁾ Jan Lind, supremus director studiorum w korpusie kadetów, otrzymał indygenat polski na Sejmie 1768 r., Vol. leg. VII, 372.

²⁾ Nobilitowany na Sejmie 1775 r., Vol. leg. VIII, 169.

poczynać. To też niewiele zapewne skorzystał Kościuszko z wykładów; punkt ciężkości spoczywał na służbie frontowej, na praktycznym wykształceniu oficerskiem. Ale bądź co bądź słuchał geometryi i fizyki, architektury wojennej i taktyki, przyswajał sobie języki nowożytnie. Należał do najzdolniejszych adeptów szkoły: Trembicki powiada, że celował nad inną młodzież „swą aplikacją, obyczajnością i wprawą do pięknego pisania i rysunku, talentów dziś pospolitych, wówczas zupełnie nieznanych w Polsce.“ Inne źródła potwierdzają, że wyróżniał się zdolnościami i zamiłowaniem do rysunków i matematyki.¹⁾

20 grudnia 1766 r., po rocznym pobycie w korpusie, otrzymał Kościuszko od króla patent oficerski i rangę chorążego. Jednocześnie został zaangażowany w poczet oficerów korpusowych w charakterze podbrygadiera z płacą miesięczną złp. 72.²⁾ 13 grudnia 1768 r. otrzymał następny awans na wicebrygadiera z rangą kapitańską, oraz płacą 200 złp.³⁾ Bywał już wtedy na Dworze, gdyż pod tym rokiem w rachunkach brata Józefa figuruje pożyczka 6,000 złp., zaciągnięta przez Tadeusza „na potrzeby wyprawy do Dworu.“ Król lubił go i podobno często wzywał do siebie na lektora. Snać podobą mu się kawalerska fantazyja Tadeusza, jego odwaga cywilna i ta pewna żyłka awanturnicza, nieodzowna dla ludzi rewolucyjnego czynu.⁴⁾ Imponowała Stanisławowi Augustowi podniosła szlachetność Kościuszki, ale nade-

¹⁾ „Il se fit remarquer comme un des meilleurs élèves, surtout dans les sciences mathématiques et dans le dessin...“, Biographie univ. et port.

²⁾ *Ancienneté i stamlista... oficerów... korpusu* przy rewizyi 5 maja 1768. Moszczeński świadczy, że Kościuszko był w korpusie wicebrygadierem razem z jego bratem, późniejszym podkomorzym braclawskim. Prof. Korzon powiada, że była to służba koleżeńska, uczniowska. Przeczy temu rang-lista Stefana Granowskiego, późniejszego pułkownika 13 regimentu pieszego ostrogskiego, który od r. 1767 przez sześć lat pozostawał podbrygadierem w korpusie, będąc jednocześnie w wojsku forsztelowany na kapitana z kompanią, Skalkowski, J. H. Dąbrowski, 313.

³⁾ *Księga lista kadetów...*: „Den 13 X-ber 1768 zum S. B. avanz.“ Przy ustaleniu awansów Kościuszki biorę analogię z awansowania Sierakowskiego: po skończeniu korpusu „postąpił na chorążego i podbrygadiera u kadetów 2 września 1773 r., na kapitana i podbrygadiera 17. paźdź. 1775, na brygadiera i kapitana 1 czerw. 1778, na majora i brygadiera 8 września 1783, na pułkownika 19 listopada 1789,“ Skalkowski, id. 320. Płacę pobierał brygadyerską 200 złp. miesięcznie, *Regestr ekspensy...* z r. 1769.

⁴⁾ Koledzy nazywali go „Szwedem,“ upatrując w nim porywczosć, chytrosć i upór Karola XII, Korzon, Kościuszko, 85. Zdarzenie z Gozdkiem, id.

wszystko czyniły go miłym sercu jego wybitne zdolności rysunkowe, na które król-esteta był bardzo wrażliwy. Była to dziedzina bardziej przystępna umysłowości królewskiej, bliższa mu, niż wojsko i potrzeby krajowe. Miłośnik i znawca sztuki, chętny opiekun młodych talentów, ofiarowywał król Kościuszcze stypendyalny zasiłek na dalsze studia na obczyźnie. Zagrała młodzianowi wyobraźnia, stanęły żywo przed oczami wspomnienia dzieciństwa, opowiadania wuja bywalca; rozsnuły się, jak za mgłą, krainy nieznane, dalekie, skarbnice piękna, wiedzy i sztuki. A na miejscu zrażała dezorganizacja korpusu, okres nowych prób, reformy... Stanisław August dawał na kształcenie ze swej szkatuły 100 dukatów rocznie. Później będzie mu dokładał po 25 dukatów gratyfikacji. Większą pomoc obiecywał ks. Czartoryski, możny protektor Kościuszki, pogodny esteta, twórca Wołczyzna a potem Puław. Pomoc z tego źródła dosięgnie z czasem „na edukację i promocję pierwiastkową“ poważnej sumy 650 czerw. zł.¹⁾ W takich warunkach trudno było nie decydować się. Ażeby nie być całkowicie na łasce swych opiekunów i mieć pod ręką zbędny grosz na wszelki wypadek, Kościuszko zaciągnął na rachunek swej schedy po rodzicach pożyczkę złp. 7,000 „z rąk własnych brata Józefa“ i mniej więcej w połowie 1769 r. ruszył w drogę, do cudzych krajów. Jechał z gotowym planem, wprost do Francji. W Niemczech nie zatrzymał się dłużej, musiał jednak zwiedzać po drodze, co było godniejszego uwagi. Towarzyszył mu kolega korpusowy, kapitan Orłowski. Dziwnie splatały się losy tych dwóch ludzi: Po skończeniu szkoły zaliczeni obadwaj do składu oficerów korpusowych, jednych i tych samych dostępowali awansów, cieszyli się jednaką protekcją króla i ks. Adama. Obadwaj mieli duże zdolności rysunkowe i pociąg do malarstwa; zamieniwszy miecz na paletę, jechali obecnie ze wspólnym planem nad Sekwanę po laury akademickie, jako stypendyści możnych protektorów.²⁾ Z czasem porzuca obadwaj malarstwo i wróca na pier-

1) „La famille de Czartoryski, qui s'est particulièrement appliquée à former des sujets distingués, prit soin de son éducation. Il... fut envoyé, en 1769, aux frais du prince Adam Casimir Czartoryski, à l'étranger pour y terminer ses études. Le cap. Orłowski, depuis général polonais, l'accompagnait dans ce voyage. La France fut le pays où Kos. s'arrêta le plus longtemps...“, Bibl. univ. et port.

2) Prócz nich stypendystami królewskimi, kształcącymi się w tym czasie na obczyźnie, byli: Ostroróg, przyszły członek Rady Nieustającej, i Cieszkowski, zapewne Floryan Dołęga Cieszkowski, adjutant het. J. K. Branickiego,

wotnie wytkniętą drogę, by w kurzawie bitew, ramię przy ramię, ocalić, jeżeli nie wolność, to przynajmniej honor ginącej ojczyzny. Po przyjeździe do Paryża, zamieszkali wspólnie w hotelu Luksemburskim na ulicy Małych Augustynów (des Petits Augustins), na lewym brzegu Sekwany. W listopadzie 1769 r., po załatwieniu wstępnych zabiegów i formalności, byli już obadwaj słuchaczami przesławnej paryskiej Królewskiej Akademii malarstwa i rzeźby, tego Akropolu sztuki europejskiej, skąd od czasów Lebruna, Watteau, Greuza i Bouchera spływały na Europę wszystkie kierunki malarskie, smak, styl, metoda, nawet sam sposób pojmowania piękna.¹⁾

szambelan królewski, poseł liwski na Sejm czteroletni, starosta kleszczelowski.

¹⁾ „Liste alphabétique pour la demeure de mess. les élèves de l'Académie Royale de Peinture et de Sculpture, commencée le 1 octobre 1758:

Kokarski P. (= Kucharski); protégé par mr. le Directeur de l'Académie et le Roi de Pologne.

Koukaski Alexandre (=Kucharski); âgé de 24 ans; protégé par mr. Vien, peintre.

Thaddée *Kosciuzko*, p(eintre) de Varsovie, âgé de 20 ans; protégé par mr. Cochin, le pce Czartoryski et mr. le marquis de Marigny; demeure rue des Petits Augustins, à l'hôtel du Luxembourg; novembre 1769 (folio 19).

Joseph *Orlovski*, p(eintre) de Varsovie, âgé de 25 ans; prot. par mr. Cochin, par le pce Czartoryski et mr. le marquis de Marigny; demeure rue des Petits Augustins à l'hôtel du Luxembourg; novembre 1769 (folio 27).

François *Offert*, s(culpteur) de Pologne, 22 ans; prot. par mr. Bridau.

Thadée *Wroczyński*, s. de Varsovie, 19 ans; prot. par Vassé, rec. par un Prince polonais et par le marquis de Marigny.

Silvestre *Mirys*, de Pologne, 21 ans; prot. par Vien et Roi de Pologne; rue Pot de Fer, faubourg St. Germain; avril 1771, 1773 et 1775.

Ferdinand *Pinck*, p. de Varsovie, 19 ans, élève de Suvée.

Henri *Nather*, p. de Varsovie, 20 ans; prot. par Bachelier.

Jean *Zech*, p. de Varsovie, 16½ ans; élève de David.

Louis Jean François Frédéric *Zeichl*, p. de Varsovie, 19 ans; élève de David.

Alexandre Jean Constantin *Norblin*, s. de Varsovie, 20 ans.

Martin Louis *Norblin*, p. de Varsovie, 17 ans; présenté par le cit. Stouf.

Joseph *Oleschewitz* (Oleszkiewicz), p. de Wilna, 26 ans; admis par Barthélemy.

Gaspard *Borowski*, de Wilna, 23 ans; présenté par Norblin; 24 août 1808.⁴⁾

Z nich wszystkich jeden tylko Kucharski otrzymał nagrodę i to pierwszy medal za kompozycję malarską na temat „Le sacrifice de Manne, père de Samson, lorsque l'ange lui vient annoncer la naissance d'un fils.“ Drugą nagrodę otrzymał wtedy Lagrenée le jeune. (Bibl. d'Ecole des Beaux Arts, M. 33).

Akademia Paryska, założona w r. 1648 staraniem Colberta i malarza Lebruna, mieściła się początkowo w galerii królewskiego Kollegium uniwersyteckiego, potem w Palais Royalu, wreszcie za czasów Kościuszki w Luwrze. Miała ona wyłączny przywilej prowadzenia wykładów z zakresu malarstwa i rzeźby. Przywileju tego nie nadużywała: w doborze uczniów i profesorów kierowała się zasadami liberalnemi i chętnie otwierała podwoje swe dla wszystkich rzetelnych artystów. Mimo to wpływała jednak niewątpliwie na pewne arystokratyczne skostnienie, na rozwój estetyki urzędowej, sztuki dworskiej patentowanej, na zerwanie łączności z szerokiem życiem ludowem, na którego podłożu jedynie może rozwijać się szkoła istotnie oryginalna. Ale owo nieuniknione zeszczywnienie i obumieranie objawiło się dopiero później, za Ludwika XVI. Zaradziła temu rewolucya w sposób radykalny. Kościuszko trafił jeszcze na złoty wiek Akademii. Po wstępnych dobrych rządach Lenormant de Tournehema, którego opinia publiczna nazywała ojcem pani de Pompadour, nastąpiły bardziej jeszcze dobroczynne rządy brata wszechwładnej metresy Alberta Franciszka Poisson, margrabiego de Vandières, który przezwiał się od r. 1755 margrabią de Marigny, a później jeszcze margrabią de Ménars. Marigny, jako generalny dyrektor pałaców królewskich, był od r. 1755 dyrektorem Akademii i przetrwał na tem stanowisku do śmierci Ludwika XV. Przygotował się on do swej roli odpowiedzialnej w długiej podróży kształcącej po Włoszech pod kierunkiem artystycznym Soufflota, Cochina i opata Leblanca. Wróciwszy i objąwszy ster władzy, nie nadużywał jej, przekazując na Cochina faktyczne bezpośrednie kierownictwo, opiekował się jednak Akademią i na każdym kroku znać było jego rękę rozumną i zapobiegliwą. Pobudzał myśl głębszą, porywy górniejsze, przypominał, że celem sztuki jest prawda. Uczniowie Akademii rysowali z natury, mieli pod dostatkiem modeli; staraniem margrabiego od r. 1750 utworzono dla nich w określone dni i godziny przystęp do zbiorów obrazów królewskich w Luwrze i w pałacu Luksemburskim. W r. 1764 Marigny polecił Cochinowi, po porozumieniu się z Dandré-Bardnem, wybrać do kompozycyi malarzskich odpowiednie tematy historyczne. Przejrzano Swetoniusza i Józefa Flawiusza „w poszukiwaniu czynów szlachetnych, tchnących umiłowaniem ludzkości, któreby łączyły w sobie powagę prawdy historycznej z imponującą wspaniałodusznością, cenną dla filozofów.“ Ostatecznie wybrano panowanie Augusta, Trajana, Tytusa i Marka Aureliusza. Jednocześnie Marigny wzbogacił Luwr

obrazami historycznymi, oraz posągami wielkich ludzi, wykonywanymi na specjalne zamówienia.¹⁾

Dzielnie sekundował Marigny'emu Karol Mikołaj Cochin syn, znakomity rysownik, grawer i akwafortysta, niezrównany ilustrator „Orlanda Szalonego“ i „Jerozolimy Wyzwolonej,“ malarz (w akwafortcie) portów Francyi, a przede wszystkim twórca owych niezliczonych miniatur medalionowych, istnej galeryi ładnych kobiet i wybitnych mężów XVIII w. Wykształcony, inteligentny, nader miły w towarzystwie i zręczny w życiu, ulubieńcem był dworu i paryskiego *beau monde'u*. Wywierając wpływ decydujący na Marigny'ego, mianowany stałym sekretarzem Akademii, kierował nią bezpośrednio do zgonu Ludwika XV.²⁾ Na tle występków panowania i epoki, na tle braku mocnych głów i tęgich charakterów, tem wyraziściej zarysowuje się praca celowa i rozumna tych dwóch zgranych ze sobą światłych kierowników. Był zwyczaj w Akademii, że wstępujących adeptów musiał ktoś możny polecać i nazwiska protektorów wpisywane były do rejestrów. Stanisław August nie cieszył się względami dworu francuskiego. Nie podobna mu było narzucać się na protektora w dobie konfederacyi barskiej i jawnej pomocy Choiseula barzonom. Kościuszkę polecał ks. Czartoryski, snać jednak nazwisko cudzoziemca nie wystarczało, bo obok księcia figurują *pro forma* w zapisach, jako protektorzy Kościuszki i Orłowskiego, obadwaj wszechwładni kierownicy Akademii—margrabia de Marigny i malarz Cochin. Dziwnym zbiegiem okoliczności, kaprysem losu, przyszłego niezłomnego republikanina wiązały delikatne nici stosunków, zobowiązań i wdzięczności z dworem pani Pompadour i ancien régime'm. Kształcił się więc Kościuszko na wydziale malarskim przodującej wówczas Akademii Paryskiej. Otaczała go plejada głośnych nazwisk, znakomych talentów: Van Loo, Coypel, Vien, David, portreciści: Louis Tocqué i Aleksander Roslin, pierwsi promotorzy kierunku naturalistycznego w pejzażu—Lautar, Vernet, Robert.

Na pytanie, jak długo trwało to błędzenie po manowcach czystej sztuki, nie możemy jeszcze dziś odpowiedzieć, w każdym

¹⁾ Nekrolog Marigny'ego pióra Cochina w *Journal de Paris*, 1781; A. Michel et Lavoix w *Hist. Gén. de Rambaud et Lavisce*, t. VII.

²⁾ G. i J. Goncourt, *L'art du XVIII siècle*; bar. R. Portalis, *Les dessinateurs d'illustrations au XVIII siècle*; R. Portalis et H. Beraldi, *Les graveurs du XVIII siècle*.

razie jednak musiał Kościuszko bawić w Akademii czas dłuższy, gdyż po latach dwudziestu paru, gdy Insurekcyja roznieście szeroko po Europie imię jego, wielu malarzy będzie mile wspominać swe koleżeństwo z Najwyższym Naczelnikiem, wypytywać się o niego, żywo interesować każdym jego posunięciem na szachownicy dziejowej.¹⁾

Wcześniej czy później, najmniej jednak po rocznym kursowym okresie, po dłuższej lub krótszej wewnętrznej walce przełomowej, Kościuszko porzucił Akademię. Momentem decydującym było zapewne rozczarowanie we własnym talencie malarskim, smutne wieści z Polski, naprowadzające na przykre refleksye, wreszcie dominujący w Akademii kult bohaterstwa, który działał ożywczo i podniecająco. Powrócił więc na właściwą sobie drogę, ale i tu chwiał się jeszcze, nie mogąc na razie zdecydować się, czy iść utorowanymi szlakami wojskowości, czy też kształcić się w naukach państwowych na męża stanu i polityka. Płatała mu figle prawdziwa polska natura: żadna światła wiedzy i wszechstronnie ciekawa, ale dyletancka par excellence, mało skłonna do wyłączności i specjalizacji. To też szedł w obydwóch kierunkach, czerpiąc zewsząd, co się dało i gdzie się dało, sposobiąc się coraz bardziej świadomie na ofiarnego sługę sprawy publicznej. Po powrocie do kraju objaśni to zwięźle i treściwie w paru słowach: „Sposobiłem się przez lat pięć bycia mego w cudzych krajach wydoskonalić się, co do rządu trwałego z uszczęśliwieniem wszystkich należy, w ekonomice i w stanie żołnierskim... usilnie się starałem tego nauczyć, ile że i wrodzoną pasyę do tych rzeczy miałem.“²⁾

Mógł Kościuszko wstąpić do armii francuskiej, jak to uczyniło wielu Polaków przed nim i po nim (Zajączek, Mieszkowski, Miączyński, Andrzej i Stanisław Mokronowscy, Michał Zabiełło), ale stosunki w wojsku francuskim nie były tego rodzaju, ażeby mogły zachęcać cudzoziemców, spragnionych wiedzy wojennej, do wstępowania pod sztandary Ludwika XV. Jedyłą szkołą, która wówczas była uważaną za najwyższy wyraz wojenny, była szkoła armii

¹⁾ „Après avoir achevé ses études à l'école des cadets de Varsovie, Kościuszko vint perfectionner son éducation à Paris. Il s'y adonna particulièrement à l'étude des mathématiques et du dessin. Plusieurs artistes français qui ont été ses camarades d'école, se rappellent leurs liaisons avec lui et en parlent avec intérêt...“ Parandier, Tableau général de la Pologne, (Arch. des aff. étr.).

²⁾ Kościuszko (do Jerzego Wandalina Mniszcha), Dukla, 19 paźdz. 1775 r.

pruskiej, ale ta odpychać musiała duszę Kościuszki przedewszystkiem świeżo dokonaną akcją podziałową oraz całym kierującym nią duchem fryderykowym. Armia zaś francuska po klęskach wojennych w latach 1757—1760 upadła na najniższy stopień marazmu i deprawacyi. Wybór generałów zależnym się stał od buduarowych intryg wersalskich; oficerowie kupowali szarżę, a wynosiło ich urodzenie, koligacye i protekcyja. Rozpusta i gry hazardowne, dziecinna rywalizacyja fałszywych ambicyi, bezdenne nieuctwo, czelna zuchwałość i rozluźnienie dyscypliny przeniesione zostały z dworu do armii. Miała wtedy Francya generałów salonowych—miłych dworaków, ale skończonych nieuków. Kaprys kobiecy ich wynosił, kaprys ich zrzucał, kaprys dawał im najwyższe komendy. Mianowani w nagrodę za dworskie sukcesy, wodzowie francuscy nie wiedzieli co to jest obóz, armia, manewry; mniejsze jeszcze pojęcie mieli o geografii i taktyce. Oficerów nabierano, nie pytając ich o dyplomy. Prowadzili oni ze sobą na wojnę po 60 koni, rywalizowali zbytkiem i rozrzutnością. Zato żołnierze trzymani byli w głodzie i w nędzy. Na wojnie żywili się chlebem z otrębów, do spania mieli jeden tapczan na czterech, okrywali się łachmanami. Żelazna dyscyplina ciężyla nad nieszczęśliwcami, których głód zmuszał do występków: za najłżejsze przekroczenie karani byli piętnowaniem, galerami i śmiercią. Po zawarciu traktatu akwizgrańskiego 30,000 żołnierzy było rozstrzelanych lub zesłanych do galer.¹⁾ Tak mszczono się na niewinnych za błędy generałów i dyplomatów. Nie miał tu z czego brać przykładu nasz przyszły wódz, bodaj, że gorsze znalazłby wzory, niż pod własną walącą się strzechą.

Prof. T. Korzon postawił hipotezę, która przyjęła się u nas za pewnik, że Tadeusz Kościuszko kończył wyższą szkołę wojskową we Francyi; wyraził przytem przypuszczenie, że szkołą tą była paryska École Militaire lub, co najprawdopodobniejsze, szkoła inżynierów wojskowych w Mézières.²⁾ Hypoteza ta żadną miarą utrzymać się nie da.

Paryska École Militaire powstała w r. 1751, założona przez d'Argensona, w myśl pani Pompadour. Mieściła się ona prowizorycznie w zamku Vincennes, później zaś w nowym obszernym gmachu na równinie Grenelles. Przyjmowano do niej dzieci pomiędzy 8 a 13 rokiem życia, francuskich poddanych, szlachciców

1) M. H. Vast w Histoire générale... Rambaud i Lavisser'a.

2) Korzon, Kościuszko, 90; dopełnienia, IX.

od 4 pokoleń lub synów kawalerów św. Ludwika. Nie wymagano żadnych kwalifikacji naukowych, prócz umiejętności czytania i pisania, stąd wychowawcy szkoły wprost nie zdolni byli do przesłuchania z pożytkiem programowego kursu nauk. Zrozumiał to Choiseul i w r. 1762 założył dodatkową szkołę przygotowawczą w La Flèche dla dzieci zupełnie drobnych. Odtąd obie te szkoły, z których każda miała etat na 300 uczniów, nosiły łącznie nazwę Écoles Royales Militaires i stanowiły zwartą całość. Był to średni zakład naukowy, odpowiadający warszawskiemu korpusowi kadetów drugiej formacji, znacznie tylko gorszy od niego, z krótszym kursem nauk i mniejszym programem. Po skończeniu szkoły, uczniowie, o ile przekraczali 16 rok życia, umieszczani byli w piechocie i kawalerii. Najzdolniejsi z wychowañców stawali z wyboru szkoły do wstępnego egzaminu konkursowego w szkole inżynierów wojskowych w Mézières lub szkole artyleryjskiej w La Fère. Na żadnej może szkole francuskiej nie odbiła się tak wyraźnie korupcja ancien régime, jak właśnie na Écoles Militaires. Wychowywano tam w wielkich zbytkach i wygodach, na kompletnem utrzymaniu rządowem, różnych protegowanych paniczków, synków wyższych wojskowych i urzędniczej nadwornej kamaryli. Wpłynęła ona na zniewieścienie armii francuskiej i spotykała się często z surową a zasadną krytyką sfer fachowych. Dla Kościuszki w żadnym razie nie było w niej miejsca. Przejrzałem papiery tej szkoły w *Archives Nationales*, ani w protokołach jednak, ani w spisach jej uczniów, nie spotkałem się nigdzie z nazwiskiem Tadeusza.¹⁾

W czasie, kiedy Kościuszko przybył do Paryża, nie było jeszcze we Francji specjalnych szkół dla oficerów piechoty i kawalerii—edukację odbywano praktycznie, w polu, na ćwiczeniach i mustrach, a głównym tytułem do uzyskania stopni wojskowych było urodzenie, stosunki, protekcya. Jedynie inżyniera forteczna i polowa, oraz artylerya dawały pole do specjalnych wyższych studyów. To też tego tylko rodzaju dwie jedyne wyższe szkoły znajdujemy w tym czasie we Francji. Były to szkoły: inżynierów wojskowych (du Génie) w Mézières, założona w r. 1748, i artyleryjska w La Fère, przeniesiona w r. 1765 do Bapaume. Do Mézières przyjmowano wyłącznie poddanych francuskich, szlach-

¹⁾ Arch. Nat., M 254, 255, MM 659, 662, 668, 669, 680. Według wiadomości otrzymanej od prof. Askenazego Władysław Jabłonowski, znany ze swej śmierci na San Domingo, studyował jako cadet-gentilhomme w paryskiej Szkole wojskowej, gdzie kolegował z młodym Napoleonem i skąd wyszedł w r. 1785.

ciców lub synów wyższych wojskowych, po zdaniu wstępnego konkursowego egzaminu. Podania wnosić należało we wrześniu na imię sekretarza stanu. Egzamin trwał od 1 listopada do 15 grudnia. Obejmował on arytmetykę, algebrę, geometryę, mechanikę i hydrodynamikę, odręczny rysunek pejzażowy i ornamentowy piórkiem i ołówkiem. Rok szkolny rozpoczynał się 1 stycznia. Wychowawcy szkoły mieli rangę podporucznika (*sous-lieutenant*). Kurs był dwuletni—rok teorii i rok praktyki. Adepoci szkoły, po przesłuchaniu kursu, szli na służbę do robót fortecznych i polowych, a po dwóch latach wracali do szkoły, zdawali egzamina i zależnie od wyników otrzymywali wyższy lub niższy stopień wojskowy. Szkoła w Mézières cieszyła się wielką powagą i szerokim rozgłosem, a wśród grona nauczycielskiego liczyła uczonych tej miary, co Perronet, Bossut, Mollet, Monge. Wypuszczała rocznie dziesiątek uczniów w wieku od lat 18 do 27. Przy tak ograniczonym komplecie była ona przedmiotem marzeń i zabiegów wszystkich matek i ojców, żądnych kariery dla swych synów. Trudnoby było dostać się do niej skromnemu szlachetce siechnowickiemu, protegowanemu króla i ks. Adama. Wszak król był w niełasce u dworu, a ks. Adam postponowany przez ministerjum francuskie, które go tytułowało w listach popolicem „monsieur,” gdy innych pośledniejszych od niego magnatów polskich zaszczycało wspaniałem „monseigneur,” był nawet w tych czasach chwilowo aresztowanym i przetrzymanym godzin kilka w kordegardzie paryskiej z tytułu prywatnej, pieniackiej a zupełnie nieuzasadnionej pretensyi Mostowskiego, wojewody mazowieckiego; dopiero za natychmiastowem poręczeniem bankiera wypuszczono go z pod klucza.¹⁾ Miał ks. Adam stosunki w świecie nauki i sztuki, nie miał żadnych kredytów u rządu lub w wyższych sferach wojskowych.

Kompletne papiery szkoły w Mézières przechowuje paryskie Archiwum ministerjum wojny. Szanowny nestor kolonii polskiej w Paryżu, Władysław Mickiewicz, któremu niniejszem składam serdeczne podziękowanie za poniesione dla mnie trudy, przejrzał te papiery i na liście uczniów ani Kościuszki, ani wogóle żadnego cudzoziemca nie znalazł.

Artylerya francuska stała nieźle. Ale dopiero późniejszym zabiegom Gribeauvala zawdzięcza wyższość swą w końcu wieku. Oficerowie artyleryi wychodzili wyłącznie ze szkoły artyleryjskiej w Bapaume. Warunki przyjęcia do tej szkoły były identyczne

¹⁾ Arch. Czart., 672; Arch. des Aff. Étr., Corr. Polit., Pologne 306, 307.

z warunkami przyjęcia do Mézières. Wstępowano do niej po zdaniu konkursowego egzaminu z arytmetyki, geometryi, trygonometryi, mechaniki statycznej i stosowanej. W r. 1768 liczyła ona 80 wychowalców. W lutym 1769 poprzedni kurs roczny przekształcono na dwuletni. W 1772 szkoła w Bapaume została zwinietą. Ster państwa objął po hr. Choiseulu margrabia de Monteynard, reakcyonista starej daty, co spowodowało kompletną ruinę wojskowości i oświaty militarnej we Francyi. Ordonans z dn. 23 sierpnia 1772 r. zamykał większość szkół wojskowych, powrócono do organizacyi z przed 40 lat, w zakresie zaś teoryi do przepisów z r. 1720. Taki fatalny stan ostatecznego rozkładu trwał do 30 paźdz. 1774, kiedy na czele ministeryum wojny stanął hr. Dumuy, który częściowo wznowił dawniejszą organizacyę szkolnictwa wojskowego.¹⁾

Szkoła w Bapaume była ustawowo niedostępną dla Kościuszki, jako dla obcokrajowca, zresztą nie miał on już czasu na przesłuchanie w niej dwuletniego kursu. Rok 1770 przebył w Akademii na wydziale malarskim, w połowie zaś 1772 szkoła artyleryjska w Bapaume została zamkniętą. Pozatem mamy sporo decydujących wskazań pośrednich, świadczących niezbicie, że Kościuszko nie mógł ani służyć w wojsku francuskim, ani też słuchać wykładów w francuskiej wyższej szkole wojskowej. Gdy w r. 1775 zabiegał przed Mniszchem o protekcyę, chcąc dostać się do służby saskiej, gdy udowadniał mu swą odpowiedniość i powoływał się na pięcioletnie gorliwe studia na obczyźnie nad „ekonomiką“ i wojskowością, czyżby mógł przemilczeć o atutach swych najważniejszych, takich jak świadectwa szkolne lub stan służby w armii francuskiej, gdyby je tylko miał za sobą. A w dwadzieścia lat potem Parandier, kreśląc niejednokrotnie życiorys Ko-

¹⁾ Esquisse historique sur les écoles d'artillerie, pour servir à l'histoire de l'École d'application de l'artillerie et du génie, par M. Théodore Le Puillon de Boblaye, commandant à l'École d'application... Metz, Rousseau-Pallez, 1858, 8°, Bibl. Nat. Lf³¹¹ nr. 13, najobszerniejsza i najlepsza dotąd historia szkół artyleryjskich i inżyniersko-wojskowych we Francyi XVIII w.; Mémoire instructif sur les demandes d'admission à l'École du corps royal du génie, septembre 1777, Bibl. Nat. Lf^{53/2}; Bureaux de Pusy, Considérations sur le corps royal du génie, présentées au comité militaire par un membre de ce comité, imprimées par ordre de l'Assemblée nationale (10 mai 1790), Paris, Impr. Nat. 1790, 8°, Bibl. Nat. Le^{39/640}; Bureaux de Pusy, Mémoires concernant le corps royal du génie. Druki ulotne wyszczególnione w katalogu w dziale *Législation* (pour réglemens et instructions relatifs aux écoles militaires).

ściuszki w licznych swych memoriałach do rządu francuskiego z r. 1793 i 1794, wyliczając wszystkie jego zasługi i zalety, starając się wzbudzić u Komitetu Ocalenia Publicznego zaufanie do Naczelnika powstania, czyżby mógł pominąć francuskie wykształcenie wojskowe Kościuszki, nie powołać się na świadectwa jego szkolne, na sąd o nim kolegów, towarzyszków broni, słowem na to wszystko, co u Komitetu miałoby walor najbardziej przekonujący? A przecież wzmiankował o jego przelotnych aspiracjach artystycznych, o tem, jak mile wspominają go koledzy malarze. Informatorem Parandiera był sam Kościuszko oraz jego najbliżsi towarzysze i przyjaciele, naprzód emigranci lipscy, potem paryscy z Barssem i Larochem; niektóre z memoriałów były przez nich wspólnie opracowywane, nie można więc ich braku kłaść na karb nieświadomości agenta francuskiego. To samo przemilczenie widzimy we wszystkich notatkach o Kościuszcze jego przyjaciół i towarzyszków broni, uczniów i apologetów, ludzi zbyt dobrze poinformowanych, ażeby mógł dla nich pozostać nieznanym jeden z najważniejszych dla sprawy publicznej szczegółów jego życia. Można by wystawić jako dowód przeciwny wielką łatwość uzyskania przez Kościuszkę rangi pułkownika-inżyniera w służbie amerykańskiej, łatwość, którą na pozór wytłómaczyć można li tylko złożeniem przezeń świadectw wyższej szkoły inżynierskiej. Nie zapominajmy jednak, że był to wiek XVIII, że armia Stanów była w początkach wojny o niepodległość milicją jeno obywatelską, bezładną ruchawką powstańczą; że każdy oficer europejski, mający pewną przeszłość za sobą, był tam jednostką nader pożądaną; że wreszcie ukończonych inżynierów wojskowych nie starczyło nawet na armię francuską, mimo że Francya była w nich najbardziej zasobną, i część etatów inżynierskich była tam obsadzana przez samouków-praktyków. Takich praktyków i samouków naliczyćby można sporo w ówczesnych armiach europejskich, a i w Polsce na czele korpusu inżynierów stał taki Sierakowski, który żadnej szkoły specjalnej zagranicą nie kończył, miał jeno za sobą sześć lat frontowej służby saskiej.

Radził sobie tedy Kościuszko jak mógł, zdobywał wiedzę doradczo, z trudem i przeszkodami, obserwując i badając, co mu traf i własna intuicja podsunęły. Tak przynajmniej postępowali inni stypendyści polscy, kształcący się na obczyźnie, o jakiejkolwiek systematyczności nie mogło być mowy — brakowało do tego niezbędnych warunków. Niejakie pojęcie o życiu Kościuszki zagranicą powziąć możemy przez analogię z listu Feliksa Radwańskiego

go,¹⁾ również stypendysty polskiego, kształcącego się we Francji na inżyniera wojskowego. List pisany z Paryża 18 sierpnia 1784 do Hugona Kołłątaja. Zawiadamia w nim Radwański, że przesiłuchał dwa kursa mechaniki i po jednym fizyki i chemii, nie dodaje jednak, czy były to jakieś publiczne kursa szkolne, czy też kółkowe komplety, czy wreszcie lekcye prywatne. Dalej wzmiankuje, że pomaga mu wiele ten sam profesor, który zaszczyca swą grzecznością Sniadeckiego. „Jestem zaleconym, pisze Radwański, jednemu inżynierowi, który w Mézières au corps du Génie lat 14 dawał lekcye, posiada bardzo dobrze architekturę francuską i bardzo pięknie rysuje. Rzadko komu zdarzy się widzieć, chyba za pozwoleniem ministra wojny, skład modelów wszystkich fortec francuskich, niektórych cudzoziemskich; ja zabrałem znajomość z synem dozorczy tych modelów, widziałem je i widzieć będę, ile razy mi się podobać będzie. Nieskończenie mi to ułatwi inżynieryą (sic!). Przyszły więc rok tej nauce i artylerji poświęcę...” Dalej donosi Radwański, że był kilkakrotnie u marszałka litewskiego podczas jego pobytu w Paryżu. Marszałek obiecał mówić w komisji o powiększeniu pensyi Radwańskiego, przynajmniej o zrównaniu go w roku następnym z innymi stypendystami. Obecnie Radwański pragnie jechać do Holandyi dla zwiedzenia tamtejszych fabryk i mostów. List kończy się najświeższymi wiadomościami z Paryża — o agonii Prymasa, o balonach, o seansach magnetycznych Mesmera.²⁾

Praca nad sobą, bez wskazówek postronnych, jest rzeczą trudną, szczególnie w dziedzinie matematyki, mechaniki, budowy dróg i mostów, fortyfikacji... Chodził więc zapewne Kościuszko na wykłady publiczne, wygłaszane przez wybitniejszych uczonych, jak to praktykowali później pod jego okiem wybitni legioniści w Paryżu — Kniaziewicz, Fiszer, Drzewiecki, Orchowski i inni. Pomiędzy lektorami musieli się znajdować i profesorowie paryskich Écoles Militaires.³⁾ Uczył się przedmiotów, które obo-

¹⁾ Feliks Radwański, później zasłużony profesor mechaniki w uniwersytecie krakowskim (ur. 1756 † 1826), sportretowany w freskach, ozdabiających dziedziniec Biblioteki Jagiellońskiej.

²⁾ Moskiewskie Archiwum Min. Sprawiedliwości, Metryka Litewska IX, 78 f. 358.

³⁾ Rychlicki wie, że Kościuszko uczył się architektury u sławnego Perroneta. Możliwe, że podanie to odpowiada wypadkowo rzeczywistości, z tą tylko naturalnie małą poprawką, że Perronet nie był architektem, tylko inżynierem od budowy kanałów, dróg i mostów; dodać jednak należy, że Rychlic-

wiązywały na wstępnych egzaminach konkursowych w Mézières i w Bapaume, a potem przechodził kursy tych szkół, w miarę istnienia odpowiednich podręczników lub specjalnych traktatów. Wyliczę książki te, gdyż stanowiły one niewątpliwie główne źródło wiedzy Kościuszki, podstawę dalszych studyów i nie wychodziły z jego rąk w ciągu długich lat przygotowawczej pracy we Francji: Camus, „Cours de mathématiques,” 4 tomy; l'abbé Bossut, kurs matematyki, obowiązujący w Bapaume; tegoż „Le traité d'hydrodynamique à l'usage du Génie,” 2 tomy; tegoż „Recherches sur la construction la plus avantageuse des digues”; Bézout, „Cours de mathématiques à l'usage de la marine et de l'artillerie,” 2 t.; tegoż „Algebra”; „Tables de Sinus”; Le François, „La méthode géographique”; Kalio, „Les éléments de tactique.” Wszystkie te podręczniki były ogromnie drogie; dość powiedzieć, że w Écoles Militaires dawano je pojedynczo w nagrodę kończącym szkołę najzdolniejszym uczniom, dawano na równi z parusetfrankowymi zasiłkami pieniężnymi.

Kościuszko pisał potem o sobie, że prócz wojskowości zajmował się gorliwie „ekonomiką.” Ten jeden wyraz dowodzi, że podlegał wpływom fizyokratów i nie obcem mu było podstawowe dzieło Turgota „Reflexion sur la formation et la distribution des richesses” (1768). Przed Turgotem bowiem ekonomia polityczna nie była uważana za oddzielną dyscyplinę, lecz włączana bądź do nauki prawa, bądź też do filozofii moralnej. Turgot pierwszy wyodrębnił „ekonomikę” z dziedziny prawa, czego nie czynili inni fizyokraci. Poza Turgotem bliższy wpływ na Kościuszkę musiał wywierać Dupont de Nemours, dzielny propagator zasad fizyokratyzmu; główna działalność Duponta przypadła właśnie na okres bytności Kościuszki w Paryżu: w r. 1767 — 8 wyszło podstawowe dzieło Duponta „La Physiocratie ou Constitution naturelle du gouvernement le plus avantageux au genie humain,” a w czasie od 1767 do maja 1772 wydawany był przezeń miesięcznik „Ephémérides du citoyen,” czytany wówczas przez całą Francję inteligentną. Dupont utrzymywał stosunki z Polakami, wkrótce potem przeniósł się nawet do Polski na stałe, wezwany przez Komisję Edukacyjną na instruktora szkolnictwa oraz przez ks. Adama Czartoryskiego na nauczyciela literatury do jego dzieci. Dupont przybył do Polski około r. 1776, w tym bowiem roku za-

ki zaczerpnął wiadomość tę od wcześniejszego Julliena, który jednak nie o lekeyach wspominał, a tylko o „zawarcie bliższej znajomości.”

wieścił wznowione wydawnictwo „Ephémérides,” w następnym zaś Niemcewicz widział go już na dworze ks. Adama w Wołczynie. Wielce prawdopodobne, że Kościuszko służył za pośrednika przy nawiązaniu stosunków magnata polskiego ze słynnym francuskim ekonomistą. Wyznawców czystego fizyokratyzmu, poza Strojnowskim i Chreptowiczem, nie było u nas zbyt wielu, nie należał do nich zapewne i Kościuszko, ale bądź co bądź duży wpływ musiała na niego wyrzucić doktryna, której wyznawcy umieszczali na czele swego alkoranu, dzieła Quesnaya, dewizę: „Pauvres paysans — pauvre royaume; pauvre royaume — pauvre roi,” oraz twierdzili, że cały ciężar nierównomiernego rozkładu podatków spada wyłącznie na drobnych rolników, tę najprodukcyjniejszą warstwę narodu.

Poza tem trudno jest orzec coś ścisłego o wpływie francuskich ekonomistów lub też filozofów-encyklopedystów na umysłowość Kościuszki. Słów skąpił, dzieł politycznych po sobie nie pozostawił, w listach rzadko poruszał tematy zasadnicze. Główna zaś spuścizna po nim—uniwersały Insurekcji 1794 r. były pisane przeważnie przez Kołłątaja przy pomocy emigrantów lipskich, sekretarzy przybocznych Naczelnika, wreszcie członków Rady Najwyższej Narodowej, a odbił się na nich nietylko wpływ bezpośredni doktryn XVIII stulecia, ale również wpływy amerykańskie oraz Rewolucji Francuskiej, gdzie ta sama treść filozoficzno-ekonomiczna przejechała się już w zastosowaniu do życia praktycznego przez umysłowość amerykańskich i francuskich prawodawców i polityków.

W korespondencji dyplomatycznej z tej doby, w listach lub papierach polskich, czy też o Polsce traktujących, przechowywanych w paryskim Archiwum Ministerjum Spraw Zagranicznych (dział „Correspondance politique“ z lat 1769—1775)¹⁾, nigdzie nie

¹⁾ Relacye francuskich agentów dyplomatycznych i wojskowych w Polsce (Jakubowski, Gérard, Du Boulloir, Durand, de Murinais, Dumouriez, Vioménil, Choisy etc.), listy i papiery wybitniejszych przedstawicieli rządu francuskiego w sprawach Rzplitej (Choiseul, de Vergennes, d'Aiguillon, de La Vrillière, Broglie, Gérard, Beaujon etc.), korespondencya Stanisława Augusta z gen. Monet, d'Aiguillonem i Ludwikiem XV, oraz prymasa Podoskiego z ministerjum, korespondencya konfederatów barskich, oraz pojedynczych magnatów polskich z rządem francuskim (listy Wielhorskiego, Wessla, Paca, Krasieńskiego, Ogińskiego, Chomińskiego, Gomolińskiego, Branickiego, Mostowskiego, Czartoryskiego, Mokronowskiego, Raczyńskiego, Sanguszki, Sapiehów, ks. Karola Radziwiła, Jabłonowskiego, księżny kurlandzkiej, królewicza Karola

znalazłem najmniejszej wzmianki o Kościuszcze lub Orłowskim. Wnioskować stąd można, że bawili obadwaj całkiem prywatnie, bez żadnych urzędowych poleceń i wstawień.

Ogółem przebył Kościuszko zagranicą lat pięć. Przeważnie we Francji, ale nie wyłącznie. Zawadzał i o inne kraje, jak zgodnie świadczą niezależne od siebie źródła, nie dając atoli bliższych wskazówek. Bawił podobno we Włoszech, zwiedził Szwajcaryę, gościł w Niemczech. Tak przynajmniej powiada Encyklopedia Orgelbranda mniejsza (piórem zapewne Bartoszewicza), oraz J. I. Kraszewski w swojej „Polsce w czasie trzech rozbiorów“ (1903, III, 172). Prof. Korzon zaprzecza pobytu Kościuszki w krajach niemieckich, powołując się na to, że on „po niemiecku nie mówił i nie rozumiał nawet w 1794.“ Zdanie to jednak stoi w sprzeczności z innym, na poprzedniej stronie wygłoszonym, które stwierdza, że „Tadeusz w maju 1768 będzie atestowany, jako umiejący oba języki: francuski i niemiecki.“¹⁾ Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że język niemiecki nie był obcym Kościuszcze: uczył się go u pijarów i w korpusie, gdzie obowiązywała niemiecka komenda, a i cała biurowość prowadzoną była w tym języku. Zapewne, lingwistą Kościuszko nigdy nie był, po francusku wysławiał się nieszczególnie, a jego polskie listy w żadnym razie nie mogą uchodzić za wzory stylu. Wybicki, Barss i Drzewiecki zgodnie świadczą o jego trudnej i zawiętej wymowie,²⁾ a Parandier, broniąc go przed ujemnem wrażeniem, jakie wywarł na członków rządu francuskiego podczas swojej misji dyplomatycznej w Paryżu w r. 1793, taką w rok potem daje charakterystykę Kościuszki Komitetowi Ocalenia Publicznego: „Powierzchnowości skromnej, nieśmiały, tak niewidoczny jest na pierwszy rzut oka, że wprost trudno go zauważyć, jeżeli go ktoś nie wskaże; o umysłowości jasnej i żywej, wypowiada jednak myśli swe w sposób inglisty i zawily, szczególnie, gdy nie zna bliżej rozmówcy swego. Być może, że jego wrażliwość oraz właściwe mu nawyknienie do myślenia w różnych językach są przyczyną tej trudności w wysławianiu się.“³⁾ Prof. Korzon odnosi

saskiego etc.), Arch. du Min. des aff. étr. Correspondance politique, Pologne Vol. 293—307.

¹⁾ Korzon, Kościuszko, 74, 90. Dopelnienia, VIII, IX.

²⁾ Odpowiednie listy w posiadaniu prof. Askenazego.

³⁾ Parandier, Tableau général de la Pologne (Arch. des Aff. Étr.): „Sa constitution est frôle, sa physionomie est douce, mais sérieuse. Son extérieur est modeste, presque timide et pour l'apercevoir, il faut le montrer; d'une conception facile et prompte, il rend ses idées d'une manière difficile

do r. 1794 brak biegłości Kościuszki w języku niemieckim. A przecież cały poprzedni rok spędził Kościuszko w Lipsku i Dreźnie. Tak samo mógł spędzić dawniej jeszcze czas pewien na studiach w ojczyźnie Leibniza, Chrystyana Wolffa i Fryderyka Wielkiego. Zresztą i dziś jeszcze iluż Polaków doktoryzuje się zagranicą, nie posiadłszy dostatecznie języka, w którym przechodzi swe wyższe studia.

W połowie 1774 r. powrócił Kościuszko do kraju rodzinnego. 24 czerwca t. r., zapewne zaraz po przyjeździe, otrzymał „do rąk własnych“ od brata Józefa 340 złp. na rachunek schedy po rodzicach. Potrzebował pieniędzy, bo zewsząd pożyczął: 150 hollenderskich czerwonych złotych 13 stycznia 1775 r. od Piotra Estki i żony jego Anny z Kościuszków, na 8 od sta, z terminem oddania w dn. 10 czerwca 1776 r.; za pieczętarza podpisał się na tym obliżu Faustyn Kościuszko Siechnowicki¹⁾; 200 czerw. zł. 3 marca t. r. od drugiego szwagra, Karola Żółkowskiego, na termin roczny; 120 dukatów 24 czerwca 1775 r. na 8% od Zuzanny Kościuszkówny, wreszcie 60 czerw. zł. od Faustyna Kościuszki. Bawił Tadeusz Kościuszko w kraju około szesnastu miesięcy. Podpisywał się kapitanem korpusu kadetów (bez dodatku—były), potem kapitanem Rzeczypospolitej lub kapitanem gwardyi. Pierwszy podpis każe przypuszczać, że zaliczony został do składu oficerów korpusowych, czekał jednak widocznie wakansu lub etatu

et ténébreuse, surtout lorsque celui, à qui il parle, lui est peu connu. Peut être sa sensibilité et l'habitude, qu'il a de penser en plusieurs langues, sont les causes de cette difficulté de s'enoncer...“; „Kniaziewicz opowiadał o nim, że wyglądał niepokaźnie, na prostego zagrodowego szlachcica, wymowy nie miał wcale...“, Kraszewski, III, 448.

¹⁾ „Tadeusz Kościuszko kap. *mp.* Ustnie oczewisto proszony pieczętarz od W. Imé Pana Tadeusza Kościuszki, kapitana korpusu kadetów Rzeczypospolitej JKM-ci, danego WW. Imé PP. Piotrowi y Annie z Kosciuszków Estkom do tego dobrowolnego obligacyinego zapisu na summę w zlocie ważnym, obrączkowym holender. sztuk czerwonych złl. sto piędziesiąt № ° ¶ 150 z terminem oddania w roku, da Bóg. przyszłym tysiąc siedmset siedmdziesiątm szóstym, dwoma niedzielami przed Ś. Janem Krzycielem, podług nowego kalendarza, to jest dnia dziesiątego Iunij przypadającego, z prowizyą, licząc po ośm od sta, wnosząc ewikcyą na dobra Siechnowicze, w w-dztwie Brzeskim sytuowane, podług prawa podpisuję się Faustyn Kościuszko Siechnowicki. (Na stronie zewnętrznej:) Zapis odemnie Tadeusza Kościuszki kapit. dobrowolny obligacyiny, dany na sumę ¶ 150 WWMPP. Estkom, Stolnikom Smoleńskim, z prowizyą, licząc po 8 od sta. Dnia 13 Ianuarii Roku 1775.“ Rkp. Muzeum hr. Czapskich w Krakowie, z daru W. Wittyga.

i przez ten rok nie był czynnym. Inaczej nie rozjeżdżałby ciągle po swoich krewniakach. Sam pisał w liście do Mniszcha z końca 1775 r., że „teraz w Polsce chociaż chciano mnie zażyć, nie upatrywałem dla niej żadnego uszczęśliwienia.“ Końcowy frazes ukrywał istotną, jak się zdaje, przyczynę wyjazdu—tragiczny romans z Sosnowską. 13 września 1775 r. Józef Sosnowski, wojewoda smoleński i pisarz polny litewski, mianowany został hetmanem polnym litewskim po Aleksandrze Sapieże.¹⁾ W tym właśnie czasie, według prof. Korzona, we wrześniu i w początkach października, rozegrał się wielki dramat w życiu osobistem Kościuszki. Sosnowscy dawno już znali Kościuszków, jako brzesko-litewscy współpowietnicy, to też gdy dowiedzieli się, że świeżo przybyły z zagranicy oficer korpusu kadetów przebywa w pobliżu, we Włodawskiem u sióstr, sprokurować go mieli do Sosnowicy, do córek, na nauczyciela rysunków, matematyki i historyi. Po-

¹⁾ Józef Nałęcz Sosnowski, pan na Zwinogrodzie, Czerniejowie z przyl., star. ratneński, grod. smoleński i grod. brzeski, marsz. sejmu elekc. 1764, czł. Rady Nieustającej, woj. połocki, het. pol. lit. 1775—1780, prezes Dep. wojsk, kaw. obydwóch orderów († 31 grud. 1783 w Ratnie; obiedwie córki były obecne przy jego śmierci, Gaz. Warsz. 1784, nr. 5), żonaty z (ślub w Daukszach 4 czerw. 1741) Teklą Despot-Zenowiczówną, panną bogatą, córką Franciszka Despot-Zenowicza, star. śnitowskiego (w Połockiem), mar. Tryb. lit. z r. 1722, i żony jego Róży, wnuczką Janusza Despot-Zenowicza, podk. połockiego, star. śnitowskiego, posła na sejmy elekcyjne 1674 i 1697, dziedzica dóbr Horodyszca (u Żychlińskiego XVIII, 209, Tekla jest córką Janusza oczywiście błędnie. Zenowicze ród senatorski, spokrewniony z najznakomitszą magnaterią, wydali 2 wojewodów i 4 kasztelanów). Z małżeństwa tego Józef Sosnowski miał dwie córki: Ludwika († 24 grud. 1836) wyszła za ks. Józefa Lubomirskiego (ur. 1751 † w lipcu 1817 w Równem), hr. na Wiśniczu i na Jarosławiu, pana na Przeworsku, Szarogrodzie, Równem, Śmile i Aleksandryi z przyl., star. romanowskiego, dow. 5 pułku wojsk kor., gen.-por. wojsk kor., kaszt. kijowskiego 21 gr. 1790—1796, kaw. orderu św. St. 21 gr. 1776, O. B. 4 stycz. 1791 i baw. św. Huberta. Mieli czterech synów — Henryka (ur. 15 wrz. 1777 w Równem † 1850), Fryderyka (ur. 1781, według Żychl. 1786), Władysława i Karola (oba dwaj zmarli w dzieciństwie)—oraz córkę Helenę, późniejszą Stanisławową hr. Mniszkową, ur. 6 stycz. 1784. Katarzyna wyszła za hr. Józefa Wincentego Platę († 1832), star. grod. brzeskiego, pis. pol. lit., w 1774 mar. Tryb. gł. W. Ks. Lit., komandora maltańskiego, kaw. obydwóch orderów, kaszt. trockiego 1794, właśc. rozległych dóbr—na Ukrainie kluczy daszowskiego i kalnickiego, na Wołyniu klucza horyńskiego i in. Mieli syna Edwarda hr. Platę i trzy córki, m. n. Cecylię Ożarówską. Żychliński V, 122 sq.; Kossakowski II, 48, XXXVII, 152; Niesiecki VIII, 464; Pismo Zbiorowe Ohryzki I; Kal. pol. z r. 1794.

między nauczycielem a jedną z uczennic, Ludwiką, zawiązał się romans, jeden z najpiękniejszych, a zarazem najniezwyklejszych, jakie przekazała nam historia. Zgadzam się z J. Bartoszewiczem, który charakteryzuje stosunek Sosnowskiego do Kościuszki, jako stosunek magnata do służebnego szlachetki. Tak zresztą oceniają go zgodnie wszystkie pierwotne świadectwa. Nic, że Sosnowscy byli parweniuszami wśród rodów senatorskich. Wszak takim homo novus był i ojciec królewski, Stanisław, kasztelan krakowski, „którego familii dziada okazać rodowitem szlachectwem trudno było,“ jak powiada Moszczeński; dorobkiewiczem w karierze życiowej był hetman Branicki, a i wielu dygnitarzy współczesnych nie mogłoby się zbyt wstecz wykazać wysoką parentelą. Niczego również nie dowodzą dawniejsze związki małżeńskie rodu Kościuszków z Sosnowskimi, sięgające zresztą czasów tak odległych, początków XVII wieku. Wśród dworzan i panien służebnych magnaci często trzymali zubożałych krewniaków, ale stąd nie płynął żaden tytuł do bliższej konfidencji. Sosnowski był pisarzem polnym, a potem hetmanem, był zresztą człowiekiem magnackiej fortuny, a w jaki sposób potrafił ją zebrać, o to w tych czasach korupcyi i ogólnego zepsucia nikt się nie pytał. Miarę jego pozycyi towarzyskiej daje następne wyjście zamąż tejsze córki Ludwiki za ks. Józefa Lubomirskiego, przedstawiciela jednej z najpierwszych w Koronie rodzin magnackich. Była Ludwika istotnie synogarlicą dla szlachetki siechnowickiego, oficerka bez żadnego prawie majątku, którego ojciec, sejmikowy szlachcic, „służył niejednemu panu“: Sapiehom i Radziwiłłom, Flemingowi i Czar-toryskim...

Dzieje tragicznego romansu Kościuszki trudno będzie ustalić kiedykolwiek. Istnieją różne relacye, różne wersye, a wszystkie są mniej lub więcej ze sobą sprzeczne. Ograniczę się na podaniu nowego świadectwa w tej sprawie, opowieści Antoniego Trembickiego w jego pamiętniku: „O rewolucyi r. 1794 czyli Powstaniu Kościuszkowem.“ (Rkp. jednej z bibliotek prywatnych).

Trembicki, niegdyś regent w sztabie generalnym W. Ks. Litewskiego, czynny bardzo poseł inflancki na Sejmie konstytucyjnym, sekretarz i widoma głowa klubu kołłątajowskiego, światły i pracowity wydawca „Prawa obojga narodów,“ stylistą namiętny i barwny, człowiek nad miarę powszednią zdolny i ruchliwy, ale niestety drażliwy niepomierne, chorobliwie ambitny, mierzący wszystko i wszystkich miarą osobistą, przytem charakter, jak się później okazało, lichy, bez jakichkolwiek trwałych zasad, okazał pierwszy raz pewną chwiejność w przejściowej dobie panowania

Targowicy. Z tej racji w okresie Insurekcyi uważany za podejrzanego i nad miarę może poślizgnąć swoich prześladowany, w zaciekłości urazy osobistej wyrzekł się dawnych przekonań oraz dawnych towarzyszków ideowej walki i stał się odtąd ich najzjadlejszym paszkwilistą. Kalumniator Insurekcyi, żółciowy, bez czci i miary, potwarca wszystkich organizatorów Konstytucyi 3 maja oraz Powstania Kościuszkowskiego, upadł tak nisko, że wysłuchiwał ze współczuciem zwierzeń Tolla, ambasadora szwedzkiego, o jego niewysłuchanych radach, udzielanych Igelstromowi w celu zgniecenia powstania w zarodku, a potem, po Insurekcyi, kierując się osobistą urazą, nie wahał się denuncyować Kołłątaja przed władzami austriackimi. Jest coś z gadu w każdym odstępce, który choć raz w życiu lenieje i porzuca urobione dojrzałe przekonania polityczno-społeczne, szczególnie jeżeli to będzie przełom nagły i krańcowy z pobudek osobistej natury. Trembicki należał do tego gatunku ludzi, co Szaniawski, Zajączek, Rożniecki. Z każdej niemal strony jego pamiętnika wyziera fałsz i prywata, a w szkalowaniu swych osobistych przeciwników nie zatrzymuje się przed najbardziej oszczerczą kalumnią; nawet jego opisom zdarzeń dla niego obojętnych nie można zbyt ufać, bo pamiętnik swój pisał około r. 1840, w pół wieku po wypadkach, nazwiska i fakty plątał, a niektóre jego opisy, jak np. bitwy pod Dubienką lub Racławicami, nadają się chyba do działu humorystyki. Ale zupełnie pomijając go nie sposób, tembardziej, że jego wspomnienia są najobszerniejszemi i najdrobiazgowszemi ze wszystkich pamiętników o Powstaniu Kościuszkowskiem.

Po takim mocnem zastrzeżeniu przechodzę do naracyi Trembickiego o dziejach romansu Kościuszki z Sosnowską. Niemile w niej rzucają się w oczy zapleśniałe przesady szlachecczości, kult żonglera życiowego dla zdrajcy hetmana i niedołęgi króla, ale nas obchodzą fakty jedynie. W przedstawieniu ich widoczne są pewne anachronizmy, ale wogóle można tu Trembickiemu więcej ufać, gdyż samo zdarzenie było dla niego obojętnem, w opisie jego powoływał się na licznych świadków, a opowieść jego pokrywa się w znacznej mierze innemi świadectwami.

„Właśnie wtedy,—pisze Trembicki—gdy Kościuszek kształcił się w Szkole rycerskiej i nad inną młodzież celował swą aplikacją, obyczajnością i wprawą do pięknego pisania i rysunku, talentów dziś pospolitych, wówczas zupełnie nieznanymi w Polsce, komendę najwyższą w Warszawie miał Sosnowski, hetman polny litewski, przyjaciel króla, żołnierz surowy, nieprześlągany w swych zemstach, despota, tak jak wszyscy magnaci polscy,

w swym domu. Miał on przy sobie córkę jedynaczkę, Ludwikę, której starając się nadać talenta przyzwoite jej stanowi, rzucił oczy na T. Kościuszkę, swego powietnika i poniekąd krewniaka, aby pannie hetmanównie dawał naukę rysowania i pisania. Miłość i młodość nie zna różnicy stanów i wyższość z niższością stawą u nich zwykle na równi. Pokochali się nauczyciel z uczennicą, a mając wszelką sposobność poszeptów tajemnych, umówili się z sobą pobrać się sekretnie i ujechać z kraju. Lecz brak środków, obawa zapędu ambitnego, surowego i nieprześląganego ojca hetmana, ufność w dobroci powszechnie znanej Stanisława Augusta, który, zrodzony na ziemi litewskiej, szczególniejszą miał predylekcyę dla młodzieży tego narodu, i przy częstych odwiedzinach i egzaminach tego korpusu szczególniejszą względność okazywał dla Kościuszki, aplikującego się usilniej wpośród niesfornej i rozpustnej młodzieży, podało mu myśl powierzenia się w swych miłostkach i w swych zamiarach królowi. Obiera więc do tego moment pory służby, gdy był na ordynansie, prosi o audyencyę prywatną, jakoby w rzeczach największej wagi, przypuszcza się do gabinetu króla dobrego, pada mu do nóg i czyni przed nim wyznanie swojej miłości i swoich zamiarów. Zdumiały monarcha zuchwałością młodzika, który niepomny na wszystkie uwagi zamyśla uwieść córkę jedynaczkę swego wodza, a najwierniejszego przyjaciela tronu, tamuje w sobie i tłumi sprawiedliwe oburzenie i wypytuje uniesionego kochanka o wzajemności panienki, o środkach użytych do wykradzenia, o przyszłości, jaką sobie wróży. Powziąwszy dopiero wiadomość o wszystkim, podnieść mu się każe i surowym tonem króla, przyjaciela i człowieka wystawia mu całą występność przedsięwzięcia, całą haniebnosć tak niegodziwego użycia położonego w nim przez ojca-hetmana zaufania, cały nierozsądek projektu, kompromitowanie panny, bezczelność w używaniu pomocy króla, naczelnika narodu, który najpierwszy strzedz i bronić powinien bezpieczeństwa i honoru rodziny, który najpierwszy jest w obowiązku zasłaniać niewinność od zbrodniczych podstępów,—(król Staś obrońcą niewinności!)—wreszcie oczywistą i niechybną zgubę, na którą się wystawia od słusznie zagniewanego i nieprześląganego hetmana. „Wiesz W Pan moje z hetmanem związku; wdzięczny po części jemu za koronę, mniemasz, że zapomnę dla namiętnościów takiego jak ty młodzika o wzajemności, którą mu winienem. Natychmiast ostrzegłbym go o zakale, którą domowi jego gotujesz, gdyby mi nie szło o twoje życie. Znasz władzę hetmańską; władza moja królewska wyrokom jej nie przeszkodzi. Nic ci więc nie pozostaje, jak za-

pomnieć o twej szalonej miłości i bez zwłoki, w tym momencie uchodzić śpieszno zagranicę. Znam twój niedostatek, masz sto dukatów i umykaj, jeżeli chcesz życie ocalić.“ Usłuchał dobrego króla Kościuszko i zagranicę bez zwłoki ujechał.¹⁾ Dopiero aż król ujrzał go bezpiecznym, przywołuje hetmana Sosnowskiego, uwiadamia go o wszystkim i kończy się ten romans na wyprawieniu panny Sosnowskiej, dzisiejszej księżnej Lubomirskiej z Równego, wraz z jej przyjaciółką i krewną Paszkowską, blizką moją kuzyną, do zamku, gdzie w ścisłym zamknięciu przez lat blisko siedem oboje, nie wprzód otrzymały wolność, aż hetmanówna do ołtarza z Lubomirskim zaprowadzoną została...

„To wszystko — dodaje Trembicki — com tu umieścił, wiadomem było całej powszechności i mogę powiedzieć sumiennie, że mam to z ust Naruszewicza, mojej kuzyny Paszkowskiej, matki ks. Sibiockiej (?), pułkownikowej Hunson i mnóstwa osób do dworu należących, przed któremi król nieraz anegdotę tę opowiadał...“

W naracyi tej jeden zwłaszcza szczegół nasuwa poważne refleksye. Ślub Ludwiki Sosnowskiej z Józefem Lubomirskim odbył się w roku 1776; Trembicki powiada, że przed tym ślubem Ludwika trzymaną była przez ojca w ścisłym zamknięciu przez lat blisko siedem, czyli że romans Kościuszki z Sosnowską pamiętnikarz odnosi do r. 1769. Świadcstwo to znajduje potwierdzenie w całym szeregu pośrednich wskazań. Nie posiadam metryki chrztu Ludwiki Sosnowskiej, a w źródłach drukowanych nie spotkałem się nigdzie z datą jej urodzin, wydaje mi się jednak, że była ona jeżeli nie starszą od Tadeusza, to w najlepszym razie jego rówieśnicą. Ślub rodziców Ludwiki odbył się w czerwcu 1741 r. i prawdopodobnie wkrótce potem musiały przyjść na świat obiedwie córki. W r. 1770 wydane było w Warszawie w drukarni jezuickiej i umieszczone u Michała Grölla na składzie dziełko rolnicze p. t. „Sokrates wieśniak, albo opisanie życia gospodarskiego“ in 8, str. 206, tłómaczone z francuskiego przez obiedwie siostry Sosnowskie.²⁾ Za ostatnich więc lat pobytu Kościuszki w korpusie musiały to już być panny dorosłe.

¹⁾ Ta przykra scena między Kościuszką a królem, która zwichnęła w zranieniu tęskne nadzieje jego serca, musiała głęboko utkwąć w pamięci przyszłego wodza i stanowić pozaświadome tło owej nieprzewyciężonej niechęci, jaką Kościuszko żywił do króla przez cały ciąg życia swego. Niechęć ta objawiła się szczególnie w dobie Insurekcyi, choć na karb jego wysokiej etyki należy zapisać, iż nie szukał zemsty na królu za zdeptane szczęście osobiste.

²⁾ Pismo zbiorowe Ohryzki, I (1858), biografia Sosnowskiego przez Jul. Bartoszewicza; Bentkowski, II, 429; Sowiński, O uczonych Polkach, 75.

Większość świadectw z pierwszej ręki o miłości Kościuszki do Sosnowskiej wiąże ten romans Tadeusza z pobytem jego w korpusie. Doskonale się z tem kojarzy świadectwo autorki „Wspomnień przejażdżki nad Wisłą z Sosnowicy do Janowca,“¹⁾ która powiada nam, że panny Sosnowskie uczyły Kościuszkę żartami języka francuskiego: snąć władały nim biegle, gdy świeżo spolszczyły francuską książkę i właśnie zabiegały w tym czasie nad jej wydaniem, Kościuszko zaś nosił się już z zamiarem wyjazdu do Francji na studia, nic więc dziwnego, że konwersacya francuska kwitła ożywienie pod przyciesiami dworu sosnowickiego. „Nota naocznego świadka“ (rkp. w Rapperswilu)²⁾ przytacza, że po skandalicznym odkryciu istotnych zamierzeń zakochanych, Kościuszko „opatrzone pensyą od Stanisława Augusta udał się do Paryża...“ O stu dukatach, ofiarowanych mu przez króla, wspomina Trembicki, a odpowiadają one rocznej racie stypendyalnej, jaką Tadeusz pobierał ze skarbcza królewskiego. Wszystko to łącznie każe przypuszczać, że Trembicki tym razem się nie myli: dramatyczny przełom w romansie Tadeusza z Ludwiką rozegrać się musiał w r. 1769, przed wyjazdem Kościuszki do Francji, a nie w r. 1775, przed wyjazdem do Ameryki. Przypuszczam jednak, że romans ten trwał wogóle znacznie dłużej, niż dotąd o tem zazwyczaj sądzono—trwał lata a nie miesiące. Autor „Pamiętnika anegdotycznego z czasów Stanisława Augusta,“ którego naracya w wielu punktach zgadza się z opowieścią Trembickiego, powiada, że Kościuszko zawarł znajomość z Sosnowską, będąc jeszcze kadetem, na pensyi pani Schmitt, której Ludwika była wychowanką.³⁾ Miłość zakwitła w Warszawie, rozwijać się jednak musiała później w Sosnowicy, gdzie Kościuszko spędzał wczasy wakacyjne na dworze wojewody.⁴⁾

1) Gaz. Codzienna, 1858, № 206.

2) „Nieszczęśliwa miłość Kościuszki.“

3) (Cieszkowski) Pam. anegd. z czasów Stan. Aug. (1867), 113.

4) Przechowały się dwa listy Ludwiki z czasów późniejszych, z których jeden, adresowany do Kościuszki, tak się rozpoczyna: „d. 21 Mai 1789 à Sosnowice. Jettez les yeux, mon cher Ami, sur la date de cette lettre et Vous verrez que je suis dans un lieu de Souvenirs.“ Z powodu tego ustępu prof. Korzon pisze co następuje: „Dowiadujemy się z nich naprzód, że dzień 21 maja był datą „wspomnień“—albo pierwszego poznania się, albo pierwszego wyznania miłości—raczej to ostatnie, gdyż innych wspomnień wystarczyło na trzy poprzedzające tygodnie“ (str. 100). Nie jest jasnem, o jakich trzech tygodniach mówi prof. Korzon (w liście z 1789 Ludwika pisze, że bawi w Sosnowicy od trzech

Pewne dane każą przypuszczać, że tragiczny romans miał jeszcze swój epilog w r. 1775. Parandier opowiada o tym okresie życia Kościuszki, że „po powrocie do kraju ucisk obcokrajowców, anarchia rządu, bezmyślny przepych magnatów i nędza ludu wpłynęły deprymująco na jego duszę, i Kościuszko wpadł w melancholię, która napęłniła obawą jego krewnych i przyjaciół.“¹⁾ Trudno przypuścić, ażeby nieszczęścia krajowe natury politycznej i społecznej aż tak silny wpływ miały wywrzeć na psychę Kościuszki przy panującej jeszcze podówczas ogólnej apatii, przy powszechnem niemal przytępieniu wrażliwości narodowej. Mimozy, wystrzeliwujące raketami uczucia, dla objawienia się muszą mieć koniecznie pewne tło, skąd czerpałyby czynniki swej społeczno-politycznej hypernerwozy. Takiego usposabiającego tła w psychice masowej wtedy nie było. To też prędzej można tu wywnioskować współdziałanie czynników natury osobistej. Wrócił kapitan kadetów z zagranicy, jako młodzian pełen wiedzy, o świetnie zapowiadającej się przyszłości, dowiedział się, że panna jeszcze nie zajęta, tęskni, marzy, pozostaje wierna, więc nadzieja zaświtała w sercu, skłoniła do przedsięwzięcia odpowiednich starań. Ale wszelkie zabiegi zawiodły. Zawarty już był pakt między Sosnowskim a Lubomirskimi, mocą którego Ludwika miała stać się ofiarnym haraczem, wyrównywującym szulerskie sprawki swego ojca i regulującym pieniężne pretensye rodziny Lubomirskich.²⁾ Mord nad uczuciem dziewczyny odbywał się z całym spokojem, na mocy prawa rodzinnego. Kościuszcze pozostawał jedynie szal rozpaczny lub beznadziejny smutek melancholii. Zagrażało mu poważne niebezpieczeństwo. Uratowała go rodzina i przyjaciele w ten sposób, że wyposażywszy Tadeusza w dość znaczną sumę pieniędzy, wysłali go zagranicę, pchnęli na nowe tory, w pogoń za sławą, wiedzą wojskową i doświadczeniem.

tygodni); należy jednak zaznaczyć, że w powołanym liście Lubomirskiej niema żadnej wzmianki o tem, jakoby 21 maja był dla nich jakimś pamiętnym dniem, jest mowa tylko o Sosnowicy, jako o *miejsu* wspomnień. Przez „datę“ rozumie Ludwika cały pierwszy wiersz swego listu łącznie z nazwą miejscowości skąd pisze.

1) Parandier, Tableau général de la Pologne: „De retour dans son pays, l'oppression étrangère, l'anarchie du gouvernement, le luxe insolent des magnats et la misère du peuple affectèrent vivement son âme et il tomba dans une mélancolie inquiétante pour ses parents et ses amis...“

2) Adam Moszczeński, Pamiętnik do historii polskiej (1888), 103 sq.

W początkach października 1775 r. Kościuszko pożegnał się z rodziną i znajomymi, 9 i 10 tegoż miesiąca, bawiąc w Sławinku pod Lublinem u swego stryjecznego stryja, Jana Nepomucena Kościuszki-Siechnowickiego, kilkoma aktami prawnymi zlikwidował swoje interesy majątkowe,¹⁾ a w połowie października, uzbrojony w polecające listy tegoż stryja, był już w Galicyi, na świeżo od Polski anektowanej ziemi austryackiej. Jechał do Dukli. Zamyślał wstąpić do służby saskiej i szukał protekcji u Mniszcha. Jerzy August Wandalin Mniszech, niegdyś wszechpotężny duumvir w Polsce, od dwóch lat pojednany już z królem kasztelan krakowski, zięć starego Brühla, szwagier Brühla młodego, generał-lejtnanta w służbie saskiej, miał w Saksonii rozgałęzione, dawne i możne wpływy i stosunki. Znalazł do niego Kościuszko przystęp przez stryja swego, Jana Nepomucena ze Sławinka. Ów Jan Nepomucen Kościuszko-Siechnowicki, żytomierski pisarz ziemski, w r. 1760 poseł od województwa kijowskiego do prymasa w sprawie przytłumienia rozruchów hajdamackich, konstytucją 1766 r. mianowany członkiem komisji do rozgraniczenia województwa kijowskiego z województwem braclawskim, był z Jerzym Mniszchem zdawna już w bliższym stosunku.²⁾ Uzbrojony więc w jego list polecający dostał się Kościuszko do podkarpackiej Dukli, rezydencji Mniszcha. Dukla w tym roku była szczególnie ożywioną. Bawiło w niej sporo przyjezdnych gości, którzy zjechali się na graną tam w tym czasie przez amatorów komedję Zofii z Mniszców Szczęsnowej Potockiej: „Cnota rzadka przyjaciół prawdziwy.“³⁾ Ale Kościuszko spóźnił się i właściciela w Dukli nie zastał. Wyjechał był już Mniszech do Krakowa w drodze do Saksonii. Posłał więc za nim Kościuszko w pogoń list, pisany z Dukli 19 października 1775 r.⁴⁾ Powoływał się w nim na polecające pismo stryja, „pomieszczonego w liczbie sług Mniszcchowych,“ prosił Mniszcha, ażeby ten „wniósł poważną swą instancją do Dworu saskiego w pomieszczeniu mie czyli w reymencie czyli w gabinecie, cobym lepiej wolał...“ „Krok mój, pisał dalej, uczy-

¹⁾ Korzon, Kościuszko (1894), 103 sq.

²⁾ Konopczyński, Polska w dobie wojny siedmioletniej, II, 418, 420; Vol. leg. VII, 217; List Chojeckiego, J. Kościuszki Siechnowickiego i Żytkiewicza do Mniszcha 24 czerw. 1762, Arch. Czart. 3851.

³⁾ K. Morawski, Ze studyów nad kobietą polską, Przegl. Hist. № 37.

⁴⁾ Nieznany list Kościuszki z 1775 r., podany przez ks. jezuitę Józefa Sasa w Sprawozdaniu Gimnazjum w Chyrowie r. 1910, str. 61, 62, bez wymienienia adresata i nazwiska stryja protektora.

niony do Dworu saskiego, jest szczególnym celem, ażebym był kiedyś użytecznym ojczyźnie naszej i wypłacił się jej z obowiązku obywatelstwa... Chciejże tedy JW. Pan Dobrodziej przez przywiązanie swoje do ojczyzny i przez wewnętrzne uczucie ukontentowania z dania pomocy drugim mnie zarekomendować, ja zaś dozgonnie wypłacywać się wdzięcznością przyrzekam..." W przypisku dodawał, że jedzie z Dukli do Krakowa, o ile zaś nie zostanie tam Mniszcha, to podąży za nim do Drezna, gdzie będzie jego łaski oczekiwać. Do tego zapewne czasu przywiązaną jest tradycja o pobycie Kościuszki w Krakowie przed wyjazdem jego zagranicę i o zamieszkiwaniu przezeń kamienicy l. 45 na linii AB.

Czy starania nie osiągnęły skutku, czy też przez ten czas Kościuszko dowiedział się o naborze we Francji ochotników, chętnych przelewać swą krew w walce o wolność Amerykanów, dość że w następnym roku widzimy go już za oceanem, w szeregach bojowników o niepodległość. Rozpoczął się dla Kościuszki okres szkoły praktycznej, która zazwyczaj najtrwalej przechowuje w pamięci ludzkiej swe wskazania i najgłębsze piętno wyciska na umysłowości, charakterze, sądach i upodobaniach. Tam też należy szukać istotnych przesłanek wszystkich jego późniejszych wielkich zalet i pewnych wad, zasług niespożytych i win mimowolnych.

WŁODZIMIERZ ANDRZEJ DZWONKOWSKI.

Nasza najnowsza powieść i jej wzory.

I.

Autorowie bardzo szczęśliwego pomysłu literackiej ankiety lwowskiej o stanie obecnym naszego piśmiennictwa utrzymują, że u nas obecnie we wszystkich działach pustka, zamieszanie i rozbitcie, prócz powieści, „która się właśnie najpiękniej rozwija.“ Trudno się na to zgodzić. Myśmy w minionym wieku mieli dwa okresy pięknego rozwoju powieści: jeden w dwudziestoleciu między rokiem 1840 — 1860, kiedy ukazywały się utwory Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Rzewuskiego i Kaczkowskiego, drugi w dwudziestoleciu między rokiem 1880 — 1900, kiedy wychodziły dzieła Sienkiewicza, Orzeszkowej i Prusa. W obu tych okresach nasza powieść zajmowała się rozwojem myśli społecznej lub poddawała analizie socyalne zadania, które wydawały się koniecznością chwili. Lud, utrzymanie ziemi w rękach polskich, rola kobiety w rodzinie i społeczeństwie, asymilacya żywiołów martwych, sennych lub wrogich, udział sfery mieszczańskiej i kupieckiej w pracy narodu, wychowanie młodzieży, patriotyczne aspiracye zbiorowej duszy — oto kwestye, jakimi się zajmowała powieść. Ale też poza bieżącymi sprawami roztrzącała ona czy to widok wcielonego ideału narodowego w przeszłości, czy też bywała pochodnią, rozświetlającą mroki toru, po którym naród kroczyć ma w przyszłości. Rozróżnialiśmy podług tego powieść współczesną i historyczną. I ta i owa psychologiczną być musiała, gdyż opierała materyałem ludzkim i malowała widoki ludzkiego życia.

Ale w drugiej połowie XIX w. myśl ludzka poczęła coraz tęskniej zwracać się ku głębinom ducha, poczęła dociekać tego, co nieznanne, odgadywać to, co się tai w pomroce najniższych sztolni ducha. O ile powieściopisarz zanurzał się w otchłań ludzkiej duszy, o tyle całkowicie absorbowwały go zagadnienia psychologiczne; o ile z tęsknotą i przeniknięciem wdierał się w dziedzinę, którą odkrywa chyba śmierć, o tyle mu za szczeble służyły filozofia i teologia. Nie można nawet utrzymywać, żeby w obu wypadkach wyrażały się jednostkowe aspiracje. Życie duchowe współczesnego człowieka nie zdoła się wyzwolić od religijnej udręki. Dzisiejszy człowiek szuka Boga wśród zwątpień, narzekania, bluźnierstw i rozpaczy. Tęsknoty i marzenia religijne przeobrażają się w mistyczne porywy, łaknienie wiadomości o tem, co kryje tajemnica grobu, zatracą jasność myśli, wskazują drogę do kuźni czarnoksięskich praktyk spirytyzmu i okultyzmu, pozabawia duchowej równowagi. Prawdą staje się świetny paradoks znakomitego filozofa i estetyka francuskiego: myśl ludzka niekiedy przestaje być biernem jak kryształ zwierciadłem, które w sobie odbija przedmioty i zjawiska; podobna raczej do lustrzanej szyby, zamaconej tchem i odtwarzającej zaćmione i skażone zarysy.

Za przykładem obcej literatury i nasza powieść zapadła w tę topiel filozoficznych i religijnych zagadnień. Straciła ona dawny epicki charakter. Stała się przez to liryczną.

Ale tematy filozoficzne i religijne nie wyczerpują motywów współczesnej powieści.

Głoszony przez Nietzschego, przyjęty skwapliwie przez naszych modernistów indywidualizm wyosobnił artystę pośród ludzkiego mrowia, uczynił go samotnikiem, kazał gardzić motłochem, kazał nietylko wzbijać się ponad życie, lecz pograżać się w bezdno nadludzkiej duszy. Zaczął się tedy pościg za niezwykłymi duchami i odkrywanie w nich tajemnic, drzemiących poza kresem normalnych uświadomień. Ten psychologizm i estetyzm niezmiernie zacieśnił i ograniczył widnokrąg powieściowy. W samej rzeczy znajomość ludzkiej duszy i ludzkiej natury Balzakowi lub Flaubertowi była tak samo niezbędną, jak Verlain'owi lub Juliuszowi Romain, tylko że tamci mieli oczy szeroko otwarte na zjawiska świata i zbiorowego życia, ci zaś są podobni do badaczy drobnoustrojów przez silne mikroskopy. A przytem jeszcze jedno. Człowiek osamotniony, nieustannie marzący o zagadnieniach, do których odstonięcia prowadzą tylko wrota śmierci, nurzając się w toń własnych stanów nieuświadomionych, czuje łacniej swą nędzę, cierpi bez przerwy i bez ukojenia. Dlaczego żyje? Dla-

czego umiera? Czemu Bóg i natura milczą? Czemu ludzie w swym materialnym skrucie tacy źli i podli? A jego wola—czemu taka wąta? I jego wiara czemu taka chwiejna? I wiedza jego nie zawiera wcale pewników! Toń duszy natomiast odstania mrowisko skarłatych i nędznych pokuszeń, żądź, szyderstw i śmiechów, mielizn i ohydnych kałuż, ropiących ran i złośliwych wzdęć, nie-domagań i pustynnych przegalin! Ach, wstrętne życie, wstrętna natura, wstrętny ludzki duch...

Oстрыm pesymizmem nabrzmiewa analiza psychologiczna dzisiejszej powieści. W swem osamotnieniu wie doskonale dzisiejszy artysta to, co w *Wyzwoleniu* Wyspiańskiego *Echo* powtarzało *Samotnikowi*, że „Bogu i ludziom z niego — śniech.“

Odwrócił się od świata, odwrócił się od zasad, z życia wysnutych i dla unormowania życia wydoskonalonych przez rozum, ów rozum dla indywidualisty głupi i niktzemny, i oto nie potrafi inaczej czuć świata, jeno jako zbiór sił psychicznych, które się nawzajem ciągną i odpychają, szukają czegoś i nie znajdują, pragną, lecz giną nieukożone, niewiedzące, obłędne...

Jakże to już blisko od bólu świata do *nudy* świata: straszliwej, wszystko chłonej i wszystko powlekającej okropną szarzyzną nudy, od której ginął Malczewski, która po piersi, niby młak bagienny, wciągnęła Słowackiego, która wykrzywiła fizyonomię talentu Cypryana Norwida, która swem śmiertelnem tchnieniem owionęła tyle kreacyi Żeromskiego.

Ciśnie się oczywiście natrętnie pytanie: którądy zatem droga? Ale odpowiedź na to pytanie nie powinna być dorywczą.

Gdy nad nią rozmyślam, nasuwają mi się proste zdania genialnego Szczepanowskiego, który już w 1894 roku wołał:

„Nie interesuje mnie literatura, jako literatura, sztuka, jako sztuka. Może są szczęśliwe narody, które taki zbytek pielęgnować mogą. My, którzy walczymy o nasze życie, o byt narodowy, my przy każdym objawie życia publicznego, czy to w polityce, czy w pracy ekonomicznej, czy naukowej, czy na polu literackim, powinniśmy się pytać, czy to, co się dzieje, wzmacnia nasze siły, czy pomaga nam w tej walce?”

„I dla tego literatura dla mnie ma tylko doniosłość o tyle, o ile *pokrzepia ducha narodowego*, o ile wlewa nową otuchę, o ile jest nową bronią do dopięcia celów naszych.“¹⁾

1) „Myśli o odrodzeniu narodowem.“ Artykuł p. t. „O potrzebie swojego kierunku w literaturze polskiej.“ Str. 185.

Dotyczy to przedewszystkiem powieści.

Nie zadowoliliaby Szczepanowskiego *Atma* Rodziewiczówny. Przeciętnego czytelnika zadziwi tytuł. *Atma*? Cóż to jest *Atma*? Według *Yogi*, tajemnej wiedzy Indyi, konstytucya ludzka składa się z siedmiu pierwiastków: 1) z materyalnego ciała; 2) z *Prany*, czyli siły życiowej; 3) z *Linga shasira*, czyli ciała astralnego; 4) z *Kamy*, czyli duszy astralnej; 5) z *Buddhi manas*, czyli właściwej duszy ludzkiej; 6) z *Buddhi*, czyli pierwiastku anielskiego poznawczego; 7) z *Atmy*, czyli wszechducha.

Jest to istota wszechrzeczy, jej wyrazem jest świat zjawisk; jest ona jedyną wieczną przyczyną bytu; jest dziedziną Boga, państwem bezkształtu, stanem ogarniającej wszechświat miłości boskiej, stanem wszechpoznania i doskonałości. ¹⁾

Taką istotą Rodziewiczówna przyoblekła ciałem niewieściem i uczyniła natchnieniem Adama i Antoniego Jaworskich. *Atma* wychowała się w wielkiej bibliotece, która stała się jej gniazdem, ojczyzną, światem. Na księgach indyjskich uczyła się mądrości; poznała wędrówkę iskry bożej, wcielonej w formę fizyczną, wyzwalającej się przez śmierć i napowrót wracającej w kształt, aby „płacić za przeszłość, zarabiać na przyszłość.“ A w jaki to ma się odbywać sposób, dowodzi teoria Antoniego, z przeżycia wysnuta, dowodzi praktyka Adama, którego przed naszymi oczami Rodziewiczówna przez szereg doświadczeń wiezie. Antoni przeżył liczne kłęski, ciężkie miał życie, ale wszystko, co mu się zdawało nieszczęściem, wydaje mu się teraz szczeblem do góry. Stracił karyerę, ponosił kłęski materyalne, żył osamotniony, zagrożony w materyalną nędzę, wśród niesnasek z sąsiadami i z mnóstwem odziedziczonych po ojcu zagmatwanych spraw sądowych z chłopami; nieszczęśliwa miłość stała się dlań ostatnią kroplą męki, cierpienia, upokorzenia i kłęski. Wówczas pozostała mu dwojaka droga: albo zabić się, albo zacząć zupełnie nowe życie: spróbować być bogiem. Jakto bogiem? To znaczy: mieć w sobie siłę, mądrość i miłość, a objawiać je w połączeniu, które stanowi dobro. ²⁾ Ilustracją tych myśli są dzieje Adama Jaworskiego. Zaczynają się one od samobójstwa bohatera, zakończonego

¹⁾ Naukę tę zawierają Vedy, Upaniszady; przyjęły ją także pisma mityków, alchemików, kabalistów; wyłożył Paracelsus w „Anatomii.“ Obacz d-r F. Hartmann: „Zarys nauk Teofrasta Paracelsusa,“ a także Bapł. Wiedemann: „Yoga. Tajemna wiedza Indyi,“ przekł. Womeli. Lwów, 1911, str. 70—75.

²⁾ Str. 77, 89—90.

ocaleniem. Zamiast je z lepszym skutkiem powtórzyć, Adam Jaworski porzuca dom swój, żonę, wygody i dostatki, wykwinne życie, sferę kulturalną, korzysta z katastrofy kolejowej, aby swą śmierć upozorować wobec rodziny — i rozpoczyna nowe życie, aby się stać owym „bogiem.“ Jakże to czyni? Oto staje się zwykłym bosiakiem, pracuje przy budowie mostu w sojuszu z robotnikami rosyjskimi, potem u Żyda w miasteczku, jako dyletant rymarz, potem przy jakimś młynie, wreszcie przyjmuje na siebie, jakkolwiek zgoła niewinny, zbrodnię zabójstwa i karę za tę zbrodnię, a wtedy z nim razem zapewne na Sybir poszła Atma.

Trzebaby do tego dodać kilka szczegółów. Po pierwsze — Atma zjawia się sama prawdopodobnie w astralnej swej postaci Adamowi i przesyła mu znane spirytystom *aporty* w ważnych i decydujących momentach jego życia. ¹⁾ Po wtóre jest w całej powieści żywa wiara w palingenezę i w doskonalenie się duszy za pomocą wędrówki jej przez różne kształty materyjalne. Po trzecie przykrym dysonansem brzmią częste utyskiwania na świat, i życie i ludzi.

Szachrajstwa dostawców wszelkiego rodzaju, walka o grosz, opieszałość i lekceważenie obowiązków, osamotnienie i pustka w życiu, ²⁾ rozpacz i nuda — oto czynniki, które obok szeregu wstrętnych ludzi, jak prezes Taubert, Ignac, żona i teściowa Adama, jak Mateja, Jankowski, Kubik, jak Józef Wojdak i syn jego — kształtują losy Adama. Nie zdziwi nikogo gorzki pesymizm bohatera wśród tego otoczenia; raczej dziwić się należy, że nie doprowadza go to wszystko do tej filozofii nihilizmu, z jaką na ustach umiera od zatrucia alkoholem Karliński *recte* Szostak, także przecież inteligentny i także z Atmą zbliżony. ³⁾ Po czwarte ponad tym nieponętym i niesympatycznym światem czuwają dwie siły tajemnicze: przeznaczenie i duchy. Pierwsze włada życiem Adama, wtrąca go raz wraz w sytuacje ciężkie, a on prawie bezwolny, daje się powodować bez oporu. „Przeznaczenie musi być spełnione.“ ⁴⁾ Jestże to ślepe fatum, jestże to wschodnie *Kismet*? Nie. Jest to raczej *Karma*, władza boskiej sprawiedliwości. Co człowiek wykonywa, to staje się jego naturą; stąd powstaje suna właściwości, która przy ponownym powrocie do hytu stanowi własność człowieka. Dusza zaś ludzka idzie tam, kędy ją wzywają prawa Karmy. To też człowiek

¹⁾ Ob. str. 2, 121, 284 i in. ²⁾ Str. 112, 192.

³⁾ Str. 21 — 23. ⁴⁾ Str. 115.

przebywa nieznośne męki w swem ziemskim życiu, *musi* grzeszyć, *musi* brnąć przez nieszczęścia. Ale wśród niedoli miewa w przerwach marzenia o świecie zaziemskim, stany jakoby ubłogosławienia, a także wieści o tym świecie od duchów.¹⁾ Duchy przychodzą do ziemskich siedzib, spełniają czynności, udzielają znaków... Po piąte — kto wie, czy nie przeznaczeniu i czy nie duchom trzeba przypisać ten nieraz prawdopodobieństwa pozbawiony tok wydarzeń, jaki popycha Adama do spełnienia się końcowej katastrofy. I byłoby zapewne dla dzieła lepiej, gdyby owe nieprawdopodobieństwa nie były błędami powieściowej struktury. Zaledwie Adam wyruszył z domu na zginienie, most się załamał pod pociągiem, aby łatwiej mu było śmierć upozorować. Gdy przyjął nazwisko Karlińskiego, zapoznał się i zbliżył z Atmą, niegdyś żoną tegoż Karlińskiego; gdy zapłonął namiętnością ku żonie pułkownika Z. i musiał się od niej wyzwolić, natychmiast przypadkowo spłonęła i o bruk się rozbiła i t. p. I te szwy rażące, bo nazbyt widoczne, stanowią jeden ujemny rys najnowszego dzieła jubilatki. Niestety — nie jedyny. Jakkolwiek postać Atmy nadała tytuł powieści, to jednak nie jest ona zgoła kierownicą wydarzeń, nawet gdyby się ją rozumiało podług Upaniszady; nie jest też główną postacią Adama, pomimo dziwów i dziwactw jego losu. Czytelnik musi się zdumiewać, dlaczego autorka na wiarę prądów modnej powieści kazała temu biednemu, duchem ubogiemu Adamowi zstąpić ze sfery jego wśród sferę ludzi bezdomnych, jak gdyby na urągowisko. Gdyby Adam miał choćby hart Czertwana i jego rozum w łączni z uczuć prawością — nic nie miałbym nawet przeciw temu. Ale Adam nie panuje prawie nigdy nad sytuacją, gdyż duchem wyższym nie jest: żal, że Karma wybrała sobie na próby doświadczalne tak niedołęznego osobnika.

Nie będę kłócił się z autorką „Dewajtisa“ o niezwykle skoki akcji i płynące stąd niejasności, ani też o styl, rwący się, w krótkie i pocięte zdania ujęty, ani nareszcie o częste wyrażenia wadliwe, jak np.: „zanurzył się w wodę chłodną i wyszedł zeń głodny“ (62), „Adam *wiedział* jego miłość“ (75), „to bardzo *cienko* obmyślano“²⁾ (100), „nie mogę *ją* mordować“ (155), „coby się nie stało, cobym nie znosił“³⁾ (156), „umierający *ciągnąco*, *rwano* szeptał“ i t. p.

1) Str. 125, lecz także str. 54, 56, 84.

2) Z rosyjska: „tonko obdumano.“

3) Z rosyjska: „czto by ni slucziloś.“

Jednakże nie mogę nie zauważyć, że dzięki owemu wciągnięciu w tok wydarzeń, jako głównego czynnika — duszy indyjskiej, — dziwnie nie po polsku zagmatwała się etyka powieści. Zapewne, podług naszej etyki materializmem nasiąknięta rodzina Taubertów ostrej satyry warta; ale podług naszej etyki nikt nie uzna rzekomej cnotliwości czy to Antoniego czy Adama, z których pierwszy wiąże się z cudzą żoną, drugi za złe ma żonie miłostki z Wojdakiem, sam natomiast szaleje nieraz, a w toku powieści dwukrotnie z różnemi kobietami, w dodatku zaś staje się przyczyną występku żony — i mimo wszystkiego ma się za wzór cnoty. Nie, taka etyka nie jest etyką chrześcijańską, ani na szczęście polską. Trzeba tedy powiedzieć, że powieść ostatnia Rodziewiczówny nie pokrzepia ducha narodowego, jak to czyniły jej dawne piękne dzieła: „Dewajtis,“ „Szary proch,“ „Macierz,“ „Byli i będą“ i t. p.

II.

Nie pokrzepia go i ostatnia powieść Reymonta p. t. *Wampir*.

Niegdyś, 9 lutego 1836 r., gorzko skarżył się Zygmunt Kraśński Gaszyńskiemu na ludzi i czas swój. ¹⁾ „Wiekowi mego nie cierpię, a jednak wszystko we mnie zgodne z wiekiem, w którym żyję: te same rozuzdane żądze i niemożność ta sama, te same półwiary i półbłyski rozumu i ta sama *nuda ogromna, straszna, piekielna, zimna jak lód, pożerająca jak ogień.*“

Otóż w tem osłabieniu wiar wszelkich, które nietylko nękało współczesnych Heglowi, lecz i dzisiejszych dręczy, w tem pragnieniu znalezienia ostoi wobec chłosty życia, zanadto dolegającej, szukać trzeba przyczyny innóstwa sekt, nowych mistycznych prądów, odnowionych czarnoksięskich poszukiwań, dyabelskich opętań i historycznych szarów.

Jako objaw ducha czasu, powieść Reymonta może budzić głęboki interes. Roztacza ona obrazy z tajemnego życia spirytyzmu, fakiryzmu, szatanizmu, a pobieżnie wzmiankuje o *Sekcie Trwogi*, o *biczownikach* ²⁾, o *Pogromcach grzechu*, o *Towarzystwie Teozoficznem* Bławatskiej, o adeptach Buddhy. Powieść daje za-

¹⁾ Listy, wyd. Gubrynowicza, t. I, str. 75.

²⁾ Odpowiada rosyjskiej sekcie chłystowców.

tem rozległy wgląd w obłądne manowce współczesnej duszy angielskiej, rzecz bowiem dzieje się od początku do końca w Londynie. Powszechnie wiadomo, że jest spirytyzm francuski i angielski. Wiara w spirytyzm t. j. w obcowanie duchów z ludźmi jest u obu gałęzi jednorodnej t. j. czysto religijnej natury. Oba też rozgałęzienia godzą się w odrzucaniu piekła, jakkolwiek to jest główny punkt nauki francuskiego spirytyzmu, rozwiniętego przez Allana Kardeca na tle religii katolickiej. Reymont przeniósł akcyę do Londynu świadomie i rozmyslnie, gdyż tam zajęcie się spirytyzmem dziś bardzo żywe zapewne dzięki blizkiemu pokrewieństwu Anglii z Ameryką, gniazdem nowoczesnego spirytyzmu. Nie biorąc w rachubę córek metodysty amerykańskiego, Focha, które powychodziły za mąż w Anglii, zdobyły sobie szeroką sławę, jako medya, Florencya Cook, Bławatska, Eusapia Palladino i Anna Rothe. To też i wampir Reymonta jest kobietą, nazwiskiem Daisy. Niema co oczywiście mówić o konsekwentnym wykładzie czy to spirytyzmu, czy okultyzmu w powieści, która jest dziełem sztuki, zatem wytworem fantazyi. Daisy przeto nie jest ani spirytystką w całym słowa znaczeniu, ani kapłanką Bafometa, t. j. szatanistką—jest zaś i tem i owem i trzeciem w części.

Spirytyści wierzą w sobowtóry i w ciała astralne. Gdy człowiek bardzo intensywnie myśli o drugim z oddalenia, wówczas ukazuje się niekiedy owej osobie—uczy w „The Isis Unveiled“ Bławatska. Jest to *May-avi-rupa* (siłą wyobraźni wywołana astralna postać ciała, która wytwarza się przez *kryasakti* (twórczą siłę myśli). Ciało astralne może łatwo przechodzić przez przedmioty. Otóż ciało astralne Daisy zaraz w czasie pierwszego seansu w Boarding-Housie jawi się spirytystom, przenika później do mieszkania Zenona (88), przynosi mu aporty, zjawia mu się w różnych miejscach w najważniejszych momentach, podobna w tem poniekąd do Atny z poprzedniej powieści. Toż samo Joe, przyjaciel Zenona, angielski oficer, urządzający seanse spirytystyczne, dzieli wprawdzie jeszcze niejedną wiarę spirytystów, lecz już znacznie przechylił się ku fakiryzmowi i stał się jogiem wskutek wpływu Mahatmy Guru, mędrca hinduskiego, który przyjechał do Europy, żeby się przyjrzeć ludziom i kulturze naszej. Joe należy też do biczowników i u niego właśnie odbywają się ofiary sekty (112 i d.), a uczestniczy w nich i Daisy.

Spirytyzm uczy, że nietylko człowiek, lecz każdy minerał, roślina, zwierzę ma ciało astralne, każda rzecz ma nieuchwytną dla zmysłów *odyczną aurę* albo blask, którego mocą jest w związ-

ku z innymi istotami. ¹⁾ Ale spirytyzm uczy, że niema złych duchów. A. I. Davis, nowożytny Swedenborg, w dziele „Die Prinzipien der Natur“ (1889) powiada, że nie istnieje antagonizm między złem a dobrem. Co my zowiemy złem, jest tylko niedoskonałem, lecz się z wolna kształtuje i ulepsza. „Folglich giebt es auch keine bösen Geister; alle selbst niedrigsten werden zuletzt selig.“

Spirytyzm i fakiryzm odrzucają istnienie Boga osobowego, poza światem bytującego, podobnego do ludzi. Wierzą, podług zeznania Bławatskiej, wyrażonego w „Key to Teosophy,“ we wszechogarniający boski pierwiastek, źródło rzeczy, z którego wszystko płynie i w który wszystko wrócić musi.

Natomiast spirytysta Smith (108) zapewnia, że szatan rządzi światem, jest we wszystkich sercach, czyha i toczy śmiertelny bój z Bogiem. Joe, choć gardzi wirującymi stołami, pukaniem, zagrobowym bełkotem, spirytyzmem, który nazywa wiarą ślepych i słabych (178), to jednak pragnie ujrzeć sobowtóra. „Przysiadł na podwiniętych nogach, by się zapaść w siebie i rozdzielić, by się wyłonić nazewnątrz sobowtórem i ujrzeć siebie poza sobą, nie zrywając jedni rozszczepić się i być tej jedni dwiema tożsamościami“ (180). „Parł się z wolna z siebie, wydzierał z więzów ciała, smagał z nieubłagalnością własnego trupa, szponami woli wypłupywał z siebie własną duszę, stwarzając z niej drugi, swój własny i tylko przez siebie widziany i czuty byt“ (181).

Daisy w loży Palladyńskiej była kapłanką Bafometa, w ofierze Joego brała udział, pełni w seansach funkcje medyumistyczne, a sąd swój o spirytyzmie formułuje po seansie w Towarzystwie Teozoficznym wobec Zenona w następujący sposób. „To była najszczęstsza prawda, ręczę panu. ²⁾ Ale cóż, kiedy to tylko fakty i nic więcej! Prawdy zupełnie zbyteczne. Ohydny bełkot skazanych na wieczną zagładę. A przytem nie cierpię tych jarmarcznych cudowności, sprawiają mi bowiem wstręt i obrzydzenie. W niższych kręgach ziemskiej atmosfery roi się od takich larw, jest to wielka trupiarnia ludzkich majaków, którym, nim się rozsypią w pył sferyczny, marzy się o dawnym bycie na ziemi. To są tylko elementale, emanacje dusz, zwierciadlane egzy-

¹⁾ Wiedemann: „Yoga, tajemna wiedza Indyi,“ str. 99.

²⁾ Podnosiły się stoły, latały nad głowami krzesła, sypały się z pod sufitu świeże kwiaty, występowały zarysy larw czlowiecznych, świetlane ręce błędziły nad głowami, grały niewidzialne instrumenty i t. d.

stencye i wampiry czyhające dokoła, aby naszym kosztem przedłużyć swoje nędzne egzystencye cieniów, to są tylko zarodnie zbrodni, zła i podłości, powstałe w ciemnicach ziemi, wiecznie unoszące się nad nią i niezdolne do nieśmiertelnych, słonecznych bytowań. Jak psy w mroźną noc, głodne i bezdomne, cisną się do izb ogrzanych, tak i one krążą w świetlanych orbitach dusz twórczych, władczych i nieśmiertelnych. To prawdziwe i *jedyne* piekło! „Wieczny płacz i zgrzytanie zębów.“ A On istnieje ich łzami, On tuczy się ich męką, On z ich cierpień i nędzy uczynił sobie tron, na którym spoczywa, niesyty nigdy chwały ni przemocy! Gdzie tylko jęk, choroby, nieszczęścia, zbrodnie i wieczny mrok, tam bije źródło Jego Mocy, tam jest On, Władca Ciemności, Strachów i Śmierci!“ — wołała z piorunami w oczach, grożąc zaciśniętą pięścią (280). Daisy stwierdza prawdziwość zjaw spirytystycznego seansu, tłumaczy rolę ich we wszechświecie podług ich teorii, tylko przyjmuje i potępia Boga osobowego, gdyż jest kapłanką Bafometa, na którego cześć śpiewała pieśń:

Salute o Satana! O Ribelione.
 O forsa vindice. Della Ragione!
 Sacri ate salgano — Gli incensie i voti,
 Hai vinto il Geova — Dei sacerdoti!

Nie było przeto zamiarem Reymonta jedno jakieś wierzenie wyczerpująco i dokładnie zobrazować; nie chodziło mu o to, aby w Zenonie przedstawić pierwszorzędne medium, w Joem początkującego joga, w Daisy szatanistkę. Widać to stąd, że świadomie zapewne w postaciach tych wyobraził ewolucye wier, przekonań i praktyk. Chodziło mu o to, ażeby w kilku obrazach odmalować zamęt myśli, uczuć, wier, tęsknot i namiętności, to rozpędne i rozszalałe poszukiwanie bez tchu i pamięci czegoś, coby można uwielbić, czegoby się można oburącz jąć, jako siły a może i ukojenia. I dlatego to oczywiście powieściopisarz przenosi wciąż czytelnika ze sfery marzeń spirytystycznych do sfery normalnego życia; i dlatego też czyni Zenona poetą, chcąc go mieć czułym instrumentem w tej dziedzinie doświadczeń *in anima vili*. Dla Zenona Daisy jest w istocie okropnym wampirem; nie daremnie ostrzegają go przed nią i Smith i Joe. Zatrącenie mu ona daje, porywając ze sobą w świat wyuzdań i dzikich szałów, opanowawszy przedtem jego wolę za pomocą aportów, sugestyi na oddalenie, czarnoksięskich znaków i haseł.

Reymont w dziele swoim nie ma obowiązku być teologiem, historykiem, filozofem—słowem uczonym. Jest artystą. Nie mo-

zna dzieła jego oceniać zewnętrzną miarą prawdopodobieństw. „Wampir“ jest poezją, a poezya podług słusznych uwag Oskara Wilde’a jest raczej welonem, niż zwierciadłem. Ma kwiaty, nieznanne żadnej puszczy, i ptaki, niewidywane w żadnym lesie. Ona stwarza i burzy światy i może złotą nicią przyciągnąć księżyc z nieba. Ma na zawołanie obrazy realniejsze, niż żywi ludzie. Działa cuda: wzywa z otchłani potwory — i wychodzą; zimą osypuje kwieciami drzewo migdałowe i śniegiem pokrywa łany dojrzałych zbóż. Na jej skinienie ziąb nakłada srebrny palec na płonące usta czerwca i skrzydlate lwy wypełzają z czeluści wzgórz lidyjskich. Dryady ciekawem okiem patrzą z gęstwiny leśnej i rude Fauny dziwnie śmieją się, gdy się zbliża. Biją jej pokłony bogowie o licach jastrzębich i centaury tańczą z nią społem. To poezya. Znajdą się w „Wampirze“ obrazy, dosłownie przypominające powyższe.

Powieść prawie nie zawiera akcji. Sama postać Zenona jest bierna. ¹⁾ Podobny do manekina bez woli, miotanego według pewnych planów cudzą wolą. Ale równocześnie jest cała powieść zbiorem przedziwnych obrazów, malowanych przez zdecydowanego artystę z ogromnym temperamentem i blaskiem; jest zbiorem nastrojów, do których świetnego opisu gromadzi artysta zdumiewające barwami i siłą wyobraźni wyrażenia. Oto Daisy gra, a Zenon zapada w marzenie pod wpływem gry. „Pokój stawał się jakby dnem, gdzie przez posępno-zielonawe i wburzone zwały morza zaledwie się przeslizgują widma nierozpoznanych rzeczy, nikłe połyski barw struchlałych, wiotkie wrzenia kształtów, zastygające i głuche wiry cieniów i zmartwiałe a rozchwiane ciemnice w otokach płynnych, szarych fal wieczoru, a skądś, niby z powierzchni dalekiej i zgiełkowej, rozsącza się smuga dźwięków przygasłych i spada ciężkimi kroplami na jego duszę znużoną, spada kropla po kropla, bije zwolna i nieubłagane, a każda jest grotem ostrym i warem, a każda zalewa go smutkiem i łką w nim nieukojoną, żrącą tęsknotą.“ ²⁾ Kiedy indziej Zenon nocą łączy do łoża Palladyńskiej na „białą mszę“ Bafometa. Reymont opisuje: „Wiatr zahuczał, drzewa zakołysały się ciężko, powiał senny trzepot i szum gałęzi, jęk się rozległ posępny, trwożny i cichy szept przeleciał nad ziemią, zatrzęsły się przydrożne żywopłoty, załkały smutnie twarde liście paurów, trwoga, jak puhacz, zało-

¹⁾ Wprawdzie sam utrzymuje, że nie tak łatwo poddaje się sugestji, lecz Joe wie dobrze, że jest on wielką siłą medyumiczną (211), a Daisy wie, że zawsze była duszą Zenona (196). ²⁾ Str. 100.

potąła skrzydłami i przyczała się w ciemnościach.“¹⁾ Najpiękniej, stylem nieco patetycznym, lecz i przejmująco silnym maluje Reymont scenę seansu spirytystycznego u Joe, scenę ofiary u Joe, scenę białej mszy w łoży Palladyńskiej, scenę seansu w Towarzystwie Teozoficznem i t. p. W tych opisach talent Reymonta osiąga przez to wielki tryumf, że złudzenie zamienia na rzeczywistość dla czytelnika; czytelnik, opanowany zespołem obrazowania i treści, oddaje się w moc złudzenia i przebywa ten szereg wizyi cudownych a strasznych, jaki przebywali uczestnicy seansów. To też w braku wszelkich krytycznych ograniczeń i zastrzeżeń ze strony autora „Wampira“ czytelnik, nieobeznany ze spirytyzmem, przyjmuje wszystkie cuda za prawdę. Może nie szkodzi wskazać granicę między złudzeniem a rzeczywistością. Ta ostatnia dowodzi po pierwsze, że siła medyumiczna nie działa na oddalenie. Jakkolwiek medyum może rozwinąć wielką moc tak, że w ruch może wprowadzić stół nawet z człowiekiem, siedzącym na stole, to jednak bez dotykania stołu czy przedmiotów sprawić tego nie zdoła.²⁾ Powtóre, mimo wszelkich przeciwnych dowodzeń zjawy t. zw. ciał astralnych okazywały się dotychczas humbugiem.³⁾ Tembardziej podlega wątpliwości zjawia astralnego ciała Daisy wielu osobom równocześnie. Po trzecie, nikomu nie udało się dotąd wywołać i widzieć sobowtóra, jak to się udało Joe'mu w powieści. Wiedenmann powiada⁴⁾: „Naukowy dowód istnienia sobowtóra potwierdzi dowód realności czarnoksięstwa. Będzie to niebawem tak samo dowiedzione, jak zjawiska hipnotyzmu.“⁵⁾ Ale dotąd dowodu naukowego na to niema, chyba rozszerzyć dowolnie doświadczenia fizyologa H. Meyera, któ-

¹⁾ Str. 157.

²⁾ D-r Alfred Lehmann, dyrektor psychologicznego laboratorium w kopenhaskim uniwersytecie, pisze w dziele „Aberglaube und Zauberei“ (2. Aufl. Stuttgart, 1908, str. XII, 665) na str. 295: „Ich habe nämlich zu wiederholten Malen stundenlang mit recht guten Medien gegessen und nach allen Regeln der Kunst versucht einen Gegenstand, über dem wir die Hände hielten, in Bewegung zu setzen; aber wir konnten nicht einmal ein Streichhölzchen dazu bringen, sich auch nur um den Bruchteil eines Millimeters fortzubewegen.“

³⁾ Tenże autor na str. 326 mówi: „Alle hervorragenden professionellen Geisterphotografen wurden als *Betrüger* entlarvt.“ Na str. 333 zaś pisze: „Bis jetzt wurde noch kein positiver und unanfechtbarer Beweis für die Wirklichkeit der Materialisationen geliefert.“

⁴⁾ „Yoga“, Lwów, 1911, str. 107.

⁵⁾ Aksakow w książce „Animizm i Spirytyzm“ przytacza wprawdzie szereg wypadków sobowtóra, lecz sąd tego spirytysty nie jest bezstronny.

remu udawało się za pomocą silnego skupienia uwagi wywoływać hallucynację twarzy i wrażeń dotykowych. Jeżeli nadto całą wspaniale przez Reymonta malowaną scenę ofiary Bafometa uznamy za dzieło świetnej wyobraźni, to cóż w rzeczywistości zostanie z cudownego aparatu spirytyzmu w powieści? Rzeczywistość spirytyzmu i okultyzmu wyraża się w trzech orzeczeniach od najmniej naukowego do zupełnie naukowego, jak następuje: Aksakow w dziele „Animizm i Spirytyzm,“ które powstało dla odparcia zarzutów, spirytyzmowi czynionych przez Hartmanna, dzieli zjawy na dwie grupy: a) elementarne medyumiczne, jak ruchy stołów, pukania, dyktaty; b) animistyczne zjawiska, w których duchowa siła medyum, podług nieznanym nam dotąd praw, przekracza zdolność fizyczną. Są to: aporty myśli, ruch przedmiotów bez dotknięcia, materyalizacja. ¹⁾

F. Meyers, uznając możliwość wszelkich zjawisk spirytyzycznych seansów, w dziele: „Human personality and its survival of bodily death“ (1903) wbrew obecnie przyjętemu mniemaniu, że świadomość jest najwyższą formą duchowego życia, nieznaną zaś objawia się wśród chorobliwych i anormalnych stanów, twierdzi, że to, co istnieje poza kresem świadomości, ma cenniejsze uzdolnienia i siły; dotąd ich nie znamy i dopiero dalszy rozwój ludzkości dobędzie je na jaw. Obecnie zaś u medyów w transie zauważone zjawiska są wskazaniem tych wyższych uzdolnień, które kiedyś w pełni posiedzie przeciętny człowiek. I w tym wywodzie, jak widzimy, spora doza presumcyi na korzyść spirytyzmu, choć wyrażonej ostrożnie i w naukowej formie.

Trzeci najtrzeźwiejszy sąd pochodzi od londyńskiego „Society for physical research.“ Liczne staranne badania i doświadczenia skłoniły ten uczony związek do orzeczeń, że podług wszelkiego prawdopodobieństwa możliwe jest oddziaływanie wzajemne na siebie z oddali dwóch ludzkich umysłowych organizacyi — oddziaływanie bez pomocy naszych zwykłych zmysłów odbywające się wśród nieznanym nam warunków. Gdy ilość faktów ważnych powiększy się tak dalece, że uznania nowych sił nie da się odwlec, wówczas — ale dopiero wówczas mogą te nowe siły rościć pretensyę do wartości naukowego pewnika.“²⁾

¹⁾ Co do dwóch ostatnich szczegółów wymagalne są zastrzeżenia, powyżej wskazane. Wszak Aksakow był spirytystą; w orzeczeniu przechyla się do okultyzmu wyraźnie.

²⁾ Cytuję podług dzieła d-ra Lehmana: „Aberglaube und Zauberei,“ str. 648 — 9.

To trzeba wiedzieć, ażeby bezkrytycznie nie uledez omamieniu rzekomych cudów, jakie dzieją się w akcji powieściowej. Można było z powyższego już wymiarkować, że „Wampir“ jest dziełem dużego talentu, pisanem świetnie, że po słabej powieści Reymonta p. t. „Marzyciel“, która sprawiła szczerą nieprzyjemność i zawód miłośnikom tego autora, „Wampir“ nawraca naszą opinię o nim ku czasom „Chłopów“ i „Ziemi obiecanej.“

Pomysł wampira-kobiety, kapłanki szatana, oddanej różnym kultom a uwlekającej duszę artysty na zagubę, duszę pokrewną i nadczą, duszę, dla której rzeczywistość ziewa ohydną paszczą a marzenie, choćby najotworniejsze, lśni tysiącem barw rajskich, sam ten pomysł już godzien Krasińskiego: wszak i w „Nieboskiej“ hrabia Henryk, jako mąż, biegnie za Dziewicą, orłem, wypchanym w piekle, a nudzi go Żona, stworzona „dla ogródka i domku.“ W obu wypadkach nuda jest potężnym czynnikiem: u Reymonta czynnik ten zbliża pomysł ku szlakom europejskiej duszy kulturalnej i przezeń powieść staje na wyżynie obrazu z dziedziny duchowego życia świata. Ale tu nieodbicie nasuwa się kwestya, czy i naszego duchowego życia? Gdyby mię ktoś spytał, czy Zenon jest Polakiem i dlaczego, tobym odpowiedział, że ani jednego argumentu psychologicznego na rzecz jego polskości wynaleźć nie można i nie wiadomo dlaczego nie mógłby on być Irlandczykiem, Francuzem, Hiszpanem lub Rosyaninem. Owszem, jest w powieści rys, czyniący go obcym polskiej duszy. W rozmowie z Adą (nawiasem mówiąc, cały ten epizod z Adą, mający niby dokumentować polskość Zenona, ogromnie niefortunnie przyłatany) spowiada się Zenon z pomysłu literackiego, z którym się oddawna nosi. Ze dwieście osób gra rolę w utworze, ciżba chłopów... Chcą iść na Rzym... Zdruzgoczą podłą dzisiejszość... Decydująca walka w zamku Anioła w Rzymie... *Zwycięży najpierwotniejszy instynkt życia...* „Strasznie mi żal Chrystusa i moich chłopów, ale niema już dla nich miejsca na świecie, muszą przepaść.“ Idealem człowieka współczesnego jest „używać.“ Dlatego Chrystus musi przegrać ostatnią walkę. Odstąpią go wszyscy, zdradzą najwierniejsi... *Nie jestem chrześcijaninem, ale kocham cudną postać Nazarejczyka...*

Nie jego wina, że Paweł z Tarsu zbecześcił jego marzenia i ze snu o szczęśliwości człowieczej uczynił zimny system państwowy. W plugawych jego rękach mistyczny kwiat marzenia przerodził się w berła i pastorały... ¹⁾ Tak mówi *polski* poeta?

¹⁾ Str. 264 — 267.

Łzy krokodyle wylewa nad Chrystusem, bluzga nonsensem na jednego z największych świętych kościoła katolickiego, wróży śmieszne androny...

Setkę można przeciwstawić zdaniom tym argumentów, z kompetentniejszych pisarzy polskich, niż Zenon. Dwa tu pozwolę sobie przytoczyć, jedno poety, drugie polityka; pomysły Zenona z dwóch źródeł natchnienie biorą: z poezji i polityki. Moi zaś świadkowie wbrew tym pomysłom niemiłosiernie biją. Krasiński Zygmunt, w 1833 r. będąc w Rzymie, świeżo po napisaniu szkicu „Nieboskiej,“ „obrony tego, na co się targa wielu hołuszów: religii i chwały przeszłości,“ pisanej na dowód, że bez religii, bez ojczyzny, bez rodziny, bez własności, bez rządu i władzy żadne społeczeństwo istnieć nie może,—w liście politykującym do przyjaciela Gaszyńskiego rozprawia o roli arystokracji i demokracji w świecie dawnym i współczesnym, a wśród tego rozprawiania dodaje o Rzymie słowa: „Krzyż tu panuje, katolicyzm tu stanął po wszystkich wzgórzach; on świat ocalił, a razem w miłosierdziu swoim obronił ostatki starego świata! Żebyś tu był, ukląkłbyś i uwierzyłbyś! *Poeto, wstydź się nie być katolikiem!*“¹⁾ Drugi mój świadek, Szczepanowski, w r. 1901 w książce p. t. „Idea polska wobec prądów kosmopolitycznych,“ książce, która niewątpliwie należy do naszej wielkiej literatury politycznej pisze tak: „Polska była i jest narodem katolickim. Są Polacy innego wyznania, najlepší patryoci do nich należą. Na Ślązku austryackim ruch narodowy rozpoczął się u protestantów, nie u katolików. Kalwin, Potworowski, był długoletnim przywódcą narodu polskiego pod zaborem pruskim; many patryotów Żydów w Warszawie. Z tem wszystkim oczywiście jest dla każdego, który ma oczy, ażeby widział, że Polska jako naród jest katolicką — *staje się coraz bardziej katolicką*. Jeżeli głębokie przyczyny psychologiczne nie dopuściły u nas do reformy religijnej w XVI wieku, to stokroć bardziej myśl podobna jest wykluczoną w XIX lub XX wieku. *Polska więc i nadal będzie katolicką, albo jej nie będzie*. Twierdzenie to można przyjąć jako pewnik. Polityk lub mąż stanu, któryby tego pewnika nie uznał, musiałby chyba wyjść z potworne-go założenia, że społeczeństwo może się rozwijać bez religii, ale w tej chwili by stanął nietylko poza obrębem własnego narodu, ale też poza obrębem ogólnego doświadczenia całej ludzkości.“

¹⁾ „Listy.“ Lwów, 1882. T. I, str. 37. Ob. również str. 46, 48, 72 i in

„Polska więc będzie katolicką i będzie w przyszłości dzieliła losy katolicyzmu, tak samo jak je dzieliła w przeszłości.“¹⁾

Nie pisał tych słów zgoła ksiądz katolicki, nie pisał ich jakiś uprzedzony, jednostronny umysł. W obu świadkach moich rozum i dalekowiedztwo polityczne znakomicie wydoskonalone: są to zatem świadkowie wiarogodni. Cóż znaczy wobec tego żałośliwe, prawie dziecinne utyskiwanie nad Chrystusem i prorocтва Zenona, „największej siły medyunicznej“, wielbiciela „mistrzynie doskonałego trójkąta“, który to wielbiciel lata bez tchu, nie mając nic lepszego do roboty, po rozmaitych seansach i w interwałach oprzytomnienia ośmiela się wróżyć o przyszłości chrześcijaństwa, sam skromnie podając się za niechrześcijanina. Jeżeli to jest Polak — obyśmy takich jak najmniej mieli. I dlatego to na wstępie swego wywodu o „Wampirze“ Reymonta oświadczyłem, że „Wampir“ równie jak „Atma“ nie pokrzepia ducha narodowego.

III.

Powiedziałem wyżej, że powieść dzisiejsza jest liryczna. Jest ona zanurzeniem skalpelu prosektorskiego w nieznaną głębie duszy. „Okultyści twierdzili — mówi Potocki²⁾ — że myśli przy ogromnem nateżeniu mózgu przybierają substancjonalną formę niby mgławiczek, obłoczków, odrywających się od mózgu w kształcie pomysłanej rzeczy i nasiąkniętych bładym oparem krwi.“ Tenże krytyk nazywa to misteryum i utrzymuje, że takie misteryum odbywa się w procesie tworzenia u Żeromskiego, którego ma za twórcę powieści lirycznej, czyli, jak się Potocki wyraża, nastrojowej.

Mgławiczki, misteryum, nastrojowość — wszystko to są pięknie brzmiące wyrazy, nie zmieniają one jednak tego, że liryzm, właściwy poezji i dramatomu, zastosowany do powieści w naszej literaturze nie przez Żeromskiego, lecz przez Przybyszewskiego, po raz pierwszy ograniczył dziedzinę jej tematów a zepsuł formę.

Przypomnijmy sobie szereg powieści, które nas w ostatnich latach wstrząsały: Żeromskiego „Dzieje grzechu“, Daniłowskiego „Jaskółka“, Tetmajera „Zatrącenie“, Sieroszewskiego „Z fali na

¹⁾ „Myśli o odrodzeniu narodowem.“ T. I, str. 238.

²⁾ „Szkice“, 1903, str. 66.

falę, Reymonta „Marzyciel.“ W każdej z nich wszelkie uczucia po staremu szlachetne, wszelkie dawne moralne walory podeptane i zbrutalizowane. Stosunek płci traktuje się cynicznie, kobieta bywa—jak to się dawniej mówiło—nałożnicą, wygadająca popełdowi, prostytutka w „Dziejach grzechu“ i „Z fali na falę,“ podniesiona za przykładem *Der heilige Skarabäus* lub *Jamy* do godności czcigodnej bohaterki, etyka pogańska lub wilcza, co wszystko razem opatruje się etykietą *postęp* lub *nowe prądy*. W formie rozwój linii kompozycyjnych łamie się i rwie na strzępy; ci autorowie najlepsi i najzdolniejsi przenoszą czytelnika z gorączkowym niepokojem z miejsca na miejsce: z Warszawy do Paryża, Wiednia, Włoch, Szwajcaryi, nawet Japonii lub Ceylonu. Pochopnie smagają ostrym biczem słowa lub tłuką potworną maczugą bezwzględności owe rzekome — wedle ich widzenia — majaki, które już Słowacki w „Kordyanie“ nazwał był „drewnami przesądów.“

Znikły bez śladu artystyczne dyskretne półcienie i półtony w malowaniu uczuciowych stanów: krzyczą natomiast w niebogłosy instynkty, rozigrane na sposób zwierzęcy. Goni się za sensacją i siłą bez dostatecznej świadomości tej estetycznej zasady, że bez półcienia i półświatła niema sztuki. Styl dzisiejszej powieści tworzy przejaskrawione plamy, odtwarza hałaśliwe wrzaski świata, życia i ludzi, lub niedosięgte i niepoznawalne pomroczna duchowych głębin.

Czytelnik, udręczony przerzucaniem go z fali na falę coraz to nowych katuszy, znajduje rozkosz, ukojenie, znowu chwilę artystycznej uludy, znowu chwilę odpoczynku dla nerwów, potężnie targanych przez rozpędne koło dzisiejszego życia w takiej powieści, jak H. Sienkiewicza *Wiry*.

Może to się komuś wydać pedantycznym, gdy powiem, że przenoszenie przez powieść akcji działania z kraju do Europy i Azji, czy to będzie daleki wschód czy blizki zachód, uważam za brak zlania się duszy autora z duszą swego kraju, za poczucie pewnego rozdźwięku pomiędzy najgłębszemi aspiracyami własnej duszy a zbiorowej duszy polskiej. To wcale nie znaczy, żebym Żeromskiemu lub Sieroszewskiemu odmawiał zaszczytu polskości lub wielkiego talentu. To tylko znaczy, że ich najgłębsze przekonania i zasady uważam za przekonania znikomej mniejszości narodu, a co gorsza, mniejszości, nie uznającej związku z tradycją Polski. Pogrążenie się zaś takich struktur duchowych w kulturze zachodu czy wschodu powiększa ten rozdźwięk. Zagranica i jej kultura jest doskonałym środkiem odżywczym dla każdego

talentu—ale na krótki rozmiar czasu. Na długi—działa zgubnie. Łatwo oczywiście przeciw temu przytoczyć przykład emigracyi po r. 1831, która takie wielkie dzieła wydała. Ale to przykład nietrafny. Po pierwsze emigracya owa była masową i żyła zbiorowym życiem; powtóre emigracya miała jeden wielki ideał w pierś: ideał ogromnych cierpień narodu. I z tego ideału płynęły pienia poetów. A zresztą któż miałby odwagę utrzymywać, że Mickiewicz na lat dwadzieścia przed wczesnym kresem życia umilkłby i wówczas, gdyby był żył i działał w kraju? Czyż to historia literatury nie uczy, że talent Lenartowicza gasł i niel zwolna dzięki życiu za krajem, że Zaleskiego produkcyja literacka po r. 1830, wielka rozmiarami, mniej ważną jest od produkcyi między r. 1823 — 1830, że to samo powiedzieć można o dziełach Goszczyńskiego? Któż nie wie, że Kraszewski największe swe dzieła napisał między r. 1850 — 1863? Zmuszony żyć za granicą, zwrócił się do powieści historycznej i stworzył „Brühla,“ „Starą Baśń“ i w. in., ale znaczenie dla narodu dzieł tych nie może się równać ze znaczeniem „Dwóch Światów,“ „Budnika“ lub „Morturi.“ Czy trzeba powoływać nadto więcej przykładów? Czy każdy nie wie, że dla nas droższym jest Matejko, niż Brandt, Wierusz-Kowalski, nawet Siemiradzki? Czy każdy nie wie, że mamy wprawdzie wielkich polskich rzeźbiarzy, ale nie mamy, niestety, wielkiej rzeźby? Niczego nie dowodzi Słowacki. Dziełami jego, które czarować duszy polskiej nigdy nie przestaną, nie są: „Beniowski“ lub „Król Duch“ lecz „Kordyan“ i „Anhelli.“ Niczego nie dowodzi Chopin. Z ojczyściej duszy wzięta u niego tęskność i melancholia, właściwa pokoleniu popowstaniowców. Krasiński natomiast czuł dobrze, że trzeba z krajem żyć, żeby się nie wynarodowić. Wracał więc do kraju, ilekroć mu zdrowie pozwalało i tchu czerpał do dzieł swych. Zagraniczna kultura i życie pisarzy na długie czasy za granicą źle działa na ich talenty, gdyż je kosmopolityzuje. Tymczasem zagraniczne wpływy kulturalne wżarły się w naszą literaturę modernistyczną i jadowite ich tchnienie dotąd owiewa powieść. Przybyszewski, na skandynawskiej i niemieckiej myśli urobiwszy duszę, przed laty kilkunastu szyderstwem swem, lekceważeniem swojskości, pogardliwym kopaniem rzekomej polskiej ignorancyi, nieustannem wma-wianiem swojej wyższości oddziałał na wrażliwe młode talenty. Nie zmienił potężnego nurtu narodowego życia, sam minął i w perspektywie bardzo niedługiego czasu wydaje się nie pochodnią, rzucającą strumień światła w dal mroczną, lecz drobną iskrą, której mdły połysk tem bardziej przygasa, im silniej tętni i hu-

czy wzbierający potok narodowego życia. Jednakże w talentach pisarzy pozostawił ferment obcy. Zaczęli niektórzy z nich spoglądać na utwory Francji, jak na wzór do naśladowania; zaczęli przeszczepiać na ojczystą płonkę cudzoziemskie zrazy, zaczęli, rodziną etykę, rodziną moralność, rodziną religię, rodzime zwyczaje i obyczaje lekceważąc, słać rzekomo własnego wynalazku — w istocie obce walory duchowe. Ale czas — to mistrz nielada. On rychło zetrze blaski mamiące z dzieł pozornie błyskotliwych i pustkę wewnętrzną oświecił tak samo bezlitośnie, jak niezawodnie powlecze patyną wieku dzieła cenne, tem bardziej czi godne, im dłuższą próbę czasu przetrwały. Weźmy chwilę bieżącą. Czemże jest dla nas spirytyzm, okultyzm, mesmeryzm, sanskryt, zagadnienie płci, naturyzm, futuryzm, psychologizm, estetyzm, a nawet socyalizm, anarchizm czy bandytyzm?

Całe nasze obecne życie narodowe rozwija się pod jednym znakiem, pod znakiem owych trzech płomienistych liter: *lud*, które paliły się na chorągwi zbrojnego rycerza po skonie ofiarnym Anhellego. A znak ów nie dzisiaj ma datę. Czy literatura nie dosyć na to dostarczyła dokumentów? Ponowne wydania popularne „Budnika“ Kraszewskiego zaliczyły go do najcenniejszych dzieł tego pisarza, „Nad Niemnem“ Orzeszkowej uznano za epos narodowe, „Placówka“ Prusa zdobywa kilka wydań, Reymont nie stworzył większego nad „Chłopów“, pierwsze tomy „Na skalnem Podhalu“ zdobyły czytający ogół dla Tetmajera w wyższym stopniu, niż jego poezye, „Pana Balcera w Brazylii“ zestawia krytyka z „Panem Tadeuszem“, jednym słowem, dzieła o ludzie pną się na najwyższy szczebel sławy i poczytności. Ale lud — to także wieś. Łatwo zauważyć u nas szczególne, niezwykle zainteresowanie się wsią. Takie istniało przed rokiem 1820 z czysto artystycznych pobudek, między rokiem 1850 — 1860 z pobudek narodowych, po roku 1880 wskutek politycznych konjunktur pozytywistów i stańczyków, a oto obecnie fala znowu wraca, gdyż lud coraz tłumniej wciska się w życie narodu, a inteligencya, przesycona i zdeenerwowana wirowym obrotem wielkomiejskiego skrzyżowania, szuka wsi... Zjawiają się raz wraz piękne o wsi prace: Konopnickiej „Krajobraz polski“, jedno z arcydzieł opisowych, podobne do „Pieśni o ziemi naszej“ Pola, dało szczęśliwy początek. Dzieła Hupki i Jana Popiela przedrukowują się i szeroko przez krytykę a chlubnie omawiają, miesięcznik K. Laskowskiego „Wieś polska“, prawdziwy klejnot ilustrowanych polskich wydawnictw, czyni w każdym swym zeszytu coraz nowe odkrycia skarbów wsi polskiej, chwytła się przez polskiego czytelnika skwapliwie, ogląda

się z zachwytem, a odkłada z westchnieniem, że niema więcej. Myśmy byli i jeszcze przez długie lata będziemy rolniczym narodem; nasza dusza urobiła się podług warunków, jakie zapewniły jej: ziemia, klimat, rodzaj pracy, od mnogich wieków ją kształtujące. We wsi nasza nadzieja, nasza przyszłość. Skoro więc budzi się, wkracza w sferę zbiorowego życia narodu na całym niemal obszarze Polski, to dla inteligencji, dla artystów, dla polityków, dla przodowników narodu widok niezmiernie interesujący, to — zdawałoby się źródło podniet i bodźców płodne i potężne. A to, że w Londynie odkryje się nowa masońska loża Energetyków, że w Paryżu do tysiąca dawnych dawnych prądzików przybędzie jeszcze jeden, apostołowany przez autora „Mort de Quelqu'un,“ co nas to obchodzi? Co nam do Hekuby? Niech sobie „ludzie i bogi szaleją,“ my—jak to kiedyś w jednej z „Mieszanin“ ślicznie Sienkiewicz powiedział — „mamy swoje dogmaty, swój ideał takiego blasku i majestatu, tak święty i ukochany namiętnie, że gdy w niedoli osobistej, w zawodach i rozczarowaniach prywatnego życia w umęczeniu codziennem myśli wróci się ku niemu, to człowiekowi się zdaje, że jego własne gorycze maleją— i zapomina o nich i płakać mu się chce, i w końcu zdaje mu się, że lepszy jest, że już wniebowzięty, odkupiony i zbawiony.“¹⁾

Ale wieś—to nietylko lud. To także szlachta polska. Mogą się różni nowi prorocy krzywić, mogą nawet ku swej radości cytować różne statystyczne cyfry, lecz faktu nic nie zmieni. Wieś — to także polska szlachta. Sześćdziesiąt pięć lat temu Słowacki na wołanie Krasińskiego: „z szlachtą polską polski lud,“ odpowiedział pogardliwie: „Dziś jednemu znał szlacheca“ i ten „Poszedł gnąć między królami.“ Słowacki się pomylił w rachubie, bo oto w trzy pokolenia po strasznem jego obliczeniu mamy szlachtę zdrową, silną, pracującą, żywotności i dobrej woli pełną. I oto mamy całe grono szlachty w „Wirach.“ Mamy wieś polską i na tle tej cudnej wsi grono szlacheckie. Władysław Krzycki — natura niezbyt głęboka; studia wyższe skończył, lecz „łacinę posiał na polach Jastrzębia i *nie weszła*,” jednak gospodaruje dobrze w Jastrzębiu. Nie był ani bardzo religijny ani pobożny, należał do kategorii ludzi, zachowujących przykład chodzenia w niedzielę na mszę, jak zwyczaj jedzenia co rano śniadania, ubierania się we frak na wieczory lub noszenia rękawiczek.²⁾ Istniały jednak

¹⁾ „Mieszaniny literacko-artystyczne“ w Niwie, z powodu Alfonsa Dau-deta „Królowie na wygnaniu.“ ²⁾ 88 t. I, 76 t. II.

rzeczy, które obok Jastrzębia ogromnie go obchodziły: obchodził go kraj, jego przyszłość, wszelkie wypadki, które mogły na tę przyszłość wpłynąć, obchodziły kobiety i miłość. Był „przystojny do obrzydliwości“ podług słów Grońskiego, miał szczęście u kobiet i nadzwyczajnym skrupulatem nie był. Był dwudziest siedmioletnim zdrowym szlachcicem ¹⁾, doskonale strzelającym z flinty, rozmiłowanym w gospodarstwie, ale — co o wiele ważniejsza — o humanitarnych i nieciasnych poglądach na swe zadania społeczne. Założył tajną szkołę dla ludu w Jastrzębiu, bo „tak mu kazało sumienie“ ²⁾, cieszy się że zmarły kuzyn zapisał duży majątek na szkołę rolniczą i ma dla kuzyna tem większy szacunek ³⁾, a kiedy na umór zakochany w pannie Anney dowiadyuje się, że to jest Hanka Skibianka, którą niegdyś pozbawił niewinności, doznał wprawdzie poczucia rozczarowania, ale gdy przyszła refleksya, co powinien uczynić człowiek, który skrzywdził zakochaną w nim dziewczynę, prawie dziecko, a potem spotkał ją pod zmienionem nazwiskiem, postanowił przyjąć następstwa czynu, poszedł z wyznaniem do matki, potem z nią do Hanka i oświadczył się. ⁴⁾ Władysław Krzycki i jego romans podobny do Tadeusza i jego romansu. O wiek starszy Władysław jest psychologicznie głębszy, ma więcej na barkach obowiązków i stał się z tego powodu samodzielniejszy w czynach. Ma zresztą ten sam lęk przed podłością, to samo poczucie honoru, tę samą szczerłość rodzimą i bywa tak samo łasy na Telimeny. Jest to natura zdrowa i czynna, śmiały i krzepki szlachcic wiejski, prawy do kości i bardzo sympatyczny. Co do innych członków grona szlacheckiego, to ci są nam znani. Bez wątpienia arcyciekawym jest Groński, ale to — mówiąc językiem Sienkiewicza — ptak z tego gaju, co Płoszowski; Dołhański i Świdnicki też nam nie obcy, a nawet wszystkie trzy kobiety: Krzycka, Zofia Otocka i Marynia Zbyłtowska przypominają kreacje dawne Sienkiewicza. Nową jest Hanka Skibianka, nader interesująca postać niegdyś dziewczęcia wiejskiego, młynarzówny, dziś wytwornej w kulturze kobiety, która drażliwość swą w domaganiu się od Krzyckiego czci doprowadza do przeczulonej subtelności, gdy zrywa z nim ułożony już związek za słowa: „jeśli opór jej płynie z obawy, że on później zerwie małżeństwo, to niech wie, że to jest obawa płonna.“ Słowa brutalne, niema co mówić, ale czy nie można było znaleźć na krewkość innego hamulca, nie już aż tak radykalny, żeby mógł za nieszczęście uchodzić. Jednakże to są właśnie „Wi-

¹⁾ Str. 123. ²⁾ I, 230. ³⁾ I, 77. ⁴⁾ II, 128, 130, 175, 243, 244, 268.

ry,“ okres zamętu myśli, uczuć, pojęć i postanowień, wciągający w głąb niedoli nawet najlepszych ludzi. Produktem wirów są dwie postaci: Laskowicz i Polcia, pokojowa Hanki. Obie pracują na katastrofę, t. j. zabicie geniusza muzyki Maryni i zerwanie związku Krzyckiego z Hanką. Dla obu sumieniem jest ich namiętność, wiodąca do występku. Rzecz godna uwagi, że skrajnego socjalistę tak często nasza powieść przyobleka w postać młokosa, noszącego do góry nos i pustą głowę a w swem stronniczem zaciętrzewieniu mało co widzącego poza długością nosa. I tu obok wirów etycznych i towarzyskich w grę wchodzi wiry polityczne. Dokładna charakterystyka różnych stronnictw politycznych dałaby się z częstych politycznych dyskusji wydobyc; ograniczę się do paru dobitnych orzeczeń, najzwięźlejszych określeń.

— Istnieją w tym miłym kraju — mówi Dołhański — i demokraci narodowi, których nie znoszę. jak siódemki treflowej w kartach, ale którzy mają podobno jeśli niemniej spocone, to i niemniej ciężkie pięści od socjalistów.¹⁾

— Ja realista? — pyta Groński — ja do nich nie należę. To są ludzie niegłupi i po większej części dobrej wiary, ale popełniają jeden błąd. Oto wychodzą orać pod wiosenne zasiewy w grudniu, t. j. wówczas, gdy lemiesz nie chwyta zmarzniętej ziemi.²⁾

— Socjalizm — twierdzi dr. Szremski — jest na świecie, więc jest i u nas, lecz z nim idzie razem rozbój, zdziczenie, ślepotą; — przewał się polskim, chociaż czuć go o milę dziegciem.³⁾

Ten sam doktor odkrywa jeszcze jedno stanowisko polityczne, gdy mówi o swym bracie, który nie uważa się za Polaka, tylko za Wołyńca z polską kulturą.⁴⁾ Dr. Szremski zgoła niezwykła postać. Jasno widzi i rozumnie sądzi młodą szlachtę polską. Przyznaje jej dużo zalet, lecz odmawia wytrwałości. Krzycki — wedle niego — pod Somosierrą szarżowałby nie gorzej od Niegolewskich i Koziętulskich, bo dla idei czy uczucia łatwiej mu zginać, niż w nich wytrwać. Oni potrzebują dystrykcji, rozrywek, folgowania sobie. Jeżeli mają odbudować społeczność, to muszą stać się twardzi, uporni, milczący i fachowi. Będzie to przyszłe pokolenie, pod które niedola i niewola od stu lat grunt orzą.⁵⁾ Owóż Szremski podobno wypowiedział kapitalną myśl „Wirów.“

¹⁾ I, 128. ²⁾ I, 179. ³⁾ I, 201. ⁴⁾ II, 206. ⁵⁾ 228—229.

Powieść to w naszych czasach przez swą formę fenomenalna. Czytelnik czuje, że epicka i narracyjna forma dla powieści jedyna. Dzięki jej, może powieściopisarz rozwinąć akcję spokojną, bez gmatwaniny i galwanicznych skoków, bez uniesień i nielogicznego splątania za pomocą lirycznych analiz, „czujących widzeń“ i t. p. wykrętów. Dzięki jej, może powieściopisarz obserwować więcej i szczegółowiej, gdyż uniesienie nie mroczy mu poglądu na figury, któremi operuje i na akcję, nad którą panuje. Epicka metoda pozwala bystro i dokładnie obserwować ludzi. Na twarzy Krzyckiego „odbiło się trochę zakłopotania,“ „ukazał w uśmiechu swoje zdrowe, świecące zęby,“ „rzucił okiem na dyszlowego kasztana, by zobaczyć, czy się nie strychuje“ — i tak dalej i tak na wszystkich patrzy Sienkiewicz ze skupieniem spostrzegawczej uwagi, która pamięta rzeczy główne, lecz nie zapomina o małych, potrzebnych dla wypukłości i dokładności obrazu. Tymczasem ludzie dzisiejszej lirycznej powieści są w gorączce, nie mają chwili na poświęcenie rzeczom codziennym, życie ich pogmatwane wrażeniami jakiejś wielkiej, drażniącej siły, która młotem burzy ich system nerwowy. Ludzie Sienkiewicza są spokojni: myśli ich nie skaczą tygrysimi skokami, lecz płyną logicznym i przejrzystym nurtem. Kiedy na wzorowo epickim opisie pogrzebu Sienkiewicz kończy: wysoki, *jakby przerażony* głos zaintonował *requiem aeternam*, poczem zabrzmiało *pełne ulgi* wieczny odpoczynek, to każdy uczestnik jakiegokolwiek raz chociaż w życiu pogrzebu przypomni i oceni nadzwyczajną trafność obserwacyjnych epitetów. Do tej metody należy również nadawanie odrębnej fizynomii postaciom. W „Wirach“ każdy człowiek inny: Krzycki, Groński, Dołhański, Laskowicz, Rejent, Szremski — wszyscy mają odrębne dusze, sposób myślenia i mówienia. Tymczasem w lirycznej powieści najczęściej cięży na postaciach dusza autora i jej wyrazowa forma.

Epicka i narracyjna metoda udziela powieściopisarzowi czasu na opisy i obrazy. Cudne są opisy majowego nabożeństwa we dworze wiejskim, koncertu Maryni, toku myśli Krzyckiego o miłości, opis jego zmysłowych wzburzeń, onieśmienia i delikatności. Taki obraz, jak rozdział XI t. I, da się chyba porównać z rozśpiewanej wiosny krajobrazem.

Ostatnia tedy powieść Sienkiewicza, jak gdyby z umysłu, przypomina czytelnikom i pisarzom inną metodę powieściopisarską i odmienne od powszechnie kurs mających zadania powieści. Dałyby się one sformułować we wnioski. Popierwsze powieść w wyższym niż dramat stopniu „służy za zwierciadło naturze,

pokazuje cencie własne jej rysy, złości żywy jej obraz, a światu i duchowi wieku postać ich i piętno.“¹⁾

Powtóre nasza powieść w najszcześniejszych chwilach rozwoju była narodową, pokrzepiała ducha narodowego, wlewała nową otuchę, służyła za dzielną broń do dopięcia naszych celów. Potrzebie nawrót jej od zdegenerowania do artystycznej doskonałości i mocy zależy od tego, czy przyjmie metodę epicko-narracyjną zamiast subiektywno-psychologicznej, czy przyjmie względną jedność miejsca, dbałość o artystyczną kompozycję, o wytworność dialogów, o rysunek scen i postaci, o styl i język, na klasycznych wzorach polskich kształcony i wydoskonalony.

ANTONI MAZANOWSKI.

¹⁾ Według Szekspira Wyspiański w studyum o Hamlecie.

KARTKI

z pamiętnika Michała Starzeńskiego

(1757—1795).

XXI.

Powróciłem na Podlasie; miałem zamiar zająć się swymi interesami, ale w tym roku nie było na to czasu. W r. 1783 hrabina wyjeżdżała na kilka miesięcy do Francji i do Holandji. Wróciwszy stamtąd, postanowiła zaprowadzić ład i porządek w swoim starostwie bielskiem. Municypalność miała sobie pozostawioną możność rozporządzania funduszami tak miasta, jako też i sześciu dużych wsi, należących do starostwa, to też kradziono na potęgę. W mieście nie było ani kościoła, ani ratusza, ani bruków. Był to przeważnie los wszystkich małych a nawet i większych miast w kraju. Panowie adwokaci protegowali mieszczan wobec starostów, którzy w rzeczywistości byli kapitanami okręgowymi, landratami, z władzą policyjną świecką i kryminalną. Od r. 1572 wygasła linia królów dziedzicznych w Polsce, która się stała królestwem obieralnem. Od tego czasu zaczęły się zawieruchy elekcyjne, zajęcia kraju przez obce wojska pretendentów, a starostwa rozdawane były przez nowowybranych królów przychylnym stronnikom z nadaniem dożywotnich przywilejów. Przy królach pozostawało dawne prawo sądzenia spraw w ostatniej instancji. Starostowie nie mieli nigdzie jasno oznaczonych przepisów swoich atrybucji, żadnych wskazówek, nie było ministerjum spraw wewnętrznych, któreby w to wejrzało, więc też wy-

konywali zupełnie dowolnie władzę policyjno-kryminalną w grodach, a pozostawili tę czynność policyi cywilnej w miastach.

Hrabina Branicka przedstawiła bratu swemu, królowi Stanisławowi, stan miasta Bielska. Sejm ustanowił Komisye Porządkowe dla całego kraju. Te komisye miały szukać gotowych przychodów miejskich, które miały być przeznaczone na potrzeby miast. Hr. Mokronowski został mianowany prezesem komisji bielskiej, wybierano na członków znakomitsze osobistości z powiatów—i ja miałem zaszczyt być wybranym.

Komisya rozpoczęła czynność swoją w Bielsku. Trzeba było odszukać przychody—wyszły na jaw rozmaite malwersacye municypalności, nie było sposobu, ci panowie musieli przyznać się do winy. Wybrano nowych członków zarządu miejskiego, rozporządzono roboty najpilniejsze: bruki, mosty, pompy i sikawki pożarne, wybudowanie szkoły miejskiej. Hrabina Branicka dała cegłę, a król drzewo budulcowe. Wybudowano kościół, ratusz, sklepy, szkołę. Taka energiczna działalność nie spodobała się ani dawniejszej municypalności, ani panom adwokatom stolicy. Cóż tedy uczynili? Z pomocą wódki, której nie żałowano, zbuntowano chłopów w połowie starostwa bielskiego; potworzyły się małe oddziały, plądrujące po okolicy. Hrabina doniosła o tem swemu królewskiemu bratu, który przysłał dwa szwadrony ułanów, aby ich uspokoiły. Chłopi, wezwawszy na pomoc panów adwokatów warszawskich, doręczyli hrabinie i księciu Stanisławowi Poniatowskiemu, jej bratankowi, pozew i nakaz śledztwa dla rozpoznania krzywdy i pretensyi chłopów, którzy się o dawne przywileje dopominali.

Te przywileje polegały na tem, że mieli prawo zajmować miejsca strażników leśnych oraz strzelców w czasie polowań królewskich i że mieli dostarczać zwierzyny na stół królewski. Lasy, w których to się dziać miało, były już wyrąbane, a ci chłopci sami je rąbali i karczowali i z dawniejszych strzelców pozostawali rolnikami we wsiach, założonych na karczunkach.

Hr. Branicka, widząc się zaplątaną w długi i kosztowny proces, postarała się o zamianowanie mnie w tej komisji; starałem się rozwinąć tu niezwykłą energię i zabiegliwość. Trzeba było wszystko sprawdzać na gruntach, szacować je, ale w końcu sprawa była wygrana.

Ułożono komplanacyę, skutkiem której 800 chłopów zrzekło się dawniejszych przywilejów, nie mających w obecnem położeniu racyi bytu. Zamiast pańszczyzny zobowiązali się składać daninę, odpowiednią do gruntów, jakie zajmowali. Dwa nowe folwarki,

Żywiec i Mochnaty, były rozebrane a raczej zniszczone. Zdaje mi się, że się wywiązałem z zadania honorowo i sumiennie, a jednak pani Branicka nie umiała tego ocenić. Odpląciła mi się niewdzięcznością w niektórych okolicznościach późniejszych, kiedy się do jej wstawiennictwa odwoływałem.

XXII.

Zgromadziwszy sumę posagową mojej żony i dochód paroltni z gospodarstwa, miałem już zbierany swój własny kapitał, umieszczony u Teppera. Z nauk pana Bortz'a w Lipsku zapamiętałem, że cała podstawa handlu zależy na tem, żeby towar kupować z pierwszej ręki, a odprzedawać samym konsumentom; posłałem swojego komisanta tu odemnie z Podlasia, przez Mohylów nad Dniestrem do Chocimia, Bender, Oczakowa dla kupna wołów, buhajów i kilku pięknych koni tureckich. Komisant dobrze się sprawił. Zarobiłem na wołach sto procent, to też, żeby tak szczęśliwemu handlowi dać ciąg dalszy, postanowiłem sam pojechać do Dubna, ażeby się tam ułożyć z kuzynem moim, hr. Walerjanem Dzieduszyckim. Po drodze nie mogłem nie wstąpić do Olejowa, ażeby odwiedzić moich rodziców. Matkę zastałem chorą, a ojca powracającego do zdrowia po jakiejś cięższej chorobie, jeszcze osłabionego i bardzo smutnego. Zawiadomiono go, że ostatnie jego starania o wniesienie do ksiąg tabulacyjnych sumy pożyczonej ks. Radziwiłłowi na Sasów spełzły na niczem; że ks. Radziwiłłowa robi starania we Lwowie o otrzymanie wyroku Trybunału, na mocy którego ojciec mój ma być odsunięty od tej własności, którą ona obejmuje, ażeby pobierać 48,000 złp., jako alimentu. Komisarz ojca, niewdzięczny p. Łącki, opuścił go i zgodził się do zarządu Brodów, należących do hr. Wincentego Potockiego.

— Mój kochany synu,—mówił do mnie ojciec—lękam się bardzo, że cały ten gmach mojej fortuny, z takim trudem i pracą nabytej, runie, gdy zamknę oczy, co prawdopodobnie niedługo nastąpi. Ale ja śmierci się nie lękam, jestem na nią przygotowany.

Starałem się całemi siłami uspokoić ojca co do jego interesów w Galicyi i to mi się po części udało.

— Ale —rzekł jeszcze ojciec—i o twój los także nie jestem zupełnie spokojny, miałem dziwne sny.

Tu opowiedział mi jeden, który zrobił na nim niczem niezatarte wrażenie. Znajdował się na brzegu ogromnej przestrzeni

pola, to pole było nie skoszone, nie uprawione. Będąc na pewnym wywyższeniu, widział na tem polu ogromne tłumy bijących się ludzi, którzy z wielką zawziętością chcieli jedni drugich pokonać. Tłum bijących się z wolna zbliżał się do pagórka, na którym stał mój ojciec. Wtedy ujrzał człowieka nadzwyczajnej wielkości i siły, który długą kosą kosił głowy ludzkie i trawy. Wszystko znikło.

— Kochany ojcie—rzekłem—całą tego snu przyczyną musiała być poprzednia bezsenność, zmęczenie, może niestrawność jaka.

— To być może, jednakże ty mnie najlepiej znasz, przecie nigdy w żadne przepowiednie ani sny nie wierzyłem, ale przeżywszy pięćdziesiąt lat w naszej nieszczęsnej ojczyźnie, przeczuwam, co ją jeszcze czeka. To pole stanie się teatrem wojny, spowodowanej ambycją i chciwością ościennych sąsiadów. Pagórek, na którym stałem, jest miejscem, gdzie chcę być pochowanym, jak to napisałem w testamencie, który na wszelki wypadek zrobiłem.

Byłem bardzo wzruszony. Ojciec kazał sobie podać dwie już wpieryw przygotowane paczki.

— To są dla ciebie pamiątki. Chowałem je bardzo starannie, żeby ci je doręczyć. — W jednej jest złota emaliowana z herbem ładownica z jedenastoma nabojami, dwunastego niema, jeden raz tylko strzelałem do człowieka, broniąc życia mojego dobroczyńcy, hr. Branickiego. Nie miałem z ludźmi zatargów żadnych, więc też pełne pozostały. W drugiej paczce jest skóra z lamparta, którą nosiłem przewieszoną przez ramię, służąc w kirasyerach kawaleryi narodowej, myślę, że dobra będzie na siodło dla ciebie.

Oddając mi te rzeczy, dodał jeszcze:

— Weźmiesz z sobą te dwie pamiątki, a gdyby ci wypadło brać udział w wojnie, która niezawodnie nadejdzie, to użyj ich i pamiętaj, że błogostawieństwo ojca będzie z tobą.

XXIII.

Wróciwszy do Strabli na wiosnę roku 1786, musiałem się zająć miejscowymi interesami ekonomicznymi. Wśród tych zajęć doszły mnie wieści z Warszawy o jednej historyi, która tam ogromnego hałasu narobiła i miała nawet fatalny wpływ na przyszłość. Pewna awanturnica, kokiетка w całym znaczeniu tego słowa wyszła za dymisyonowanego oficera rosyjskiego, kurciarza,

nazwiskiem Dugrumow, mieszkała w Warszawie, utrzymywaną będąc przez nie wiem już kogo; kronika skandaliczna mówi, że udzielała łask swoich wielu najznakomitszym dygnitarzom warszawskim, że wydawała bardzo swobodne i wesołe wieczory.

Książę Adam Czartoryski, będąc jednym z najpiękniej wychowanych, najprzyjemniejszym z panów nietylko w Polsce, ale może nawet w całej Europie, używał życia w bardzo szlachetny sposób i może nie byłby chętnie zamienił swojej swobody na ciernie królewskiej korony. Nie tego jednak byli zdania ci, co go bliżej otaczali i jemu schlebiali. Król powierzył mu dyrekcję szkoły kadetów. Był także szefem regimentu gwardyi. Uważanym był przez króla, jako brat ukochany; ale musiała się wmieścić intryga, ażeby wnieść kwasy i nieporozumienie pomiędzy tymi blizkimi krewnymi. Księciu Czartoryskiemu donoszono, że jest otoczony szpiegami, że życiu jego zagraża niebezpieczeństwo. Króla znów przestrzegano, żeby się miał na baczności, że książę Adam formuje sobie partyę, która już jest bardzo silna, że dni jego są policzone. Pani Dugrumowa, przyrzekła agentom królewskim, a także znów i zaufanym księcia Adama, że dostarczy i jednym i drugim dowodów zdrady i przekonywała ich, że ona jedna uczynić to zdoła. Bardzo być może, że jak z jednej, tak z drugiej strony brała tymczasem pieniądze na swoje wykwintne utrzymanie i na potrzeby swego męża. W tych to okolicznościach przybliżał się czas sejmu w Grodnie; jego królewska mość miał przejeżdżać przez Białystok i zatrzymać się tam dni kilka. Byłem wówczas w Warszawie dla załatwienia kilku sprawunków toaletowych i zrobienia trochę zapasów do domu. Król szykował się do drogi. Hrabina Branicka prosiła mnie, żebym w wyjeździe przedził go o kilka godzin. Co też uczyniłem.

Jego królewska mość wjeżdżał do białostockiego pałacu przy świetle wielu pochodni. Artylerya witała go salwami. Na drugi dzień miałem sposobność zauważyć, że był zaprowadzony ścisły nadzór wojskowy nad tymi wszystkimi, co przybywali dla złożenia czołobitności monarsze. Byłem świadkiem obaw i niespokojności oficerów, którzy otaczali króla. On zaś z największą swobodą używał przygotowanych dla siebie przyjemności, pojechał do Choroszczy, gdzie brał udział w polowaniu na wilki. Polowanie udało się szczęśliwie. Następnie wraz z siostrą, hr. Branicką, wyjechał do Grodna. Ja zaś wróciłem do Strabli, bardzo zadowolony, że sejmu tego uniknąłem. Wróciłem więc do domu i mogłem spokojnie zastanowić się nad dwoma upominkami ojca i jego przepowiedniami.

XXIV.

W ciągu lata w 1786 roku ojca mego spotkała wielka niesprawiedliwość. Z Trybunału lwowskiego doręczono rozkaz komornikowi Niewęgłowskiemu, ażeby wprowadził księżną Radziwiłłową w posiadanie majątku Sasowa, ponieważ ten majątek jest wolny i należy do księcia Radziwiłła. Trzech dzierżawców mego ojca wyrzucono, jednego z folwarku, drugiego z fabryki żelaza, trzeciego z huty szklanej. Gorliwy komornik zasekwstrował wszystko. Ojciec był chory. Przez kilka tygodni ukrywano przed nim to nieszczęście. Nareszcie zawiadomiono go o wszystkim. Przyjął wieść spokojnie i zabrał się zaraz do przerobienia testamentu; zresztą zajęty był naradami ze stolarzem i innymi majstrami; przygotowywał wszystko do swojego pogrzebu. Moja bratowa, żona Stasia, pielęgnowała go i rozrywała. Nie pozwolił donieść mi o tych kłopotach. Urządziwszy, przewidziawszy wszystko, w gruncie rzeczy mało go obchodził Sasów, którego nabycie nie było ratyfikowane w Wiedniu. Był pewnym, że kiedyś te 300,000 zł. oddadzą, gdyż były zahipotekowane podług prawa polskiego od 1747 roku przez ojca księcia Karola Radziwiłła.

W tych czasach właśnie wybuchła awantura Dugrumowej. Kamerdyner królewski, Francuz, Ryx, zostawszy starostą piaseczyńskim, miał sobie polecone od generała ze świty królewskiej, Komarzewskiego, ażeby utrzymywał stosunki z Dugrumową, która mu obiecywała solennie dostarczyć dowodów zamachu na życie króla, przygotowanego przez księcia Czartoryskiego. Anglik, Taylor, na wpół waryat, był upoważniony ze strony księcia Adama do śledzenia Ryxa. Taylor, niecierpliwie wyczekujący chwili okazania swojej gorliwości, uprzedzony przez Dugrumową o godzinie, w której przyjść mieli Ryx z Komarzewskim, ukryli się wraz z hr. Stanisławem Potockim, jednym z serdeczniejszych przyjaciół księcia Adama, w gabinecie Dugrumowej. Nie wiedząc o tem, wchodzą Ryx z Komarzewskim, pierwszy śpiewając jakąś piosenkę. Dugrumowa do niego mówi: „Chciałeś pan dowodów, teraz je mam w rękę“ — i pokazuje mu jakiś papier. Francuz woła: „Bravo, bravo, niech cię moja piękna uściskam.“ Drzwi od gabinetu się otwierają, wyskakuje Taylor, chwyta go za kołnierz, a grożąc mu pistoletem, zmusza wsiąść do swego powozu i wiezie wprost na policyę do aresztu. Wszystko to w biały dzień. Wielkie więc zamieszanie, zdwojone strażę, wzmocnio-

ne posterunki nocne. Na drugi dzień Rada Nieustająca mianuje komisję dla osądzenia tej sprawy, sesye były naprzemian już to publiczne, już to przy drzwiach zamkniętych. Rezultatem tego wszystkiego było, że wykryto krzyżową intrygę. Dobry król nie chciał ukarania surowego winnych. Wszystko się skrupiło na Dugrumowej. Skutkiem wyroku skazana była na różgi, piętnowanie i zesłanie pod eskortą do więzienia w Gdańsku. Taylorowi kazano wyjechać z kraju, a inni chwilowo się ulotnili, ażeby znów przy sposobności na jaw wypłynąć. ¹⁾

Ta historia doszła do wiadomości cesarzowej Katarzyny, która wraz z cesarzem Józefem II ułożyła projekt rozbioru Turcyi. Tak ze strony Rosyi, jak i Austryi, zaczęto robić olbrzymie przygotowania we wszystkich najdalszych prowincjach obu monarchii. W Austryi Dunajem miało płynąć wojsko, broń, amunicya, zapasy, a Rosya miała wszelkie ułatwienie niespodziewanego napadu na Turcyę. Cesarzowa Katarzyna pod pozorem zwiedzenia południowych prowincyi zaprosiła cesarza Józefa na zjazd do Kaniowa. Było to na gruncie polskim starostwo, należące do synowca królewskiego, księcia Stanisława Poniatowskiego.

Znalazszy się przypadkiem podówczas w Warszawie, stanąłem u dobrego znajomego, hr. Antoniego Dzieduszyckiego, który był sekretarzem kancelaryi królewskiej i dyrektorem poczt. Widziałem więc ogromne przygotowania do podróży króla i że się agituje kwestya wyboru osób, które monarsze towarzyszyć będą. Można sobie wyobrazić, że liczba amatorów była wielka. Sposobność uczestniczenia we wszystkich projektowanych fetach i festynach nęciła ogromnie. Myślę, że nie miałbym wielkich trudności być pomieszczonym w świcie króla. Wszystkie te projekta były zniweczone depeszą, przyslaną sztafetą przez hr. Stackelberga, ministra dworu cesarzowej. Pytał się w niej króla, kogo zamierza z sobą wziąć do Kaniowa, prosił o listę osób, gdyż osoby, wplątane w proces i sprawę Dugrumowej, wyłączone być powinny. Mieszkając u hr. Antoniego Dzieduszyckiego, miałem sposobność widzieć panów magnatów, którzy gotowi byli znieść najprzykrzejsze upokorzenia, ażeby tylko być pomieszczonymi na liście, a gdy to nie pomogło, sinieli ze złości.

Król, nie mając już dosyć czasu na uspokojenie cesarzowej i wytłómaczenie całej historyi, wyruszył z mniejszym dworem.

¹⁾ O głośnej sprawie Maryi Dugrumowej pisał Al. Kraushar w „Drobiazgach historycznych,” t. I (1891).

Był więc zjazd monarchów w Kaniowie, po którym król powrócił rozpromieniony rozmaitemi nadziejami, i ci wszyscy, co z nim byli, również uszczęśliwieni. Tajemnica tych wszystkich radości zachowała się dosyć długo; ale kilku magnatów na Rusi, mających jeszcze na sercu rozmaite konfiskaty majątkowe i wywiezienia niespodziane, udało się do Berlina, tam, dostawszy się na dwór Wilhelma Grubego, który nietylko z ministrami radził, ale i ucztował chętnie, doszli po nici do kłębka tak, że tajemnicze konferencye kaniowskie nie były już tajemnicą dla nikogo.

Cesarzowa Katarzyna układała się z cesarzem Józefem II o podział Turcyi. Chcieli to zrobić prędko, od ręki, zapewniwszy sobie neutralność Prus, żeby te czasem, budząc się ze swego letargu, nie rzuciły się na Kurlandę i Inflanty. Litwa proponowała królowi zwołanie sejmu nadzwyczajnego, ażeby ten powołał pod broń 100,000 wojska, z których część mogłaby zająć Mołdawię i Wołoszczyznę i służyć tam za rezerwę, a główny korpus obserwacyjny miał trzymać w szachu króla pruskiego. Sprzymierzeni monarchowie obiecywali naturalnie królowi polskiemu jakąś część zdobyczego kraju.

Król Stanisław tymczasem zajął się stawianiem pomnika królowi Janowi Sobieskiemu na moście na wprost pałacu w Łazienkach. Młodzież skupowała konie, ćwiczyła się w robieniu bronni w maneżach, urządzono karuzel, gonitwy z pierścieniami etc.

Wszystko to, myślę sobie, jest powolnem zbliżaniem się do owego przepowiedzianego przez ojca pola walki. Ja też z mej strony robiłem u siebie małe przygotowania.

Hr. Antoni Dzieduszycki miał właśnie pod pozorem zdrowia wybrać się do Anglii. Zaproponował mi, żebym mu towarzyszył, bardzo mi to dogadzało i już się z nim prawie umówiłem, kiedy przyszła sztafeta zamknięta czarnymi pieczęciami. Matka moja i wuj, jezuita, donosili o śmierci mego ojca d. 14 listopada 1787 r., przesyłali mi egzemplarz aktu, który ojciec pozostawił w dwóch odpisach, przez niego nakreślonych. Matka moja zaklinała mnie, żebym zaraz do niej pospieszył, dla oszczędzenia jej żmartwień i kłopotów.

Otrzymałem tę sztafetę w Warszawie—o podróży do Anglii naturalnie już mowy nie było. Mogłem natomiast rozejrzeć się, co się w świecie politycznym działo.

Turcy uprzedzeni czy przez Anglię, czy przez Prusy, a może i przez Polaków, nie dali się wywieźć w pole pozorami; nie wierzyli więc, że ta podróż do południowych prowincyi cesarsowej, te rewie wojsk, które tam nagromadzono i flotylla na morzu

Czarnem, to tylko dla przyjemności. Rumiancow był w Kijowie w charakterze generał-gubernatora, Suworow stał nad Bohem z korpusem, eskortował swoją monarchinię aż do Połtawy; księżę Potenkin do swojej gubernii taurydzkiej, a Suworow objął dowództwo korpusu chersońskiego i kinburnskiego. Zdaje mi się, że ostateczny plan jeszcze nie był ułożony z cesarzem Józefem, gdzie kto rozpocznie kroki wojenne, gdy tymczasem w ciągu lata 1787 r. Turcy niespodzianie uprzedzili te zamiary i bez wypowiedzenia wojny wylądowali w Kinburn. Cesarz Józef II ze swej strony przygotował duży oddział artylerji i kawaleryi oraz flotyllę dla zajęcia Belgradu. Zabezpieczono tam sobie przez Żydów i Armeńczyków pewne w mieście stosunki. Plan zajęcia szybko tej fortecy, której nie można było za sobą zostawić, był nawet bardzo zręcznie ułożony. Rozmaitym oddziałom wyznaczono punkta zborne, ale flotylla nie przyszła na czas, zabłądziła w drodze i plan się nie udał. Cesarz Józef wyznaczył księcia Sasko-Koburskiego do działania wspólnego z Rosyą w Mołdawii i Wołoszczyźnie, a sam przygotowywał się do opuszczenia Wiednia i udania się do Zemunia (Semlin), punktu zbornego wszystkich oddziałów.

A więc nie było czasu do stracenia. Zamiast udać się do Galicyi, wyruszyłem wprost do Wiednia. Wiedziano już powszechnie, że cesarz się wybiera i że mu towarzyszyć będzie feldmarszałek de Lascy. Miałem przed sobą około siedmiu do ośmiu dni czasu. Ojciec mój miał w Wiedniu do swoich interesów agenta nazwiskiem Schnetter, był on jednocześnie jednym z 12 agentów Wielkiej Rady Państwa. Nie można było podać próśby ani do Wielkiej Rady, ani do samego cesarza bez pośrednictwa tegoż agenta. Miał on ze czterdzieści procesów galicyjskich, drugie tyle czeskich, oprócz takiejże liczby komisji wojennych. Udałem się do niego w tej kwestyi, ale zaraz się przekonałem, że pomimo ogromnej masy aktów, do sprawy mego ojca należących, Schnetter nie miał najmniejszego pojęcia o tym interesie. Powiedział mi tylko stanowczo, że sprawa jest najzupełniej przegrana, gdyż był na nią wyrok wydany i podpisany przez samego cesarza i rozporządzenie przesłane do Rady Państwa o natychmiastowe wykonanie. Roześmiałem mu się w nos i zostawiłem go ze wszystkimi aktami, a sam znalazłem sobie innego agenta nie tak bardzo obciążonego sprawami, który wyszukał kopię rozkazu cesarza. Było tam powiedziane:

„Wyznaczona księżnie Karolowej Radziwiłłowej suma alimentarna 12,000 guldenów ma być podniesiona z dóbr księcia

Radziwiłła, umieszczonych w Galicyi. Rada Państwa ma przesłać rozporządzenie Trybunałowi lwowskiemu, ażeby zasekwestrował majątki księcia, wolne od długów. Gdyby na których znajdowały się poprzednie zobowiązania, w takim razie rozkazuję sprzedaż tych dóbr, a przewyżka ze sprzedaży będzie oddana księżnej.“

Można sobie wyobrazić radość moją, skoro miałem już w ręku zalegalizowaną kopię tego dokumentu. Widocznem się okazało, że zatajono drugą połowę cesarskiego reskryptu. Dzięki równej znajomości łaciny jak niemieckiego języka, w obydwóch tych językach napisałem treściwy referat tej sprawy. Mówiłem tam, że: „Ojciec mój, dowiedziawszy się o wyroku doręczonym i egzekwowanym przez Trybunał, a mającym być nadesłanym przez Radę Państwa, a podpisanym przez Najjaśniejszego Cesarza, ze zmartwienia życie zakończył. Że przed śmiercią polecił mnie, ażebym przybył z Warszawy do Wiednia i tu sam się przekonał, czy to prawda, że jemu taka niesprawiedliwość wyrządzoną była. Że przybyłem i przekonałem się, iż rozkaz Waszej Cesarskiej Mości, którego kopię autentyczną mam przy sobie, jest najjawniejszym dowodem Jego wysokiej sprawiedliwości, ale że czy skutkiem intrygi, czy też nieuwagi był wykonany tylko w pierwszej części, a druga pominięta została i że wskutek tego majątek Sasów, prawnie nabyty, odebrany mu został.“ Wspomniałem także, że brat mój służy w szeregach wojsk jego cesarskiej mości.

Cesarz Józef II, referat mój przeczytawszy, spojrział mi bystro w oczy.

— Jaki mundur pan nosisz?

— Gwardyi narodowej.

— Chcesz pan wstąpić do mojej służby?

— Mogę również służyć waszej cesarskiej mości, pozostając tam, gdzie jestem, jeżeli zjazd kaniowski przyniesie pożądane skutki.

Cesarz wziął raz jeszcze mój referat do ręki.

— Referat pana nie jest podpisany przez żadnego agenta.

— W razach nadzwyczajnych trzeba używać i nadzwyczajnych środków. Blizki wyjazd waszej cesarskiej mości nie dozwolił mi spełnić wszelkich formalności.

— Bądź pan spokojny, szybka sprawiedliwość wymierzona panu będzie.

Zaledwie wróciłem do siebie do hotelu, stałem na Grabenie, zajęddza powóz; był to hrabia Clary, wiceprezes Rady Państwa. Skoro wszedł, powiedział zaraz:

— Przybywam tu z rozkazu jego cesarskiej mości. Pan hrabia przedstawiłeś podanie?

— Tak, panie prezesie.

— Czy to podanie pan hrabia sam pisał?

— Tak jest, sam je pisałem.

— Nikt je panu nie dyktował?

— Dyktował mi tylko żal zranionego serca. Przed tygodniem umarł mój ojciec, a to jego testament.

— Czy masz pan papiery odnoszące się do sprawy ojca pańskiego?

— Mam je wszystkie. Oto są.

W przeciągu kwadransa przejrzał papiery i przekonał się, że wszystko, co mówiłem, było prawdą. Krzywda wyrządzona memu ojcu była jawnem łotrstwem. Hrabia Clary, człowiek już w wieku, przedstawiał typ bardzo szlachetny. Wyras jego twarzy, trochę zrazu surowy, zmiękł znacznie. Po chwili rzekł do mnie:

— Jego cesarska mość polecił mi przybyć tu, do pana hrabiego i rozpatrzyć się w aktach sprawy; jeżeliby znalazł, że tak jest wszystko prawdziwie, mam wrócić do jego cesarskiej mości i wykonać dalsze jego rozkazy. Jestem bardzo szczęśliwy, że mnie najjaśniejszy pan wybrał dla rozwikłania tej historii pełnej nieporozumień, których ojciec pański padł ofiarą. Ażeby panu oszczędzić kłopotów i niepokoju wrócę tu za godzinę z rozporządzeniem cesarskiem, które niewątpliwie będzie, tak jak zawsze, słusznem i rozumnem.

W godzinę był już z powrotem.

— Brzychodzę a zarazem składam panu hrabiemu najszczerze powinszowania szczęśliwego zakończenia sprawy.

Jakże rad byłem takiemu obrotowi rzeczy! Musiałem jeszcze poskładać wizyty tak panu wiceprezesowi, jak wielu innym dygnitarzom, byłem proszony na kilka obiadów, na wieczór do hr. Clary, poczem otrzymawszy kopię nowego rozporządzenia cesarskiego i przekonawszy się, że cesarz kazał wykreślić całą tę czteroletnią sprawę, opuściłem Wiedeń.

XXV.

Wielki Sejm się rozpoczął. Hrabia Małachowski, wielki referendarz, jednomyślnie był obrany marszałkiem Sejmu, książe Sapieha, generał artylerji litewskiej, był takżem marszałkiem

dla Litwy. Sejm zaczynał być burzliwym. Deputowani, przybyli z najdalszych okolic kraju, występowali z rozmaitemi mowami, ażeby się odznaczyć i dać się poznać szerszym kołom. A byli też i milczący obserwatorzy, którzy się tylko uważnie przypatrywali wszystkiemu. Ambasadorowie dworów zagranicznych, przez szpiegów doskonale o wszystkim zawiadomieni, przysposabiali sobie tymczasem stronników dla swoich partyi. Można było łatwo zauważyć, że się przygotowuje jakieś wielkie zamieszanie, ja czułem, że coraz bliżej jestem pola walki, wyśnionego przez mojego ojca. Zewsząd zdaleka dochodziły odgłosy wojenne. We Francyi zbliżała się wielka rewolucya. Co prawda, nie zależało mi bardzo na tem, żeby sobie wyrobić nazwisko historyczne, ale z drugiej strony poczucie honoru i przywiązanie do kraju zatrzymywały mnie przy tem ognisku, gdzie się czuło, że losy ważyć się będą. Moja żona tymczasem, wzywając mnie ciągle do Strabli, przysłała bardzo wygodny powóz do powrotnej podróży i już miałem opuścić Warszawę, ale nie było mi to przeznaczonem.

Będąc w Wiedniu, kupiłem sobie kilka książek w jakimś przewidywaniu, że mogą mi być kiedyś potrzebne. Były to dzieła o nowej organizacyi wojskowej w państwie austryackiem, o ekonomii i administracyi wojskowej, przytem sporo map i planów strategicznych. Kilku posłów mówiło mi raz o konieczności powiększenia armii w Polsce, o sposobie rekrutowania.

— Moi panowie — rzekłem do nich — chcemy mieć wojsko, a nie mamy najelementarniejszego pojęcia o organizacyi cywilnej, o formalnym poborze, o zaopatrywaniu w żywność, broń, amunicyę i podwody. W Wiedniu wątpią zupełnie o możności zorganizowania w Polsce 100,000 armii. Minister Kaunitz kilkakrotnie mi mówił, że nie wierzy w to, żebyśmy temu podolali. Na to odpowiedziałem ministrowi, że widocznie nie zna doniosłości naszego patryotyzmu, i co naród zrobić może.

Otóż skutkiem tych rozmów było, że mi zaproponowano zrobienie projektu nowej organizacyi. Napisałem więc i wydrukowanem to zostało pod tytułem „Komisye cywilno-wojskowe,“ a następnie podane marszałkowi Sejmu. W każdym mieście powiatowem ma się znajdować dwóch komisarzy, cywilny i wojskowy, ma być biuro, a ta mała komisya ma być zależną od wielkiej Rady Wojskowej w Warszawie. Do niej należeć powinno zajęcie się stanem czynnym wojsk, poborem i zużytkowaniem żołnierza. Komisya ma także mieć dozór nad czynnością policyjną w powiecie, oraz zapobiegać i łagodzić nieporozumienia pomiędzy żołnierzami a włościanami, mieszczanami i szlachtą.

Nie była to, co prawda, wielka zasługa—naśladowanie austriackich Kreishauptmannów oraz pruskich Landratów, ale z drugiej strony był obowiązek przypomnieć narodowi, niby to odrodzonemu w latach 1764 i 1768, że zapomniano o najgłówniejszej rzeczy. Były całe legiony sędziów, adwokatów, trybunałów, nie było nigdzie żadnej władzy cywilnej dla pilnowania spokoju i porządku.

Projekt ten, pochwycony skwapliwie, był przedmiotem rozpraw i komentarzy i zaraz zamieniony w prawo. Sformowano listę nowych członków Komisji wojennej i kiedy się tego najmniej spodziewałem, przygotowując się do wyjazdu, przybyło kilkunastu deputowanych, winszując mi, że był 300 głosami wybrany na komisarza w Komisji wojennej. Nie było innej rady, jak poddanie się konieczności. Musiałem ubrać się w mundur, stawić w Sejmie, złożyć przysięgę i ucałować rękę królewską.¹⁾

Do utworzenia Komisji wojny powołano najpierw czterech hetmanów i osiemnastu komisarzy, z których wystarczało sześciu do kompletu rady. Wprowadzenie w ruch i zorganizowanie całej komisji wydawało mi się rzeczą bardzo łatwą. *Ne te terreat ullus labor, incipe, quiesce et perficies opus.* To *quiesce* mogło nastąpić i w mojem przewidywaniu przedstawiało mi się pełno przyjemnych rozrywek stolicy, która weszła w fazę świetnej okazałości—mogłem też robić sobie obserwacje o ruchliwym społeczeństwie.

Nie długo trwały moje illuzye. Postarałem się zasięgnąć języka co do członków przyszłej komisji, z którymi miałem zasiadać. Szczegóły osobiste nie o wszystkich były zadawalające. Byli to przeważnie ludzie lekkomyślni, lubiący się bawić, pić, ucztować i grać w karty, a zaledwie trzech czy czterech sumiennych pracowników, na których pomoc rachować mogłem.

Na pierwszej zaraz sesji wielki hetman Branicki, przemówiwszy do wszystkich, zwrócił się do mnie, oddał mi pióro, wielką księgę i dziennik.

A więc bywajcie zdrowe obserwacje społeczne, rozrywki i *quiesce!* Wciągnąłem do księgi akt otwarcia działań Komisji, następnie prezes i moi koledzy wyszli, ażeby się udać na posiedzenie sejmowe, a ja zostałem sam z moim dziennikiem.

Na drugi dzień druga sesya. Ponieważ trzeba było coś przedsięwziąć, coś zrobić, przygotowałem kilka projektów. Był tam

¹⁾ O tej „Komisji Wojska Rzplitej Obojga Narodów“ i czynnościach w niej M. Starzeńskiego p. Korzon: „Wewn. dzieje,“ V, 31 sq.

raport do marszałków Sejmu, zawiadomienie dla wojska, rozkaz do zakomunikowania pułkom, ażeby złożono przysięgę posłuszeństwa i wierności Sejmowi, marszałkom i Komisji, oraz żądanie, ażeby dostarczonem było Komisji sprawozdanie szczegółowe o stanie i rozlokowaniu wszystkich wojsk w kraju. Wszystkie te wnioski przyjęto, a ja się zająłem rozesłaniem raportów, gdzie należało. Kilkunastu młodych ludzi, należących do składu biura, wyprawiono, jako kuryerów, na prowincję.

Sesye odbywały się codziennie. Zaczęły napływać z różnych stron skargi, likwidacye, wyroki sądów wojskowych. Zrobiłem wniosek o utworzenie organizacyi wewnętrznej pomiędzy osiemnastoma członkami, którzyby się podjęli być sprawozdawcami z rozmaitych gałęzi. Projekt został przyjęty, papiery odpowiednie każdemu wydano. Cóż, kiedy dwóch tylko spełniło to, co do nich należało — Dembowski i Czapski, pułkownik — inni ani papierów, ani raportów żadnych nie zwrócili. Organizacya ta upadła.

Pracę miałem okrutną. Z tymi dwoma kolegami, pracując ciągle, zawarłem bliższą znajomość i przyjaźń. Urządzaliśmy sobie nasze małe sesye. Wciągnęliśmy do naszego kółka kilku zasłużonych oficerów, kilku inżynierów artyleryi i dzięki im sprawy Komisji wojennej posuwały się naprzód. Zaproponowaliśmy marszałkom Sejmu, ażeby nam było pozwolonem zawezwanie po dwóch oficerów z każdej armii, z wojska koronnego i litewskiego, z artyleryi, kawaleryi lekkiej i narodowej, oraz z artyleryi litewskiej. Zeby oficerowie ci, jako sprawozdawcy, mieli głos doradczy, ażeby za to otrzymywali jaką niewielką gratyfikacyę i mieli nadzieję awansu.

Oficerowie przybyli i rozpoczęły się szybkie i dokładne prace Komisji. Hr. Małachowski, marszałek Sejmu, przyjmował wszystkie wnioski Komisji wojennej, a dzięki jemu wnioski te otrzymywały zawsze większość głosów; przyznać trzeba, że Komisya żądała zawsze tylko tego, co dla dobra wojska było potrzebnem, to też miała wielki mir u patriotów.

Sejm uchwalił jednogłośnie sformowanie 100,000 wojska. Trzeba je było stworzyć. Były w Sejmie rozprawy nad unormowaniem stosunku artyleryi, kawaleryi i liniowego wojska. Rozprawy te przeciągały się do nieskończoności. Nareszcie uradzono, że Komisya wojenna się tem zajmie. Komisya oddała tę sprawę do mojej decyzji. Urządziłem właśnie mały komitet, złożony z sanych oficerów i ten był pod moją dyrekecyą. Bardzo mi się szczęśliwie udało, że do tego komitetu zaprosiłem dowódcę batalionu strzelców, Cichockiego. Ten Cichocki był istotnie

genialnym pod względem znajomości teoretycznych sztuki wojskowej. Był wychowany w Dreźnie, hr. Brühl oddał go do szkoły wojskowej i następnie doszedł do stopnia pułkownika. Ożenił się z bardzo piękną panną Abselowicz, ale małżeństwo nie było szczęśliwe, rozeszło się formalnie. Był on niezmiernie czynny, pracowity, ciągle zajęty, tylko żywość nadzwyczajną trzeba było czasem poskramiać.

Dołożywszy usilnych starań, ukończyliśmy w krótkim stosunkowo czasie projekt sformowania 100,000 wojska. Polecono nam następnie zrobienie projektu na 60,000. Projekt przyznano. Szło tylko o wynalezienie funduszu. Podatki były ustanowione względnie do 24,000 wojska w r. 1768. Jeszcze z tych sum nie można było odrazu dojść rachunku. Trzeba się w tem było rozpoznać.

XXVI.

Komisye powiatowe już się pozawiazywały; było ich przeszło sto. Przez te komisye mieliśmy już pewne statystyczne wiadomości z województw i powiatów. Zaprowadzały one zgodę i pewien porządek pomiędzy żołnierzami, przyzwyczajonymi dowolnie ściągać z ludności zboże, siano, podwoły, a pokrzywdzonym ziemiaństwem. Na prędcie ustanowiono zdwojony podatek i wysłano komisarzy dla rozpatrzenia się w dochodach starostw, ale ci komisarze jakoś długo nie wracali.

Należałem do grona tych kilku członków Komisyi, którzy wynaleźli nowy sposób powiększenia kawaleryi. Mieliśmy w Polsce 96, a w Litwie 32 szwadrony kawaleryi, każdy szwadron liczący 22 ludzi. Byli to tak samo ułani i huzarzy, jak i ci, którzy przez kilka wieków wysoko sztandar P'olski trzymali i za czasów Jana Sobieskiego Wiedeń obronili. Kawalerya ta z biegiem czasów znacznie umniejszoną została, szczególnie ustawą roku 1717. Jednakże zachowała tradycyjną dzielność, dumę i odwagę. Sam król był pułkownikiem. Najbardziej elegancka młodzież starała się o honor otrzymania stopnia i noszenia munduru kawaleryi narodowej. Szwadrony komenderowane przez rotmistrzów trzymały straż wzdłuż granic kraju.

Przygotowywano po trochu umysł, a jednego pięknego dnia wyszło prawo, które nakazywało 128 rotmistrzom powiększenie w ciągu sześciu miesięcy każdego szwadronu do liczby 150 *swoim*

kosztem, pod utratą stopnia. Komisya wojenna miała sobie poleczone dopilnowanie wykonanie tego prawa, przytem było powiedziane, że skoro szwadron już zostanie sformowany i umundurowany, będzie wypłacona kapitanowi suma 27,000 złp. na utrzymanie tegoż szwadronu. Czy uwierzyłyby kto w możność wykonania takiego planu w każdym innym kraju? Zagraniczni posłowie i spektatorzy zebrali sejmowych uśmiechali się pogardliwie; niektórzy członkowie mojego małego komitetu, Sasi, Prusacy i Niemcy przepowiadali mi ogromną kompromitację, mówiąc, że nic z tego nie będzie. Jeden nawet książę krwi królewskiej zawyrokował głośno w Sejmie, że jeżeliby coś z tego było, to tylko licha zbieranina. A tu tymczasem Komisya wojenna przez cztery tygodnie codziennie zajęta była przyjmowaniem panów rotmistrzów i kapitanów, którzy przybywali dla złożenia przysięgi, odbierania rozkazów, gdzie, w których powiatach wolno im będzie werbować ochotników i skąd mają składać raporta? Było może z dziesięciu takich kapitanów, którzy wymówili się podeszłym wiekiem i ułomnościami, ale przedstawiali na to miejsce zastępców młodych, którzy im jeszcze po kilkaset dukatów dali za usunięcie się z tego posterunku.

Regimenty kawaleryi, dragonów i ułanów otrzymały ten sam rozkaz zapełnienia kadrów swoich szwadronów. Regimenty artyleryi powiększały też swoje szeregi w miarę dopełniania rezerwowych funduszków kas pułkowych. Słowem — nietylko piechota, artylerya, ale kawalerya doszła w krótkim czasie do wypełnienia zamierzonej cyfry 60,000, bez żadnego nigdzie nadużycia, ani skargi. We wrześniu 1790 r. porozsyłano oficerów na rewiew tych nowych szwadronów, ubranych, zaopatrzonych w broń, konie i już wcale nieźle wyćwiczonych.

Miałem ciągle ogromną pracę, utrzymując mój wielki dziennik, załatwiając interesy Komisji, w czem mi był główną i jedyną pomocą szanowny pan Tadeusz Dembowski, z tem wszystkiem upadałem prawie ze znużenia. Powołałem do Brańska szwadron, który był w mojem starostwie i postanowiłem go swoim kosztem doprowadzić do porządku. Taki był napływ ochotników.

Upatrzawszy wolną chwilę, pośpieszyłem do Brańska, ażeby niespodzianie zejść mój szwadron. Przybyłem tam jeszcze przed wschodem słońca, zatrzymano mnie, zaczęto indagować, gdzie, skąd jadę, aż gdy poznano, kto jestem, zagrzmiała trąbka i w przeciagu ośmiu minut cały szwadron stał już pod bronią. Był ze mną oficer kawaleryi, któremu polecono z Komisji zrobić przegląd tego szwadronu w najmniejszych szczegółach. Wszystko,

ludzie, konie i broń, w największym znajdowały się porządku. Mustra i obroty wojenne udały się także. Rachunki były jak najlepiej prowadzone — pozostawało mi tylko rozdać trochę pieniędzy, kilka beczek piwa i w końcu przyrzec całemu oddziałowi, że skoro wypadnie już potrzeba, pierwszy w ogień wysłany będzie.

Wróciwszy do Warszawy i uzyskawszy od Komisji pochwałę, dostałem rozporządzenie wyprawienia tegoż szwadronu podług wskazanej inarszruty dla złączenia się z brygadą, do której został włączony. Zamiast więc lichej zbieraniny, jak nam przepowiedano, mieliśmy w Koronie ośm brygad, a w Litwie cztery, każda po dwanaście szwadronów.

XXVII.

Rezultatem nowych sejmików było ukazanie się na arenie politycznej nowych potęg oratorskich. Zajmowano się w sekrecie odnowieniem konstytucji. Przywiązywano do tego wagę nadzwyczajną.

Podsunięto mi myśl zrobienia projektu organizacji Komisji wojennej. Mieliśmy dotąd tylko czternaście artykułów, nakreślonych na przódce, te miały nam służyć za podstawę. W ciągu Sejmu były wydawane prawa, określające nasze dodatkowe obowiązki. Ponieważ więc przyszło od marszałków sejmowych napomknienie zrobienia nowego projektu, więc w naszym małym Komitecie zbraliśmy się i zreferowali całą ustawę wojskową, mającą być włączoną do nowej konstytucji. Marszałek ją przyjął i oddał deputowanemu Linowskiemu, któremu poleconem było przygotowanie ustawy. Linowski przedstawił ją Sejmowi, jako swoje dzieło.

Nareszcie Konstytucya 3-go Maja była zredagowana, czytana, dyskutowana i po wielu debatach przyjęta i sankcyonowana przez Sejm. Gwarancye trzech mocarstw usunięto. Kilku deputowanych, którym się zdawało, że odnieśli trzy wielkie zwycięstwa nad trzema sprzymierzonymi mocarstwami, mieli mowy bardzo nieogłędne. Pierwszy raz w życiu byłem świadkiem widoku 400 osób rozpromienionych najżywszą radością. Spektatorzy i spektatorki, siedzące w łóżach, klaskali w ręce, oddając cześć temu wielkiemu dziełu.

Ambasadorzy, nie umiejąc ukryć niezadowolenia, zachowywali głuche milczenie. Tylko pruski tryumfował. Zrobiono wniosek udania się korytarzem z zamku do kościoła Ś-go Jana. Rzu-

cono się do wyjścia i zaśpiewano *Te Deum*. Marszałkowie Sejmu nakazali salwy armatnie—i były potem bale, obiady do nieskończoności. Ażeby upamiętnić po wszystkie czasy drogą krajowi rocznicę, postanowiono za rok, t. j. w 1792 r., obchodzić solennie ten dzień. Proszono króla, żeby wybrał miejsce i wyznaczył plan na mający się wystawić kościół albo kaplicę, gdzieby Konstytucja wraz z listą wszystkich członków Sejmu zachowaną była.

Rosja tymczasem prowadziła wojnę z Turcją. Austria, straciwszy wybór swoich wojsk, zawarła osobny na swoją rękę pokój, zadawalając się małą częścią Mołdawii, ale oddała Belgrad, Sabacz i kilka innych fortów, zdobytych przez Laudona. Prusy złożyły Sejmowi powinszowania szczęśliwego rezultatu obrad.

Marszałek Sejmu, Małachowski, postanowił ostentacyjnie pochwalić się nowem wojskiem, urządzając rewie i manewry. Staliliśmy się całemi siłami odwieść go od tego projektu, gdyż był to czyn wielce niepolityczny, że słabe te siły, 60,000 ludzi, mogły oprzeć się zaledwie jednej z trzech potencji, ale nas nie posłuchano, wielkie manewry zostały nakazane. Miały się odbyć w trzech miejscach: 1) W Braclawiu nad Bohem, pod przewodnictwem ks. Józefa Poniatowskiego; 2) w okolicy Puław pod rozkazami ks. Würtemburskiego; 3) pod Warszawą miała wystąpić gwardya królewska, regiment wojska liniowego, artylerya i pułki kawaleryjskie. Prosiłem marszałka Sejmu o pozwolenie zwiedzenia dwóch obozów. Chciałem rozpatrzyć się w dokładności całkowitego uzbrojenia. Miałem towarzyszyć hetmanowi litewskiemu, Ogińskiemu.

Książę Ogiński zaczął od rewii warszawskiej. Ks. Józef Poniatowski dyrygował nią osobiście. Udała się doskonale. Przypatrując się obrotom, jako obserwator, w pośród publiczności zauważyłem kilku oficerów pruskich, między innymi generała Kalkreuta, którzy, po cywilnemu ubrani, bardzo się także pilnie przyglądali. Słyszałem nawet ich uwagi.

Byłem potem w Gołębju. Nic nie można było zarzucić porządkowi i doskonałemu wyćwiczeniu regimentów. Nareszcie udałem się do Braclawia. Tam, dzięki generałowi Kościuszce, który pomagał ks. Józefowi w mustrowaniu dywizyi, byłem prawdziwie zachwycony, jak wszystko szło doskonale. Bardzo wielu młodych ludzi z najpierwszych rodzin pośpieszyło stanąć pod rozkazami ks. Józefa i gen. Kościuszki; to też ta mała armia 20,000 stanowiła korpus wyborowy, doskonale przytem zaopatrzony w artyleryę, pontony, wozy, amunicyę i konie. Wyraziłem mój zachwyt, a także i pewne uwagi ks. Poniatowskiemu. Przyznał mi słusz-

ność i poprosił o zredagowanie moich obserwacji na piśmie, co też uczyniłem, a zarazem prosiłem o pozwolenie złożenia 500 dukatów na mały poczęstunek dla wojska.

Były następnie manewry z zasadzkami. Na jednym z takich asystowałem zawsze na koniu, przeznaczonym dla mnie przez ks. Józefa albo przez generała Kościuszkę, zauważyłem czterech cywilnie ubranych panów, którzy wszystko pilnie obserwowali, poznałem zaraz, że to oficerowie rosyjscy. Kiedy zaskoczona niespodziewanie jedna brygada robiła odwrót doskonale wykonany, jeden z tych oficerów mówił do drugiego.

— Widzisz pan, nasza cesarzowa miała wszystkich Polaków w worku, ale zapomniała go sznurkami związać, i oto, co wyrabiają, będziemy mieli robotę, aby ich napowrót do worka zapakować.

Opowiedziałem to ks. Józefowi, posłał na pocztę zapytać się, kto byli ci panowie. Byli to oficerowie delegowani przez feldmarszałka, hr. Rumiancewa, dla obserwowania rewii.

Wróciłem do Warszawy, zdałem raport królowi i marszałkowi Sejmu i powróciłem do swoich zajęć.¹⁾

Wszystkie osoby, rozsądniej zapatrujące się na rzeczy, wiedziały dobrze, że Rosya jednym zamachem swoich licznych wojsk może zgnieść naszą małą armię. Jakież to ogromnie długie linie graniczne mieliśmy do pilnowania! Od ujścia Niemna, aż do Mołdawii. Przypuściwszy nawet neutralność Austrii... a gdyby król pruski nas zdradził? Ale wielkie geniusze nie łatwo się dażą zbić z tropu.

— Mój kochany — mówił do mnie, uspakajając mnie hr. Małachowski — nie mogę ci w tej chwili wyjawić tajemnicy stanu, ale ci powiem tylko, że jesteśmy pewni króla pruskiego, traktat zaczepno-odporny będzie zawarty. Będzie tylko 30,000 wojska zapewnionych, ale to tylko dla formy; tam formują duże wojsko, on nas podtrzyma. Co do Turcyi, to posyłamy tam ambasadora, który nie dopuści do pokoju z Rosyą, innego wyprawiamy do Szwecyi, która na północy zrobi dywersyę, zresztą zrobimy popolite ruszenie.

— Bardzo to dobrze, ale skąd wziąć broni, amunicyi, oficerów? Zniecierpliwiał się trochę marszałek.

— Bądź pan spokojny, broń się znajdzie; pan zawsze widzisz wszystko w czarnych kolorach i to jest twoja jedyna wada.

Zima zesłała na balach i ucztach. Depesze naszych ambasadorów przynosiły nam nadzieje oparte na złudzeniach.

¹⁾ Por. Korzon l. c. V, 90—94 i K. Górski: „Hist. jazdy pol.“, 253 sq.

XXVIII.

Nareszcie z wiosną powrócił nasz umocowany pełnomocnik Deboli z Londynu. W listach swoich ostrzegał, żeby nie rachować na króla pruskiego, że ma w rękę dowody jego zdradzieckiej chytryści, nakoniec zażądał, żeby go koniecznie odwołano i przywiózł z sobą bardzo ważne dokumenty na potwierdzenie swoich dowodzeń. Zrobił się ruch w radach, ale wszystko zaspokoił prędko Lucchesini.

— Idzie tu przedewszystkiem—mówił on—o trochę uczynności ze strony Sejmu, o ustąpienie Prusom Gdańska z obwodem; król pruski podejmie się tak ufortyfikować miasto, że będzie nie do wzięcia dla Rosyi; zrobi się przytem mały traktacik handlowy i wszystko będzie dobrze.

Rozpoczęto więc rozbierać tę kwestyę i debatować nad układami.

Król, otrzymawszy przez Konstytucyę 3-go Maja powiększenie swoich prerogatyw i atrybucyi, był przekonany, że już wszystko zrobił, co do niego należało i oddał się z zapałem pomnikowi Jana Sobieskiego w Łazienkach. Żołnierze plantowali grunt wokoło, mularze kopali fundamenty; zwożono materiały, zabierano się do budowy kościoła; skomponowano bardzo piękną muzykę, której próby odbywały się u Ś-go Krzyża, albo w Zamku. Wiele osób przybyło z prowincyi i z zagranicy, ażeby się tym przygotowaniom przypatrzeć. Namawiano nas, ażeby sprowadzić dwa wyborowe szwadrony gwardyi narodowej.

A tu tymczasem zaczęły przychodzić wieści od tych oddziałów, co stały wzdłuż granicy, o zbliżaniu się wojsk rosyjskich do kraju. Formowały się nieopodal granicy korpusy pod wodzą takich a takich generałów, tyle a tyle przygotowywano armat, przeważnie dużego kalibru, naprawiano drogi, jednym słowem szykowano się do zajęcia kraju. Pokój z Turkami był już prawie zawarty. Żydzi ogromnie się kręcili, przygotowując potajemnie zapasy zboża i siana dla wojsk rosyjskich. Wszystkie te okoliczności zapowiadały rychłe wtargnięcie wojsk w ilości około 200,000, podzielonych na trzy korpusy.

Ponieważ zbliżała się pierwsza rocznica 3 Maja, dano nam w Komisyi wojennej poufnie znać, że jego królewska mość życzy sobie, żeby na tę uroczystość przybył także jego bratanek, książę Józef Poniatowski, wraz z kilku oficerami jego wyboru. Czulem dobrze, że tak książę Józef jak i jego przyjaciele stanowili

prawdziwą siłę swoich oddziałów. Książę Würtemberski także życzył sobie przybyć na ten czas do Warszawy; jakby się jednemu pozwoliło przyjechać, trudno było drugiemu zabronić.

Król wezwał mnie do siebie i powiedział:

— Ażeby przybyć do Warszawy, nie trzeba więcej jak trzy albo cztery dni, tyleż do powrotu. Obecność mojego bratanka jest mi tu konieczną. Bardzo będę pana prosił, żebyś się temu nie sprzeciwiał.

Rozkaz wysłano. Stronnictwo księcia Adama Czartoryskiego zażądało urlopu dla księcia Würtemberskiego, tenże dla swoich przyjaciół oficerów. Marszałek sejmu, Sapięha, zażądał pozwolenia dla swoich Litwinów; w przeciągu kilku dni przeszło 200 oficerów przybyło ze swymi adjutantami, ordynansami i służbą.

Mój szwadron i Ożarówskiego, również formowane na Podlasiu, były bez zaprzeczenia najpiękniejsze z pomiędzy wszystkich nowoutworzonych. Przybyły na przedmieście na Pradze pod dowództwem majora, który ich doskonale wyćwiczył w służbie. Przedstawione Komisji, uzyskały wyróżniające pochwały. Ludzie, konie, mundury, broń były w najlepszym porządku. To też postanowionem było, że w ów dzień, 3 Maja, będą stały w paradnej formie naprzeciw Ś-go Krzyża, a 64 towarzyszków z obu szwadronów będzie ustawionych w kościele szpalerem od wejścia aż do prezbiterium, następnie zaś ci sami będą trzymali straż przy zakładaniu fundamentów kościoła. Tak to nas wszystkich absorbowało, żeśmy zapomnieli na tę chwilę o pracach Komisji, bo musiałem także asystować przy próbach muzycznych, któremi dowodził Włoch Polani, mój nauczyciel skrzypców; miał on także wystąpić z kilku aryami solowemi. Zresztą musiałem i swoich towarzyszków trochę pomustrować, bo nie byli przyzwyczajeni do miejskiego bruku.

Wilią wielkiego dnia uroczystości rozdano wszystkim programy i rozkazy, gdzie się kto miał znajdować. Ci, co byli przeznaczeni do asysty królowi, udali się do zamku. Przeszło czterystu kawalerzystów otrzymało pozwolenie zajęcia wraz z końmi dziedzińców zamkowych. Kościół Świętego Krzyża urządzono prawie że teatralnie, damy pozajmowały miejsca względnie do swoich stanowisk społecznych. Księżna Kurlandzka, jaśniejąca strojem i wdziękami, znajdowała się wpośród rodziny królewskiej. Wpuszczano tylko za biletami. Pomiędzy zamkiem a kościołem Ś-go Krzyża nieprzeliczone tłumy zalegały ulice. Nareszcie zawiadomiono króla, że już wszystko gotowe, rozpoczął się pochód. Pierwszy raz w życiu widziałem taki świetny ceremoniał. Jecha-

łem konno w orszaku królewskim wraz z jedną trzecią moich kolegów. Postarałem się także pięknie być wyszykowanym. Cała ceremonia kościelna odbyła się z nieopisaną świetnością i porządkiem. Wielkie drzwi kościelne były otwarte, od czasu do czasu rzucałem tam okiem i zauważałem, że pióropuszcami moich oficerów i towarzyszy silnie wiatr rozwiewał. Podnosiły się tumany kurzu, zapowiadała się burza. Rozpoczął się znów pochód z kościoła; miała się dopełnić druga część ceremoniału. Jego królewska mość wyszedł na ganek kościelny. Uderzono w dzwony, rozległy się salwy armatnie, ale jednocześnie nadsięgnęła okropna burza z błyskawicami, piorunami i straszną ulewą. Zrobiło się ogromne zamieszanie. Kto mógł, chronił się do powozów albo w bramy domów. Jechałem z początku konno w orszaku królewskim, ale skoro zaczęły lecieć z góry dachówki, okna, szyldy, wysunąłem się bokiem i powróciłem do domu.

Opowiadano potem, że kiedy już dojechano do wzgórką, gdzie król położył pierwszy kamień w fundamenty kościoła, burza rozszalała się już na dobre. Były tam mowy, których nikt nie słuchoł, salwy armatnie nie w porę uderzone dla zagłuszonych hałasem wichru komend, poczem każdy jak mógł wracał, a raczej uciekał do domu. Wiele osób było poranionych spadającymi przedmiotami. Widziałem powracający mój piękny szwadron. Wielki Boże, jakże wyglądał! pióropusze połamane i zmoknięte, towarzysze otuleni w płaszcze, z których się woda lała! Burza ta wielkie porobiła szkody w mieście i okolicy—pozrywała dachy, powywracała domy, połamała wiele drzew w lasach. Skoro przeszła, nastąpiła cisza, a z ciszą i rozwaga. Przypomniano sobie o zbliżającym się niebezpieczeństwie najazdu. Zaczęto się przygotowywać do obrony. Książę Józef wiedział, co się nad granicami dzieje, ale przy wielkich swoich zaletach miał jedną bardzo ważną wadę—był zanadto wspaniałomyślny i szczodry względem dam i swoich przyjaciół—dlatego też najczęściej był bez grosza. Miał długi w Warszawie, miał je i na prowincyi. Panowie oficerowie czerpali w jego kasie—i wyczerpali do dna.

Zamierzano rozpocząć kampanię; nie było ani jednego młodego oficera z przybyłych na uroczystość, któryby nie musiał rozstawać się i żegnać z jaką przyjaciółką.

Aż tu minister rosyjski złożył deklarację w sejmie, że cesarzowa zamierzyła przysłać korpus wojsk swoich dla ochrony mienia prawych obywateli przeciw wichrzycielom. Ci prawi obywatele narodu byli w tym manifeście wyszczególnieni. Hrabia Szczęsny Potocki, wojewoda ruski, czy przez osobistą ambicję,

czy też źle zrozumiany patryotyzm unyślił, że jedynym środkiem ułagodzenia rozgniewanej cesarzowej jest wystąpienie na czele nowej konfederacji przeciw konfederacji warszawskiej. Udało mu się wciągnąć do swojej partii tych, którzy nie dowierzali Prusakom, a widzieli zbawienie tylko w opiece Rosyi. Stronników Rosyi było dużo nie tylko w sejmie ale i w komisjach. Była to kwestya poglądów. W sejmie dzieliły się jeszcze stronnictwa, z których jedne opierały się na sojuszu pruskim, drugie sympatyzowały z rewolucją francuską. Te dwie partje łączyły się przeciw Rosyi. W tych to okolicznościach odbywały się po pałacach wielkich panów, mających głos przeważny w sejmie, narady i rozprawy bardzo nieraz burzliwe, ale ostatecznie nic nie uradzono.

A tymczasem wojska rosyjskie weszły kilkoma drogami do kraju. W niektórych miejscowościach awangardy rosyjskie były odepchnięte przez nasze małe oddziały graniczne. Mieliśmy raporty z całej linii.

Nasz mały komitet sformował zaraz plany i wyznaczył miejsca zajmowane przez nasze wojska, i te, które zajęli Rosyanie. Książę Józef Poniatowski czuł dobrze, że jego honor wojskowy ucierpi na tym przedłużonym pobycie w Warszawie. Wyprawił więc do pułku wszystkich oficerów, co z nim razem przybyli.

Budżet wojenny zawierał osobny nadzwyczajny fundusz na czas kampanii—były przeznaczone sumy stołowe dla generałów dywizyi, dla księcia Józefa i dla księcia Würtemburskiego, ale trzeba było te sumy pozmieniać na dukaty—to wszystko jeszcze nie było gotowe.

A tam nad granicą już się kroki wojenne rozpoczęły. Generał-major Kościuszko, dowodzący w czasie nieobecności księcia Józefa, zgromadził swój niewielki korpus i manewrował nim tak doskonale, że chociaż tu był kraj płaski i zaledwie kilkoma groblami wśród stawów poprzerzynany, nigdzie nie dał się podejść, ani otoczyć i utracił tylko dwa szwadrony, które się znalazły na tyłach armii rosyjskiej, były otoczone i jak lwy się broniły.

I pomyśleć sobie, że gdyby nie ta uroczystość 3 Maja, książę Józef taki ukochany przez całą młodzież polską mógłby był podwoić swoją armię, powstrzymać gorliwość Targowicy, uratować magazyny, wzmocnić kilka pozycji, a odniósłszy choć jedno zwycięstwo, pociągnąć za sobą całe zastępy mieszczan, chłopów i drobnej szlachty. Powaby stolicy wszystko to zniweczyły. Oprócz tych kilkunastu oficerów, którzy mu towarzyszyli i co znali go osobiście, całe wojsko i młodzież kraju o nim zwątpili, mieli go za zdrajcę, a generała Kościuszkę za jedynego zbawcę Ojczyzny.

Nareszcie ksiązę Poniatowski przybył i znalazł swoje trzy kolumny cofające się pod naciskiem nieprzyjaciela, wówczas robił, co tylko było można, ażeby odzyskać straconą opinię. Stanął na czele kolumny środkowej i czekał chwili odznaczenia się jakim dzielnym czynem. Ale główne magazyny żywności i amunicyi były już wtedy w rękach nieprzyjaciela, albo spalone. Armia rosyjska pod dowództwem generała Kachowskiego postępowała w głąb kraju, poprzedzona przez awangardę, złożoną z ośmiu czy dziesięciu tysięcy wojska, którą prowadził Markow.

Ta awangarda przedstawiała księciu Poniatowskiemu sposobność oczekiwaną. Wydał rozkazy i o wschodzie słońca stanął wobec nieprzyjaciela. Bitwa rozpoczęła się kanonadą tak dobrze prowadzoną, że Rosyanie byli zmuszeni pozostać w swoich dawnych pozycjach, gdyż wszystkie ataki odparto. Cztery najlepsze regimenty, do połowy zniszczone, nie chciały iść naprzód. Pod wieczór Markow, otrzymawszy posiłki próbował jeszcze raz atakować nasze oddziały z czterema regimentami. Brygada Wielhorskiego i ułani prawego skrzydła natarli tak w porę, że cztery regimenty odrzucone zostały za wieś Zieleńce i wpędzone na bagna. Wieś tę spalono, zabrano 800 koni uciekającym. Noc nadeszła. Ksiązę dał chwilę odpocząć żołnierzom, ale lękając się być otoczonym przez nadchodzącą pobitym pomoc, wyruszył w wielkim porządku na dawne pozycye.

XXIX.

Sejm dalej trwał jeszcze. Stronnicy Prusaków i stronnicy rewolucyi francuskiej zaczęli myśleć o zabieraniu się do domów. Król był spokojny, bo ufał we wspaniałomyślność cesarzowej, wierzył w magiczną siłę swojego talentu korespondencyjnego i w swoją dyplomacyę. Bojaźliwszego serca skupiali się naokoło króla, któremu sejm przyznał naczelne dowództwo wojsk. Komisya wojenna stała się biurem ekspedycyjnem, a król utworzył swój własny mały komitet czyli radę wojenną dla kierowania ruchami wszystkich wojsk.

Wyprawiliśmy transport amunicyi dla zastąpienia zużytej pod Zieleńcami, gdzie bitwa trwała od wschodu słońca aż do 9 godziny wieczorem.

Raport księcia Józefa był krótki i skromny. Oddawał sprawiedliwość Kościuszce, który dzień cały nieustannie osłaniał lewe

skrzydło Poniatowskiego przeciw kolumnie dowodzonej przez Lewanidowa. Skromność ta dopiero wyszła na jaw, kiedy przytrzymano na poczcie korespondencyę ruską. Sprawozdanie rosyjskiego komendanta było bardzo szczegółowe. Donoszono tam, że mieli 4,500 żołnierzy zabitych, nie licząc rannych i zaginionych.¹⁾ A więc książę Józef Poniatowski postąpił bardzo szlachetnie i odzyskał zupełnie nadwerezoną opinię wojskową. Król posłał mu rozkaz zwrócenia i skoncentrowania sił pod Dubienką, miał przejść Bug i unikać wszelkiego spotkania z nieprzyjacielem, bo to by tylko przyczyniło się do większego rozdrażnienia.

Honor wojska polskiego uratowany był pod Zieleńcami. Na Litwie te same przyczyny, które sprawiły chwilowe zamieszanie w korpusie księcia Poniatowskiego, wniosły też ferment do wojska litewskiego. Książę Ludwik Würtemberski, zięć ks. Adama Czartoryskiego, otrzymał naczelne dowództwo wojsk litewskich. Doręczono mu 12,000 dukatów na koszty wojenne. Wyprawił dwóch oficerów pruskich na Litwę, aby tam odszukali i wskazali, gdzie konsystuje wojsko litewskie; sam zaś udał się do Wołczyzna, majątku swego teścia, i tam się jaknajspokojniej zabawiał. Tymczasem korpus Kreczetnikowa wszedł do Litwy, a drugi 10,000-czny udał się na Polesie, z zamiarem złączenia się z armią generała Kachowskiego.

Czy książę Würtemberski otwarcie zdradzał? tego nie umiem powiedzieć. Może wierzył w sojusz z Prusami. Posłano deputacyę do króla pruskiego z żądaniem, ażeby stosownie do umowy przysłał 30,000 wojska. Przyszło 30,000 Prusaków i rozciągnęło się na granicy tego kraju, którego król pruski gorąco pożądał i który mu nieledwie że obiecano za zdradę. Nie omieszkął jednakże dołączyć deklaracyi, że obiecał przysłać te wojsko prawej i zdrowej partyi narodu polskiego, a nie demagogom i rewolucyonistom francuskim — to też, dodaje, wojska posłane czynnemi nie będą.

W tym czasie przytrzymano strzelca księcia Würtemberskiego, który to strzelec wyprawiony był do Berlina z listami bardzo kompromitującymi. Ostrzeżony książę przybył do Warszawy szukać protekcyi, ale widząc, że się na nim poznano, zażądał dymisyi, którą przyjęto. Zamianowano na jego miejsce Michała Zabiellę, najpiękniejszego naówczas męzczyznę w Warszawie — zo-

¹⁾ Cyfry te nie są dokładne, raport rosyjski podaje nieprawdopodobnie niską liczbę 707 zabitych i rannych. Por. Tadeusz Soplica: „Wojna polsko-rosyjska 1792 r.“ (Kraków 1906), t. I, 216 sq.

stał generał-leutenantem i wyprawiono go na Litwę dla zgromadzenia wojsk. Było tam wtedy w wojsku kilku starszych i doświadczonych oficerów, którzy robili co mogli, ażeby trafić i nużyć Kreczetnikowa.

Książę Kazimierz Sapieha, marszałek sejmu dla Litwy, był jednocześnie naszym szefem i naszym podwładnym, dwie pozycje bardzo z sobą niezgodne. Podjął się dostarczania wszelkiej amunicji dla artylerji litewskiej, której fundusze były złożone w kasie pułkowej. Książę miał tylko jedną wadę, to jest, że nie lubił żadnej rachunkowości, a był wielkim rozrzutnikiem i miał tysiące długów. Byliśmy w trudnem położeniu, kiedy przychodziły likwidacye podpisane ręką księcia na zakupione amunicye, a myśmy w Komisji przyjąć ich nie mogli. Książę jako marszałek sejmu był nietykalny.

Mały komitet wyprawił park artylerji wraz z amunicją i te przyszły na czas. Mieliśmy w Warszawie naszego dowódcę artylerji hrabiego Stanisława Potockiego, który posiadając wiele talentów cywilnych, był za to pozbawiony wszelkich znajomości wojskowych. Musiał jednakże być czynnym. Pojechał pocztą z Warszawy do Miru i przybył w chwili, kiedy jeden oddział wojska litewskiego rozprawiał się z przemagającymi siłami korpusu Kreczetnikowa. Przybył i mógł tylko skonstatować cofanie się naszego oddziału. Nie miał więc czasu na żadną akcyę wojenną, tylko zawrócił i tym samym powozem chory i zdemoralizowany do Warszawy przyjechał. Służba jego rozpuszczała przesadzone wieści o niesłychanej klęsce.

Trzeba było energicznie się wziąć i poprawić położenie na Litwie. Król zdecydował się na sformowanie niewielkiego rezerwowego korpusu. Utworzono go z samego wyborowego wojska. Składał się z dwóch regimentów gwardyi, jednego ułanów królewskich i dwóch batalionów wojska liniowego oraz parku artylerji—korpus ten oddany był pod dowództwo dzielnego generała Byszewskiego. Wyruszył on ku Litwie. Był zamiar, że i król pojedzie do armii, ale do tego nie przyszło.

Według rozporządzenia króla, książę Poniatowski rozstawił swoje wojsko wzdłuż linii Bugu na przestrzeni 12 czy 15 mil. Generał Kościuszko z rozkazu księcia Józefa z dwunastoma batalionami liniowymi i z dwudziestoma szwadronami kawaleryi udał się pod Dubienkę. Wody były podówczas niskie, rzeki prawie wszędzie przejechać lub przejść było można łatwo. W pozycyi, w jakiej się znajdował, groziło mu obejście i otoczenie od strony granicy austryackiej, którą mogli byli Rosyanie przejść,

chociażby naruszając neutralność tego państwa. Ponieważ rozkaz pozostania w tym miejscu był stanowczy, Kościuszko zatem musiał się okopać, tak na piaszczystym brzegu Buga, jako też i na twardszym gruncie dalej od rzeki. Cały front reduty był obstawiony nawpół poprzycinanymi krzakami dla utrudnienia dostępu.

Wielki hetman Branicki, prezes naszej Komisji wojennej i bardzo wielu członków i partyzantów konfederacji Targowickiej znajdowało się tymczasem w obozie rosyjskim. Spostrzeżono tam odciążenie Kościuszki, co było rzeczywiście tylko zmianą pozycji. Pułkownikowi Palembachowi rozkazano przejść ze swoim oddziałem przez granicę austriacką i otoczyć Kościuszkę w jego pozycji nadrzecznej. Pułkownik ten zrobił zakład, że otoczy oddział i weźmie go bez wystrzału tylko za pomocą białej broni. Rosyjanie przeszli rzekę w kilku miejscach, a wyżsi oficerowie uctowali tymczasem w obozie. Pierwsze kolumny, które przeszły, zdziwiły się bardzo, zastawszy pierwsze reduty niezajęte na piaszczystym gruncie—poinknęły się więc do krzaków i wtedy rozpoczął się siarczysty ogień krzyżowy. Nadeszły drugie kolumny oraz kawalerya, po długim dosyć oporze zaczęły zdobywać redutę. Jedna z najstarszych brygad kawaleryi wielkopolskiej zaczęła najpierwsza zynkać w zamieszaniu. Największe starania Kościuszki, aby ją powstrzymać, nie pomogły, szanice frontowe zdobyto, nasze bataliony cofnęły się czworobokami. Stary generał-major Wielowieyski zdołał ustawić ich wzdłuż pod lasem. Kolumny rosyjskie po ustaniu bitwy sformowały się nanowo, przy naszym wojsku zostały dwa szanice prawego skrzydła, obsadzone dwoma batalionami strzelców i jednym regimentem ułanów pod dowództwem generała Karwickiego. Dzielny pułkownik Szuczkowski zaproponował Karwickiemu w razie koniecznej potrzeby plan rejterady, a przytem wymianę słowa honorowego, że trzymać się będą do ostateczności.

Zaledwie rozlokowali swoje siły, gdy dało znać, że od granicy galicyjskiej z lasu wynurza się dwadzieścia szwadronów, dowodzonych przez Palembacha. Popodcinane krzaki sprawiły pewne zamieszanie w ataku. Pułkownik Palembach z kilkoma wyższymi oficerami, wpadłszy na redutę, byli zabici. Generał Karwicki doskonale uchwycił chwilę natarcia swymi ułanami, szwadrony rosyjskie, utraciwszy wielu żołnierzy, poszły w rozsypkę. Szuczkowski i Karwicki, zabrawszy ośm armat, w porządnym czworoboku cofali się ku brzegowi lasu, przy którym Wielowieyski rozstawił poprzednio oddziały. Czworobok ten był w ciągu marszu nieustannie napastowany przez konnych i pieszych kozaków, ale rozbić się nie dał i doszedł do celu.

Rozpisałem się dłużej nad tą historią walki pod Dubienką, gdyż tu był początek wspólnego nieporozumienia księcia Józefa z generałem Kościuszką, a zatem i pomiędzy ich stronnikami. Generał Kościuszko, uniesiony ucieczką dwunastu szwadronów brygady wielkopolskiej i kilku batalionów z lewego skrzydła reduty, skoro o parę mil stamtąd ich zatrzymał i starał się napowrót sformować, wysłał zaraz raport do księcia Józefa, w którym mówi, że był atakowany w swoich pozycjach, że brygada kawaleryi nie dotrzymała placu, rozpoczęła ucieczkę, która pociągnęła inne bataliony, że nie ma żadnej wiadomości o szwadronach prawego skrzydła, że zważywszy ogromną przewagę sił nieprzyjacielskich przypuszczać należy, iż chociaż walczyli do upadłego, jednakże oprzeć się nie zdołali i że prawdopodobnie utrata takich oddziałów z trzema takimi dowódcami jak Karwicki, Szuczkowski i Wielowieyski jest klęską bardzo dotkliwą.

Książę Poniatowski przesłał swój raport królowi przez Komisję wojenną, raport jak zawsze krótki i lakoniczny i dołączył do niego raport Kościuszki. Kościuszko co prawda w całej tej historii nie stracił więcej nad 400 żołnierzy, kiedy Rosyanie mieli 5,000 zabitych.¹⁾ Pułkownik Karwicki, który był z temi wiadomościami wyprawiony jako kuryer, miał osobiście dostarczyć szczegółów dnia całego.

Teraz się dopiero rozpoczęły rozprawy nad tą bitwą pomiędzy stronnikami księcia Józefa i Kościuszki. Stronnicy księcia mówili, że Kościuszko nie z rozkazu księcia tylko sam zmienił pozycję, że rozpoczął jeden z pierwszych ucieczkę, że nic nie zrobił, ażeby ratować swoje prawe skrzydło i że przysłał raport księciu z miejsca, o cztery mile oddalonego od bitwy. Stronnicy Kościuszki na to odpowiadali, że przeznaczono Kościuszcze stracony posterunek przez złość i zawiść; że znając doskonale warunki miejscowe, Kościuszko musiał zmienić pozycję i że ta była doskonale i konsekwentnie wybrana; że atak na reduty rozpoczął się o godzinie 10 z rana, że ogień trwał przez dzień i noc całą, a książę żadnego posiłku nie nadesłał. Ale szybki bieg wypadków powstrzymał te rozprawy. Korpus księcia Poniatowskiego zwrócił się na Kurów a Zabiełły na Granne.

Król widząc, że coraz trudniej będzie wojsku polskiemu oprzeć się przemagającej i coraz to zwiększającej się sile wojsk rosyjskich, postanowił przystąpić do Targowicy. Nastąpiło za-

¹⁾ Cyfry te nie są dokładne, por. Soplica l. c., str. 384 sq.

wieszenie broni. Książę Poniatowski dostał rozkaz powrotu do Warszawy i do rozesłania swoich oddziałów w miejsca oznaczone. Książę rozkaz schował do kieszeni a chcąc zakończyć wojnę rozgłośnym czynem, wyprawił tak jakby na rekonesans jedną brygadę kawalerii i dwa regimenty ułanów, sam stanął na ich czele. Atakowali go Rosyanie, bitwa się rozpoczęła. Dwa bataliony strzelców rosyjskich zdołało się wcisnąć wąwozem do wielkiej cegielni. Ta zasadzka spowodowała rozproszenie się kawalerii—zginął tu generał-inspektor Stanisław Pliński i wielu dzielnych oficerów. Książę sam w wielkim był niebezpieczeństwie; winien był swoje ocalenie dzielności swego konia, który kilka płotów przesadził. ¹⁾

Był to znów nowy powód niezadowolenia dla przeciwników księcia, chociaż tutaj powinni byli uwzględnić jego pragnienie przedłużenia wojny, zamiast zakończenia jej tak smutno i bez pożytku dla kraju. W Kurowie przed rozejściem się w różne strony zebrało się wojsko dla ogólnego pożegnania, przyczem dało sobie słowo honoru rycerskiego, że się jeszcze kiedyś zbiorą z bronią w rękę, kiedy się odpowiednia sposobność nadarzy. Tam to był zrobiony plan Insurekcji r. 1794.

XXX.

Niedługo po zawarciu pokoju Kachowski z jednej strony Warszawy, Kreczetnikow od strony Pragi mieli wejść tryumfalnie do naszej stolicy; pozostawiwszy w tyle oddziały, które najwięcej ucierpiały, przygotowali do wejścia sam wybór bardzo świetnie umundurowanego żołnierza; dwa te korpusy w paradnej formie weszły do miasta, udały się przed zamek i zaprezentowały się królowi, a potem poszły na kwatery dla nich przygotowane. Kilkunastu generałów, wielka liczba wyższych oficerów sprowadziwszy muzykę wojskową, przy jej odgłosie zabawiali się w publicznych ogrodach. W ciągu następnych dni dwa obozy zamienione zostały w świetne targowiska jarmarczne. Zajeżdżały najpiękniejsze ekipaże, kabriolety, postrojone panie i panny zwiedzały obozy. Oficerowie i żołnierze robili w mieście sprawunki, płacili bez targu dobrymi pieniędzmi, kupy więc robili dobre interesy.

¹⁾ Bitwa ta odbyła się pod Markuszewem, por. Soplica l. c., str. 421.

Nasza Komisya wojskowa spełniała dotąd swoje czynności tak, jak było dawniej z rozkazu króla. Naraz odbieramy duży list zapieczętowany pieczęcią kanclerską. Był to rozkaz zakończenia naszych sesyi, zamknięcia czynności i niewydalania się ze stolicy, zanim nie zdamy sprawy ksiąg i rachunków tak naszych, jako i komisarzy przez nas ustanowionych. Zarejestrowałem ten rozkaz i miałem zaszczyt położyć ostatnią kropkę przy zamknięciu ostatniego posiedzenia. W parę dni później wezwano nas do złożenia przysięgi na posłuszeństwo królowi i konfederacyi targowickiej.

Utworzono drugą Komisję, która nas miała zastąpić. Proponowano mi w niej miejsce, ale podziękowałem. Hrabia Ożarówski, kasztelan wojnicki, starosta suraski, sąsiad mój ze Strabli, miał być wielkim hetmanem koronnym i przydywać w nowej Komisji. Kossakowski został wielkim hetmanem litewskim. Nareszcie zostaliśmy wezwani do komisji egzaminacyjnej, gdzieśmy się mieli stawić w całym komplecie. Połowa członków dawnej Komisji, będąc w porozumieniu z całym składem Targowiczan, wytłómaczyła, że obecność ich przed tą komisją egzaminacyjną jest zupełnie niepotrzebna, gdyż naprawdę na sesyach nie bywali i żadnego udziału nie brali, tylko że my z Dembowskim we dwóch prowadziliśmy wszystkie sprawy wojskowe i wielki dziennik i mały sekretny, że więc my tylko najlepsze dać możemy objaśnienia. Motywy te uznano za właściwe, wyszło rozporządzenie, że się tych panów zwalnia od wszelkiej odpowiedzialności, wydano im paszporty i wyjechali, gdzie się któremu podobało. Na nas więc dwóch, na Dembowskim i na mnie, zaciężył obowiązek uratowania honoru Komisji wojennej i odpowiedzialności za czterech prezesów i szesnastu nieobecnych członków tejże Komisji. Obadwaj z Dembowskim nie potrzebowaliśmy wiele czasu na przygotowania. Sesye trwały dni szesnaście. Każdy z szesnastu członków miał u siebie listę numerów wielkiego dziennika, które to listy doręczone im były przez zdrajców i szpiegów. Archiwum likwidacyi, 34 tomy wielkiego dziennika, kilka grubych zeszytów korespondencyi komisarzów okręgowych oraz dziennik tajny wraz z odpowiednimi papierami wszystko było przepatrzone, skonfrontowane przez komisję egzaminacyjną i znalezione w największym porządku. Otrzymaliśmy ogólne pokwitowanie wraz z wyłączną pochwałą dla nas obydwóch, którzyśmy tego sumiennie pilnowali.

Ruch literacki we Francyi.

Świetnie rozwijający się, od lat przeszło piętnastu, kierunek prowincjonalny w powieści francuskiej zyskuje dwóch nowych przedstawicieli w osobach *Pawła Ackera* i *Andrzeja Lichtenbergera*. Ale cechy tego kierunku, który odnajdujemy w ostatnich utworach powieściowych tych dwu młodych autorów, mianowicie zainteresowanie się życiem prowincyi i jej charakterem lokalnym, są tu pogłębione bolesnem uczuciem zranionego patriotyzmu i komplikują się nierozstrzygniętą dotąd (przynajmniej w przekonaniu jednej strony) kwestyą bytu i dalszego rozwoju utraconych przez Francję lat temu czterdzieści krajów—Alzacyi i części Lotaryngii. P. Acker, w „*Les Exilés*“ i A. Lichtenberger, w „*Juste Lobel, Alsacien*“, poszli za przykładem Maurycego Barrière'a, który w powieściach „*Au service de l'Allemagne*“ i „*Collete Baudouche*“ dał piękny obraz wytrwałego oporu, z jakim ludność podbitych prowincyi stawia czoło obcej przemocy.

Zapewne utwory ich nie mają świetnych w swej prostocie zalet, jakimi odznaczają się dzieła mistrza, ale są nie mniej zajmujące, dają bowiem wierne odbicie stosunków, przekonań, dążeń i nastroju ducha wśród dzisiejszego pokolenia mieszkańców Alzacyi, zrodzonego i wychowanego w warunkach, wywołanych nowem położeniem politycznem, w jakim znalazła się ich mała ojczyzna, po jej oderwaniu od Francyi, z którą się zrosła w ciągu paru wieków wspólnego bytu. Pod tym względem „*Les Exilés*“ i „*Juste Lobel*“ są to utwory identyczne co do swego celu i założenia. Przeznaczeniem obu jest w formie powieściowej, jedynie mającej widoki przystępu do szerszego ogółu, objaśnić tenże ogół francuski, zawsze nieświadomy tego, co się dzieje o miedzę, o istotnym stanie kwestyi alzacko-lotaryńskiej tak, jak się ona

przedstawia samym bezpośrednio interesowanym jego byłym współziomkom.

W obu, pierwiastek ściśle romansowy jest ograniczony do minimum i stanowi rzecz drugorzędna, będąc wistocie tylko pretekstem. Są to więc powieści przede wszystkim ideowe z dodatkiem uczuciowości, która w pierwszej odgrywa rolę znaczniejszą, gdy w drugiej jest o wiele więcej podporządkowaną wywodom rozumowym, ale zarówno przedstawienie przedmiotu, jak wypowiedziane przytem poglądy, oraz wynikające stąd wnioski są w obu jednakowe.

Tak Klaudyusz Hering („Les Exilés”), jak Justus Lobel w powieści Lichtenbergera tego tytułu, są to synowie Alzatezyków, którzy z chwilą aneksyi opuścili ziemię rodzinną, by nie wyrzec się, dla siebie i swego potomstwa, narodowości francuskiej.

Wychowani we Francyi, są oni też Francuzami, ale tylko Francuzami. Przywiązanie, tak silne u ich ojców, do opuszczonego pod przymusem kraju, zatarło się prawie zupełnie w ich sercach i pamięci, tak, iż w obojętności dłań i nieznamomości jego warunków niewiele ustępują rdzennym Francuzom, aż do chwili, gdy przypadek, który obu zawiedzie do Alzacyi, dając im możliwość bliższego jej poznania, zbudzi w nich uspięne uczucia i wskaże właściwy obowiązek, do jakiego odtąd poczuwać się będą względem utraconej ojczyzny. Klaudyusz Hering, profesor paryskiej Szkoły nauk politycznych, zaproszony, z powodu swej znajomości języka niemieckiego, przez przyjaciół z Paryża, na wycieczkę automobilem do południowych Niemiec, pozostał w Kolmarze, do czego, obok chęci odnowienia wspomnień rodzinnych, przyczyniła się niewyraźna jeszcze skłonność jego do znajomej mu również z Paryża pewnej młodej wdowy, pani Dolnay, która, przybywszy do tego miasta razem z nimi, miała tu przepędzić lato w domu przyjacielskim. Odwiedzenie grobów swych przodków, które zastał w opuszczeniu, oraz domu — własności jego rodziny od kilku pokoleń, obecnie w rękach nowego właściciela, Niemca-przybysza — sprawiło na nim silne wrażenie, uczuł się dotkniętym więcej, niżeli przypuszczał, tym stanem rzeczy. Tutaj od niepamiętnych czasów żyli jego przodkowie, w zamożnym i szanowanym stanie mieszczańskim, zajmowali stanowiska w magistraturze i niejednokrotnie przelewali krew swą na polu bitwy, obok Francuzów, za wielkość wspólnej ojczyzny. Dziad jego odznaczył się w kampaniach napoleońskich, z których powrócił w stopniu pułkownika. Jego ojciec tu również zaczął swą karierę sądowniczą, aż do chwili, gdy obca przemoc, zawładnąwszy

krajem wbrew woli jego mieszkańców, przerwała ten długi ciąg skromnego, lecz uczciwego, a nawet zaszczytnego bytu rodziny, z dawien dawna osiadłej w ojczySTEM mieście i członków jej dzisiejszych uczyniła ludźmi wykorzenionymi, niemal bezdomnymi, bez tradycyi własnej, bez przeszłości, bo takim uczuł się teraz Klaudyusz Hering na widok tych pamiątek, świadczących o węźle, łączącym tak ściśle całą jego przeszłość rodzinną z tem miastem i z tą ziemią. A ile takich rodzin wykorzenionych i wykołojonych z właściwej drogi ich przeznaczenia liczy Alzacya i Lotaryngia? Powoli przekonał się też, że wbrew opinii ogółu Francuzów, prowincye te nie uległy bynajmniej zniemczeniu; że uczucia dla Francyi nie wygasły w sercach mieszkańców. W większych miastach wszyscy mówią po francusku, siłą się nawet na to ci, którzy mowy francuskiej dobrze nie znają, bo w ich oczach jest to dowodem kultury, dystynkcyą. Na ulicy, w sklepach, restauracyach i t. p. na zapytanie, wyrażone po niemiecku, Hering otrzymywał zawsze odpowiedź po francusku. Po wsiach język francuski jest mniej w użyciu, chłopci mówią swem narzeczem, ale Niemców nie lubią i wyrażać się niemieckim językiem urzędowym nie umieją i nie chcą. Oto, co na wstępie zauważył młody profesor, obok pociągającego piękna przyrody, odrębnego średniowiecznego charakteru miast i wielkiej zamożności kraju, cech prawdziwej, starej, własnej kultury, wobec której niższość cywilizacyjna najeźdźców odbija dziwnie uderzająco. Ale ta kultura, pomimo swych pewnych cech odrębnych i lokalnych, jest istotnie kulturą francuską, zaszczerpioną tu w ciągu parowiekowej przynależności do Francyi, z którą te kraje, nie tracąc swej fizyognomii właściwej, zrosły się sercem i myślą. I o tem, mimo groźby i prośby swych niemieckich pobratymców i władców dzisiejszych, Alzatzycy i Lotaryngowie zapomnieć nie mogą i nie chcą. Tej też wyższości kulturalnej, która im imponuje, ale ich drażni, zaznaczając różnicę na ich niekorzyść, zdobywcy mieszkańcom zgwałconych prowincyi nie mogą darować. I stąd to antagonizm, po latach czterdziestu, jeżeli zmienił swój charakter pierwotny, nie stracił nic na sile.

Zastanawiając się nad tem, co tu zobaczył, Hering uczuł, że kraj ten nie jest mu obcym i obojętnym, wspomnienia dzieciinne z pierwszych lat po wojnie dokonały reszty. Odtąd postarał się zbliżyć do ludzi miejscowych, by dowiedzieć się dokładnie, co myślą i czują. Z rozmów z chłopami i innymi przedstawicielami sfer ludowych i z ich zdań dość rozmaitych nie mógł wyciągnąć wniosków ściślej określonych, co najwyżej stwierdził, że kwestya

zasadnicza bytu politycznego i przyszłości kraju jest warstwom niższemu narodu mało znaną, że niewiele o niej myślą i w rozmowie, zwłaszcza z obcymi, ją wymijają. Myśl ich zwraca się głównie do spraw osobistych i utylitarnych—do powiększenia własnego dobrobytu, do posiadania i zachowania ziemi. Na administrację niemiecką skarżą się przeważnie z powodu podatków, jakimi są obciążeni i mniejszych lub większych szykan, jakich doznają od policyi i żandarmeryi. Pojęcia ich nie idą dalej. Ale przypadek pozwolił mu poznać bliżej młodego adwokata, Jerzego Reuscha i jego siostrę, Katarzynę, którzy objaśnili go ostatecznie o wszystkim, czego sam wybadać dotąd nie mógł. Jak się okazało, Jerzy Reusch był synem człowieka, który nazajutrz po aneksyi nie opuścił, jak to uczynili wszyscy jego koledzy, swego urzędowego stanowiska w sądownictwie i zdawał się godzić z nowym stanem rzeczy, czem u rodaków zasłużył sobie na imię renegata. Wszyscy się od niego odwrócili i babka Heringa, o czem ten wiedział z opowieści, dom mu wymówiła. Odrzucony od swoich, Reusch żył odtąd wyłącznie w towarzystwie urzędników niemieckich, do czego zresztą zmuszało go zajmowane stanowisko. Pomimo wychowania w takich warunkach, a może, jak to sam mówi, dlatego właśnie, syn jego, Jerzy, stał się gorącym patriotą alzackim. Z początku chciał się on zbliżyć do Niemców, poznać ich i znaleźć drogę porozumienia, dla dobra kraju, której już poszukiwał bezskutecznie jego ojciec. W tym celu udał się na uniwersytet do Drezna, gdzie nawet znalazł szczerych przyjaciół wśród kolegów, ale przekonał się jednocześnie o zbyt wielkiej różnicy, jaka zachodzi w temperamencie, pojęciach, dążeniach i ideałach pomiędzy Niemcami i Alzaczycami, sprawdził na miejscu niższość ich kultury i uznał za niemożliwe, by wyższa, szlachetniejsza kultura Alzacyi miała ustąpić tamtej. Ale to jest właśnie warunkiem zgody z zaborcami. Wobec tego i widząc, że innej drogi porozumienia niema, Jerzy Reusch porzucił tę myśl i zwrócił wszystkie usiłowania do zachęty rodaków, by trwali przy swych ideałach i tradycjach, opierając się w sposób praktyczny najściu przybyszów, bez obliczania na pomoc Francyi, która się ich wyrzekła, lecz na siły własne. A pierwszym tego warunkiem jest praca na miejscu na wszelkich polach, gromadzenie w swych rękach bogactw materialnych i duchowych, trzymanie się ze wszelkich sił ziemi, bo tylko w ten sposób możliwym jest zachowanie moralnej niezależności od potężnego siłą brutalną przeciwnika. Swą działalnością patriotyczną Jerzy pragnął odkupić pamięć ojca i oczyścić go z niesłusznego, jego zdaniem, zarzutu. Bo

i cóż innego miał na celu jego ojciec, jeżeli nie to, co dziś uznają wszyscy najlepsi patryoci za jedyną taktykę i politykę narodową: nie opuszczać kraju, starać się o wszelkie stanowiska na miejscu, aby ich nie pozostawić obcym? Nie zawinił on względem kraju, lecz raczej dał przykład, nie porzucając swego urzędu sędziego, który z wielką szkodą dla rodaków byłby zajął przybysz. Naprawdę zaś istotnymi winowajcami, by nie powiedzieć zdrajcami sprawy narodowej, byli ci właśnie, którzy w źle zrozumianym patryotyzmie emigrowali do Francyi, zostawiając kraj na pastwę zdobywców. Ale, w tej chwili szału wszyscy oni ślepo wierzyli, że za lat kilka powrócą z tryumfem, gdy Francya odbierze utracone prowincye. Ojciec jego tej wiary nie podzielał i został dlatego ogłoszony za renegata. Teraz każdy widzi, że się nie mylił na tym punkcie, co najwyżej uległ złudzeniu, co do porozumienia z nowymi władcami. Ale maksyma, którą się wówczas kierował, przeciw opinii ogółu alzackiego — „Alzacya dla Alzaczyców“ — stała się teraz hasłem kierowników polityki narodowej i wszystkich oświeconych patryotów. Jakie losy spotkają w przyszłości Alzację i Lotaryngię o tem dziś przesądzać trudno. Pokolenie obecne troszczy się o to tylko, by zachować nienaruszoną odrębność swej kultury i ideałów. Dokonywując wszelkich w tym kierunku usiłowań na gruncie realnym, dzisiejsi Alzaczycy i Lotaryngowie są przekonani, iż spełniają cały i jedynie możliwy, w warunkach obecnych, obowiązek względem kraju i narodu.

Czy jednakże wszyscy tak rozumieją interes narodowy? Zapewne nie. Są jeszcze zwolennicy dawnej polityki sentymentalnej, spoglądający wciąż w stronę Francyi, pomimo zawodu, jakiego od niej doznali. Ci liczą się przeważnie do starszego pokolenia i stanowią z każdym rokiem ubywającą mniejszość. Z drugiej strony znajdują się też, jako wyjątek, tacy, którzy nie widząc innego wyjścia, chcą szczerego i zupełnego połączenia się ze zwycięzcami. Są to wogóle ludzie, których interes osobisty skłania w tym kierunku. Trafiają się oni pośród urzędników, profesorów, przemysłowców i t. p. Wszakże te różnice zapatrywań istnieją właściwie tylko w klasach więcej oświeconych — w burżuazji. Warstwy ludowe, zwłaszcza chłopi, są dość obojętne na to, kto włada krajem, byle im pozwolono pracować spokojnie i dorabiać się. Ci ostatni szczególnie, trzymając się uporczywie ziemi, zachowują nietkniętym swój charakter odrębny i samą siłą inercyi stawiają tamę napływowi obcych. To też są oni najpewniejszą podstawą i rezerwą narodu. Ścisłość tych objaśnień Reuschla miał Hering sposobność sprawdzić niejednokrotnie w rozmowach

wach z przedstawicielami tych różnych przekonań i kategorii. Szczególnym trafem w najbliższem otoczeniu Reuscha znalazł się też bezwzględny ugodowiec w osobie d-ra Ferrières, niegdyś jego kolegi, obecnie narzeczonego jego siostry, której uratował życie w niebezpiecznej chorobie, czem, wbrew życzeniu brata, pozyskał jej serce. Ferrières, chociaż sam pochodzący z rodziny czysto francuskiej, osiadłej tylko od kilku pokoleń w Alzacyi, był zdania, że wobec istniejącego stanu rzeczy, którego nie zmienić nie może, upierać się przy separatyzmie lokalnym jest równie niepraktycznym, jak i nieuzasadnionem. W ten sposób bowiem drażni się tylko zwycięzców, oddala ich dobre zamiary i naraża ludność miejscową na niepotrzebne represye, których możnaby uniknąć. A przecież ostatecznie Alzacczycy należą do szczepu germańskiego i są, mówiąc ściśle, Niemcami tak samo, jak nimi są Badeńczycy, Wirtemberczycy, Bawarowie i inne południowe narody niemieckie. Skądże więc te uporzeczone sympatye do Francyi, która się ich z taką łatwością wyrzekła i tak szybko o nich zupełnie zapomniała? Sam fakt poświęcenia tych prowincyi jest już dowodem, że Francuzi uważali je za mniej więcej sobie obce, które można było oddać dla ratowania rdzennego terytoryum. Czy zresztą, Bogiem a prawdą, powrót pod rządy Francyi byłby obecnie dla Alzacyi i Lotaryngii pożądanym? Cóż bowiem zrobiła Francya od czasu pogromu z r. 1871, czy wzmogła swe siły zbrojne, czy przygotowała się do odwetu, czy zyskała sobie powagę w polityce międzynarodowej? Nie, okres ten zużyli Francuzi na wzajemne szarpanie się wewnątrz, wojnę zaś potrafili wypowiedzieć tylko papieżowi, księżom i zakonowi, drząc jednocześnie za każdym zmarszczeniem brwi cesarza niemieckiego. Poza to, w zajętych przez się terytoryach kolonialnych kierują się tą samą metodą, co Prusacy w Alzacyi i Lotaryngii.

Na tem tle, pomiędzy Ferrières'em i Reuschem, wywiązała się ostra dyskusya. Pierwszy utrzymywał, że kultura niemiecka jest tyleż warta, co i francuska, że zatem niema zasady, by Alzacczycy się jej opierali. Drugi bronił odrębności charakteru, tradycyi, dążeń i ideałów narodu alzacko-lotaryńskiego, oraz wyższości kultury francuskiej, która jest tej odrębności gwarancją. Skutkiem tej dyskusyi nastąpiło zerwanie stosunków pomiędzy rodziną Reuschów a Ferrières'em, czego ofiarą byłoby padło serce panny Reusch, gdyby nie to, że dzięki wstawiennictwu pani Dolnay i Heringa, nieporozumienie zostało załagodzone.

Powieść ta („Les Exilés“), zawiera nadto wiele trafnych obserwacyi nad obyczajami przybyszów niemieckich w porówna-

niu do okazujących wpływy wyższej cywilizacji obyczajów ludności miejscowej, oraz zestawienie dwóch kultur objawiających się w cechach zewnętrznych, począwszy od architektury i skończywszy na upodobaniach stroju, sposobie obejścia i charakterze typów. I naturalnie, różnica nie wypada na korzyść Niemców.

Rzecz kończy się rodzajem apoteozy, w uroczystości na cześć Alzatzczyków, poległych na polach bitew od lat dwustu, na której odbycie w Wissemburgu pozwoliły władze, pod wpływem łagodniejszego kursu, jaki chwilowo przeważał w polityce niemieckiej względem „niewdzięcznych“ współplemieńców. Wreszcie śmierć ojca Heringa w Amiens i jego pośmiertny powrót do ziemi ojczystej, by spocząć w grobach rodzinnych, oraz zaręczenie Klaudyusza z panią Dolnay zakończy wątek uczuciowo-romansowy tej powieści.

Justus Lobel w powieści Lichtenbergera („Juste Lobel“), znajduje się w tem samym położeniu, co Klaudyusz Hering. Jest on również synem Alzatzczyka, który po wojnie przeniósł się do Francji, tak samo wychowanym w nieznanym rodzinnego kraju. Ale autor nadał mu jeszcze charakter specjalny, stawiający go w szczególnej sprzeczności z aspiracjami zakordonowych współbraci. Justus jest wyznawcą międzynarodowego pacyfizmu, pragnącym zniesienia granic pomiędzy państwami i zatarcia różnic narodowych. Pojęcie ojczyzny, przywiązanie do odrębności narodowej jest przeto w jego przekonaniu zabytkiem czasów barbarzyńskich, sprzeciwiającym się jedynie słusznemu i uzasadnionemu uczuciu solidarności wszechludzkiej. Nadto, nie ograniczając się do przekonań teoretycznych, należy on do grupy przodującej, która dąży i dokłada w tym celu wszelkich usiłowań, by swe zasady wprowadzić w czyn. Za pośrednictwem osób ze sfer parlamentarnych wszelkich narodowości, należących do ich związku międzynarodowego, starają się pacyfiści pozyskać dla swych idei rządy i wpływać, by wojnę, jako środek rozstrzygnięcia nieporozumień pomiędzy państwami, zastąpiono sądami rozjemczymi; by ograniczano stopniowo siły zbrojne, aż do ich zupełnego zniesienia. Gdy to zostanie dokonane, gdy zniknie główny powód zatargów, wtedy słupy graniczne upadną same z siebie i ludzkość wyzwolona połączy się w jedną wielką rodzinę. Wtedy dopiero nastanie era prawdziwej cywilizacji. Ale istnieją inne jeszcze przeszkody do zupełnego porozumienia ludów, a do tych należy przedewszystkiem ucisk jednych narodów przez inne narody, to bowiem, wywołując nienawiść ucisnionych do ciemniejszych, zmusza tych ostatnich do utrzymywania pierwszych w poddaństwie przy

pomocy wojska i nie pozwala im przystąpić do rozbrojenia. To również staje się kością niezgody pomiędzy państwami, jak tego przykład najbliższy zachodzi w stosunkach pomiędzy Francją i Niemcami. Pacyfiści, którzy chcą sprawiedliwości, są życzliwie usposobieni dla narodów pokrzywdzonych, ale pod warunkiem, by te dochodziły swych praw wyłącznie na drodze pokojowego porozumienia.

Francji, która, krocząc zawsze na czele cywilizacji, wyprzedziła już inne narody w przyjęciu, jakiego u niej doznały idee, potępiające patryotyzm i militaryzm, przypadnie też zaszczyt dania przykładu innym państwom przez postawienie kwestyi rozbrojenia na gruncie realnym. W tym celu wyrzeczcie się ona uroczyście i urzędownie wszelkich pretensyi do utraconych prowincyi. Takie właśnie oświadczenie złożyła, przez usta Justusa Lobela, grupa francuska związku powszechnego pokoju na kongresie międzynarodowym, odbytym w Paryżu, wśród entuzjastycznych oklasków jego uczestników. Wniosek odpowiedni, posiadający sympatyę większości parlamentarnej, zostanie niezwłocznie przedstawiony Izbie francuskiej i ma wszelkie widoki powodzenia. Po tej inicjatywie Francji, która uwolni Europę od ciężącej nad nią groźby, niema wątpliwości, że Niemcy zgodzą się na rozbrojenie i przystąpią do międzynarodowej umowy, która ustanowi obowiązujący wszystkie państwa trybunał rozjemczy. Tak przynajmniej zapewnili obecni na kongresie niemieccy delegaci. To też kongres ów zakończył się w ogólnem przekonaniu, iż został postawiony wielki krok naprzód do urzeczywistnienia wyższych ideałów cywilizacyjnych. Justus Lobel, jako rzecznik tak pięknej sprawy, zyskał sobie gorące powinszowania uczestników, ponad które cenił zwłaszcza miły uśmiech tego anioła pokoju, ślicznej pani Sverdrup, tak silnie odbijającej wdziękiem, dystynkcyą i wykwintnym smakiem swych toalet od ogółu cudacznych feministek, zwolenniczek pacyfizmu.

Pani Sverdrup była to młoda wdowa, o której mówiono, że ma wstręt do mężczyzn, ale niemniej zgadzano się jednogłośnie, iż jest czarującą. Swym darem towarzyskim i pociągającą jakby magnetyczną siłą swego naturalnego wdzięku, zyskiwała ona dla sprawy pokoju więcej adeptów, niżeli najbardziej przekonujące argumenty lub najświetniejsza wymowa doktorów pacyfizmu. Umiała też, dzięki swemu taktowi, zgrupować około swej osoby, pod pozorem wspólności tych ideałów humanitarnych, ludzi najsprzeczniejszych pozatem przekonań i temperamentów. Lobel, który miał dla niej więcej, niż sympatyę, był też przez nią wy-

różniany, ale żadne wyznania dotąd ich nie łączyły. Po owym kongresie, jego widoki zdobycia serdeczniejszej wzajemności zdawały się zwiększać. Pani Sverdrup poprosiła go, by przybył do pewnych wód na pograniczu Alzacyi, gdzie miała spędzić lato. Tu spotkał Lobel w jej otoczeniu, oprócz lepiej mu znajomego, ale nie w jego guście, deputowanego radykała-socjalistę, pewnego amerykańskiego milionera, oraz dymisyonowanego pruskiego majora, pana von Breitenfels, którego już raz widział na kongresie w Paryżu. Major, człowiek bardzo gładki i otwartej inteligencji, był przekonany zwolennikiem pacyfizmu. Jego szerokie poglądy i zdania pełne uznania i przyjacielskich uczuć dla Francuzów, które wygłaszał w imieniu swych rodaków, dawały pewną rękojmię, że idee pokojowe znalazły w jego ojczyźnie dobre przyjęcie. Pomiędzy nim a Lobelem wywiązał się wkrótce stosunek bliższy, oparty na wzajemnym szacunku i wspólności dążeń ideowych.

Korzystając z pobytu w miejscowości nadgranicznej, Lobel pojechał odwiedzić zamieszkałą w pobliskiej wiosce swą starą piastunkę, która większą część życia spędziła u jego rodziców i liczyła się prawie do rodziny. Ta przyjęła go z radością i zmusiła niemal, by jej obiecał, że przyjedzie jeszcze, gdy wnuk jej, odbywający właśnie służbę wojskową, przybędzie za urlopem, chciałaby go bowiem przedstawić panu Justusowi. Lobel uczynił zadość życzeniu staruszki i zobowiązał się przemówić do rozumu młodego żołnierza, o którego babka jest niespokojną, boi się, by nie popełnił jakiego głupstwa, do którego jego niedoświadczenie przy usposobieniu nieuległym i gwałtownym mogłoby go popchnąć. Obawy babki okazały się słuszne, bo w rozmowie z Lobelem chłopak wyznał mu, iż zamierza dezertować i uciec do Francyi. Justus użył całej swej wymowy, by odwieść go od tego zamiaru, przedstawiając mu rozpacz babki, którą musiałby opuścić raz na zawsze. Młodzieniec obiecał mu, że będzie cierpliwym, ale widocznie uczynił to bez przekonania.

Przy tych wycieczkach do Alzacyi Lobel widział i słyszał mniej więcej to samo, co i Klaudyusz Hering, mianowicie, że mieszkańcy tego kraju nie wyrzekli się swej odrębności; że, jeżeli nie są Francuzami z krwi i mowy, to jednakże z całej duszy sympatyzują z Francją, choć stracili wiarę w powrót pod jej rządy. Ale Niemców nie lubią i chcą pozostać Alzateczkami. To wszystko było niespodzianką dla Lobela i zaciekało go trochę, chociaż w gruncie było mu to dość obojętnem. Tymczasem pewnego ranka w wycieczce samotnej po lasach nadgranicznych zbłądził i natrafiwszy na przydrożną traktyernię wstąpił do niej, by

odpocząć i pożywić się. Ku swemu zdziwieniu, ujrzał tu oficera niemieckiego w galowym mundurze, który powitał go z serdeczną uprzejmością. Był to major von Breitenfels, który na jakieś przyjęcie urzędowe, jak tłumaczył, ubrał się w mundur i zatrzymał się tu w przejeździe. Podczas, gdy rozmawiali przy kieliszku, nagle rozległ się strzał, usłyszano krzyki i wkrótce ujrzano dwóch żandarmów niemieckich, prowadzących człowieka ze skutymi rękami. W tym człowieku Lobel z przerażeniem poznał wnuka swej piastunki. Major dowiedział się od żandarmów, że człowiek ten jest dezertorem i że ciężko zranił strażnika leśnego, który go chciał aresztować. Sprawa zatem jest bardzo poważną. Jednakże, dowiedziawszy się, że los tego nieszczęśliwca tak blisko obchodzi Lobela, major obiecał, że użyje wszelkich starań, by na sądzie wojennym miano dlań względy. Lobel zmartwiony i strapiiony tym wypadkiem, pojechał zaraz do swej piastunki, aby ją pocieszyć w tej strasznej dla starej kobiety trosce. Zastał ją prawie bez zmysłów w otoczeniu kumoszek i pewnej panny Schindler, niegdyś towarzyszkii jego dziecinnych zabaw. Przyjęto go zimno, bo już przez ludzi doszła wiadomość, że, gdy biedaka aresztowano, Lobel patrzył na to obojętnie, siedząc przy kieliszku z niemieckim oficerem. Próżno tłumaczył, że ten oficer jest człowiekiem bardzo szlachetnym i że obiecał użyć swych wpływów na korzyść aresztowanego. Odpowiedziano mu, że „kruk krukowi oka nie wydziobie.“

Lobel odjechał z poczuciem, że go uważają za zdrajcę. Nazajutrz wybrał się z towarzyszami, deputowanym, komendantem de Mortanne i pewnym Amerykaninem, do Miluzy w nadziei, że od mieszkającego w tem mieście majora otrzyma jakieś wieści pocieszające. Niestety, dowiedział się od tegoż, że nic więcej nie da się zrobić, jak tylko odsunąć zarzut usiłowania zabójstwa na przedstawicielu władzy, co majorowi udało się uzyskać. Ale to zmniejsza znacznie przewidzianą przez prawo karę. Przestępca będzie sądzony tylko za dezercję, co może mu przynieść trzy do czterech lat więzienia. To jednak nie mogło zadowolić Lobela, podrażnionego już rozpaczą nieszczęśliwej staruszki, przyjęciem, jakiego doznał od tych biednych ludzi, nie rozumiejących położenia, i zarzutem, jaki na nim niesłusznie zaciężył. Wobec zatem oświadczenia majora, że nic więcej zrobić nie może, Lobelowi wymknęły się cierpkie słowa, których rezultatem był pojedynek. Ale to sprawiło mu ulgę, bo w ten sposób oczyścił się przynajmniej w oczach biednej staruszki i jej otoczenia z winy, której wprawdzie nie popełnił.

Nie poprzestając na tem, udał się jeszcze do znajomego adwokata, Mullera, przedstawiciela młodego patryotyzmu alzackiego. Ten wszakże, podejmując się sprawy, zresztą straconej, bo nie dezertera, jak to słusznie powiedział major, od przepisanej kary ustrzedz nie może, wyraził się o tem twardo i bezwzględnie. Powiedział mianowicie, że kara, która go spotka, jest zasłużoną, że go bynajmniej nie żałuje, bo tacy ludzie, rządzący się sentymentami, nie umiejący panować o tyle nad sobą, by odbyć służbę przykrą, ale nieuniknioną, są to wartości ujemne, nie pożyteczne dla narodu, który w swych ciężkich warunkach potrzebuje ludzi, umiejących pracować realnie, nie dających się zniechęcić i nie cofających się przed przykrościami i przeszkodami, na jakie natrafiają. Kto dla ich uniknięcia kraj opuszcza, ten jest dezerterskiem nietylko wobec prawa wojennego najeźdźców, ale przede wszystkim wobec sprawy narodowej. Lobel uczuł się nieco dotkniętym, ale nie mógł nie przyznać w duchu słuszności adwokatowi.

Z tem wszystkiem spostrzegł się on, iż po tych różnych przejściach otworzyły się przed nim horyzonty, dotąd mu nieznanne. Przekonał się, że kwestya alzacko-lotaryńska, którą zgodnie z jego dotychczasowem przekonaniem Francya powinna pogrzebać i poświęcić w imię powszechnego pokoju, istnieje i istnieć będzie niezależnie od decyzji francuskiego rządu i parlamentu, bo jest kwestyą bytu narodu żyjącego i świadomego swych dążeń, która bez względu nawet na wszelkie umowy, jakieby ponad jego głowę pomiędzy Francyą a Niemcami stanąć mogły, nie będzie rozstrzygnięta, dopóki on sam celu tych dążeń nie osiągnie i kresu im nie położy.

Skądinąd, patrząc na olbrzymie nagromadzenie wojsk po obu stronach granicy, na skierowanie wszystkich usiłowań do pomnożenia i udoskonalenia środków destrukcyjnych, na spożytkowanie w tym celu wszystkich wynalazków nauki i techniki, zwłaszcza żeglugi napowietrznej—jednem słowem na gotowanie wojny z nieugiętą konsekwencyą, szczególnie po stronie niemieckiej, pokój powszechny wydał się Lobelowi dziwnie nikłym złudzeniem. Czy zatem Francya nie jest na błędnej drodze ze swą inicjatywą rozbrojenia? Czy opierać politykę kraju na fantastycznej mrzonce nie jest to zgubnem szaleństwem, wobec tak groźnej postawy sąsiada? Zapewne, pokój, porozumienie narodów, panowanie sprawiedliwości, usunięcie raz na zawsze okrucieństw i gwałtów wojny i otworenie nieograniczonego pola dla rozwoju cywilizacyi jest to piękny ideał, ale czy rozbrojenie Francyi, już i tak dość osłabionej i rozstrojonej skutkiem haniebnej polityki wewnętrznej,

a więc zdanie się na łaskę i niełaskę zbrojnych sąsiadów, poprowadzi do jego urzeczywistnienia? Czy raczej nie wywoła właśnie i nie przyspieszy wojny i podboju?

A jaki jest los narodu podbitego, to położenie Alzacyi i Lotaryngii daje aż nadto wymowny tego przykład. Oto do jakich wniosków doszedł ów apostoł pokoju, pod wpływem realizmu faktów, jakim miał tutaj sposobność przyjrzeć się z bliska. Niccoś tych teoretycznych marzeń uderzyła go już, gdy sprowadzony siłą rzeczywistości na grunt realny, znalazł się odrazu w przeciwieństwie do swych przekonań i dążeń ideowych, najpierw, będąc zmuszonym nakłaniać młodego żołnierza do poddania się dyscyplinie wojennej, później, stając do pojedynku, czyli uznając w czynie w stosunkach prywatnych, co potępiał w teorii w stosunkach międzynarodowych i to tembardziej, że jego pojedynek z oficerem niemieckim przybrał symboliczny charakter walki dwóch ras i dwóch kultur.

Po długich wewnętrznych zmaganiach Lobel przyszedł do przekonania, że niema już dość wiary, by pełnić dłużej swe funkcyje sekretarza grupy francuskiej międzynarodowego związku powszechnego pokoju i że obowiązek jego, jako Francuza alzackiego pochodzenia, jest utrzymać łącznik moralny pomiędzy swemi dwiema ojczyznami—ojczyzną krwi i ojczyzną ducha, który skutkiem zaniedbania przez tę ostatnią swych istotnych zadań, grozi osłabieniem i zanikiem, z niepowetowaną szkodą dla obu.

Opuszczając sprawę pacyfizmu, Lobel nie łudzi się, iż utraci sympatyje kobiety, która była uosobieniem jego ideałów, ale to nie powstrzyma go w powrocie do prawdziwego obowiązku, który teraz nie jest już dlań wątpliwym. Odtąd będzie on spędzał dużo czasu w Alzacyi. Zbliży się do adwokata Mullera, jednego z wydatniejszych kierowników lokalnej polityki narodowej i każdym razem odwiedzać będzie biedną staruszkę, której wnuk, skazany na cztery lata więzienia, pokutuje za swą niefortunną eskapadę i której zaufanie powrócił mu pojedynek z majorem, zakończony zresztą bez szkody dla stron obu.

Powieści „Les Exilés“ i „Juste Lobel“ trochę suche, gdyby je uważać wyłącznie za utwory wyobraźni, są bardzo zajmujące i mają o wiele więcej znaczenia, jako charakterystyka stosunków w Alzacyi i Lotaryngii, oraz ewolucyi pojęć narodowych ich mieszkańców w okresie zaborem, t. j. od aneksyi po dzień dzisiejszy. Ukazały się one na dobre, by objaśnić niedbałą nieświadomość ogółu francuskiego, zobojętniałego dla tej sprawy, od czasu zwłaszcza, gdy dla wewnętrznych rozterek, porzucono wo

Francyi myśl odwetu. Dyskusya projektu autonomii dla zdobytych prowincyi w parlamencie cesarstwa przypomniła światu i Francyi tę pogrzebaną w milczeniu kwestyę. Położenie Alzacyi i Lotaryngii w stosunku do związku niemieckiego było do ostatnich czasów prowizorycznem. Kraj ten nie miał praw równych z innymi niemieckimi krajami, które, stanowiąc państwo związkowe, mają swego monarchę, swój rząd i swoją konstytucyę, lecz, jako zdobycz wojenna całych Niemiec, był ich własnością wspólną—krajem cesarstwa (Reichsland), rządzonym przez namiestnika cesarskiego i delegacyę (Landesausschuss), rodzaj prowincjonalnego sejmku o kompetencyi bardzo ograniczonej.

Jego mieszkańcy, w pierwszych latach po aneksyi, zaledwie od Francyi oderwani i przekonani, że wkrótce do niej powrócą, nie dopuszczali nawet myśli o autonomii. Żądać autonomii, byłoby to pogodzić się z położeniem, uznać traktat Frankfurcki, połączyć się dobrowolnie z Niemcami. To, wobec ich ówczesnych uczuć i stanu umysłów, było niemożliwem. Ale również było to niemożliwem i dlatego, że ich władcy, uważając ich za „niedojrzałych,“ t. j. nie dość uległych germanizacyi, byliby takiego żądania nie uwzględnili, jak do ostatka zresztą odmawiali im tego pruscy konserwatyści i wszechniemcy, którzy żądali bezpośrednio wcielenia Alzacyi i Lotaryngii do Prus. Że takim w gruncie było życzenie rządu pruskiego, można łatwo uwierzyć, ale względy polityczne, mianowicie obawa niesnasków wewnętrznych i opozycyi państw związkowych, nie dozwoliły na takie uproszczone rozwiązanie kwestyi. To wszystko razem było powodem, że pozostała ona w zawieszeniu przez lat czterdzieści. Tymczasem młode pokolenie Alzato-Lotaryngów, nie mogąc już liczyć na interwencyę Francyi, która się jej wyrzekła i do czego zresztą rozstrój wewnętrzny odebrał jej środki, zaczęło, wbrew dawnym przekonaniom ojców, starać się o autonomię, w której ujrzało gwarancyę zachowania swej odrębności. Jednocześnie w Niemczech wzmógł się też prąd opinii w tym kierunku. Ale inną jeszcze trudność przedstawiała kwestya tej autonomii. Oto wszystkie państwa związkowe, prócz trzech miast hanzeatyckich: Hamburga, Bremy i Lubeki, są to monarchie, posiadające swe historyczne, narodowe dynastye. Alzacya i Lotaryngia lub właściwie Alzacya-Lotaryngia takiej własnej dynastyi niema. O tem, aby dać nowemu państwu związkowemu ustrój republikański, w cesarstwie niemieckiem mowy być nie mogło, zaś nadania mu dynastyi obcej, nie mówiąc już o niechęci narodu, na coby nie zważano, choć do tego wśród książąt niemieckich, z synami cesarskimi

przedewszystkiem, kandydatów by nie brakowało, trzeba było, przynajmniej jak na teraz, dla tych samych względów na rywalizację wewnętrzną, się wyrzec. Skończyło się więc na tem, że projekt autonomii przedstawiony nareszcie przez kanclerza cesarstwa Izbie państwowej, nadając Alzacyi-Lotaryngii konstytucyę, pozostawił ten punkt nierozstrzygniętym, a raczej opuszczonym. Alzacya-Lotaryngia, obdarzona Izłą poselską i Izłą wyższą, będzie nadal rządzoną przez namiestnika, wyznaczonego przez cesarza, będzie więc na pozór monarchią bez monarchy, ale wistocie, jak wynika z tego ustroju, monarchą alzacko-lotaryńskim będzie bezpośrednio cesarz niemiecki i co za tem idzie, acz w sposób wykrętny, Prusy położyły rękę na tym kraju, zdobytym w najważniejszej części siłami państw związkowych.

Jak wiadomo, każde z tych państw, nie wyłączając najmniejszych, ma swe głosy w Radzie związkowej (Bundesrath). Według projektu z r. 1910 Alzacya-Lotaryngia miała być tego prawa pozbawioną, a to ze względu na pozostawienie Radzie związkowej dotychczasowej równowagi, którą przystąpienie nowego państwa by naruszyło. Wskutek wszakże opozycji komisji, wyznaczonej przez Izłą państwową (Reichstag), przyznano Alzacyi-Lotaryngii trzy głosy w Radzie związkowej, z tem wszakże zastrzeżeniem, że ponieważ przy projektowanym ustroju głosami temi rozporządzałby cesarz niemiecki, a więc król pruski, będą one nieważne każdym razem, gdy przechyłą większość na stronę Prus. Ponieważ zaś z natury rzeczy głosy te przeciw Prusom się nie zwróca, zatem znaczenie ich równa się zeru i obecność Alzacyi-Lotaryngii w Radzie związkowej sprowadza się do prostej formalności. Ale nie dość na tem, Izba wyższa składać się będzie w połowie z członków wyznaczonych przez cesarza na lat pięć; w drugiej połowie — w części z członków z prawa — wysokich urzędników i dygnitarzy cywilnych i duchownych, w części zaś z członków, wybieranych przez rady miejskie czterech miast głównych, oraz przez pewne grupy społeczne, jak: izby handlowe, rady rolnicze i t. p. Izba niższa składać się będzie z członków, wybieranych, zgodnie z życzeniem Alzaczyków i Lotaryngów, przy pomocy głosowania powszechnego, bezpośredniego i tajnego. Ale i tu, jak się domyśleć można, kierowano się nie interesem narodu, mającego korzystać z konstytucyi, lecz względami na interes germanizacji. Jeżeli porzucono projektowany poprzednio system pluralny, to jedynie dlatego, że powszechne głosowanie, zadawalniając dążenie różnych partyi niemieckich, daje jednocześnie przewagę ludności wiejskiej nad ludnością miast, gdzie właśnie kon-

centrują się elementy odporne. Przytem prawo głosowania, wbrew obowiązującej na tym punkcie w Niemczech zasadzie, będą mieli bez naturalizacyi, ani żadnych przeszkód formalnych, przybysze z innych krajów niemieckich, co też ogromnie ułatwi przeprowadzenie wyborów w myśl rządu. Dodajmy do tego, że namiestnik wyznaczony dowolnie przez cesarza i przed nim tylko odpowiedzialny, będzie miał prawo weta. Konstytucya ta daje, jak to z łatwością poznać można, wszelkie rękojmie rządowi cesarskiemu utrzymania nowego państwa w zupełnej zależności. Nic więc dziwnego, że Alzacczycy i Lotaryngowie, widząc w takiej konstytucyi, sprzeciwiającej się ich interesom narodowym, środek gorszego jeszcze, niż dotąd, bo bez nadziei na zmianę, ujarzmiienia i oddanie ich kraju na pastwę Prusom, podnieśli jednogłośny protest. Przedstawiciele ich w Izbie państwowej, wśród których odznaczyli się ksiądz Wetterle i poseł Preiss, wystąpili przeciw projektowi. Ale stronnictwa niemieckie, które ze względu na widoki własne zdawały się popierać pewne żądania przedstawicieli Alzacyi i Lotaryngii, jak centrum i w części socjaliści oraz liberałowie, opuściły ich w chwili rozstrzygającej, gdy szło o zasadniczy interes narodowy. Tylko Polacy i poseł duński, z natury rzeczy im współczujący, pozostali przy nich do końca i głosowali wraz z nimi przeciw projektowi, spotykając się w tem, dziwną ironią losu, z pruskimi konserwatystami, przeciwnymi z zasady autonomii Alzacyi-Lotaryngii. Ale protest narodu interesowanego był tylko platoniczną formalnością. Projekt konstytucyi, mając za sobą większość w Izbie państwowej, został przyjęty z drobnymi poprawkami. Narzucono ją Alzacyi i Lotaryngii wbrew jej woli, jak ulegalizowane jarzmo. Związek niemiecki, który z tak dziwną łatwością dał się w tej sprawie dobrowolnie oszukać, abdykował raz jeszcze na korzyść króla pruskiego, ze szkodą dla prawdziwych interesów niemieckich. Bo utrzymując w stanie upośledzonym naród przecież współplemienny, który, pragnąc swobodnego rozwoju w prawach, zgodnych z ustrojem cesarstwa, równych tym, jakie posiada każde z dwudziestu sześciu państw związkowych i jakich od francuskiej, centralistycznej tyranii republikańskiej spodziewały się nie mógł, dał dowód, iż godzi się na połączenie swych dalszych losów z przeznaczeniem Niemiec, odrzucono go z powrotem do stanowiska bezwzględnie opornego i nieprzyjaznego, utwierdzono tylko w nieufności i wstręcie do wszystkiego, co niemieckie i zbudzono na nowo zaniechane już po większej części dążności separatystyczne.

Zapewne Prusy, zgodnie ze swym systemem, liczą na stosowanie gwałtu i na zalew imigracyi, ale jest nadzieja, że się na tem zawiodą, bo, jak się okazuje dzisiaj, po latach czterdziestu, środki te nie dały bynajmniej spodziewanych rezultatów. Pokolenie obecne, jeżeli przestało marzyć o powrocie do Francyi, pozostało zawsze wiernem odrębności ideałów i kultury swojskiej i potrafiło bronić jej skuteczniej, niż pokolenie poprzednie. Imigracya zaś w większych rozmiarach, aby mogła mieć znaczenie w kraju mocno zaludnionym i wyżej kulturalnie i ekonomicznie rozwiniętym, jest fizycznym niepodobieństwem. Tymczasem warunki ogólne, tak narazie przychylne moralnemu połączeniu Alzacyi i Lotaryngii z Niemcami, mogą się zmienić. Separatyzm dziś beznadziejny i w gruncie nawet dla Alzato-Lotaryngów, w formie powrotu do Francyi, przy jej dzisiejszych warunkach wewnętrznych, może nie pożądany, zyskać może z czasem inne, o wiele realniejsze podstawy.

Po tej nieudanej próbie wydobycia się z pod pruskiej kurteli, Alzaczycy i Lotaryngom nie pozostaje nic innego, jak tylko trwać dalej i wytrwać w oporze. I takie też są ich zamiary, o ile wnosić można z oświadczeń kierowników ich polityki narodowej, znajdujących wyraz w artykule księdza Wetterlé (Correspondant, 10 czerwca 1911 r.).

Oto więc, jak przedstawia się pod względem administracyjno-politycznym, w stosunku do cesarstwa niemieckiego, kwestya alzacko-lotaryńska, którą, jak widzieliśmy, autorowie powieści „Les Exilés“ i „Juste Lobel, Alsacien“—Paweł Acker i Andrzej Lichtenberger—tak ciekawie sch rakteryzowali z punktu uczuciowego, obyczajowego i ideowego.

Czyniąc to, spełnili jako Alzaczycy, podobnie jak ich bohaterowie, naturalizowani we Francyi, patryotyczny obowiązek. Paweł Acker dał już poprzednio powieść ideową p. t. „Le Soldat Bernard,“ wykazującą na przykładzie fałsz i niezgodność z bytem realnym i istotnymi potrzebami narodu mrzonek pacyfistycznych, antymilitarnych i antypatryotycznych, przewracających w głowach ludziom i popychających ich do zbrodni. Ale w twórczości Lichtenbergera „Juste Lobel“ jest pierwszym utworem w tym charakterze. Dotąd odznaczył się on szczególnie, jako wyborny znawca psychologii dziecięcej. Cały szereg jego utworów takich, jak „Mon Petit Trott,“ „Le Petit Roi,“ „Notre Minnie,“ „La Petite,“ można nazwać areydzielkami w swoim rodzaju. Nie są to właściwie powieści w ścisłym znaczeniu, bo niema w nich ani całości kompozycyi, ani ciągłości opowiadania, ani żadnej akcyi lub fa-

buły, lecz tylko szereg obrazków życia, bardzo lekko naszkicowanych i widzianych za pośrednictwem oczów, pojęć, uczuć i temperamentu jedynej postaci, którą jest to kilkoletni dzieciak, pozostający pod kierunkiem bony, jeżeli nie niańki („Mon Petit Trotte“, „Le Petit Roi“), to dwunastoletnia dziewczynka („Notre Minnie“), to wreszcie piętnastoletni podłotek („La Petite“).

I w tych obrazkach przebija się cała dusza dziecinna w tych różnych fazach pierwszych lat życia, podczas których zaczyna się urabiać, z całą jej świeżą naiwnością, skłonnościami, nieumiejęceni jeszcze się ukrywać, oraz intuicyą, zastępującą u tych istot, żyjących wyłącznie instynktem, doświadczenie i pozwalającą im niejednokrotnie odgadywać nieznanne im jeszcze strony życia. Ale autor nie bawi się tu w idealizowanie, nie roztkliwia się nad „anielskością“ dziecinnego wieku, lecz charakteryzuje swe figurki dziecięce bardzo realnie, tak, jak się one same przedstawiają. Wiek przejściowy znajduje w nim równie dobrego obserwatora. Umie on oddać z wielką prawdą całą komplikację, nieco chaotyczną, w pojęciach i uczuciach zaledwie wychodzącej z dzieciństwa dziewczynki, powstałych zarówno pod wpływem otrzymanych nauk książkowych, jak bardziej jeszcze poglądowych, jako wynik mniej lub więcej mimowolnej obserwacji osobistej otoczenia czy to w domu, czy w kółku znajomych, czy też, przy różnych sposobnościach, stosunków ludzkich w szerszym znaczeniu. Uwydatnia też cechy szczególne tego wieku, zwłaszcza u dziewczynek, mianowicie pewną naiwną zarozumiałość w połączeniu z nieśmiałością, skłonność do pretensjonalności i próżności, chęć dorównania lub nawet przewyższenia we wszystkim osób dorosłych i wynikające stąd często objawy komiczne lub tragiczne, szczęściem szybko przemijające.

Ale te naiwne obserwacje dziecinne lub dziewczęce, za których pośrednictwem autor, w tak lekkich rysach, charakteryzuje psychologię młodocianego wieku, służą mu również do wyrażenia, z ironią, wogóle dość niewinną, chociaż czasem kolącą dotkliwie, krytyki stosunków społecznych, a zwłaszcza obyczajów, cechujących przeważnie średnie i zamożniejsze sfery francuskiej burżuazji. To też w tych na pozór naiwnych obrazkach z życia dziecinnego tkwi w istocie, jeżeli nie wypowiedziana zbyt złośliwie, niemniej mocno dosadna, niekiedy nawet gorzka satyra społeczna. Taki sposób traktowania tworców wyobraźni, bardzo przyjemny i łatwy w czytaniu, wymaga szczególnego i dość rzadko trafiającego się daru obserwacji i intuicyjnego odczuwania najbardziej ulotnych odcieni wrażliwości umysłowej i uczuciowej

dziecka. Dar ten Andrzej Lichtenberger posiada niewątpliwie w wysokim stopniu, czego dał dowód, gdy w szeregu utworów jednorodnych nie wyczerpuje się, nie powtarza, umie w tak szczupłym zakresie wydarzeń, myśli, wrażeń i uczuć drobnych i błahych znaleźć drogę do odkryć nowych i niespodziewanych, potrafi tem wszystkim zająć i wywołać złudzenie, jakoby się istotnie zaglądało, przy pomocy latarni magicznej, której nam dostarcza, do wnętrza duszy dziecięcej. A jednak, mimo to, jeszcze nie zawsze jest w stanie uniknąć sztuczności i transponowania do naiwnej formy pojęć dzieciennych myśli i uwag, które w mózgu dziecka pomieścić się nie mogą, co też brzmi czasem, ale tylko wyjątkowo, w tych jego utworach, nutą fałszywą.

Wielostronność talentu Lichtenbergera ocenimy lepiej jeszcze, gdy poznamy jego powieści na tle przeszłości, jak „Monsieur de Migurac,” lub „La Folle Aventure,” w których, obok nader zręcznego poprowadzenia intrygi w rodzaju Aleksandra Dumas ojca, okazuje dużą uniejętność wczucia się w charakter danej epoki, który podkreśla, posługując się właściwym jej sposobem wyrażenia myśli w tonie i zwrotach mowy, bez nadużycia archaizmów. Tylko, wskutek zbytniego puszczenia wodzy fantazyi romantycznej, powieści te, skądinąd wartości prawdziwej, czuć nieco felietonem.

„La Petite“ Lichtenbergera dzieli cała przepaść od słynnej „Claudine“ małżonków *Willy* (pseudonim p.p. Gauthier-Villar), tej „ingénue libertine,” której drastyczna i wyzywająca sylwetka ukazuje się w całej seryi pieprznych powiastek, wśród zająć i wydarzeń o charakterze mocno skandalicznym. To też niema najmniejszej zasady do jakiegokolwiek pomiędzy niemi porównania. Ale pani *Colette Willy* współautorka i podobno wzór Claudine'y, autorka niezmiernie oryginalnych utworów, jak „Les vrilles de la vigne“ i „Dialogues de bêtes,” zwróciła znowu uwagę na siebie nader ciekawemi i zupełnie nowego rodzaju zaletami swego samorzutnego talentu, w swej ostatniej powieści „La Vagabonde.“ Dzieło to — „historya literatki, która się wykoileiła“ („histoire d'une femme de lettre qui a mal tourné“), jest analizą stanu ducha (może autoportretem moralnym?) artystki z podrzędnego gatunku szansonetek (Café-concert, music-hall), tułającej się po świecie, ze sceny na scenę, dla marnego zarobku, przeważnie niewystarczającego na zapewnienie skromnego nawet utrzymania, bez dodatków, których dostarcza młodość i piękność, naturalna lub sztuczna, podniesiona tym tajemniczym i upajającym urokiem, ja-

kim dla profanów otacza kobietę drażniącą zmysły atmosfera teatralna.

„La Vagabonde”—Renée Néré, jako „literatka, która się wykoleiła,” należy jednak w tym świecie błyskotliwej nędzy do wyjątków. Umysł jej wyżej rozwinięty pozwala jej rozróżnić w sobie i w swem otoczeniu rzeczy, z których ogół jej kolegów i koleżanek sprawy sobie nie zdaje. To też rozrywką, nie zawsze wesołą, w jej samotności, w godzinach wolnych od prób lub występów jest obserwacya najpierw samej siebie, a potem swego otoczenia. W tym szczególnym światku podrzędnej muzy, gdzie każdy uważa się za prawdziwego artystę, któremu zawiść ludzka lub los przeciwny stoi na zawadzie do karyery, widzi ona prócz nędzy, brutalności i wyuzdania, prócz intryg i zawiści, prawie zawsze i prawie u wszystkich mniej lub więcej ukryte cierpienie. Pod jaskrawym łachmanem kostiumu scenicznego bije serce ludzkie i serce to najczęściej cierpi, lecz cierpi w milczeniu, bo nikt nie jest tak dumnym, jak ten rodzaj artysty. To samo znajduje Renée i w sercu własnem—i ona cierpi, chociaż jej cierpienie jest zarazem radością. Cierpi ona z powodu samotności, bezwzględnej pustki uczuciowej, ale ta samotność jest gwarancją wolności, którą ceni nadewszystko, której za żadne rozkosze, za żadne szczęście by się nie wyrzekła. Bo Renée kochała, została zdradzoną i była bardzo nieszczęśliwą aż do chwili, gdy nadmiar cierpienia powrócił jej panowanie nad sobą. Wtedy rozwiodła się z mężem i zostawszy bez środków, nie mogąc też dalej oddawać się literaturze, została tancerką. I nie żałuje tego bynajmniej obecnie. Cała ta przeszłość, tak jeszcze niedaleka, jest dla niej teraz umarłą. Wspomina o niej, jak o przebytej chorobie, bo była chorą do tego stopnia, iż chciała się zabić i umrzeć. To wszystko minęło bezpowrotnie, jest jej zupełnie obojętnem, ale pozostawiło niczem niewypełnioną pustkę. Ta pustka moralna i uczuciowa, którą stara się oszukać, zresztą napróżno, ciąży jej bardzo. Rozumie się, nie brak mężczyzn, którzyby radzi ją rozerwać, propozycye tego rodzaju spotykają ją codziennie. Ale przelotne miłości nie nęcą jej bynajmniej. Nie krępuje się ona żadnymi względami moralnymi, lecz do tego rodzaju stosunków ma wstręt fizyczny, nieprzewyciężony, a po doświadczeniu przeszłości, bardziej jeszcze boi się związać uczuciem poważniejszym. Tymczasem uczucie to—miłość prawdziwa lub coś bardzo podobnego, zbliżyło się do niej w postaci pewnego młodego człowieka z bogatej burżuazji, którego wytrwałość przewyciężyła jej opór i obojętność. Renée, pozyskana stałością i szczerością jego uczuć, daje się wreszcie również

unieść uczuciu, w którego możliwość dotąd nie wierzyła i teraz nawet nie jest tego pewną. Godzi się więc powoli z myślą o małżeństwie, ale, pomimo szczęścia, jakiego zaczyna doznawać, coś w głębi jej istoty sprzeciwia się temu. Jakiś półświadomy instynkt mówi jej, że się to stać nie powinno, że do tego nie dojdzie. Pod wpływem tego instynktu i wbrew pragnieniu własnego serca, które wzdraga się przed powrotem do dawnej pustki, Renée, by zyskać na czasie, przyjmuje umowę na przedstawienia w miastach prowincjonalnych, wskutek czego chwila ślubu zostaje o miesiąc oddaloną. Przez ten czas, zdala od wpływów miłości, obezwładniających jej wolę, odzyskuje niezależność zastanowienia i, po codziennych wewnętrznych utarczkach, z których jej serce wychodzi pokonanem, postanawia zerwać z narzeczonym, co przyspiesza jeszcze otrzymane niespodziewanie zamówienie na występy gościnne w południowej Ameryce. By nie osłabnąć w swem postanowieniu, Renée nie zobaczy więcej narzeczonego, lecz zawiadomi go listownie o swym wyjeździe, z przeproszeniem za ten zawód, za który on sam może później będzie jej wdzięczny. Renée cierpi nad tem równie dla siebie samej, jak i dla zmartwienia, którego staje się powodem. Dlaczego więc zrywa, odpycha uczucia szczerze, pozbawia się widoków szczęścia? Powodów ma do tego kilka, choć sama nie jest bezwzględnie przekonaną, czy są one istotne. Przedewszystkiem wiek ich obojga — oboje mają lat trzydzieści trzy, a więc okres miłości skłania się dla niej ku schyłkowi, gdy on nie przebył jeszcze pierwszej jego połowy. Z poprzedniego doświadczenia Renée wie, co w tych warunkach czeka ją w przyszłości. Widoki powtórzenia tych mąk i tych upokorzeń, przez które przeszła, od których z takim trudem, z takim wysiłkiem się uwolniła, przejmują ją zgrozą. Dalej, różnica w pojmowaniu życia, które ona zna ze wszystkich stron, zwłaszcza ze stron ujemnych, a które dla niego, zepsutego dziecka bogatej rodziny, bez żadnego poważnego zajęcia, polega na dogadaniu swym kaprysom, jest też poważną do tego związku przeszkodą. Trzeba wyrzec się swej niezależności, porzucić to marne, sztuczne, fałszywe, a jednak pociągające dziwnym urokiem, życie scenicznej cyganeryi. W gruncie to wszystko są to może preteksty. Jedno tylko jest tu powodem niewątpliwym, chociaż nie da się ściśle uzasadnić — instynkt, który sprzeciwia się jej nowemu małżeństwu, instynkt, który jej mówi, że raz tylko się kocha naprawdę.

I ta spowiedź „włóczęgi,“ istoty świadomej siebie pomimo swej impulsywności, tchnąca dziwną gorzką szczerością, odkrywa

nam naprawdę duszę kobiety współczesnej z jej obawą „pustki“, z jej mistyczną tęsknotą za wyższym ideałem, który jej wydarł nowożytny sceptycyzm, a który pewniej, niż uczucia ludzkie tę pustkę zdolny jest wypełnić. Przebija to w serdecznej litości, jaką odczuwa dla tych wykołejonych biedaków, z których składają się wędrowne trupy artystów szansonetkowych; w bolesnej skardze istoty, odczuwającej poniżenie bliźnich, ale, w poczuciu własnej nicości, nie gardzącej nimi; w tem wyznaniu wreszcie, dobywajacem się z głębi jej duszy i wypowiedzianem na wstępie tej szczególnej książki, gdzie naga brutalność żargonu mięsza się z głębokością myśli, trafnością psychicznej analizy i szlachetnością porywów ducha: „Naprawdę, gdyby władca mój „traf“ inne w mem sercu przybrał inie, jaką doskonałą byłabym katoliczką!“

Jednocześnie w utworze tym odnajdujemy cechę wspólną, charakteryzującą wszystkie kobiety-autorki, mianowicie indywidualistyczną subiektywność w tej formie spowiedzi, mniej lub więcej szczerej, lecz zawsze wypływającej z właściwego ich płci psychicznego ustroju.

Z tem wszystkim pani Colette Willy, niegdyś współautorka „Claudine“ i innych podobnych utworów, ukazując w „La Vagabonde“ nową stronę swego talentu i dążności duchowych, staje się mimowolnie moralistką. I to stanowi też niemałą niespodziankę.

Henryk Bordeaux, jak wiadomo powszechnie, jest jednym z pierwszorzędných w dojrzewajacem obecnie pokoleniu powieściopisarzy francuskich. Można o nim powiedzieć, iż, jako malarz obyczajów lokalnych, na drodze, wskazanej przez Maurycego Barres'a, kroczy on na czele młodego jeszcze, a już obarzonego pięknym plonem kierunku tradycjonalistycznego i prowincjonalnego, który, jak to widzieliśmy przed chwilą na przykładzie dwóch autorów alzackich, zyskuje codzień nowych adeptów. Ale H. Bordeaux szczęśliwszy od większej części swych kolegów, a zwłaszcza dwu ostatnich, nie był nigdy „wykorzenionym“ („déraciné“). Jest on tradycjonalistą prowincjonalnym z urodzenia i z rodu, urodził się bowiem, wychował i zamieszkuje większą część roku w Sabaudyi, t. j. kraju, w którym od najdawniejszych czasów żyli jego przodkowie, skąd wynika, iż jest on, wedle wyrażenia Pawła Bourget, „nasycony“ tradycjonalizmem miejscowym. To znaczy, że gdy mówi o rzeczach i ludziach swego kraju, ma się wrażenie, iż pozostaje mu wiele więcej do powiedzenia i że zachowuje w umyśle i sercu wielki zapas obrazów i wspomnień. Odczuwa się również, że pomiędzy tymi widokami i obyczajami, a jego uczuciowością istnieje wewnętrzny i niezniszczalny stosu-

nek. Każda rzecz, każdy zakątek jego prowincyi, począwszy od cudnego sabaudzkiego jeziora, które opiewali poeci, lub dumnie górującego nad miastem stołecznem zanku, a skończywszy na najdrobniejszej zagrodzie, jest dlań jakoby osobą, należącą do rodziny, o której wyraża się z odcieniem serdeczności i dumy tak, jak się mówi o ludziach i rzeczach drogich naszemu sercu, których byt, wiążąc się najściślej z naszym, których sława, rzucając pewien blask na nas samych, obchodzi nas bardzo blisko.

Tradycjonalistą uczyniła go ta miłość rodzinnego kraju, równie jak zastanowienie, które pozwoliło mu poznać, iż istnieją prawa rządzące życiem ludzkim i że te prawa odpowiadają tym, jakie zwyczaj—to nieświadome doświadczenie wieków, ustanowił powolnie i pewnie, oraz stwierdzić, że społeczeństwa, które trwały, musiały, aby trwać, być posłuszne regułom zdrowia zbiorowego. Jeżeli zatem — mówi dalej p. Bourget — chce się reguły te odnaleźć, dokona się tego nie przy pomocy konstrukcyi ideologicznych, lecz za pośrednictwem obserwacyi, które trzeba umieć wyciągnąć. Jest to ściśle przystosowanie metody naukowej do moralnego życia społeczeństwa. Poprzez pozytywizm, wyszedł stąd tradycjonalizm, ten ruch nieobliczalny w swych skutkach, który odnawia obecnie całą myśl francuską. Henryk Bordeaux jest jednym z wierniejszych sług tej silnej doktryny. Ale powieści jego nie są to rozprawy. Dramat życiowy i uczuciowy gra w nich pierwszą rolę, z tym jednakże dodatkiem, iż zawiera w sobie myśl, ideę przewodnią, która dobywa się zeń nie jako teza dowiedziona, lecz jako wskazówka, podobna do tych, jakie z wydarzeń życiowych samibyśmy wyciągnęli i niekiedy wyciągamy, gdyby, jak w powieści, prawdziwe ich powody i przebieg mogły nam być znane.

Zaś ideą przewodnią jego twórczości jest ta, którą zawiera zasada Le Play'a: „rodzina, nie jednostka, jest prawdziwą komórką społeczną,“ zasada, wyznawana również przez Bonalda, Augusta Comte'a, Balzac'a, na której tradycjonalizm oparł swą doktrynę w przeciwstawieniu do rewolucyjno-demokratycznych doktryn indywidualizmu. Znajdujemy też tę ideę mniej lub więcej uwydatnioną we wszystkich jego powieściach, w których zawsze wszystko ściąga się do bytu i interesu rodziny, w jej związku z ziemią ojczystą, która ją wydała, chociażby głównymi bohaterami akcji romansowej i rozgrywającego się dramatu były jednostki nawet od niej oderwane. Tak jest w „Le Pays natal,“ w „Les Roquevillard,“ w „La Voie sans retour,“ w „La Peur de vivre,“ w „Les Yeux qui s'ouvrent,“ w „La Croisée des chemins“

i tak też rzecz się ma w utworze, w którym dramat uczuciowy stanowi temat wyłączny i całkowicie go wypełniający, mianowicie w powieści „La Robe de laine.“ Motyw tego dramatu, który rozgrywa się w milczeniu, w głębi zrezygnowanego serca i kończy się cichą tragedią, jest bardzo prosty, bardzo zwyczajny. Jest nim bowiem rozdźwięk, dzielący niemożliwą do usunięcia zaporą dusze dwóch kochających się istot, pochodzący zarówno z różnicy temperamentów i charakterów, jak i warunków wychowania każdej z nich. Arcymilioner paryski nazwiskiem Cernay, wychowany i żyjący w najbardziej błyszczącym towarzystwie stolicy, co mu zastępuje brak tradycji rodowych, zepsuty nadmiarem zbytku i powodzenia, przeżyty już mimo młodego wieku, zostaje, skutkiem kaprysu, nabywcą pańskiego majątku i rezydencji, położonego w głębi Sabaudyi, gdzie, podczas przelotnego pobytu zakochawszy się nagle, żeni się z córką swego rządcy, która nie chciała zostać jego kochanką. Raymonde jest młodziutką zaledwie dorosłą panią, uroczem stworzeniem, niemającą wyobrażenia o życiu innym jak to, które pędziła tutaj, w tem zgubionem wśród lasów ustroniu, w otoczeniu natury i prostego ludu wiejskiego, w serdecznej, wyłącznie rodzinnej atmosferze. Córka człowieka, pochodzącego z rodu, który zajmował niegdyś wyższe stanowisko w hierarchii społecznej, ma ona, przy braku wychowania światowego, wymaganego w stolicy, instynkty o wiele szlachetniejsze i wychowanie moralne bez porównania gruntowniejsze, niż jej małżonek, któremu się zdaje, że, podnosząc ją do swej wysokości, uczynił jej zaszczyt, jakiemu żadne skarby uczucia wyrównać nie mogą.

Ale Raymonde kocha go naprawdę i oboje są zupełnie szczęśliwi, dopóki pozostają na wsi i później jeszcze w podróży, w Rzymie, póki są sami we dwoje. Wszakże idylla, choćby najpiękniejsza, milionerowi, przyzwyczajonemu do życia w świecie, t. j. w odpowiadających jego fortunie kołach towarzyskich Paryża, wystarczyć nie może, powraca więc z żoną do stolicy. Tutaj Raymonde, której rozstanie z jej otoczeniem sprawia prawdziwe rozdarcie, czuje się obcą wśród intryg i hipokryzyi świata, gdzie na żądanie męża musi figurować, gdzie ją wszystko razi, odstępca i gorszy. Pomimo wysiłków woli, jej natura prosta i szczerą nie może się nagiać do tych skomplikowanych form, których podstawą jest fałsz, poza i próżność. Wkrótce nie znajdując oparcia w uczuciach męża, który się od niej stopniowo oddala, by w końcu otwarcie ją zdradzać i przy tęsknocie za rodzinnem ustroniem i otoczeniem, której nawet macierzyństwo nie jest w stanie usu-

nać, biedna istota czuje się złamaną i wędnie, jak kwiat z ziemi wyrwany. Wtedy dopiero, gdy już niema ratunku, Cernay decyduje się odwieźć żonę na wieś. Ale już ani powrót do miejsc ukochanych, ani zobaczenie rodziców, ani żal i czułość męża, co niedawno jeszcze byłoby ją uzdrowiło, nie może jej utraconych sił powrócić. Raymonde umiera w dwudziestym roku życia i, jak w legendzie angielskiej, przytoczonej na wstępie przez autora, zostaje pochowaną w białej wełnianej sukience panieńskiej, w której ujrzał ją po raz pierwszy i pokochał jej zrozpaczony po niewczasie mąż. Cernay, którego neurastenia, pod wpływem żalu i wyrzutów sumienia, zaczyna graniczyć z obłąkaniem, oszukuje sam siebie namiętnością do żeglugi powietrznej, co, w parę lat po utracie żony i w chwili, gdy blizkim był zawarcia nowego związku, przyprawia go o śmierć gwałtowną.

W delikatnie wycieniowanych rysach dziewczęcia o uczuciowości wysubtelnionej, w wyrazie bolesnej rezygnacji młodej małżonki dał autor bardzo piękny, bardzo idealnie odczuty portret kobiety szlachtetnej, w zupełnem, tradycyjnem znaczeniu tego określenia. Myśl przewodnia, cechująca twórczość Henryka Bordeaux, przebija się w tem wielkiem przywiązaniu Raymondy do natury rodzinnej ziemi i obyczajów miejscowych; w atmosferze moralnej, która urobiła jej duszę i dała jej tę wrodzoną szlachetność, tę moc rezygnacji i poświęcenia w przeciwnościach, którym tylko jej siły fizyczne oprzeć się nie mogły. I w ten sposób tragedia uczuciowa, jaką jest ta powieść, łączy się w jednej ideowej konsekwencji z całym szeregiem utworów tego autora, mających za zadanie obserwację obyczajów.

ORWID.

Franciszek Liszt

(W setną rocznicę jego urodzin.)

Artysta i tłum—to odwieczne symbole dwóch wrogich sobie sił: negacyi i czynu. Ten odwieczny problemat dwóch ścierających się bezwzględnie sił znalazł swój tragiczny wyraz w artystycznej twórczości Franciszka Liszta. Póki Liszt szedł utartą ścieżką tradycyi, święcił niesłychane tryumfy i spotykał się z hołdem ekstatycznych uwielbień; lecz gdy ośmielił się wstąpić na nowe tory, zerwała się burza reakcyi, nie uchylającej się przed najniższymi środkami walki, by zniszczyć przeciwnika: Liszt-wirtuoz był bożyszczem tłunu, korzącego się w niemym zachwycie przed jego geniuszem, Liszt-twórca—znieawidzonym przewrotowcem, nad którym zawisła klątwa potępienia.

Niezwykle wczesnie rozpoczął Liszt, jako pianista, karierę wirtuozowską, uprawiając demonizmem swojej gry i postaci w szal zachwyty rzesze słuchaczy. Opowiadania o jego występach czytamy dzisiaj, jak cudowną baśń, ozłoconą promieniami niezmiernego szczęścia; owa „lisztomania“, o której pisał Henryk Heine w swoich „Kronikach paryskich“, przybierała wprost patologiczne objawy: podejrzewano Liszta o związki z szatanem; procesy białe przybranych dziewczątek wychodziły na jego spotkanie i rzucały mu kwiaty pod stopy; wyprzęgano konie z jego powozu i w tryumfalnym pochodzie wprowadzano go do miasta; najżywotniejsze sprawy polityki ustępowały na drugi plan wobec wypadków z areny koncertowej. Ów fanatyczny kult wirtuozostwa pozostanie dla nas psychologiczną zagadką, jeśli nie objawem jakiejś zbiorowej psychozy; częściowe wytłumaczenie tego wyjątkowego zjawiska tkwi niewątpliwie w odrębnym charakterze gry

lisztowskiej, wyczerpującej nietylko wszystkie tajniki techniki fortepianowej, lecz wywierającej nieprzeparty i fascynujący wpływ głębią duchowego wyrazu. W grze Liszta bowiem jednoczyły się najróżnorodniejsze, wyłączające się wzajemnie pierwiastki, w których odzwierciadla się istota jego indywidualności: bezpośredniość, demoniczny żar namiętnego temperamentu, elementarna i pełna rycerskiego rozmachu siła, marzycielski romantyzm, najsubtelniejsze wylewy uczuć, jakby odgłosy mistycznej harfy, a nadewszystko ów nieprześcigniony, subiektywny ton, występujący w interpretacji tak własnych, jak i obcych utworów. To też gra Liszta nie była bierną reprodukcją, lecz samodzielny aktem twórczym, który przetapiał kompozycję na dzieło nowe, owiane tchnieniem jego potężnej indywidualności.

Jeśli niepodobna dzisiaj wytworzyć sobie wrażenia, jakie wywierała gra lisztowska, to przynajmniej można poznać jej stylistyczne właściwości z pozostałych utworów fortepianowych, w których streszcza się problem nowoczesnej techniki fortepianowej. Liszt, olśniony skrzypcową grą Paganiniego i jego czarem, któremu i Schumann oprzeć się nie zdołał, przejąwszy charakterystyczne znamiona jego stylu, pragnął przeszczepić je na teren fortepianowy i stworzyć pokrewny styl, przełamujący ciasne szranki dawniejszej techniki: pełne, szeroko rozłożone akordy, uderzające jędrnością i siłą, sploty najświetniejszych pasażów, postępy zdwojonych tercyi, sekst i oktaw, efekty pedałowe—oto zdobycze techniki lisztowskiej. Mimo nawału trudności wszystko, pisane ze zdumiewającą znajomością najskrytszych tajników technicznych, brzmi fortepianowo i „leży w palcach“ tak, że fortepian staje się żywym organizmem, posłusznym zawsze wykonawcy i zdolnym do odtworzenia najłżejszych odruchów psychicznych. Fortepian lisztowski urasta do rozmiarów potężnej orkiestry; idąc bowiem za pobudką Roberta Schumanna, który w „Etudach symfonicznych“ traktuje fortepian orkiestralnie, posługuje się Liszt środkami orkiestralnej natury i wydobywa z fortepianu efekty „barwnej polifonii“ (do ulubionych środków należy prowadzenie szerokiej, jakby wiolonczelowej melodii w lewej ręce na tle bogatych pasażów i arpeggii prawej ręki). Podczas gdy np. u współczesnego Lisztowi pianisty, głośnego w swoim czasie, obecnie zupełnie zapomnianego Thalberga, wirtuozowskie efekty służą do rozwinięcia olśniewającej brawury i okazania biegłości w najkorzystniejszym świetle, słowem technika jest wyłącznym celem dla siebie, to u Liszta ornamentalna strona, wyposażona w najświetniejsze środki, poddana jest wyższemu celom artystycznym. Wpływając

z wewnętrznego charakteru utworu, staje się nie jałową frazeologią bez logicznego umotywowania, lecz organicznym składnikiem muzycznej treści, przyczyniającym się do plastycznego wydatnienia konturów i pogłębienia duchowego wyrazu. Mimo to w wielu utworach pierwiastek wirtuozowski wysuwa się zbyttno na pierwszy plan tak, że nie wszystkie kompozycje fortepianowe Liszta stoją na jednej wyżynie i nie mogą mierzyć się z innemi dziełami, które są bezpośrednim objawem jego twórczej siły.

Monumentalne znaczenie posiadają Etudy, transkrypcyje, a zwłaszcza parafrazy szubertowskich pieśni, zespalające ducha oryginału z niezatartem piętnem własnej indywidualności Liszta, podczas gdy znaczna część utworów, w których skryzalizował się niejako duch wirtuozostwa, zachowa tylko wartość historyczno-pedagogiczną.

Natomiast odrębny świat ducha wcielił się w utwory fortepianowe, w których znika błyskotliwa forma, a w ramach szlachetnej i prostej faktury wyłania się głęboka treść wewnętrzna, pełna osobistych zwierzeń i najsubtelniejszych nastrojów: są to „*Harmonies poétiques et religieuses*,” owiane błogim spokojem i przysłonięte srebrzystą gazą kojącej ciszy i „*Années de Pélerinage*,” iskry, poczęte z lotnego ducha, szybującego po przestworzach romantycznej natury szwajcarskiej i włoskiej i szukającego w ożywym zdroju poezji zapomnienia o mrocznych nizinach codziennego bytu. Utwory te—to dokumenty wewnętrznego przeobrażenia, dokonanego w duszy wirtuoza-artysty: Liszt przeciężył w sobie wirtuozostwo, a chociaż jeszcze przez kilka lat odbywał, jako pianista, swoje tryumfalne pochody po stolicach europejskich, to jednak czuł jałowość i próżnię swego zawodu, od którego w końcu się odwrócił (w r. 1847). Ten przełomowy krok wynikał z całego łańcucha pobudek psychicznych, pod których wpływem skryzalizowały się jego artystyczne dążenia i zapłonęły światła czystej sztuki. W Liszcie tkwił od najwcześniejszej młodości mistyk: głęboka wiara w metafizyczne posłannictwo artysty rzuciła go najpierw w ramiona Saint-Simonizmu, głoszącego hasła etycznego odrodzenia ludzkości, a następnie uczyniła go gorącym zwolennikiem idei ks. Lamennais'go, który, upatrując w artyście spełnienie ideału człowieka, wierzył, że z ognisk sztuki wystrzelą jutrzniane blaski pogodnej przyszłości. Wiara w powołanie artysty, podsycana namięttem uczuciem do ks. Karoliny Wittgenstein-Iwanowskiej, kobiety głęboko wykształconej i jak on mistycznie nastrojonej, przetrworzyła żądne oklasków i hołdów światowego wirtuoza w natchnionego kapłana sztuki i apos-

toła wypieszczonego w wyobraźni ideału. Nie mniejszy wpływ na ten proces wewnętrznego przeobrażenia w duszy Liszta wywarła twórczość muzyczna dwóch artystów, stojących wprawdzie na krańcowo przeciwnych biegunach, lecz wypowiadających najwierniej i bezpośrednio ducha swojej epoki: Berlioza i Chopina. Tytaniczny rozpęd żywiołowej siły, bezwzględność w walce, wstręt do kompromisów, charakteryzujące rewolucyjny czyn Berlioza, i czysta, oderwana od rzeczywistości, wprost niezemska sztuka Chopina, opiewająca w seraficznych tonach narodowej muzyki ból i cierpienia wszechludzkie, dźwignęły go z pyłu małostkowych ambicji i zwróciły myśl jego ku wyższym celom najszlachetniejszych dążeń.

Przytoczone wyżej dwa cykle utworów fortepianowych są wykładnikiem psychicznego procesu, który twórczość Liszta skierował na zupełnie nowe tory. Prócz tego mają one znaczenie historyczno-estetyczne: tkwią w nich bowiem zarodki idei, która nicją łączną zespoliła twórczość Liszta z epoki wirtuozowskiej z twórczością symfoniczną i rzuciwszy zarzewie namiętnej walki, stała się potężnym prądem życia w rozwoju muzyki nowoczesnej; ta idea — to *muzyka programowa*, czyli muzyka, oparta o pewien z góry wytknięty i świadomie postawiony program, przenikający treść wewnętrzną utworu i usymbolizowany w dźwiękach muzycznych. Gdy pod wpływem romantyki obudził się w dziedzinie twórczej prąd, zmierzający do syntetycznej sztuki, do organicznego zespolenia poszczególnych sfer artystycznych, poczęły fale poezji i muzyki wzajemnie się przenikać: poezja, przesycona pierwiastkami muzycznymi, starała się budzić nastroje muzyczne i naodwrot muzyka szukała pobudek w ideach poetyckich. Te artystyczne tendencje romantyki skryształizowały się w końcu w twórczości Hektora Berlioza, radykalnego szermierza idei programowej, przyznającej muzyce zdolność odtwarzania każdej treści duchowej i malowania wszelkich wrażeń, uczuć i nastrojów. Wszelako Berlioz posunął się w zapędzie reformatorskim zbyt daleko poza granice, zakreślone muzyce, gdyż zapragnął w swoich budowlach instrumentalnych przedstawiać z realistyczną wiernością, za pomocą dźwięków, zewnętrzne zdarzenia życiowe, konkretne obrazy i sceny; tem samem muzyka zamiast być wyłącznie tylko środkiem duchowego wyrazu i czynnikiem uczuciowym, przemawiającym do wyobraźni słuchacza, przybierała sprzeczny z jej istotą charakter *opisowy*, zniżala się do naiwnej ilustracji muzycznej, starającej się z fotograficzną ścisłością kopiować kontury idei, która wcieliła się w dzieło poezji lub plastyki. „Programowość“

w pojęciu Berlioza należy odrzucić, jako zasadę płytkiego naturalizmu, natomiast pojąć ją, jako zdolność do odtwarzania za pomocą muzycznych symbolów stanów psychicznych, budzących się w duszy słuchacza pod wpływem rozsnutej w utworze idei przewodniej. Prawda, że dźwięk muzyczny może stwarzać pewne asocjacje zmysłowe, lecz obrazy, wywołane tą drogą, stanowią mogą co najwyżej zewnętrzne ramy najogólniejszych wrażeń, wprawiających nas w uczuciowy nastrój, nigdy zaś nie zdołają przyoblec się w wyraziste kształty konkretnego zjawiska. W myśl tej zasady muzyka nie może być tylko naiwną igraszką tonów, działających swym zmysłowym dźwiękiem, ani martwą formą, pozbawioną wewnętrznej treści, lecz światem, zamykającym przebogatą skalę najsubtelniejszych zjawisk psychicznych. Typem tak pojętej muzyki programowej jest nawskroś uduchowiona, pełna niezgłębionej myśli muzyka beethovenowska; jej formalna budowa ma taką plastykę wyrazu i taką zdolność naginania się do psychologicznych intencji utworu, że już z zewnętrznej fizyognomii muzycznego tematu wyczytać można nastrój duchowej treści, jaką chciał odtworzyć kompozytor. Beethoven nie maluje muzyką swoją konkretnych obrazów, nie stwarza sobie z góry schematycznego programu, któryby w szczegółach wykonywał, lecz odtwarzając pewną ogólną ideę, przelewa subiektywny nastrój w dźwięki muzyczne i stwarza tło nastrojowe, przez które prze-filtrowuje się każda fala uczucia. Stąd to pochodzi, że nawet bez programu lub komentarza odsłania się wyobraźni naszej wewnętrzne piękno muzyki beethovenowskiej: nieświadomie odczuwa się wyraz rozpaczony w finale sonaty cis-moll lub nastrój bohaterski, przenikający trzecią symfonię „Eroikę.“ Jakie nowe pierwiastki wносиła więc idea programowa, skryształizowana w muzyce Berlioza? Oto zespoliła muzykę, czerpiącą z dziedziny pozamuzycznej twórczych pobudek, ścisłym węzłem ideowym ze sferą innych sztuk pięknych, pogłębiła treść wewnętrzną muzyki i wzbogaciła zdobyczą nowych środków duchowego wyrazu, służących do odtworzenia najbardziej skomplikowanych procesów psychicznych, w końcu dając stały punkt oparcia dla wyobraźni, zdążającej w ślad za wytkniętym programem, wlewała realną treść w nieokreśloną istotę muzycznego utworu. Z chwilą zaś, gdy idea programowa pokusiła się o odtworzenie realnych zdarzeń i zmysłowych zjawisk, wkraczała w sferę obcą, sprzeczną z postulatami muzycznej estetyki. Liszt przejął z zapałem nową ideę, lecz w praktycznym jej przeprowadzeniu nawiązał raczej do tradycji Beethovena, aniżeli do twórczości Berlioza; uczyniwszy myśl pro-

gramową osią swojej muzyki symfonicznej, wywalczył jej prawo obywatelstwa w nowoczesnej muzyce.

Symfoniczna twórczość Liszta, którą przez długi czas zwalczano jako rewolucyjną negację przeszłości, nie tylko nie zrywa z historycznymi podstawami ogólnego rozwoju muzyki, lecz zespała się organicznie z przeszłością jako konsekwentne ogniwo genetycznego łańcucha; jej historyczne znaczenie polega nie na rozbiciu i zniszczeniu tego, co przedtem istniało, lecz na *przetworzeniu* i przebudowie *form*, które w muzyce beethovenowskiej dosięgły wprawdzie szczytów rozwoju, lecz z dalszym postępem czasu zmieniały się w skostniałe schematy. Muzyka beethovenowska bowiem, przerastająca głębią duchowego wyrazu całą poprzednią twórczość muzyczną, zachowuje jeszcze przekazaną przez tradycję, estetycznie wydoskonaloną, pełną harmonii i symetrii *formę sonatową*, ujętą w ramy niezwykle misternej konstrukcji muzycznej, która rozpada się na trzy ogniwa, spójne węzłem logiki wewnętrznej. Ekspozycja sonaty, stanowiąca pierwsze ogniwo, przeciwstawia dwa kontrastujące charakterem tematy melodyjne, jakby tezy dyalektycznego procesu, kryjące w zawiązku zasadniczą myśl całości. Następuje część druga konstrukcji t. zw. „przetworzenie“ („Durchführung“), wzajemne przenikanie, walka i ścieranie się muzycznych tematów, które zatracają swoje pierwotne zarysy, zjawiają się w nowem oświeceniu, zachowując zaledwo rytmiczne kontury, przetwarzają się w nowe sploty melodyjne, pełne fantastyki i bujnego życia, wyrosłe organicznie z zarodków, kiełkujących w głównych motywach muzycznych. Z częścią drugą wiąże się bezpośrednio ostatnie ogniwo formy sonatowej, powrót do punktu wyjścia, „repetycja“, wprowadzająca z nieznacznymi modyfikacjami tematy części pierwszej w ich pierwotnej postaci. Ze stanowiska techniki muzycznej jestto forma niezwykle prosta, przejrzysta i logiczna, lecz nie zawsze z psychologiczną prawdą utworu zgodna, gdyż opierając się na stałych, schematycznych normach, krępuje zbyt swobodny lot wyobraźni; zwłaszcza powrót do części pierwszej, nadający zresztą sonacie siłę niezłomnej konsekwencji, powoduje niejednokrotnie jaskrawy rozdzwitek między treścią a formą. Zwrócił na to uwagę R. Wagner, wskazując, że w jednym z najwspanialszych dzieł beethovenowskich, słynnej ouverturze „Leonore“, ponowne wprowadzenie początkowych tematów, symbolizujących cierpienia i walki, nie da się, jako sprzeczne z ideą dramatu, psychologicznie umotywować, gdyż w chwili, gdy na przelomie tragicznej katastrofy rozbrzmiewają sygnały trąb, zwiastujące nadzieję ra-

tunku, oczekujemy po dramatycznej perypetyi zakończenia w blasku radosnych dźwięków, a nie bolesnego rozdarcia duszy. Lecz w powyższym architektonicznym schemacie nie wyczerpuje się istota formy sonatowej; sonata bowiem jest utworem cyklicznym, złożonym z trzech lub czterech różnobarwnych obrazów, które, jakby akty dramatu, uzupełniają się wzajemnie i zrastają w organiczną jedność. Pierwszy fragment sonatowego cyklu—to przytoczona wyżej część, Allegro, w którym spoczywa punkt ciężkości całej kompozycji i streszcza się typowa postać formy sonatowej; następuje po niem Adagio, jakby mistyczne ukojenie modlitwy po namiętnej walce duchowej; trzeci obraz — to lekkie, kapryśne i szydercze Scherzo (jak przed Beethovenem Menuet), a ostatni obraz, zamykający całość—to finał, pojednanie wrogich sił, ścierających się w toku utworu.

Forma sonatowa miała taką przekonywającą siłę logiki, że nawet Berlioz, nieprzejednany wróg przeszłości, nie naruszył w niczem jej zewnętrznej budowy, lecz wtlaczał swoje gigantyczne pomysły w ciasne ramy technicznego aparatu, przekazanego tradycją. Wyzwolenia z niej dokonał dopiero Liszt, stworzywszy nową formę muzyczną, *symfoniczny poemat*, dla którego wywalczył historyczne stanowisko obok symfonii dawnego typu. Wszelako Liszt nie zerwał bezwzględnie z tradycyjną formą sonatową, gdyż posłużył się nią, jako środkiem do zewnętrznego uplastycznienia swoich idei muzycznych w fortepianowej *Sonacie H-moll* i obydwóch *koncertach* z towarzyszeniem orkiestry, Es-dur i A-dur, lecz zachowując schematyczną formę, stopił poszczególne ustępy w jedną nieprzerwaną całość i oparł na jednym zasadniczym temacie, wijącym się, jak nić przewodnia, wśród harmonicznym i rytmicznymi przemianami. Formy sonatowej użył nadto Liszt za przykładem Berlioza w „Faustowskiej“ i „Dantejskiej“ symfonii, postępując z najzupełniejszą swobodą artystyczną niezawisłe od stale obowiązujących norm i szablonu. Pierwszą symfonię ujmując w ramy trzech symbolicznych obrazów, opatrzonych programatycznymi tytułami, Faust—Gretchen—Mephisto; w miejsce dwóch zasadniczych tematów stawia cztery muzyczne tematy, które rozstrzuwa na wzór „przewodnych motywów“, wprowadzonych do symfonii przez Berlioza, dla odtworzenia idei poetyckich, ilekroć tego wymagają względy psychologiczne; zmienia konstrukcję pierwszej części we wzajemnym stosunku trzech zasadniczych grup w ten sposób, że grupę środkową („przetworzenie“), będącą zawsze kulminacyjnym punktem muzycznego procesu, utrzymuje bardzo zwięźle, nie powierzając jej pracy tematycznej, lecz do-

piero w ostatniej grupie („repetycya“) zużytkowuje z istnem wirtuozostwem tematyczny materiał, zjawiający się w nowem świetle jako symbol wewnętrznego przeobrażenia, dokonanego w duszy Fausta. 4) Za przykładem IX-ej symfonii beethovenowskiej wprowadza Liszt w zakończeniu dzieła chór męski, intonujący melodyę psalmu, jako zapowiedź zbawienia. Chór wokalny występuje również w symfonii „dantejskiej,“ znacznie odbiegającej od symfonii dawnego stylu, gdyż złożonej nie z czterech, lecz dwóch obrazów. Stosunek treści do formy uległ tutaj zasadniczej zmianie: nie treść miała stosować się do gotowej już formy i urabiać się według jej modły, lecz forma podporządkowała się idei poetyckiej i, wyrastając z jej ducha, stała się organizmem, zdolnym do życia i rozwoju: forma dogmatyczna, oparta wyłącznie na prawach czysto-muzycznej logiki przetworzyła się w uzależnioną od idei przewodniej *formę psychologiczną*. Tę nową zasadę przeprowadził Liszt w całej pełni w „Symfonicznych poematach,“ zacieśnionych do jednego ustępu muzycznego w przeciwieństwie do cyklicznej budowy dawnej symfonii, rozbitej na luźne, pozbawione wewnętrznej spójności obrazy. Wyzwolona z więzów schematu forma symfonicznych poematów posiadała niezwykłą plastyczność i nieograniczoną zdolność przybierania najrozmaitszych postaci i naginania się do każdego wyrazu duchowego, a nadto pozwalała artyście nakreślać taki plan muzycznej budowy, jaki w ścisłej zależności od psychologicznego przebiegu „programu“ najlepiej odpowiadał celowi. Zarzuty opozycyi, jakoby poematy symfoniczne pozbawione były formy, polegały na niewolniczym kulcie tradycyi, niezdolnym do zrozumienia faktu, że myśl i twórczy indywidualizm artysty wlewały w nie życie i kształtowały ich duchową fizyonomię.

Linie formalnej budowy powstają i rozwijają się u Liszta zazwyczaj z jednej zasadniczej myśli muzycznej, która snując się w najrozmaitszych przemianach, stwarza pełną dramatycznego życia formę waryacyjną; czasem muzyczna konstrukcja przybiera postać, zbliżoną do ronda, jak np. w poemacie „Die Ideale“ (do słów Schillera), gdzie zasadniczy motyw czterokrotnie powraca, przeplatany epizodami, lub nawet zachowuje w najogólniejszych konturach szczytkową formę sonaty, jak w „Preludyach“ (według Lemartine’a), opartych mimo barwnej różnorodności fantastycznych

4) H. Kretschmar: „Führer durch den Konzertsaal.“ I. (Faust—Symphonie).

obrazów tylko o dwa główne tematy, różne nastrojem i symbolizujące wieczną walkę dwóch wrogich sobie sił: życia i śmierci, albo w „Prometeuszu,” gdzie forma sonatowa znakomicie odzwierciedla psychologiczną intencję idei, wprowadzając po śpiewnej części środkowej, stwarzającej iluzję wewnętrznego spokoju, pierwotne tematy części pierwszej, pełne namiętnych skarg i bolesnych zmagañ ducha, który utracił wiarę w zwycięstwo i nadzieję wyzwolenia. Zasadnicze tematy, ulegające w toku kompozycji charakterystycznym przeobrażeniom, nakreślone są z niezwykłą siłą muzycznej koncepcji i odznaczają się aforystyczną zwięzłością i plastyką, pełną duchowego wyrazu: postawione na czele „poematu,” jakby muzyczne motto, wypowiedają myślową treść całego utworu. Podobnie wyraziste rysy posiada muzyczna fizjonomia beethovenowskiej tematyki; tu tkwi niezaprzeczony łącznik, zespalający muzykę Liszta węzłem duchowego pokrewieństwa z Beethovenem; za dowód niechaj posłuży ów ustęp z symfonicznego poematu „Hamlet,” w którym dla odtworzenia psychicznego nastroju bohatera, stojącego wobec tragicznej zagadki życia, wyłania się charakterystyczny temat, będący rytmicznym echem „motywu wszechbytu” z piątej symfonii beethovenowskiej. Proces tematycznego przeobrażenia pozostaje u Liszta w związku z psychologicznym przebiegiem ideowej treści i osiąga drogą najprostszycy środków muzycznego wyrazu siłę przekonywującej prawdy: pragnąc odmalować plastycznie duchową postać Mefista w 3 części „Fausta,” wprowadza Liszt tematy, charakteryzujące Fausta, lecz nie w ich pierwotnej postaci, tylko pojęte jako symbol negacji, przetworzone za pomocą rytmicznych modyfikacji, a raczej „skarykaturowane, poszarpane w strzępy, opatrzone groteskowemi ozdobami, przybrane w błazeński strój” szyderczego demonizmu; podobnie i w „Preludyach” rytmiczna zmiana przewodnich motywów służy do odtworzenia zmienionego nastroju: gdy miękki obraz sielankowej ciszy i ukojenia przeradza się w wizję radosnego tryumfu, wówczas pierwotne tematy, pełne prostoty i słonecznej pogody przybierają bohaterski charakter, w którym dźwięczą marsowe akcenty.

Melodyjna struktura tematów lisztowskich posiada nadzwyczajne bogactwo form: obok prymitywnych wykrzykników, działających samą dynamiką brzmienia lub innych elementarnych pierwiastków muzycznej retoryki („Mazepa”) snuje się przedziwno melodi z kilku zaledwie tonów („Preludya”) lub stroi się w szaty przepysznej arabeski, wijącej się po stopniach zalterowanej skali

(„Faust“); nieraz uszlachetnia Liszt skromną piosnkę ludową tchnieniem subtelnej poezji (Tasso).

Stylistyczną cechą „symfonicznych poematów“ jest brak kunsztownej polifonicznej faktury w prowadzeniu głosów; wśród przeważającej *homofonii* rzadko tylko występują ustępy ściśle polifoniczne i to wtedy, gdy tego wymaga wyraz psychologiczny utworu, jak np. w poemacie „Głosy gór“ („Ce qu'on entend sur la montagne“), gdzie muzyka, splatając najróżnorodniejsze motywy, jakby roje sprzecznych uczuć, zlewa strugę ukójnej harmonii w duszę artysty. Czasem posługuje się Liszt formą fugi, lecz mimo użycia wszystkich środków kontrapunktycznych unika szczęśliwie scholastycznego schematu i stwarza najstosowniejsze ramy dla plastycznego uzewnętrznienia psychicznego nastroju, gdy np. w „Prometeuszu“ maluje nabrzmiałą bólem, żywiołową walkę ducha, przykutego do nagich skał ziemskiego bytu i rwącego się na płomiennych skrzydłach ku szczytom wyzwolenia; ten sam cel ma fuga w 3 części „Fausta“, gdzie odtwarza radosną orgię piekielnego rozpętania lub w 2 części symfonii dantejskiej, gdy przed naszą wyobraźnią staje obraz czyścówych dusz, wijących się w skurczach zwątpienia i trwogi, to znowu skąpanych w tęczywym blasku nadziei zbawienia.

Źródła opozycji, którą wywołały „symfoniczne poematy“ w chwili swego ukazania się, tkwiły nie tyle w nowej, stworzonej przez Liszta formie i swobodzie, z jaką nią władał, lekceważąc uświęconą tradycją dogmaty, ile raczej w śmiałych i egzotycznych kombinacjach harmonicznyc, na które się Liszt odważył, idąc za pobudką uczonego teoretyka, F. I. Fétisa, głoszącego w muzyczno-filozoficznych wykładach w Paryżu nowe idee, które, uwolniwszy muzykę z więzów tonalnej logiki, miały ją wzbogacić różnaitością różnorodnych pierwiastków harmonicznyc. Starając się praktycznie przeprowadzić te idee, posunął się Liszt poza granice dawnych pojęć tonalnych i oparłszy je o zupełnie nowe zasady, dokonał przewrotu na polu harmonii: postępy enharmoniczne, sploty jaskrawyc dysonansów, traktowanyc z wszelką swobodą, przeszły z dzieł Liszta do muzyki „nowo-niemieckiej“, jako nowoczesny środek muzycznego wyrazu: w „Prometeuszu“ spotykamy akordy dysonansowe, zbudowane nie na tercycch lecz kwartach (f, h, e, a), w „Hamlecie“ bolesne zgrzyty dla odtworzenia patologicznyc rysów w charakterze bohatera. Wszelako dysonans ustępuje tam, gdzie tego wymaga nastrój duchowy utworu: w zakończeniu „dantejskiej symfonii“, gdy muzyka odsłania nam misterya nadziemskyc światów, harmonia unika starannie wszel-

kich dysonansów, staje się prymitywna, przybiera cechy archaistycznej powagi i zbliża się wprost do muzycznego „prerafaelityzmu“: wśród natchnionego rozmodlenia płyną dźwięki podniosłego „Magnificat“ i pną się w najwyższe przestworza po stopniach potężnej, dyatonicznie postępującej skali „palestrinowskich“ trójdźwięków (środkiem tym posługuje się Liszt niejednokrotnie w muzyce religijnej, pochodzącej z ostatniej doby jego twórczości).

„Poematy symfoniczne“ Liszta—to promienie twórczego natchnienia, załamane w pryzmacie jednej przewodniej idei, stanowiącej treść programową jego utworów i dającej się sprowadzić do zasadniczego motywu ideowego dualizmu, wcielonego w walkę dwóch wrogich sobie pierwiastków, w walkę świetlanego ducha z demonami nocy: w poemacie symfonicznym „Orfeusz“ odzwierciadlony symbol muzyki, której łagodne światło wdziera się w duszę człowieka i rozprasza mroki dzikich instynktów, „Ideaty“ i „Prometeusz“—to tryumf wyzwolenia po krwawych ranach i cierniowych walkach życia, „Głosy gór“ są hymnem duszy, oderwanej od nizin ziemskiego bytu i skąpanej w zarannej zorzy religijnego zachwycenia, „Preludya“ przeciwstawiają pełen ponęt, uciech i szczęścia świat życia żalobnym kirom wiecznego przeznaczenia, „Walka z Hunami“ (według obrazu Wilhelma Kaulbacha) opiewa zwycięstwo słońca nad „meteorycznym blaskiem“ szatańskich mocy. Nawet tam, gdzie realistyczne momenty wysuwają się pozornie na pierwszy plan, jak np. w „Mazepie“, odtworzającym drgający życiem obraz nieprzejrzanych stepów, poświsł wicheru i wściekłą orgię szalonego pędu, artysta nie zniża się do muzycznej ilustracji, lecz stwarza ramy dla przewodniej idei, symbolizującej farysowski problemat męczeństwa i tryumfu geniuszu. Symfoniczne poematy bowiem nie są niewolniczą kopią lub muzycznym przerysowaniem poetyckiego programu, lecz odtworzeniem doznanych wrażeń, które przetapiają się w nastrój muzyczny, zdolny swą tajemniczą mową wyrazić to, czemu nie sprosta materyalne słowo. Wymownym dowodem tego jest symfoniczny poemat „Hamlet.“ Dramat szekspirowski przedstawia nam proces refleksji, rozumowej analizy, a więc problemat niemuzyczny, lecz nastrojowa siła muzyki wnika głębiej i dociera do dna duszy hamletowskiej i niezależnie od dramatycznej akcji odsłania tragiczną tajemnicę cierpień, wyrosłych z poczucia własnej bezsiły.

Liszt nie tworzył w niewolniczej zależności od „programu“, lecz ujmował ideę poetycką pod kątem subiektywnego odczucia i zmieniał, kształtował ją tak, jak tego wymagały prawa logiki

muzycznej. Trzy części dantejskiego eposu pomieścił Liszt w ramach dwóch symfonicznych obrazów, zespalaając ze względów czysto-muzycznych dwie ostatnie części, „Czyściec“ i „Raj“, wężłem wewnętrznej łączności w organiczną całość. Poemat symfoniczny „Ideały“ rozplywa się w blasku radosnych akordów, symbolizujących apoteozę twórczego ducha, gdy natomiast Schiller zamyka swój poemat rozdzwiękiem rezygnacji i zwątpienia. „Walka z Hunami“ rozszerza i pogłębia zasadniczą myśl obrazu, głosząc zwycięstwo krzyża, rozbrzmiewające w promiennej aureoli chrześcijańskiego hymnu, „O crux fidelis.“ W symfoniczny poemat „Głosy gór“, oparty o słowa Wiktora Hugo, wplata Liszt „modlitwę anachoretów“, jakby mistyczną modlitwę serca, zlewającego się w ekstazie panteistycznego uniesienia z duszą przyrody. Niektóre poematy Liszta pozbawione są dokładniejszego programu, lecz artysta umie w muzykę tchnąć tyle życia i nadać jej taką plastykę wyrazu, że wyobraźnia, znalazłszy w samym tytule uczuciową lub nastrojową pobudkę, przenika treść wewnętrzną utworu (Héroïde funèbre, Hungaria i Festklänge).

W symfonicznych poematach Liszta znalazła jego twórcza indywidualność swój najdoskonalszy wyraz; nie błędniejszego nad zarzuty opozycji, upatrującej w nich nie tyle wykładnik spontanicznego popędu twórczego, wybuchającego z odruchową siłą, ile raczej rezultat „wyrafinowanej refleksyi“; nie da się bowiem zaprzeczyć, że z dzieł Liszta bije bezpośrednio i impulsywność, idąca za pierwszym błyskiem natchnienia i stanowi charakterystyczne znamię, nadające im piętno odrębności. Ten *improvizatorski* rys w twórczości Liszta zbliża ją niewątpliwie do duchowej fizyognomii muzyki chopinowskiej, której istotę Liszt tak trafnie uchwycił w słynnym studyum o Chopinie, lecz zarazem ujawnia głęboką różnicę, tkwiącą w charakterze ich twórczych światów: U Chopina koncepcya, zrodzona w stanie natchnionego jasnowidzenia, przyobleka się odrazu w szaty doskonałej, zharmonizowanej formy, u Liszta genialna idea zamiera w zarodku, zanim się uzewnętrzni, nie wychyliwszy się poza embryonalną formę pierwotnego pomysłu; stąd ów wizyonerski świat ducha w muzyce chopinowskiej, podczas gdy dzieła Liszta zachowują rapsodyczny a raczej szkicowy charakter potężnych, wyrosłych z nastroju chwili fragmentów muzycznych, w których forma i treść nie zawsze są równe sobie. Ten rozdzwięk między ideą a jej zewnętrznem odzwierciedleniem nie był wynikiem twórczej niemocy, niezdolnej do odtworzenia i przelania w słyszalny dźwięk wszystkich drgnień uczucia i odruchów nastroju, lecz wypłynął poniekąd z psychicz-

nej organizacyi Liszta i rytmu jego życia, pełnego walk i burz. Symfoniczne poematy powstały bowiem w epoce, w której Liszt rozwijał niestrudzoną działalność: jako dyrygent dworu weimarskiego, wykonując po raz pierwszy dzieła Berlioza (Benvenuto Cellini), Corneliusa (Barbier von Bagdad), Wagnera (Tannhäuser, Lohengrin), jako pedagog, otoczony rzeszą uwielbiających go uczniów i jako szermierz nowych ideałów artystycznych, walczący z poświęceniem przeciw atakom i szykanom gwałtownej opozycyi, uciekającej się do środków podstępnej intrygi. Jego nieokielznaną indywidualność, ognisty temperament, bezwzględność w walce, płynąca z najszlachetniejszych pobudek etycznych, podniecały opór przeciwników, którzy poza odtwórczym talentem nie chcieli w nim uznać oryginalnego kompozytora, lecz w szydłem zaślepieniu zarzucali mu brak twórczych zdolności, przytaczając, jako przekonywujący argument, fakt, że Liszt dopiero w 40 roku życia rozpoczął swoją działalność kompozytorską. Zarzuty te, nieściśle pod względem biograficznym, gdyż pierwsze pomysły i szkice niektórych poematów symfonicznych sięgają epoki „wirtuozowskiej,” upaść muszą jako bezpodstawne, choćby ze stanowiska psychologicznego: są bowiem genialne natury, przedwcześnie wykwitłe, które idą przez życie smutne, jakby je trąciło skrzydło śmierci, z niemym wyrzutem bolesnej skargi, że umierają z wiosną życia i są typy, których siły twórcze zwolna się rozwijają i dojrzewają dopiero ozłoczone blaskiem jesiennego słońca; do nich należy — Liszt. Twórczość jego nie przedstawia tak jednolitej i zwartej budowy, jak np. twórczość Beethovena lub Wagnera, gdyż *uniwersalny* geniusz jego, ogarniający najdalsze widnokreśli ducha, zanadto się rozprasał i pozbawiony wewnętrznej koncentracji, nie pozwolił na zaokrąglenie i pogłębienie formy. Ów konflikt treści i formy objawił się w sposób niezwykle jaskrawy w religijnem dziele Liszta, oratorjum „Chrystus,” którego potężna idea musiała rozsadzić ramy muzycznego aparatu: hymny starokościelne, gregoriańskie melodye liturgiczne, solowe śpiewy, wpadające w ton suchej deklamacyi, stanowią swoją ascetyczną powagą i spirytualizmem suchotniczych konturów groteskowy kontrast z ustępami wokalnymi i instrumentalnymi, oblanymi światłem olśniewających barw orkiestralnych, posługujących się wszystkimi zdobyczami muzycznego wyrazu. Zamiast organicznej i jednolitej całości, wykutej jakby z jednego głazu, imponującej spiszową siłą i konsekwencyą wewnętrznej logiki — konglomerat stylów i form!

Synteza przeszłości z chwilą współczesną—oto hasło Liszta, który za cel swego życia wytknął sobie odrodzenie muzyki kościelnej; jego reforma płynęła z dwóch źródeł: z osobistych uczuć religijnych, ożywionych gorącą wiarą i przywiązaniem do mistyki i z ogólnego prądu idealistycznego, nurtującego sztukę ówczesnej epoki. Nie w radykalnym przewrocie, ani w ślepej naśladowczości tkwił ideał reformy lisztowskiej, lecz w harmonijnym zespoleniu archaicznych pierwiastków, skryzalizowanych w muzyce Palestriny, uchodzącej za najczystszy wyraz religijnego ducha, z przebogatą skarbnicą nowoczesnych środków muzycznych, którym poematy symfoniczne Liszta nadały tęczową różnorodność barw, giętkość i zdolność odtwarzania wszystkich stanów psychicznych. W muzyce religijnej, poddanej wyłącznie celom liturgicznym, wcieliła się reforma Liszta w widomą formę czynu: najprostsze środki techniczne dawniejszej muzyki, tonacje kościelne, plagalne kadencje, archaiczna na dyatonice oparta harmonia, przestają wprost działać materialną stroną dźwięku i rozsiewają nastrój głębokiego skupienia, surowej powagi i metafizycznej kontemplacji: „Missa choralis“ na chór mieszany z towarzyszeniem organu rozbrzmiewa mistyczną harmonią pozaświatowej piękności, „Psaln 137“ jednoczy zespół wokalny (sopran i chór żeński) z zespołem instrumentalnym (organ, harfa i skrzypce) w eteryczną całość o niezwykłej subtelności kolorytu, „Psalmy 13, 18, 23“—to wzruszająca poezja osobistych uczuć; w niektórych ustępach sączą się wyraźnie „łzy, przesiąknięte krwią,“ jakby nabrzmiała bólem modlitwa duszy, która z religijnej ekstazy czerpie balsam ukojenia. Religijna muzyka Liszta — to nie wytwór podnieconej egzaltacją uczuć wyobraźni, która w spazmatycznym skurczu chorych nerwów wije się w prochu grzesznej niemocy przed majestatem nadziemskich wizji, lecz podniosły świat ducha i szczere wylewy uczuć, w których drga struna rzewnego liryzmu.

Skarby lirycznego piękna spoczywają na dnie lisztowskich „Pieśni,“ nie tak znanych i rozpowszechnionych, jak fortepianowe lub symfoniczne utwory Liszta, lecz pełnych szlachetnej wytworności, poufnych rysów i subtelnych barw. Nadzwyczaj ważne w rozwoju nowoczesnej liryki muzycznej, jako łączne ogniwo między pieśnią Schuberta i Schumanna a pieśnią Hugona Wolfa, „Pieśni“ Liszta, odznaczające się przebogatą skalą wyrazu, odzwierciadlają ewolucję w rozwoju jego twórczości: pieśni wcześniejsze uderzają bogactwem zewnętrznego przepychu, różnorodnością środków technicznych, świetnym wyposażeniem partyi fortepianowej, przytłaczającej niejednokrotnie melodyjną linię słów

poetyckich lub urastającej do rozmiarów dramatycznej sceny („Ein Fichtenbaum steht einsam,“ „Loreley“), zaś pieśni, pochodzące z późniejszej epoki, przybierają pod wpływem duchowego przeobrażenia, dokonanego w życiu Liszta, ascetyczny, pełen surowego wyrazu i dojrzałej powagi wygląd, oparty o największą prostotę i prymitywność harmonicznego i melodyjnego rysunku („Über allen Gipfeln,“ „Sei still“). Niektóre pieśni, zwłaszcza do słów francuskich (Wiktora Hugo), mają w sobie porywający wdzięk i lekkość prawdziwie romańską, lecz popularności w zwykłym tego słowa znaczeniu nie zdobędą może nigdy, gdyż brak im owego tonu „ogródkowej“ muzyki, tak łatwo wpadającej do ucha („S'il est un charmant gazon“). Z drobiazgową starannością traktują pieśni lisztowskie słowa poetyckiego tekstu i przetapiają ich nastrój i treść uczuciową w dźwięki muzyczne z niezwykłą plastyką i głębią psychologicznego wyrazu: pieśń do słów Lenau'a „Die drei Zigeuner“ obłana złocistym potokiem słonecznego blasku i stepowego żaru; w pieśni heinowskiej „Im Rhein, im schönen Strome“ malują faliste rytmy partyi fortepianowej łudząco wstęgę „Złotego Renu,“ przelewającego swe nurty z majestatycznym spokojem, gdy oto z kadzielnych mgieł potężnych akordów wylaniają się mistyczne kolumny katedry gotyckiej, odbitej w zwierciadle wody. Mimo swego przedmiotowego charakteru, odtwarzającego przedewszystkiem niezmacony nastrój poetyckiego tekstu, mają „Pieśni“ Liszta wiele subiektywnych pierwiastków i są jakby projekcją duszy, która w dźwięki muzyczne wlewa rytm i barwę osobistych przeżyć.

Dzisiaj dopiero odsłania się świadomości naszej epokowe znaczenie historycznej roli, którą odegrał Liszt w dziejach muzyki. Punkt ciężkości jego czynu tkwi w nowych ideach i pobudkach duchowych, które muzyce współczesnej wytknęły nowe drogi i kierunki rozwoju. Iskry szlachetnego zapału, poczęte w pełnej zaparcia się walce, zapłonęły dzisiaj olśniewającym światłem i roztoczyły promienną aureolę blasku nad widnokregiem sztuki.

Podstawy etyki Schopenhauera.

I.

Popularny pesymizm twierdzi, że w życiu ludzkim nad dobrem i rozkoszą przeważa zło i cierpienie.

Bezwzględny pesymizm filozoficzny, wypowiadający się najdobitniej w etyce, idzie dalej, bo „dobro“ uważa za pojęcie negatywne, oznaczające nieobecność lub brak „złego,“ i zarazem, ze słusznej obawy o swój byt, zaprzecza możliwości zmniejszenia złego i prawdopodobieństwu moralnego rozwoju ludzkości, bo cierpienie ma być najbliższym i bezpośrednim celem naszego życia. „Zaprzeczenie tego równałoby się uznaniu absurdu, że nieskończony ból, którym jest przepelniony świat cały, może być bezcelowem dziełem przypadku.“¹⁾

Najwybitniejszy przedstawiciel tego kierunku, Schopenhauer, idzie jeszcze dalej, bo nie tylko redukuje etykę do nauki opisowej, lecz poniża ścisłą wiedzę i przeistacza charakter filozofii, usiłując ją pozbawić obiektywnej, trwałej podstawy przez wyłączne oparcie na intuicyjnym odczuwaniu prawdy.

Przyjąwszy w głównym zarysie teorię poznania Kanta, zmienia ją w tych punktach, które nie dały się pogodzić z własną filozofią. Zachowując więc metafizyczną podstawę kantowskiej Ding an sich (Rzeczy w sobie), odrzuca jej abstrakcyjny idealizm i nadaje realno-indywidualne zabarwienie, prowadzące z konieczności do subiektywnego intuicyjonizmu. Zdaniem jego wszelkie rzeczy poza stroną zjawiskową, jaką jesteśmy w stanie poznać,

¹⁾ Tom V Parerga, str. 303. (A. Schopenhauers sämtliche Werke. 6 tomów. Opracowane przez Grisebacha. Nakład Reclama. Lipsk.).

mają w sobie odpowiedni korelat, będący podstawą i istotą tych rzeczy, ale kiedy Kant swoją Ding an sich uważał tylko za nieznaną X, za coś prawdziwie transcendentnego, dla Schopenhauera, metafizyka i woluntarysty, było to niemożliwe, i pogląd jego przedstawia się inaczej.

Postrzegany świat jest zaledwie naszym wyobrażeniem, wytworzonym przez intelekt przy pomocy dwu a priori wrodzonych form poznania: czasu i przestrzeni, byt więc jego jest względny, całkowicie zależny od istnienia apercydującej świadomości. „Kein Objekt ohne Subjekt.“ Z drugiej strony jednak możemy się przekonać, że świat poza swoją zjawiskową stroną, existentia, jest absolutnym i bezwzględny bytem samym w sobie, essentia. Dojść do poznania tego ostatniego możemy jedynie na drodze analogii świata z naszą własną jaźnią.¹⁾ Nie człowiek jest mikrokosmosem, lecz świat makroantroposem; tylko poznanie istoty ludzkiej da nam klucz do zrozumienia istoty świata. Gdybyśmy byli tylko czystym intelektem, indywidualami zdolnymi tylko do wyobrażeń (vorstellende Wesen), to nigdy nie moglibyśmy wyjść poza granice zjawisk; ponieważ jednak jesteśmy nie tylko subiektywnymi, lecz zarazem i obiektami dzięki posiadaniu ciała, należymy sami do świata zjawisk i możemy go rozumieć. Każdy akt ciała ujmujemy z jednej strony w formie wyobrażenia, jako zjawisko, z drugiej strony — bezpośrednio, jako obiektywację wewnętrznej istoty, Woli. Fakt ten, jako cud κατ' ἐξῆγην należy przyjąć za istniejący, nie kusząc się o jego zrozumienie.

Ze Wola jest pierwotnym i najistotniejszym elementem zwierzęcej świadomości, przekonywa o tem wiele danych.²⁾

Nikt nie odważy się powiedzieć, że zwierzę myśli, pojmuje, sądzi, lecz każdy musi przyznać, że pożąda, czyli posiada wolę. Przechodząc gatunki zwierząt od wyższych do niższych, spostrzegamy stałe zmniejszanie się intelektu, lecz niezmienną wolę. Polip ma ją tak dobrze, jak człowiek, różnica zachodzi tylko w obiektach pożądania, jako zależnych od intelektu. Nowonarodzone indywiduum naprzód okazuje wolę, dopiero później poznanie; powstawanie świadomości jest równoznaczne z powstawaniem poczucia woli.³⁾ W zjawiskach wola jest zawsze jednakowa, stała i niezmordowana, intelekt zaś powstaje, rozwija się i zanika, bo jest wtórnym i zależnym. Wprawdzie wielu filozofów głosi zupełnie przeciwne poglądy, lecz wyżej przytoczone fakty, a tak-

¹⁾ I, Welt als Wille und Vorstellung. § 18. II, str. 227.

²⁾ II, § 19. III, str. 391. ³⁾ I, str. 423.

że — w stosunku do własnej osoby — wewnętrzne przekonanie, jak najwidoczniej im przeczą. Za pierwszeństwem Woli przemawia i to, że akty jej, bezpośrednio przez nas odczuwane, mają w porównaniu z innymi formami świadomości wielką zaletę, bo występują tylko w formie czasu, a więc najwyraźniej objawiają swoją wewnętrzną istotę, która, jako rzecz pozadoświadczalna, jest podstawą zjawisk wszechświata, poszukiwaną przez filozofów Rzeczą w sobie. Cechą jej jest stały ruch, pęd (der Trieb), który na niższych stopniach obiektywacyi jest ślepy, w zjawiskach zaś wyższego rzędu dzięki obecności intelektu staje się świadomym i rozumnym. Na najwyższym szczeblu: w człowieku świadomość ta jest zaciemniona zewnętrzną formą zjawisk, jednak przy pomyślnych warunkach może wystąpić w czystej postaci i wznieść się na szczyty prawdziwego t. j. intuicyjnego poznania. Wtedy złudne formy przestrzeni i czasu odpadają, i my, czyli wola nasza postrzega, że świat zewnętrzny w swej istocie jest jej odbiciem, tą samą niezmienną Wolą. Moment ten jest najwyższym punktem, jaki zjawisko woli osiągnąć może i końcem jego istnienia, bo, dotarwszy do niego, wskutek „niezrozumiałej sprzeczności“ wola neguje samą siebie; jest on kresem, którego nie zdoła przekroczyć ani czyn, ani myśl ludzka; jest on wreszcie ostatecznym celem schopenhauerowskiej etyki.

Wszystko, co tylko jest, jest Wolą: życie ludzkie i zwierzęce, świat organiczny i nieorganiczny, wszelkie zjawiska psychiczne i fizyczne. Wobec tego filozofia nie powinna się zajmować pustymi pojęciami w rodzaju ens metaphysicum, otrzymanemi drogą książkowych spekulacyi, lecz zwrócić się ku tej cudownej istocie wszechświata, ens realissimum, bezpośrednio przez każdego odczuwanej, która jest w stanie dać nam najwyższe zadowolenie i umożliwić absolutne poznanie prawdy.

Schopenhauer był zupełnie świadom tego, że tak w zakładaniu celów filozofii, jak i we wskazywaniu środków do ich zrealizowania, głosił nowe, zupełnie odmienne poglądy. Przeciwstawiając się autorowi „Krytyki czystego rozumu“, pisał: „Zasadnicza różnica między metodą Kanta i moją polega na tem, że on bierze za punkt wyjścia poznanie refleksyjne, ja zaś — bezpośrednio, intuicyjne... Stąd dla niego filozofia jest nauką o pojęciach (eine Wissenschaft aus Begriffen), dla mnie — nauką w pojęciowej formie (in Begriffe), wpływającą z intuicyjnego poznania, jako źródła wszelkiej ewidencji.“¹⁾

¹⁾ I, str. 577. Kritik der Kantischen Philosophie.

W dziele głównem (*Die Welt als Wille und Vorstellung*, I księga) stanowisko jego nie jest na ogół zbyt krańcowe, i oba rodzaje poznania zostały obiektywnie ocenione: intuicyjne jest dość szczupłe co do zakresu, bo się odnosi tylko do pojedynczych, postrzeganych w terażniejszości przedmiotów, gdy tymczasem abstrakcyjne nie jest ograniczone ani czasem, ani przestrzenią, ani nawet rzeczywistością, posiada więc donioślejsze znaczenie dla celów praktycznych i umożliwia istnienie wiedzy: „alles sichere Aufbewahren, alle Mittheilbarkeit und alle sichere und weitreichende Anwendung der Erkenntniss auf das Praktische hängt davon ab, dass sie ein Wissen, eine abstrakte Erkenntniss geworden sei.“¹⁾ W „Uzupełnieniach“ (*Ergänzungen*, tom II) jednak i późniejszych pismach odbywa się wyraźny, radykalny zwrot w stronę intuicji; przyczyny należy dopatrywać się w tem, że były one pisane po opracowaniu *Etyki* (w IV księdze *Welt a. W. u. V.*), która miała przekonać ludzkość, że ucieczka od nieszczęść i zbawienie leży w intuicyjnym poznaniu *Istoty świata* i wynikającej z niej negacji woli do życia. Schopenhauer wprawdzie powtarza zdanie, że dla wiedzy abstrakcyjność jest konieczna, ale nie wystarcza, jeśli się opiera tylko na refleksyi. Dzieła takiej wiedzy nie mogą być prawdziwe, ani zastąpić intuicji, która jest jądrem i treścią wszelkiego prawdziwego poznania; tylko intuicja jest zdolna do przeniknięcia w głąb istoty ludzkiej i odkrywania nowych horyzontów, tylko intuicyjne poznanie może być przetworzone na składową cząstkę naszej własnej jaźni.²⁾ Energia, z jaką występuje intuicja, wypełnia sobą w jednej chwili całą świadomość ludzką, podczas gdy urobione przez rozum (*Vernunft*) i zachowane w pamięci pojęcia tylko powierzchownie ją absorbują, nie docierając do samej głębi. Prawda i mądrość znajduje się tylko w intuicji, poznanie abstrakcyjne jest zaledwie jej odbiciem, cieniem i dlatego posiada podrzędną wartość.³⁾ Nauka, która się niem posilkuje, bada tylko zewnętrzne stosunki wyobrażeń lub pojęć, poza ich granice nigdy wyjść nie może i pozostaje na zawsze ułamkową.⁴⁾

Jeżeli filozofia chce być wolną od organicznych braków i niemocy nauki, powinna oprzeć się na intuicji i nie pytać:

¹⁾ I, § 12, str. 94. „Wszelkie ściśle przechowywanie poznania, możliwość udzielania go innym oraz pewne i daleko idące zastosowanie w praktyce zależy od tego, ażeby poznanie stało się wiedzą, poznaniem abstrakcyjnym.“

²⁾ II, § 7. ³⁾ II, str. 86. ⁴⁾ I, str. 64.

skąd? dokąd? dlaczego? lecz tylko: *co?* t. zn. nie powinna się zajmować zjawiskami, zależnemi od czworakiej racji zasady (Satz vom Grunde), lecz tem, co po odrzuceniu form zewnętrznych pozostaje jako wolna i niezmienna istota świata, jako jego idea.¹⁾ Z takiego poznania stworzymy nie tylko filozofię, lecz także ten „nastrój ducha, który jedynie może doprowadzić do prawdziwej świętobliwości i wybawienia od świata,“²⁾ czyli do moralności.

W systemie schopenhauerowskiej filozofii etyka zajmuje dominujące miejsce ze względów teoretycznych i praktycznych: 1) przedmiotem jej badań są te zjawiska Rzeczy w sobie, które w świetle prawdziwego poznania objawiają się jako Wola i 2) Wola i czyny ludzkie, jakimi się zajmuje etyka, nie mogą być dla nikogo obojętne, lecz najżywiej każdego obchodzą ze względu na swą obiektywną wartość i stosunek do bliźnich. Poznawanie fizycznego świata doprowadza nas do smutnych refleksyi, bo odkrywa ogrom cierpień i nędzy—pociechę można znaleźć tylko w moralnem rozważaniu głębin naszej własnej istoty.³⁾

We wstępie do IV księgi „Welt a. W. u. V.“ Schopenhauer zastrzega się energicznie przeciw nazywaniu etyki „filozofią praktyczną,“ ponieważ to wywołuje paczenie pojęć.

Filozofia może być tylko teoretyczną, bo zadaniem jej jest obiektywne poznanie, nigdy zaś konstruowanie jakichkolwiek bądź norm lub przepisów. Z takimi przestarzałemi pojęciami należałoby już skończyć, tembardziej, iż wobec niezmienności ludzkiego charakteru nakazy etyczne nie mogą mieć żadnego wpływu. Cnotliwość jest zupełnie niezależna od moralizowania i abstrakcyjnych pojęć, bo znajduje się w świecie dla nich niedostępnym. Zjawiska są tylko odbiciem, obiektywacją Woli, więc nie mogą być zmienione, skoro ona pozostaje jednakową. Byłoby zaprawdę źle z ludzkością, gdyby najistotniejsza treść i istota życia, jego niezmienna etyczna wartość zależała od czysto przypadkowych rzeczy, jak: filozofemy, dogmaty i wyznania. Wiedza nasza jest złudna (trügllich), tylko natura, jako Rzecz w sobie, trwa ciągle wieczna i niezmienna.

Wyobrazicielem i rzecznikiem norm w świadomości ludzkiej jest intelekt; moralne oddziaływanie na niego nie może przynieść pożądaných skutków, bo on na wolę nie ma wpływu i o jej postanowieniach dowiaduje się dopiero a posteriori, empirycznie.⁴⁾

1) I, str. 358—359. 2) I, str. 359. 3) I, str. 355, II, str. 693.

4) I, str. 379.

Zapowiada więc Schopenhauer, że w swej etyce nie będzie podawał ani przepisów, ani żadnej powszechnej zasady moralności (ein allgemeines Moral-Princip) w formie uniwersalnej recepty na wszelkie cnoty, bo w tej formie można przemawiać do dzikich ludów, lecz nie do dzisiejszych oświeconych społeczeństw. ¹⁾

Jak estetycy nie są w stanie stworzyć artystycznych geniuszów, tak samo etycy i systemy etyczne—moralnych i świątobliwych ludzi.

Zadaniem schopenhauerowskiej etyki ma być możliwie jasne przedstawienie dwu zjawisk Woli: afirmacyi i negacyi (Bejahung i Verneinung) bez żadnego polecenia lub nakazywania, co byłoby zarówno głupiem, jak i bezcelowem, bo *velle non discitur*. ²⁾

Uznając niezmiennosc ludzkich charakterów i odrzucając etykę socyalną przez twierdzenie, że tylko jednostki mogą być lub nie być moralne, narody zaś nie są niczem więcej, jak powtórzoną x razy jednostką, frankfurcki pesymista dochodzi do przekonania, że etyka jest nietylko najważniejszą, lecz i „najłatwiejszą ze wszystkich umiejętności; inaczej zresztą i być nie może, kiedy każdy jest obowiązany własnymi siłami ją skonstruować i samodzielnie w każdym danym wypadku wyprowadzić wskazówki postępowania z najwyższej zasady, tkwiącej we własnem sercu: ponieważ nieliczni tylko mają wolny czas i cierpliwość do naučenja się gotowej, zbudowanej etyki.“ ³⁾

Podobne dowody nie przekonają chyba nikogo i mogą być raczej świadectwem lekkomyślności autora, posiłkującego się byle jakimi argumentami dla uzasadnienia swych twierdzeń. Trzy zarzuty odbierają im wszelką wartość:

1) zatarcie wyraźnej różnicy między etyką-umiejętnością a popolitą, bezkrytyczną moralnością;

2) bez intelektu możliwość istnienia jakichkolwiek bądź zasad jest wyłączona — kierownikiem czynów ludzkich może być wtedy tylko instyngt;

¹⁾ I, str. 356.

²⁾ I, str. 372.

³⁾ III, str. 612. Przytaczamy powyższy ustęp w oryginalnem brzmieniu: „Die Ethik ist in Wahrheit die leichteste aller Wissenschaften; wie es auch nicht anders zu erwarten steht, da Jeder die Obliegenheit hat sie selbst zu konstruieren, selbst aus dem obersten Grundsatz der in seinem Herzen wurzelt, die Regel für jeden vorkommenden Fall abzuleiten: denn Wenige haben die Musse und Geduld eine fertig konstruirte Ethik zu erlernen.“

3) logicznie bezsensowne, a moralnie karygodne uzasadnienie tezy przez zdanie: „nieliczni tylko mają wolny czas i cierpliwość...“

Dotychczasowa etyka—zdaniem Schopenhauera—była zupełnie bezsilną i obracała się w błędnem kole, bo niemotywowane moralizowanie nie skutkuje, etyka zaś, która motywuje, musi się opierać na egoizmie ludzkim; wszelkie jednak czyny, wynikające pośrednio lub bezpośrednio z egoizmu, nie mają żadnej moralnej wartości. Dopiero jego doniosłe odkrycie Woli, jako Rzeczy w sobie i nieziennej istoty Wszelchświata, wskazuje ludzkości nowe, prawdziwe horyzonty i daje możliwość szczęśliwego rozwiązania zagadki życia.

*

*

*

Należy wyznać, że w obecnej chwili jesteśmy jeszcze dalecy od zgodnego porozumienia się co do zadań, granic i istoty etyki, ale nie da się zaprzeczyć, że we współczesnej literaturze coraz silniej uwydatnia się prąd, zmierzający

1) do przyznania etyce granic, obejmujących całokształt życia ludzkości w znaczeniu współczesnym i historycznym,

2) do oparcia jej na trwałej podstawie nauk pomocniczych: psychologii, socjologii, antropologii, etnopsychologii, statystyce i t. d.

3) do podziału jej na dwie odrębne gałęzie: opisowo-historyczną i normatywną.

Etycy wszystkich kierunków (wraz z Schopenhauerem) zgodnie uznają, iż przedmiotem etyki są czyny ludzkie, które mają doniosłe znaczenie nietylko dla ich sprawcy, lecz i dla jego otoczenia. Roztrząsanie ich z moralnego punktu widzenia jest procesem myślowym, znajdującym swe zakończenie w sądach, które wyrażają wartość odpowiednich faktów. Ażeby jednak dokonać jakiegokolwiek oceny, t. zn. ustalić wartość przedmiotu, należy: 1) dokładnie go poznać i wyświetlić nietylko postrzegane w danej chwili cechy, lecz i wszystkie inne, potencjalnie ukryte, jakie w przyszłości nastąpić mogą i 2) otrzymane w ten sposób wyniki porównać z idealnymi obrazami, poprzednio już ustalonymi. Oceniając np. konia, badamy nietylko jego cechy zewnętrzne, lecz też

wiek, siłę, wytrzymałość, szybkość biegu i właściwości psychiczne; otrzymane rezultaty porównujemy na skali idealnego konia wierzchowego, wyścigowego lub pociągowego i dopiero wtedy wydajemy sąd o jego wartości.

Jeden i ten sam gmach może być bezużytecznym na umieszczenie wystawy obrazów i bardzo odpowiednim na budynek szkolny.

Z tych dwu przykładów jasno wynika, że *wartość* jest pojęciem względnem i że wartości rzeczy nie stanowią jej cechy wogóle, lecz wyłącznie ich użyteczność i zastosowalność do pewnego zamierzonego celu. ¹⁾

Wszystkie systemy etyczne bez względu na swe dążenia (eudajmonizm, perfekcjonizm, ewolucjonizm i rygoryzm), objekty czynów (indywidualizm, uniwersalizm, egoizm i altruizm) i poglądy na pochodzenie moralności (autonomia i heteronomia) mają jeden wspólny cel, do którego zdążają: *dobro*. Dobro w najogólniejszem sformułowaniu jest ogólną cechą, konieczną do ujęcia ich w jedną kategorię, kategorię systematów etycznych. Oparci na znajomości natury ludzkiej, jako na miarodajnem źródle, z którego pochodzi odczuwanie *dobra*, wkładamy w to względne pojęcie realną treść i tem samem konkretnie formułujemy środki, wiodące do celu.

Dobro i *wartość*, rozważane obiektywnie, in abstracto, są pojęciami synonimowemi; wynika więc, że powyższy pogląd odmawia etyce bezwzględnie stałej treści, lecz tak być musi, jeżeli etyka nie chce stracić kontaktu z prawdziwem, wciąż rozwijającym się życiem i zamienić się na złożony z pustych pojęć i martwych doktryn bezużyteczny systemat filozoficzny, izolowany nie tylko od życia, lecz i od wiedzy. Etyka niezdolna do ewolucyi może mieć tylko chwilową wartość, a później musi zbankrutować. Gdybyśmy wystawili jej cel ostateczny w ściśle zdefiniowanej formule, nie pozwalającej ani na zmianę treści, ani na podsuwanie pojęciom nowego znaczenia, to wobec stałego moralnego postępu ludzkości mogłoby się łatwo zdarzyć, że cel zostałby osiągnięty i ludzkość stanęłaby u kresu swojego rozwoju. To jednak jest niemożliwe, i chwila ta byłaby raczej końcem panowania danego systematu etycznego, a nie rozwoju ludzkości.

¹⁾ Porównaj: III, str. 542 i Spencer: Die Principien der Ethik, tom I, § 8. Niem. wyd., Stuttgart, 1894.

Złemu nie zaradzi wystawienie celu, niemożliwego do osiągnięcia, bo 1) to, co dzisiaj uchodzi za niemożliwe, jutro może stać się możliwym, a 2) cel taki nie byłby w stanie wywierać wpływu na życie i tem samem zaprzeczałby racyi swego bytu.

Naukowego charakteru etyki nie może podawać w wątpliwość ani brak stałej treści, ani jej normatywny charakter, bo nauką nazywamy systematycznie opracowany ogół pokrewnych zjawisk, a temu wymaganiu etyka ewolucyjna i normatywna w zupełności odpowiada.

Podług Paulsena ¹⁾ należy odróżniać dwa rodzaje umiejętności: teoretyczne i praktyczne, teorie i technologie, *eigentliche Wissenschaften* i *Kunstlehren*. Pierwsze mają za cel poznanie, drugie — kształtowanie rzeczy przez czynność ludzką, stosownie do postawionych celów; na czele tej drugiej kategorii umiejętności stoi etyka.

Pogląd ten należałoby rozszerzyć i włączyć w zakres etyki wszystkie zjawiska, które posiadają jakikolwiek bądź związek z człowiekiem, jako istotą fizyczną, intelektualną i moralną. Niczego nie można usuwać, ani lekceważyć zanim się nie ustaliło skali oceny. ²⁾ Indywidualne przekonania i odczuwanie intuicyjne nie mają tutaj żadnego decydującego znaczenia, ponieważ człowiek żyje i żyć musi w zreszezeniach, w jego więc własnym interesie leży utrzymanie wspólnego modus vivendi. Wprawdzie Schopenhauer neguje pod względem moralnym realność społeczeństw i tylko w jednostkach widzi prawdziwy byt — gdyby jednak miał rację, i gdyby grupy społeczne rzeczywiście nie były niczem więcej, jak prostą sumą pojedynczych osobników, to i wtedy etyka nie mogłaby się oprzeć wyłącznie na intuicji lub uczuciach, gdyby nie chciała zamienić życia jednostki w szereg bezładnych, niczem nie powiązanych momentów. Stan uczuciowy jednostki i jej stosunek do wykonywanego czynu nie może być

¹⁾ „System der Ethik,“ 7 i 8 wyd., str. 1. Na podobnem stanowisku stoją Sarlo i Calò, autorzy „Principii di scienza Etica,“ Medyolan 1907. Przyznając etyce charakter wybitnie (essenzialmente) normatywny, rozumiejąc przez to tylko teoretyczne rozważanie norm, wynikających z pewnych celów; techniczne ich stosowanie należy do moralności praktycznej, która nie jest wiedzą i posługuje się czasami nienaukowymi środkami. „L'Etica è dunque normativa non propriamente in quanto scienza, ma in quanto scienza di norme.“ Str. 29 — 31.

²⁾ Porównaj: Höffding: „Ethik.“ 2 niem. wyd. Lipsk, 1901, str. 44.

obojętnym, lecz nie jest zupełnie miarodajnym tak przy oznaczaniu celów, jak i wyborze środków do ich osiągnięcia.

Uczucia winny grać w etyce taką samą rolę, jak i w życiu: być nieodzownym, ale nie wyłącznym składnikiem. Obok nich należy uwzględniać także czyny, i to nie jako wykładniki uczuć lub dobrych chęci, lecz także jako fakty, posiadające określoną, obiektywną wartość.

Westermarck, reprezentant w etyce uczuciowego indywidualizmu, widzi w nim nie doktrynę dla uzasadnienia wygodnego egoizmu, lecz najskuteczniejszy czynnik postępu i podkreśla z naciskiem, że filozoficzna etyka nie może być wyłącznie snuta z własnej jaźni lub szczupłej garstki faktów.¹⁾

Etyka Schopenhauera nie czyni zadość tym wymaganiom, jej źródło tkwi całkowicie i wyłącznie w sercu każdego osobnika, a więc naukową nazwana być nie może.

Jednem z najważniejszych zagadnień etyki, decydujących o jej racji bytu jest jej normatywność. Schopenhauer odmawiał jej tego charakteru i dowodził, iż wobec niezmienności metafizycznej istoty świata: Woli, wszelkie reformatorskie usiłowania, skierowane w stronę charakterów ludzkich, pozostaną bezowocne. Etyka jednak jest daleka i zupełnie obca imputowanej jej myśli o wywieraniu wpływu na metafizyczne istoty. Jej normy są przeznaczone dla empirycznych ludzi. Dla Schopenhauera argument ten nie byłby przekonujący, ponieważ dla niego empiryczna wola ludzka jest zupełnie identyczna z Wolą, metafizyczną istotą wszechświata, dla nas przeciwnie, bo, badając świat zjawisk bez względu na ich metafizykę, widzimy, iż charaktery ludzkie bezsprzecznie ulegają zmianom. Istnienie pedagogii jest przekonującym dowodem. Na pola transcendentalizmu etyka się nie wdziera, bo byłaby tam obcą i bezsilną, natomiast w dziedzinie właściwej, w dziedzinie zjawisk, od człowieka zależnych, może być i normatywną i normującą.

Jeżeli ktoś odmawia etyce normatywnego lub imperatywnego charakteru (co jest w istocie rzeczy jednym i tem samem), powinien być konsekwentnym i tylko opisywać oraz wyjaśniać fakty, nie podając żadnej ich oceny. Wyrazy: zły, dobry, moralność, cnota, etyczny i t. p. powinny być zupełnie wykreślone z jego słownika, gdyż w przeciwnym razie byłoby to dowodem, iż

¹⁾ „Ursprung und Entwicklung der Moralbegriffe.“ 1907. Tom I, Wstęp i str. 1 — 16.

w świadomości swej posiada pewien ideał, pewną skalę wartości, która nie może być czemś innym, jak tylko wyraźnie sformułowanymi lub nieświadomie odczuwanymi normami. Rzeczy, które im przeczą, otrzymują nazwę złych, przeciwne zaś—dobrych.

Trudno wyobrazić sobie człowieka, któryby był tak dalece pozbawiony uczuć etycznych, iż bohaterstwo, zaparcie się siebie i szlachetność ducha z jednej strony, a z drugiej: bezprawie, gwałt i okrucieństwo byłyby dla niego zupełnie obojętnymi zjawiskami, niezdolnymi do wywołania jakiejkolwiek reakcyi bądź w postaci czynu, bądź w formie sądu o ich wartości. ¹⁾

Idealne wyobrażenia, od których nie jest wolny żaden człowiek, występują na jaw nie tylko z okazji czynów moralnych; postrzeganie każdego faktu jest związane z wyobrażeniem odpowiedniej doskonałości (Vollkommenheitsvorstellungen), życie — z normami życiowymi. ²⁾ Przykładanie norm jest koniecznym warunkiem należytego rozumienia bogatej treści zjawisk.

Schopenhauer, uzasadniając podstawy moralności, tworząc systemy etyczne i używając wyrażen: „wartość moralna,“ „prawo moralne,“ „cnota,“ „człowieka złyj woli etyka przeklina“ i t. p., nie miał prawa występować przeciw imperatywnemu charakterowi etyki, bo wpadał w oczywistą sprzeczność z samym sobą. Taką samą niekonsekwencyę popełniają i niektórzy współcześni filozofowie ³⁾, większość jednak wypowiada zdanie, że etyka jest nauką o tem, *co ma być*, dyscypliną praktyczną i imperatywną. ⁴⁾

Norm etycznych nie można utożsamiać—jak to czynił Schopenhauer — z imperatywami religijnymi, które heteronomicznie orzekają: „czcij ojca, nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij,“ i za nieposłuszeństwo grożą karami. Normy etyki są autonomiczne, korzeniami swymi tkwiące w naturze ludzkiej. „Powinieneś!“

¹⁾ Lips w „Die ethischen Grundfragen“ str. 5 pisze o tem krótko i dobitnie: „Nie mogę czegośkolwiek uważać za moralne i dobre, aby jednocześnie nie pragnąć, iżby to istniało lub było czynione. Nie mogę czegośkolwiek uważać za niemoralne, aby słowami, czynami lub wogóle w swej świadomości nie żądać zaniechania lub wykorzenia tego.“

²⁾ Por. W. Dilthey: „Beiträge zum Studium der Individualität. Sitzungsberichte der königl. preuss. Akademie der Wiss. zu Berlin.“ 1906.

³⁾ Westermarck o. c., Simmel: Einleitung in die Moralwissenschaft, i in.

⁴⁾ Wundt, Höffding, Paulsen, Ochorowicz. Również: P. R. Trojano: „Le basi dell'umanismo,“ Turyn, 1907. Pośrednie stanowisko zajmuje E. Spiek-torski w „Iz oblasti czystoj etiki,“ „Woprosy filosofii i psichologii,“ III tom, Moskwa, 1905.

etyki nie ubliża wcale godności ludzkiej, lecz usiłuje podnieść ją na wyższy poziom; za takim imperatywem nie stoi ani siła materialna, ani groźby, lecz logiczna racya, wynikająca z dążenia do pewnych celów, których wystawienie było aktem dobrej woli u każdej jednostki.

Żaden system etyczny nie może pozbyć się pojęć dobrego i złego, cnoty i występku, a tem samem normatywnego, czyli imperatywnego charakteru.

II.

Nienaukowy pogląd Schopenhauera na filozofię, jego pesymizm i skrajny determinizm zredukowały etykę do ciasnych granic pseudoumiejętności, opartej na subiektywnych, uczuciowych podstawach. Do wzniesienia takiej budowy najzupełniej wystarczyły dwa kamienie węgielne, otrzymane po rozstrzygnięciu dwu zasadniczych zagadnień ¹⁾: *podstawy moralności i wolności woli*.

Zadaniem schopenhauerowskiej etyki jest doprowadzić ludzkość do prawdziwego poznania świata w jego istotnej wszechjedności, przedstawić ogrom istniejącego nieszczęścia i wreszcie wywołać auto-negację Woli, jako jedyną ucieczkę od cierpień. Cel ten może być osiągnięty tylko wtedy, jeżeli wola jest wolną; stąd na pierwsze miejsce w etyce wysuwa się zagadnienie wolności woli, przed którym jednak należy zdać sobie sprawę z pojęcia charakteru.

Każda rzecz w przyrodzie posiada pewne właściwości i siły, które reagują na bodźce w ściśle określony sposób i stanowią to, co się zwykło nazywać charakterem. Jaźń ludzka składa się z dwóch pierwiastków: woli i intelektu. Intelekt determinuje wolę i wyciska na niej pewne odrębne piętno, stanowiące indywidualny, empiryczny charakter ludzki. Objawia się on w sposobie postępowania jednostki i jest obiektywacją intelligibilnego charakteru, czyli Woli samej w sobie. ²⁾ Charakter empiryczny,

¹⁾ Stąd nazwa: „Die beiden Grundprobleme der Ethik.“

²⁾ I, str. 375. Na str. 219 t. I intelligibilny charakter został zidentyfikowany nie z Wolą, lecz z ideą, a także z pierwotnym, metafizycznym aktem Woli, dzięki któremu z jednolitej substancji powstają różniczkowane indywidua. U Kanta „intelligibilny“ oznacza nadzmysłowy, uchwytny tylko dla czystej myśli, tkwiący w wewnętrznej istocie rzeczy, w t. zw. Rzeczy w sobie, a nie w zjawiskach.

pozbawiony kierownictwa umysłu, nieświadomy, jest jako instynkt (Naturtrieb) bezrozumny, dopiero pod panowaniem refleksyi staje się przedmiotem myślenia i wznosi się na wyższy stopień.

Intelligibilny charakter ma się do empirycznego, jak niezmienna istota rzeczy do swej zewnętrznej formy, do swego zjawiska.

Oprócz tych dwu rodzajów charakteru istnieje jeszcze trzeci, dla praktycznego życia najważniejszy: *nabyty*. Oznacza on znajomość sił duchowych i fizycznych i wogóle wszystkich niezmiennych właściwości własnego indywiduum. Znajomość ta nadaje całemu naszemu życiu cechę rozumnej, świadomej celowości, umożliwia wyzwolenie z pod wpływu chwilowych nastrojów i zachcianek i dzięki temu jest najpewniejszą drogą do osiągnięcia wewnętrznego zadowolenia.¹⁾ Nawet nasze wady i ułomności nie będą nas rozgoryczały, ani sprawiały przykrości, jeżeli uznamy je za wynikające z naszej własnej natury, za konieczną konsekwencyę niezmiennego charakteru. Zmiany zaszły w naszym postępowaniu pod wpływem nabytego charakteru, czyli znajomości samego siebie nie są zmianami naszej indywidualności, lecz tylko poprawkami naszych czynów, stosownie do niezmiennego, poznawalnego charakteru.²⁾

Każdy człowiek, przychodząc na świat, przynosi z sobą gotowy i skończony charakter, którego nie są w stanie zmienić ani zewnętrzne okoliczności, ani żadne usiłowania, bo jest on tylko zjawiskiem pozaempirycznej istoty. Człowiek nie zmienia się nigdy: w małym dziecku objawia to wszystko, co później, dzięki doskonalszemu poznaniu, wyraźnie wystąpi w dojrzałym wieku. W podobnych warunkach będzie zawsze podobnie postępował, jeżeli tylko wola jego zostanie dobrze przez intelekt poinformowana. Czyny ludzkie są stale powtarzaną objektywacyą intelligibilnego charakteru; pozorne zmiany w postępowaniu należy tłómaczyć tem, że dla wywołania aktu woli potrzebne są motywy, które przechodzą przez medium poznania, podlegającego ciągłym wahaniom między prawdą a błędem. Reakcja danej jaźni pozostaje zawsze jednakową, zmieniają się tylko motywy, modyfikowane przez intelekt. Szeregi czynów, w których występuje na jaw empiryczny charakter, mogą czasami zmienić swój kierunek, z tego jednak nie można wnioskować o zmianie charakteru, lecz tylko o zmianie poznania, które przedstawiło nowe motywy,

1) I, str. 396—398. 2) I, str. 398.

więcej, niż dawne, odpowiadające woli danego indywiduum. Motywy mogą sprawić jedynie to, iż wola do swego niezmiennego celu może dążyć inną drogą lub za pomocą innych środków. Jeżeli np. indywidualna wola ma za swój cel raj Mahometa, to zmiana w poznaniu może spowodować, iż cel ten ze świata empirycznego zostanie przeniesiony do nadzmysłowego i wtedy zamiast mądrości, siły i oszustwa będą używane inne środki: jałmużna, miłość i sprawiedliwość. ¹⁾

Wychowanie, kształcające umysł, jest dlatego ważne, że wola może poznać nowe motywy, uznać ich słuszność i zmienić swój kierunek, przez co przy niezmienionym celu może się zmniejszyć ilość złego. Nie należy jednak zapominać, że podobna zmiana może zajść tylko wtedy, jeżeli indywidualna wola posiada wrodzoną ku niej skłonność; jeżeli zaś nowe motywy woli nie odpowiadają, to chociażby były najlepsze, nie zdołają na nią wywrzeć żadnego wpływu.

Człowiek może postanowić sobie być takim lub innym, występniejszym lub cnotliwszym, lecz celu nie osiągnie, bo jego indywidualność i wartość moralna została niezmiennie określona przez „intelligibilny akt Woli,“ dzięki któremu zawdzięcza swoje istnienie. Abstrakcyjne poznanie, pojęcia i dogmaty są dla moralności zupełnie bezpłodne: ani jej stwarzają, ani zmieniają; dobre nauki w istocie rzeczy nic nie poprawiają, złe — nic nie zepsują. ²⁾ Samymi motywami bez współdziałania woli można osiągnąć legalność, lecz nigdy — moralność, bo pierwsza polega na czynach, które, jako zjawiska, są zmienne, druga — na niezmiennym woli. Prawdziwa moralność jest tak dalece niezależna od czynów, iż zły człowiek, spełniający miłosierny uczynek, nie dowodzi przez to bynajmniej dobroci charakteru. Moralność jest aprioryczna, wrodzona — przez wprawę lub usiłowania osiągnąć jej nie można. Prawdziwe wewnętrzne cnoty (*Tugend der Gesinnung*) nie powstają z abstrakcyjnego poznania, jednak przez poznanie: przez bezpośrednio, nie dające się drogą rozumowania stworzyć, ani wyeliminować, przez poznanie, które, jako nieabstrakcyjne, nie da się opisać, lecz musi być przez każdego odczute i wskutek tego znajduje swój ścisły wyraz nie w słowach, lecz w całym życiu ludzkim. Jedynie takie poznanie może cnotliwemu charakterowi otworzyć oczy i skierować go we właściwym kierunku.

Gdybyśmy wśród jednakowych warunków mogli różnie postępować, to znaczyłoby, że wola nasza się zmieniała i wystąpiła

1) I, str. 384. 2) I, str. 473.

w formie czasu, który jest nieodzownym warunkiem wszelkich zmian,—wówczas jednak wola byłaby zjawiskiem, lub czas formą Rzeczy samej w sobie. I pierwsze i drugie przypuszczenie jest niemożliwe do przyjęcia, jako sprzeczne z podstawami filozofii Schopenhauera; a więc indywiduum postępuje zawsze niezmiennie i „każdy występek jest pewną gwarancją niezliczonych następnych, które muszą być popełnione.“¹⁾ Tem się tłumaczy fakt, że raz straconego honoru już nigdy nie można odzyskać, bo czyn niehonorowy okazał nam w prawdziwym świetle wewnętrzną istotę osobnika. Tem się tłumaczą stawiane dramaturgom zarzuty niejednolitości charakteru bohaterów; i nieufność do zdrajców, chociażby jednorazowych; i mądre przysłowie ludowe: kto raz ukradł, zostaje na całe życie złodziejem.

Niezmiennność charakteru stanowi konieczny warunek jednolitej, konsekwentnej działalności człowieka i jego odpowiedzialności za popełnione czyny.

Wola, której zjawiskiem jest Wszechbył, a więc i życie ludzkie, nie może się negocjować w pojedynczych wypadkach; tak samo człowiek, będąc określonym indywiduum, jako całość, nie może w szczegółach postępować wbrew swemu charakterowi.²⁾

Przystępując do zagadnienia wolności woli, Schopenhauer a priori usuwa możliwość pośredniego wyjścia: między determinizmem a indeterminizmem nie może być nic pośredniego, bo nie można twierdzić, że motywy wpływają na wolę tylko do pewnego stopnia, a pozatem wola częściowo pozostaje wolną, ponieważ, przyznając pewnemu zjawisku przyczynowość, uznajemy bez zastrzeżeń jej wpływ na przebieg dalszych zjawisk. Jeżeli w pojedynczych wypadkach bodziec nie wywołuje oczekiwanego skutku, to tylko dlatego, że jest za słaby; wzmocniony przewycięży napotkany opór i ujawni swe działanie na zewnątrz.³⁾

Nie myślący krytycznie człowiek jest przeważnie indeterministą, bo w świadomości jego niema nic wyraźniejszego nad fakt, że może robić to, co chce. Jednak zdanie: „Robię to, co chcę“ nie może być dowodem, ponieważ nie dotyka wcale spornej kwestyi i zaledwie orzeka, że czyn jest wolny, skoro odpowiada wewnętrznej woli swego wykonawcy. W etyce zaś nie chodzi o wolność czynów, lecz o wolność woli, o jej stosunek do okoliczności i bodźców zewnętrznych, o czem świadomość nasza nie jest w stanie nam nic powiedzieć, ponieważ to leży poza jej sferą.

¹⁾ I, str. 380. ²⁾ I, str. 381. ³⁾ III, str. 394.

Kto rozważa omawiane zagadnienie powierzchownie, słuchając bezkrytycznie intelektu, ten nigdy nie wyjdzie z błędnego koła indeterminizmu. W czasie walki motywów, jaka odgrywa się w świadomości przed każdym aktem, intelekt je oświetla i przedstawia woli do wyboru, nie wpływając na nią, ani jej determinując, bo jest dla niego niedostępną i niezależną. Widząc kilka motywów, naiwnie przypuszcza w swej ograniczonej subiektywności, że zarówno jeden, jak drugi może zapanować nad pozostałymi, tymczasem, rozważając rzecz obiektywnie, każdy akt woli przy wyborze motywów jest z góry przesądzony i pewny, jako skutek poprzedniej przyczyny.¹⁾ Aprioryczność prawa przyczynowości jest dowodem niemożliwości wyjątków: akty woli podlegają mu tak samo, jak fizyczne zjawiska.

W otaczającym nas świecie widzimy trzy rodzaje przyczyn, każdy w zastosowaniu do odrębnej grupy obiektów:

1) przyczyny w najciaśniejszym znaczeniu, które wywołują zjawiska w świecie nieorganicznym;

2) bodźce t. zn. przyczyny, których działanie nie stoi w ścisłym stosunku do wywołanych skutków np. w świecie roślinnym;

3) motywacya, czyli przyczynowość w świecie zwierzęcym, wynikająca z poznania.

Człowiek zajmuje pośród zwierząt dominujące stanowisko przede wszystkim dzięki rozumowi (Vernunft), który wskutek wytwarzanych przez siebie abstrakcyjnych pojęć, rozszerza horyzont umysłowy na przeszłość i przyszłość i znosi zależność od teraźniejszych, czysto intuicyjnych przeżyć. Jednak w stosunku do woli abstrakcyjny motyw jest tak samo zewnętrznym bodźcem, jak i motyw intuicyjny, tkwiący w postrzeganym obiekcie, i dlatego nie można mu przyznać żadnych przywilejów.²⁾ Kto w świecie nieorganicznym lub roślinnym uznaje prawo przyczyny, ten nie powinien go negować w woli ludzkiej tylko dlatego, że działające na nią motywy nie są dostępne dla fizycznego oka; motywy myślowe, abstrakcyjne często działają silniej od materialnych.

Gdyby wolą ludzką rządziło liberum arbitrium indifferentiae, to życie zamieniłoby się w bezładny szereg pojedynczych momentów, niezrozumiałych całkowicie dla naszego rozumu. Tak jednak nie jest, bo czyny są nawskroś determinowane i zrozumiałe dla nas, czyli powiązane przyczynowo. Jak dla zmiany w świecie fizycznym potrzebna jest przyczyna, któraby ją wywołała, i sub-

¹⁾ III, str. 403. ²⁾ III, str. 415.

strat, któryby implicite posiadał własność, występującą na zewnątrz pod działaniem przyczyny, tak samo jest i w naturze ludzkiej: motyw zewnętrzny, jako przyczyna, wywołuje reakcję niemotywowanej pierwotnej siły, zwanej Wolą. Wola, posiadająca w każdym indywiduum odrębny i niezmienny kierunek, czyli charakter, determinuje działanie motywów oraz jest jego substratem i warunkiem. Człowiek nie jest wolny w swych czynach, lecz zależny zawsze od swej woli. Gdybyśmy dokładnie znali jego empiryczny charakter i działające motywy, to byłibyśmy w stanie przepowiedzieć mu przyszłe życie z taką pewnością, jak astronomowie — zaćmienia księżyca.

Ażeby rozważane zagadnienie rozpatrzyć możliwie najlepiej, należy zająć się wszystkimi trzema rodzajami wolności: fizycznym, intelektualnym i moralnym.

Pierwszy nie oznacza nic więcej, jak tylko brak fizycznych przeszkód; w stosunku do zwierząt rozumiemy przez to, iż czynności ich nie zostały wymuszone przez siłę zewnętrzną, lecz powstały z własnej woli. Jak to już wskazano wyżej, ten rodzaj wolności jest uważany przez niekrytyczne umysły za argument przeciw determinizmowi. Filozoficzne badanie jednak idzie dalej, do wolności intelektualnej.

Intellekt, jako organ poznania (*Erkenntnisvermögen*), jest medium, przez które przechodzą motywy, mające determinować wolę. O ile medium to znajduje się w normalnym stanie i przedstawia motywy w prawdziwym oświetleniu, wtedy wola postępuje odpowiednio do swego charakteru, człowiek pod względem intelektualnym jest wolny i za czyny swe moralnie i prawnie odpowiedzialny. Wolność ta zostaje zniesiona, jeżeli władza poznania znajduje się bądź stale, bądź chwilowo w nienormalnym stanie, albo zewnętrzne okoliczności powodują fałszywe przedstawienie motywów (obłąkanie, *delirium tremens*—w pierwszym wypadku, a w drugim—strzał w nocy do zbliżającego się służącego w przypuszczeniu, iż to rabuś). Przestępstwa spełnione w takim stanie nie podlegają karze, bo prawo wychodzi ze słusznego założenia, że wola nie jest moralnie wolną, skoro jej intelekt fałszywie przedstawia stan rzeczy. W podobnych wypadkach wina spada na intelekt, jednak przed prawem i moralnością nie jest odpowiedzialny on, lecz wola.

Stan pośredni, w którym wolność intelektu zostaje tylko zmniejszona, występuje wtedy, gdy czyn powstaje pod wpływem silnego afektu.

Z przytoczonych powyżej dwu rodzajów wolności widać, iż pierwotne pojęcie wolności, dedukowane empirycznie ze zjawisk, nie da się połączyć z pojęciem woli.¹⁾ Chcąc je, pomimo to, związać razem, należy pojęcie wolności sformułować negatywnie, jako „brak konieczności.“ „Koniecznein“ jest to, co wynika z dostatecznej racyi, co występuje, jako skutek przyczyny. Jeżeli tylko cośkolwiek pojmujemy, jako skutek pewnej danej przyczyny, uznajemy to za konieczne, i odwrotnie: jeżeli cośkolwiek uważamy za konieczne, to ujmujemy je jako skutek dostatecznej przyczyny, ponieważ wszystkie przyczyny są konieczne.²⁾ Konieczność więc i skutek dostatecznej przyczyny (Notwendigkeit i Folge aus einem zureichenden Grunde) są równoznacznymi pojęciami i mogą być zawsze używane jedno zamiast drugiego; brak konieczności jest identyczny z brakiem dostatecznej, determinującej przyczyny.

Za przeciwieństwo „koniecznego“ zwykle uważamy „przypadkowe“, które jest jednak pojęciem względnym, ponieważ w świecie empirycznym, gdzie obserwujemy t. zw. przypadki, każde wydarzenie jest konieczne w stosunku do swej przyczyny, a przypadkowe w zastosowaniu do reszty zjawisk, z którymi wspólnie się znajduje w czasie i przestrzeni. Wolność więc, mająca wyrażać brak konieczności, czyli zupełną niezależność od jakichkolwiek bądź przyczyn, należy zdefiniować, jako „absolutny przypadek.“ Z tego o problematycznej wartości pojęcia, zastosowanego do woli ludzkiej, wynikałoby, że akty jej byłyby zupełnie wolne od przyczyn i racyi (Ursachen i Gründe), od wszelkich z góry określonych warunków, praw i reguł. Wtedy czyny ludzkie, powstające z woli samorzutnie, w absolutnej niezależności przedstawiałyby liberum arbitrium, przed którym musiałyby skapitulować rozum, bo nie byłby zdolny do rozumienia.

Z dokonanego rozbioru pojęć jasno wynika, że wolność woli ludzkiej jest złudzeniem i — z punktu filozoficznego badania — wielkim błędem. O wolności można mówić tylko wtedy, jeśli się przez nią rozumie nie absolutną, lecz względną, jako niezależną wyłącznie od intuicyjnej teraźniejszości (das anschaulich Gegenwärtige), i w porównaniu do zwierząt komparatywną. Taki rodzaj zmienienia jedynie motywacyę, w niczem nie naruszając po-

1) III, str. 386.

2) III, str. 387: „denn alle Gründe sind zwingend.“ Również § 49 w rozprawie: „Ueber den Satz vom Grunde.“

wszechnego prawa przyczynowej konieczności, bo w walce motywów będą zawsze zwyciężały najsilniejsze lub najwięcej odpowiadające woli.

Czas, przestrzeń i przyczynowość stanowią niezbędny warunek istnienia zjawisk, natomiast intelligibilny charakter, czyli Wola, jako Rzecz sama w sobie, jest całkowicie od prawa przyczynowości niezależna, bo nie jest zjawiskiem, należy więc jej przyznać absolutną wolność.¹⁾ Wolność ta jest transcendentálną i nie występuje w świecie empirycznym, pojęcie jej otrzymujemy wtedy, „gdy abstrahujemy od zjawiska i wszystkich jego form, ażeby dojść do tego, co może być pomyślane poza czasem, jako wewnętrzna, sama w sobie istota ludzka. Dzięki tej wolności, wszystkie czyny ludzkie są ich własnym dziełem.“²⁾ Wolności należy szukać w całym bycie i istocie naszej (existencia et essentia), a nie w pojedynczych postępkach, bo operari sequitur esse podług niezmiennego charakteru woli. „Wolność więc, której nie możemy znaleźć w operari, musi być w esse.“³⁾

Dopiero przyjęcie tego poglądu umożliwiła należyte pojmowanie wolności moralnej.⁴⁾ Pomimo swej transcendentálności, nie jest ona próżnem pojęciem i w praktycznem życiu etycznym odgrywa doniosłą rolę. Przyjęcie innego poglądu zaprzeczyłoby całkowicie odpowiedzialności ludzkiej i uczyniłoby z moralnego i fizycznego świata zabawkę dla jego stwórcy.⁵⁾ Przewidywał to Kant, kiedy, po wygłoszeniu teorii o empirycznym i intelligibilnym charakterze, zachował determinizm w postępowaniu obok wolności woli, jako Rzeczy w sobie, istniejącej poza zjawiskami. Wzajemny stosunek obu rodzajów charakteru najlepiej wyraża następujące zdanie: „intelligibilny charakter każdego człowieka należy uważać za pozaczasowy, a więc za niepodzielny i niezmienny akt woli, którego determinowaniem przez czas, przestrzeń i czworaką zasadę racji zjawiskiem jest empiryczny charakter,

¹⁾ III, str. 475. „Der empirische Charakter nämlich ist... eine blosse Erscheinung, daher an die Formen aller Erscheinung, Zeit, Raum und Kausalität gebunden und deren Gesetzen unterworfen: hingegen ist die als Ding an sich von diesen Formen unabhängige und deshalb keinem Zeitunterschied unterworfen, mithin beharrende und unveränderliche Bedingung und Grundlage dieser ganzen Erscheinung sein intelligibler Charakter d. h. sein Wille als Ding an sich, welchem, in solcher Eigenschaft, allerdings auch absolute Freiheit, d. h. Unabhängigkeit vom Gesetze der Kausalität zukommt.“

²⁾ III, str. 475. ³⁾ III, str. 476. ⁴⁾ III, str. 472.

⁵⁾ V, Parerga und Paralipomena, str. 244.

taki, jak się przedstawia w sposobie postępowania i całym życiu tego człowieka.“¹⁾ Indywidualność więc charakterów nie jest złudnym zjawiskiem, lecz tkwi w Rzeczy samej w sobie; jak głęboko?—„to należy do pytań—odpowiada Schopenhauer—na które nie podejmę się dać odpowiedzi.“²⁾ Do charakteru swego przychodzimy drogą wyboru, odbywającego się jeszcze przed naszym urodzeniem w świecie pozaempirycznym bez udziału poznania, wybór ten jest wolnym, i dlatego my, którzy go dokonywujemy, jesteśmy odpowiedzialni za swój wrodzony, indywidualny charakter. Odpowiedzialność nie może dotyczyć postępków, bo te są, jak to wykazano wyżej, konieczną konsekwencją charakteru; czując się odpowiedzialnymi za charakter, uznajemy go przez to za akt swej wolnej woli. „Ponieważ jesteśmy świadomi wolności tylko przez odpowiedzialność, więc gdzie leży druga, tam musi być pierwsza: a więc w *esse*.“³⁾

Nikomu nie przyjdzie na myśl zwać winę za popełnione przestępstwo na motywy, które je z koniecznością musiały wywołać, bo ta konieczność była tylko subiektywną, uwarunkowaną indywidualnym charakterem; gdyby ten był innym — spełniony czyn byłby wypadł inaczej. Prawdę tę odczuwa wyraźnie każdy człowiek — pewność, że to my sami jesteśmy sprawcami naszych czynów jest niewzruszona⁴⁾, na niej polega odpowiedzialność, poczucie odpowiedzialności zaś jest najwymowniejszym dowodem wolności woli.

Odrzuciwszy wolność transcendentalnego wyboru charakterów, nie bylibyśmy w stanie zrozumieć moralnego porządku świata i istniejących w nim różnic tak intelektualnych, jak i moralnych. Z jednej strony widzimy mądrość i szlachetność, z drugiej podłość i głupotę. U jednego maluje się na twarzy dobroć serca lub błyski geniuszu świecą w oczach, u drugiego fizyognomia nosi niestarte piętno moralnej nizkości i tępości umysłowej. Jest niemożliwem do przyjęcia przypuszczenie, że tak wielkie zasadnicze różnice mogłyby istnieć bez winy lub zasługi obdarzonych niemi ludzi. Już z tego samego wynika, iż człowiek jest swoim własnym dziełem, „tem, czem chce być.“⁵⁾

Nietylko czyny, lecz i ciało ludzkie jest objektywacją, dziełem ludzkiej woli. Niezbitym dowodem (*ein schlagender Beweis*)

¹⁾ I, str. 377.

²⁾ V, Parerga und Paralipomena. Zur Ethik. Str. 234.

³⁾ III, str. 559. ⁴⁾ III, str. 472. ⁵⁾ II, str. 705.

na to jest fakt ukrywania genitaliów, bo człowiek „nie mógłby się przecież wstydzić rzeczy, istniejącej bez jego woli.“¹⁾

Cały świat jest odbiciem, wyrazem Woli, wszystkie zjawiska, męki i cierpienia istnieją dlatego, że Wola ich pożąda, że na nie zasługuje. Gdybyśmy rzucili na jedną szalę wszystkie nieszczęścia świata, na drugą zaś—jego winę, to waga nie poruszyłaby się wcale. Kto chce poznać moralną wartość ludzi, niechaj spojrzy na ich los... gdyby byli lepsi, los ich napewno nie byłby tak smutny.

Na tem polega moralny porządek i wieczna sprawiedliwość świata.²⁾

D-R ZYGMUNT BUJAKOWSKI.

1) II, str. 671.

2) I, str. 428. § 63, str. 452—459. II, str. 710.

PIŚMIENNICTWO.

HENRYK WIERCIEŃSKI. *W sprawie wydzielenia Chełmszczyzny.* Warszawa, druk Piotra Laskauera, 1910.

Niniejsza książka stanowi zbiór artykułów autora, umieszczonych w różnych czasach w różnych pismach i powiązanych obecnie w jedną całość. Artykuły te, omawiające jedną i tę samą kwestyę z rozmaitych stron, dopełniają się wzajemnie i istotnie nadawały się w zupełności do wydania wspólnego, jako części składowe jednej właściwie tezy przewodniej. A tezą tą jest, iż wydzielenie Chełmszczyzny nie da się usprawiedliwić żadnymi względami i w rezultacie wyjdzie na szkodę tych, co go dokonają.

Trudno zrozumieć—pisze autor—aby projekt ten miał na celu interes państwa: czy kilka powiatów należy do jednego, czy do drugiego generał-gubernatorstwa, czy granice dwóch gubernii idą z zachodu na wschód, czy z północy na południe, tworzyć one będą tak samo, jak i dotąd, przynależność jednego i tego samego mocarstwa.

Utworzenie nowej gubernii chełmskiej i przeniesienie władz gubernialnych do Chełmu przyczyni się do rozwoju tego miasta—oto jedyny skutek realny, jaki sprowadzi wykonanie projektu nacjonalistów rosyjskich. Nic też dziwnego, że z taką głęboką wdzięcznością obaj rabini chełmscy i bogatsi kupcy żydowscy składali dziękczynienia episkopowi Eulogiuszowi za popieranie tej sprawy.

Na budowę gmachów gubernialnych rząd zużyje miliony bez żadnej korzyści dla siebie. Nie wymaga tego bynajmniej obrona przed polonizmem. Nikt przecież chyba nie uwierzy—zaznacza autor—ażebym czy to wiara, czy ludność prawosławna mogły się

czuć upośledzonymi pod czujną i troskliwą opieką władzy rosyjskiej. Jest aż zbyt wiele faktów, dowodzących jej gorliwości rusyfikacyjnej.

Gdy np. w powiatach gub. lubelskiej z ludnością czysto polską istniała 1 szkoła elementarna na 71 wiorst kwadratowych i 6359 głów ludności, to jednocześnie w powiatach, w których element ruski prawosławny był nieco znacniejszym, była jedna takąż szkoła na każde 17 wiorst kwadratowych i 1327 głów ludności. Ludność ruska miała zatem stosunkowo cztery razy tyle szkół, co polska.

Gdy katolicy posiadają 1 kościół na 5726 dusz, prawosławni mają 1 cerkiew na 953 wiernych. Gdy 1 kapłan katolicki przypada na 3918 wyznawców, prawosławni mają kapłana na każde 1120 dusz. Uposażenie duchowieństwa prawosławnego w liczbie 181 osób wynosi 539,305 rubli, uposażenie zaś duchowieństwa katolickiego w liczbie 240 osób stanowi zaledwie 62,998 rb.

Ludność prawosławna cieszy się już obecnie uprzywilejowanym stanowiskiem we wszystkich dziedzinach. Pomimo zasadniczej idei prawnej o równości obywateli państwa, od lat już wielu katolicy nie są dopuszczani na stanowiska ani nauczyciela wiejskiego, ani pisarza gminnego, ani wójta, ani sędziego. Wszystkie urzędy, nawet obieralne, są dla katolików zanknięte, gdyż władze nie zatwierdzą ich, choćby mieli za sobą głosy całej ludności przy wyborach.

Jeśli weźmiemy skład procentowy ludności prawosławnej w projektowanej gubernii chełmskiej, to się okaże, że prawosławni w żadnym powiecie nie posiadają większości. W gub. lubelskiej powiecie chełmskim stanowią oni 38.8%, hrubieszowskim 47.6%, tomaszowskim 38.2%, biłgorajskim 25.9%, zamojskim 9.5%, krasnostawskim 5.9%. W gub. siedleckiej w pow. bialskim 24.8%, włodawskim 38.6%, konstantynowskim 7.6%, radzyńskim 3.6%, siedleckim 3%. Te cyfry mówią same za siebie.

Ekonomicznie ludność nowej gubernii ciągnie ku Warszawie, nie tylko z przyzwyczajenia, ale z konieczności, z przyrodzonych warunków geograficznych. Kraj rolniczy zbywa swe produkty na zachodzie, gdzie otrzymuje lepsze ceny. Z zachodu znów idzie towar fabryczny, stąd naturalna wymiana handlowa.

Autor zestawia szczegółowe dane co do ludności gubernii lubelskiej i siedleckiej, badając ściśle stosunek procentowy ludności katolickiej i prawosławnej. Znajdujemy też statystykę świątyni i duchowieństwa obu tych wyznań. Dalej idą dane co do szkolnictwa i różnych ograniczeń względem Polaków, obszernie

omawia autor sprawę pożyczek Banku Włościańskiego we wschodnich guberniach Królestwa Polskiego.

Prawo o wydawaniu pożyczek Banku żadnych różnic pomiędzy narodowościami nie czyni i według ustawy zarówno Polacy, jak Litwini i Rusini mogą korzystać z pożyczek bankowych. Wbrew jednak temu prawu generał-gubernator Czertkow wydał w dniu 10 października 1894 r. instrukcję dla komisarzy włościańskich, w której wprost zabrania wydawania żądanych przez Bank zaświadczeń włościanom-katolikom w powiatach wschodnich gubernii: lubelskiej, siedleckiej, łomżyńskiej i suwalskiej. Generał-gubernator przekroczył tu swą władzę, gdyż akt tego rodzaju wchodzi w dziedzinę prawodawstwa, wskutek tego i moc podobnego rozporządzenia jest problematyczna. Niemniej komisarze włościańscy, jako organy podległe władzy generał-gubernatora, stosować się muszą do pomienionej instrukcji.

Wskutek takiej polityki rządu, ograniczającej miejscowych włościan co do kupna ziemi, osiedlają się tam Niemcy, korzystając z niższych cen. Jest cały szereg gmin, gdzie prawosławnych niema wcale, a jednak Bank nie wydaje tam pożyczek katolikom. W tych też stronach najgęściej siedzą Niemcy, którzy stanowią już znaczny procent ludności w wielu gminach.

Przedstawiwszy stan obecny przyszłej gubernii chełmskiej, autor sięga myślą wstecz i daje kilka obrazów z przeszłości tego kraju. Załatwia się z kwestyą, kto tu był pierwotnym mieszkańcem kraju, zaznaczając, że od dawien dawna zmagają się w nim jednocześnie dwa wpływy: polski i ruski. Na zarzuty o rzekomym ucisku polskim i katolickim, odpowiada, że nie było na całym obszarze dawnej Polski tak zgodnego współżycia pomiędzy wyznawcami obu obrządków, pomiędzy polskim dworem a ruską chatą. Przytacza na dowód cały szereg faktów historycznych, wśród których fundacya staszicowska sama już rzuca charakterystyczne światło na ówczesne stosunki. Przeprowadza porównanie ze współczesnym stanem włościaństwa w Rosyi według świadectwa pisarza rosyjskiego Maksimowa, by uwydatnić jaskrawą różnicę tym, co śmiać czynić obecnie zarzuty.

Z chwilą, gdy ziemia, ochrzczona teraz mianem Chełmszczyzny, przeszła pod panowanie Rosyi, śmieszne jest mówić o ucisku polskości i katolicyzmu. Autor przytacza szereg faktów, jak surowe kary spadały na księży katolickich za najniższe uchybienia.

Wykazując, że Rosya nie ma żadnego interesu w wyobrobieniu Chełmszczyzny, autor widzi w całej tej sprawie intrygę

niemiecką. Prusom jakoby jest potrzebne pogwałcenie przez Rosyę traktatu wiedeńskiego i podział Królestwa, aby same mogły potem wyciągnąć rękę po część tegoż Królestwa.

Zdaje się, że autor szuka tu zbyt dalekich przyczyn. Naturalnie, że w interesie Prus leży obcięcie Chełmszczyzny, jak wogóle wszelki akt represyi rządowej wobec Polaków. Swoją drogą jednak nacjonalizm rosyjski nie potrzebował wcale obcej podnieity, gdyż w ostatnich czasach i tak do skrajnych rozmiarów wybujał. Bezwarunkowo, że agitacja biskupa Eulogiusza, będącego wyrazicielem miejscowego duchowieństwa prawosławnego i urzędników, znacznie silniej zaważyła na szali, niż rzekome wpływy pruskie.

Wyprowadzanie całego wogóle nacjonalizmu rosyjskiego z podjudzań niemieckich, jak to czyni autor, nie wytrzymuje krytyki.

Omawiana książka zawiera bogaty materiał statystyczny, którego zdobycie i odpowiednie opracowanie jest tak trudne w naszych warunkach. P. Wiercieński jest jednym z lepszych u nas znawców Chełmszczyzny, to też i praca jego jest nader pożądanym nabytkiem.

WACŁAW DUNIN.

EDWARD MILEWSKI. *Sklepy społeczne (Rzecz o kooperacji spożywców)*. Lwów, 1911. Nakładem Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych. 8-o, str. 239.

Nasza literatura współdzielcza silnie i szybko zaczyna wzrastać. Po kilku pracach naukowych, analizujących nasz własny stan obecny w tym względzie, zjawia się znów dzieło, poświęcone propagandzie idei. Mówię znów, bo książki takie wydawano już dawniej. Prace, przeznaczone dla propagandy jakiejś idei, ukazają się bowiem, zdaje się na ogół, w dwóch rzędach niejako. Najpierw dzieje się to wówczas, gdy nowe myśli szukają w społeczeństwie oddźwięku, później zaś, gdy po pierwszych próbach i doświadczeniach własnych i po analizie zwyczajnych w tego rodzaju wypadkach błędów, następuje dążenie do ominięcia tych błędów i wejścia na właściwą drogę rozwoju. Rzecz oczywista, że to drugie stadyum propagandy musi być poprzedzone szeregiem doświadczeń praktycznych, jest więc możliwe na wyższych dopiero stadyach kultury, i wówczas dopiero, gdy te myśli wniknęły już w części w społeczeństwo, choć może często z rozmaitemi

naleciałościami i niewłaściwościami. Propaganda idei, w tem drugim stadyum, zgoła innymi musi się posługiwać środkami, niż w pierwszym. Gdy pierwszy łowiem okres ma charakter uprawy ekstensywnej niejako, drugi okres posiada wszelkie znamiona uprawy intensywnej. To też gdy w pierwszym okresie propaganda zdąża do pozyskania zwolenników dla nowej idei, bez wchodzenia w ich wyrobienie ideowe, w drugim dąży do wytworzenia lepszego i bardziej doskonałego materiału społecznego, do pogłębienia myśli i idei, do nadania jej właściwej treści i kierunku, do nadania im istotnej czystości ideowej. Gdy propaganda pierwszej kategorii dotyczy haseł najogólniejszych, propaganda drugiej kategorii wchodzi bardziej w istotę rzeczy.

Książka p. Milewskiego należy niewątpliwie do tej drugiej kategorii. I jest to objaw bardzo radosny, jeśli słyszymy, że książkę tego rodzaju wydała korporacja taka, jak Związek stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych we Lwowie. Radosny przede wszystkim dlatego, że „Związek“ jako organizacja, skupiająca w swem łonie wielką sieć zrzeszeń współdzielczych, mający więc niewątpliwą łączność z szerokimi sferami społecznymi, śnać doszedł do przekonania, że istnieje już w społeczeństwie odpowiedni podkład myślowy, odpowiedni nastrój psychiczny, który umożliwia szeregowe rozważanie zagadnień kooperacji spożywczej. Ale fakt wydania tej książki zasługuje na podkreślenie jeszcze i z drugiego, może jeszcze bardziej charakterystycznego powodu. Lwowski Związek jest głównie organizacją stowarzyszeń kredytowych (systemu Schulzego z Delitzsch), jednoczy więc prawdopodobnie w przeważnej części żywiwoły przemysłowe i handlowe, więc czynniki, których nastrój psychiczny niezawsze, przynajmniej zagranicą, bywa idei kooperacji spożywczej przychylny. Jeśli więc Związek dokonał kroku, dowodzącego o głębokiem przejściu się doniosłością idei kooperacji spożywczej, to świadczy to niechybnie i o tem także, że Związek, mimo swej zasadniczej konstrukcyi społecznej, zdolny jest myślą swą szersze ogarnąć horyzonty i w dalszą sięgnąć przyszłość, przygotowując grunt pod dalsze także stadya rozwoju społecznego.

Autor książki, p. Edward Milewski, jest redaktorem „Odrodzenia“, czasopisma współdzielczego, wychodzącego we Lwowie, a stanowiącego organ Związku. P. Milewski odbył dłuższą podróż po Europie Zachodniej, w czasie której miał sposobność gruntownie i naocznie zapoznać się z działalnością kooperatywy spożywczej. Owocem tych studyów jest właśnie książka, o której mówimy, napisana przez entuzyastę kooperatywy spożywczej.

Entuzyazm autora dla tej idei ujawnia się w całej niemal jego pracy, jakby nic czerwona, przekształcając się niekiedy nawet w prawdziwie poetycką ekstazę. Udzieli się też niewątpliwie nieraz i czytelnikom książki, wytwarzając z nich działaczy współdzielczych.

Obok tych żywiołów społecznych, na których kooperatywa spożywcza z natury rzeczy musi się opierać (robotników i włościan) z uwagi na to, że te żywioły właśnie stanowiąc muszą główny czynnik składowy tych kooperatyw, do działania w tym kierunku autor chciałby powołać przede wszystkim także młodzież i kobiety. Idealizm — mówi on — jako zasadniczy ton psychizmu młodości, harmonizuje z ideą kooperacji. To też kooperacja wzywa dziś młodzież polską do pracy gospodarczej. Coraz szerzej rozpowszechnia się pogląd, że działalność społeczna domaga się również twórczości, że najwyższym artyzmem jest artyzm tworzenia nowych stosunków, nowego życia.

Dobrze pojęta zasada demokratyczności ustroju kooperatywy spożywczych wymaga — podług autora — aby kobieta narówni z mężczyzną brała czynny udział w kierownictwie i zarządzie. I jakkolwiek zasadniczo sprawa udziału kobiet w działalności współdzielczej jest u nas już dawno rozstrzygnięta, to jednak faktycznie kobiety okazują u nas dotąd mało zainteresowania dla współdzielczości i biorą mały udział w życiu stowarzyszeń. Jeżeli gdzie, to na polu kooperacji spożywczej przede wszystkim praca kobiet mogłaby oddać społeczeństwu usługi nieocenione. To też pozyskanie kobiety dla współdzielczej pracy stać się powinno pierwszorzędnym zadaniem naszej propagandy kooperatystycznej. Autor omawia szczegółowo historię i stan obecny kooperatywy spożywczej zagranicą i w krajach polskich, zasady kierujące tą kooperatywą i jej zadania, ekspansy w ruchu i jej przyczyny, w końcu daje też pogląd na zasadnicze a sporne problemy ruchu.

P. Milewski uważa kooperatywę spożywczą za doniosły czynnik poprawy doli warstw pracujących, nie sądzi wszakże, aby warstwy te miały z tego powodu zaniedbywać używania także innych środków poprawy swej doli, jak związków zawodowych i ruchu politycznego. Działalność kooperatywy spożywczej uważa za bardzo brzemienne w skutki, bo niejednokrotnie daje wyraz zapatrywaniu, że kooperatywy wcieliły zasady sprawiedliwości w stosunki życia gospodarczego i że w przyszłości odegrają one taką samą rolę wobec kapitalizmu, jaką odegrał niegdyś kapitalizm, rozsadzający formy gospodarstwa feudalnego. Jakiemi jed-

nak drogami odbędzie się całkowite przeistoczenie kapitalizmu w nowy ustrój gospodarczy i w jakim stopniu przyczyni się do tego ruch współdzielczy, o tem—zdaniem autora—mówić dziś, co najmniej przedwcześnie. Przypisuje jednakże kooperatywom pierwszorzędne znaczenie dla robotników, uważając je dla tej klasy za organizacje pierwszorzędnej wagi, uzupełniające inne formy ruchu robotniczego. Z drugiej strony wszelako twierdzi z naciskiem, że nie powinny się one wyrzec swej samodzielności i bezpartyjności. Kooperatywy te nie powinny też być organizacjami klasowymi, z zamkniętym dla innych klas wstępem i określoną barwą polityczną. To też pierwszorzędnym warunkiem pomyslnego organizowania konsumcyi krajowej jest jej absolutna neutralność polityczna i wyznaniowa. Bezpartyjność kooperacyi stała się jednym z głównych czynników powodzenia tak świetnie dziś rozwiniętych kooperatyw angielskich, szwajcarskich, niemieckich. Partyjność w kooperatywie prowadzi do rozdrobnienia ruchu, do osłabiania stowarzyszeń, a co zatem idzie nie organizuje, ale dezorganizuje konsumentów. We Francyi naprzykład rozwój stowarzyszeń spożywczych został silnie zatamowany wskutek tego, że różnice i waśnie partyjno-polityczne wywierają tam nacisk na wewnętrzne życie stowarzyszeń. W Belgii, mimo całego rozmachu kooperacyi, partyjne rozdarcie ruchu jest przyczyną, że centrala hurtowna napotyka na poważne trudności w swym rozwoju. W niektórych miastach Belgii, jak w Antwerpii np., istnieje kilkanaście wrogo ku sobie usposobionych kooperatyw spożywczych. Gdyby wszystkie kooperatywy antwerpskie połączyć w jedną, stanowiłaby ona potęgę, opartą o kilkadziesiąt tysięcy rodzin, to znaczy ogniskującą setki tysięcy ludności. Brak tej łączności wychodzi na szkodę konsumentów. Kooperacya jest terenem neutralnym, na którym spotykać się mogą i pracować wspólnie ludzie najrozmaitszych wierzeń i najróżnorodniejszych przekonań politycznych.

To niewątpliwie racjonalne stanowisko autora doznaje wszakże w dalszym ciągu pewnego osłabienia. Kooperacya spożywcza opiera się na własnych siłach — mówi on — i nie szuka pomocy w łaskawości władz państwowych. Ale kooperatyzm posiada swoje interesy gospodarczo-polityczne. Dla obrony tych interesów musi od czasu do czasu wkraczać na drogi polityki. Prawodawstwo i cały aparat władzy wykonawczej znajdują się w państwie współczesnem pod wpływem klas, które niechętnem okiem patrzą na rozwój współdzielczych instytucyi ludowych. Tam, gdzie polityka ekonomiczna państwa polega na faworyzowaniu wielkich ban-

ków, kartelów, towarzystw kapitalistycznych i na szykanowaniu z innej znów strony wszelkiego rodzaju kooperatyw środkami fiskalizmu biurokratycznego, gdzie powolność względem żądań agraryusza rozciąga się aż do granic zagłodzenia miast drożyną, tam spożywcze interesy warstw ludowych są stale zagrożone.

Tego rodzaju szerokie określenie „interesów“ politycznych kooperatyw spożywczych, równa się jednak wciągnięciu ich prawie że w całokształt walk politycznych. Olbrzymia większość współczesnych zagadnień politycznych, to walki o tło wybitnie ekonomicznem. Spożywcy — to ogół niewątpliwie wybitnie zainteresowany w ukształtowaniu polityki ekonomicznej. Przecież pojęcie neutralności kooperatywy spożywczej tylko wówczas realne będzie miało znaczenie, gdy pojęcie interesów politycznych tej kooperatywy ograniczymy do interesów politycznych *bezpośrednio* kooperatywę dotyczących. Jeśli bowiem autor mówi o walce kooperatyw z żądaniami agraryuszów, to rzecz wiadoma, że to są w wielu krajach, a i w niektórych krajach polskich, np. w Galicyi, kwestye, stanowiące oś zagadnień politycznych, zwłaszcza, że ocenianie, o ile żądania te rozciągają się aż do granic zagłodzenia miast drożyną, jest w stopniu bardzo wysokim kwestyą ściśle subiektywnego uznania. O ile mi zaś wiadomo, to zresztą żądania te w niektórych krajach są usilnie popierane przez klasę robotniczą i przez stronnictwa robotnicze, gdy znowu gdzieindziej przez te grupy polityczne bywają silnie zwalczane. Fakt rozbieżności interesów czy dążeń istnieje niewątpliwie już teraz wśród klasy robotniczej różnych państw czy krajów, niema wszakże żadnej rękojmi, czy taka sama rozbieżność nie wystąpi z czasem w obrębie klasy robotniczej różnych obszarów czy zawodów tego samego organizmu państwowego. W interesie samejże kooperatywy tylko usilnie życzyć wypada, by pojęcie interesów politycznych kooperatywy ściślej zostało wskazane i do właściwej miary sprowadzone.

W jednym wszakże jeszcze kierunku stosunek kooperatywy spożywczej do państwa zasługiwałby ze wszech miar na bliższe rozpatrzenie, mianowicie kwestya pomocy, udzielanej kooperatywie przez państwo, czy to w formie subwencji, czy też pod inną jakąś postacią. Zagadnienie to było specjalnie w naszej literaturze przedmiotem znakomitego studyum Adama Krzyżanowskiego p. t. „Subwencya“ (Kraków, 1907), stanowiło też przedmiot obrad międzynarodowego kongresu współdzielczego w Budapeszcie; omówienie tej kwestyi byłoby potrzebnem ze względu na zasadniczo odmienny nastrój psychiczny w Królestwie z jednej a w Galicyi

z drugiej strony panujący, niema zaś u nas znaczenia czysto akademickiego tylko, skoro w Sejmie galicyjskim zjawił się nawet wniosek posła Kazimierza ks. Lubomirskiego, żądający dla kooperatywy spożywczej pomocy ze strony kraju.

Kwestya psychiczno-społecznych warunków kooperatywy spożywczej niejednokrotnie znajduje oddźwięk na kartach omawianej tu książki i autor wiele słusznych w tym względzie uwag wypowiada. W pierwszych etapach rozwoju pożyteczność kooperatywy opiera się przedewszystkiem na świadczonych przez się korzyściach materyalnych. W warunkach wyższego uświadomienia i na poziomie wyższej kultury, masowe pożądanie kooperatywy, jako czynnik skupienia kooperatystycznego, opiera się nietylko na korzyści materyalnej, ale i na pobudkach interesu kulturalnego. Dotyczy to jednak ogółu, ale nie jednostek wybitnych, pionierów. Materyalizm jest cechą przeciętną, idealizm i altruizm natomiast odznaką wybitnych. Do tych ostatnich atoli przodownictwo w ruchu należy, a ta siła moralna i ideowość tych wyższych jednostek, ich moralny wpływ na współtowarzyszonych, staje się sternictwem instytucyi, zwłaszcza w okresach przesilen, gdy czynnik interesu materyalnego, tak wielką grający rolę w epokach powodzenia gospodarczego, staje się siłą, co odpycha, dezorganizuje i rozprasza.

Momentów etniczno-psychicznych autor szerzej nie porusza, jakkolwiek i tu literatura polska może się poszczycić studjum Adama Krzyżanowskiego „Umiejętność zrzeszania się“ (Kraków, 1905), a znane dzieło Wygodzińskiego „Das Genossenschaftswesen in Deutschland,“ ostatni wyraz postępu na polu literatury kooperatystycznej niemieckiej, pisane z wielkim chłodem i przedmiotowością, szeregiem trafnych uwag dowiodło doniosłości problemu. Nie usuwa się co prawda autor od rozpatrywania tego zagadnienia, omawiając rozwój kooperatywy spożywczej na ziemiach polskich. Jedną zwłaszcza uwagę na szczególne zasługuje podkreślenie. W naszym społeczeństwie błąka się jeszcze tu i owdzie—mówi autor—to niesocjologiczne pojmowanie życia gospodarczego, które przypuszcza, że nieobowiązują nas wzory i doświadczenia innych. Rzekomym dowodem tego ma być ta okoliczność, że warunki nasze są zbyt odrębne i że „tamte“ zasady nie dadzą się u nas zastosować. Stąd wielka skłonność do kompromisów, lekceważenie teoryi, stąd staroświecki obskurantyzm i niefortunne najczęściej eksperymentowania.

Uwagi te zdają się przeczyć możliwości roztrząsań etniczno-psychicznych w tym kierunku. Tymczasem wszakże pewnikiem

jest to tylko, że wzory i doświadczenia innych obowiązują nas o tyle, o ile chodzi o konstrukcję kooperatywy, o zasady, na których kooperatywa ma się opierać. Ale kwestya taktyki realizacji ideałów kooperatywy spożywczej musi być w każdym kraju odrębną, ba, musi się liczyć z historycznymi i społeczno-gospodarczymi warunkami kraju, w którym działać wypada. I kooperatyści czynią to też wistocie, wskazując np. w kraju, przez obcych rządzonym, na doniosłe narodowe znaczenie samopomocy społecznej, moment psychiczno-społeczny, który w narodach niezawisłych nie może odgrywać żadnej roli. Oczywiście, że w tem uwzględnianiu swojskich warunków, zawsze należy zachować właściwą miarę, jak znowu z drugiej strony pamiętać trzeba i o tem, że te swojskie warunki swojskich też nieraz wytwarzają przeciwników kooperatywy. Tak np., jak to starałem się wykazać w mem studyum p. t. „Stowarzyszenia spożywcze w Galicyi“ (Kraków, 1907), preponderancya handlu żydowskiego nad chrześcijańskim, jak i znaczna hipertrofia usług ze strony handlu żydowskiego i formalne przesylenie społeczeństwa żydowskiego w Galicyi przedsiębiorstwami handlowemi (ściślej co prawda mówiąc tylko kramarskimi), wytworzyło po obu stronach szereg wielce niepożądanych objawów, które i skrzywiały nieraz samą ideę kooperatywy.

Uwagi te nie mają bynajmniej zamiaru ujmować wielkiej wartości tej książki, zawierającej wiele głębokich myśli i spostrzeżeń, które w całej pełni zasługują na to, by i doświadczeni kooperatyści zapoznali się z niemi.

Pod adresem Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych, który tę książkę w świat puścił, jako pierwszy tom biblioteki współdzielczej, niech mi wolno będzie wystosować życzenie, by postarał się o publikacye, przedstawiające znaczenie i działanie innych kategorii kooperatywy, u nas jeszcze mało rozwiniętych, a nawet teoretycznie mało znanych, zwłaszcza kooperatyw budowlanych i przemysłowych, omawiające środki realizacji ich idei i granice ich działania. Zyska tem niewątpliwą zasługę społeczną i narodową.

D-R ZYGMUNT GARGAS.

MARYAN GAWALEWICZ. *Poeta promienisty. Z filareckiej twórczości Tomasa Zana. Z przedmową Aleksandra Kraushara. Warszawa 1911. Nakładem i drukiem M. Arcta.*

Postać jednego z głównych przewodników promienistej młodzieży wileńskiej, kryształowa czystość tej isticie niepospolitej duszy, zacność i bezinteresowność Arcego, zgodnymi głosami wszystkich jemu współczesnych z Mickiewiczem na czele sławiona, zapewniła Zanowi zgoła wyjątkowe stanowisko w dziejach odrodzenia duchowego Polski porozbiorowej. „Próba kochania,“ której wzniosły dał wyraz, urok tajemnego wpływu, jaki na otaczających wywierał, zaparcie się siebie, wreszcie długa, trawiąca męka wygnania, wszystko to złożyło się na tę miłość żarliwą, co niewoliła przyjaciół Zana, i na tę cześć, oprzemieniającą jego imię po wszystkie czasy. Ale w ten poszanowaniu zasług Zana więcej było intuicyjnego odczucia, niżeli rzeczywistego rozumienia i znajomości jego czynów. Biografia Zana była piękną legendą, utkaną ze wspomnień druhów i poezji Mickiewicza; pracy życia, twardego wysiłku, głębszych przemyśleń—nie znaleźmy.

Pierwszy zwrócił na to uwagę Gawalewicz; wrażliwy nawszkroś, odgadujący, jak rzadko kto, wzruszenia sercowe, ujrzał w uczuciowej fizyognomii Zana nieprzebrane skarby. Postanowił je zgłębić i wydobyć na światło powszechnego rozumienia. Na podstawie skrzętnie, z czcią niemal religijną zgromadzonych przez wdowę Tomasza materyałów, osnuł Gawalewicz dwie piękne prace o druhu Mickiewiczowskim. Pierwsza, drukowana w „Tygodniku polskim (w 1898—99 r.), jest, jak dotychczas, jedyną, niestety ułamkową, biografią Zana; druga, pomieszczona w „Kraju“ z 1900 r., jest krótkim zestawieniem poetyckiej twórczości Zana. Tę właśnie rzecz o „poecie promienistym“ wydobyto obecnie z zapomnienia i w nowem, książkowym rozpowszechnionem wydaniu.

Jest to właściwie tylko przyczynek do życiorysu; brak w nim szerszego tła, bez którego rozumienie nawet poetyckiej, acz skąpej i wątlej twórczości Zana, jest prawie niemożliwem. Artykuł Gawalewicza w „Kraju,“ pisany pod bezpośredniem wrażeniem odkryć w archiwum familijnem, zdawał z nich sprawę, odsłaniał mało znaną kartę działalności Arcego, nie ujmował całokształtu nawet w zakresie poetyckich robót Zanowych. Co zatem w czasopiśmie było skończoną i zamkniętą w sobie całością, w książce jest szkicem, w szczegółach wysubtelnionym, bez syntetycznego wszakże ujęcia. Znajdzie tu czytelnik wiązanek wierszy okolicznościowych i ciekawe wyjątki z listów, splecione w zajmujące

opowiadanie. Najwięcej miejsca poświęcono dwom najdłuższym i najbardziej charakterystycznym utworom Zana—„Gryczane pierożki“ i „Tabakiera.“ Pierwszy z tych utworów w obszernem streszczeniu i z objaśnieniami Gawalewicza ukazał się niedawno w „Pamiętniku literackim.“

Niektóre poglądy Gawalewicza uledz muszą dzisiaj pewnej rewizji w zestawieniu z nowemi odkryciami w zakresie badań nad dziejami Filomatów i Filaretów. Do takich należy powszechnie utarte przekonanie, jakoby Zan był wyłącznym twórcą i organizatorem związków młodzieży wileńskiej; nie ujmując mu wielkiej zasługi moralnego przodownictwa i szczerego poświęcenia pracom filomackim, wypadnie przedewszystkiem stwierdzić i podnieść inicjatywę i talent organizatorski twórcy „Ody do młodości.“

Uzupełnienia tego rodzaju, choćby w formie najkrótszych not i przypisów, należało poczynić w nowem wydaniu artykułu Gawalewicza; ograniczono się tymczasem do aż nazbyt literalnego przedruku z pozostawieniem nawet zupełnie tu nie na miejscu odsyłaczy do №№ „Kraju“ (str. 83); rażącego dziś błędu na str. 18: „Po Tomaszu Zanie żyje dotąd sędziwa jego wdowa“ (zmarła 7 września 1900 r.); omyłki na str. 57 „w dn. 22 listopada 1824 r.“ opuścił Zan Wilno, zamiast „22 października now. st. 1824 r.“ Poważnym wreszcie błędem przepisywacza czy korektora jest opuszczenie długiego, z dwóch numerów „Kraju“ (38 i 40), ustępu, zawierającego między innemi szczegółową treść ballad Zana—„Neryny“ i „Twardowskiego.“ Wskutek tego niedopatrzienia treść na str. 49—51 nie wiąże się ze sobą i wprost nie ma sensu.

Dzielko zostało poprzedzone przedmową znanego historyka Aleksandra Kraushara i zawiera piękne wspomnienie o sympatycznej postaci ś. p. Gawalewicza, oraz krótkie uwagi o związkach młodzieży wileńskiej; szkoda tylko, iż rzeczony uwagi opierają się prawie wyłącznie na nieścistej relacji Zdanowicza i z tego powodu nie dają należytego pojęcia o genezie i działalności stowarzyszeń wileńskich.

H. M.

Kronika miesięczna.

Z powodu zamachu. — Na marginesie głośnego procesu. — Rozprawy o zmniejszeniu liczby świąt. — Trwożna pogłoska. — Wystawa w Sandomierzu. — Stołypin i Kokowcow.

Dwa momenty nasuwają się przy ocenie zamachu w Kijowie na prezesa ministrów, Stołypina: potępienie czynu i osoba sprawcy. Potępienie było i jest jednomyślne prawie, pomimo bardzo różnego stosunku do premiera rozmaitych stronnictw politycznych i rozmaitych narodów z państwem związanych. Nikt nie ma prawa kwestyonować szczerości potępienia. Nie ma tembardziej, że motywami muszą tu być zarówno względy wyższej moralności, jak i względy praktyczności powszedniej.

Tyle stuleci już mija, jak wzeszła nad światem gwiazda moralności chrześcijańskiej, tak często uważana dziś za wsteczną i zatęchłą, za przeszkadzającą postępowi społecznemu, a przecież, jak niedościgniony ideał moralny, świeci nad ludźmi przykazanie o miłowaniu bliźniego i nie zabijaniu. Dalecy jesteśmy od nieznanawania konieczności zachowawczych społeczeństw, od wyciągania z powyższego konsekwencyi bezwładnych i kontemplacyjnych nie sprzeciwiania się złu. Ale podkreślać musimy — wobec szerzącego się braku podstaw moralnych — że ludzki wymiar sprawiedliwości, acz niebezblędny dlatego właśnie że ludzki, obstawia ten wymiar całym szeregiem rękojmi, procedurą, szeroką możliwością obrony oskarżonego. Tymczasem tajne sądy i konwentykłe rękojmi tej nie dają, jasnej i otwartej odpowiedzialności przed zbiorowością, nie ponoszą i dlatego wykonanie ich jest w ostatecznej konsekwencyi wyrazem sądu doraźnego jednostki nad jednostką, a więc objawem powrotu do stanu dzikości ze stanu cywilizacyi, chociażby najbardziej ułomnej. A czemże jest moral-

ność, jeżeli nie przeciwstawieniem pewnych reguł postępowania rozpasaniu hordy barbarzyńskiej?

Są jeszcze i względy praktyczne: bezcelowości zamachów. A najwięcej chyba przykładów tego znajdziemy w historii tego narodu, w którym zamachy podniesiono do godności doktryny politycznej — w Rosyi. Od tyłu dziesiątków lat odpowiedzią na wybuchy bomb i huk strzałów rewolwerowych jest ponury skrzyp szubienic, a nie widzimy z tej walki okrutnej żadnych skutków praktycznych, zmierzających do podniesienia kultury społecznej czy też zmiany form bytu politycznego. O ile następują zmiany w lepszym kierunku, nie są one wynikiem tej walki, lecz obok niej, zupełnie niezależnie, jakby w zupełnie odrębnej dziedzinie życia. Owszem — przeciwnie raczej — nieraz stosowanie środków terrorystycznych wywoływało groźne objawy reakcyi, spadające ołowianym ciężarem na kręgi daleko szersze, niż samych sprawców i wyznawców.

Teoretycy doktryny terrorystycznej, a zatem moralni sprawcy czynów, popełniają rażącą niekonsekwencyę. W historyozofii swojej zaprzeczają wszelkiego wpływu jednostkom, przeciwstawiając im konieczności historyczne, wynikające ze stanu danego okresu bezświadomych mas. W praktyce zaś sprowadzają działalność polityczną tylko do walki jednostek z pośród nich przeciw jednostkom z pośród kierowników rządu. Niepodobna zaprzeczać wpływu epoki, środowiska, nastroju społeczeństwa na zdarzenia historyczne, jak niepodobna niedoceniać wpływu wybitnych jednostek; czynniki te kojarzą się i oddziałują wzajemnie na siebie. Ale jednostka jest zawsze przedstawicielem jakiejś grupy społecznej; gdy jej zbraknie, zastąpi ją inna — i tu tkwi jasny dowód bezpłodności zamachów, a poprzeczyć go można dziesiątkami faktów i nazwisk ofiar, z tejże samej historii współczesnej Rosyi zaczerpniętych.

Doktryna terrorystyczna — poza brakiem podstaw moralnych — jest teorią loteryi w życiu społeczno-politycznym i wyrazem mniejszego wysiłku społecznego. Teorią loteryi dlatego, że jednostka usunięta z życia może być ze stanowiska apostołów doktryny numerem szczęśliwszym lub mniej szczęśliwym od drugiej, która ją zastąpi; niema w tym względzie żadnych danych do sądu, jest tylko hazard. Wyrazem mniejszego wysiłku społecznego dlatego, że łatwiej nieraz uczynić ofiarę ze swego życia i doli, niż składać codzienne ofiary dla przyszłości kraju i narodu, nawet — jak to się mówi w tamtym obozie — dla uświadomienia mas. A bez przygotowania tych mas do zmian form bytu wszelki gwałt bez-

płodnym być musi. Wyobraźmy sobie jakąś straszną hekatombę, która wniosłaby odrazu zupełną dezorganizację do machiny rządowej. Na jej miejscu stanęłyby tysiące anarchii i tyranii lokalnych, tak dokuczliwych i nieobliczalnych, że społeczeństwo usiłowałoby wrócić czempredzej do minionych form współżycia, chociażby najgorszych.

W danym wypadku, który posłużył za powód do uwag niniejszych, osoba sprawcy rzuca dość dziwne światło na stronę moralną terroryzmu rosyjskiego. Sprawcą jest tajny agent ochrony. Praca na dwa fronty: dla policji i dla rewolucji, była w ostatnich czasach wypadkiem dość częstym, aby go można było uogólnić. Tajemnicą zostaną pokryte najtajniejsze motywy działania tych mrocznych dusz. Wolno tylko przypuszczać, że pierwotną drogą działania jest rewolucyjna, a z kolei dopiero, jako zjawisko wtórne, wywołane żądzą życia i użycia, występuje służba dla policji. Ale dwum panom długo służyć nie można; jednostka staje na skrzyżowaniu dróg, skąd niema ucieczki, lecz tylko przymus wyboru; wtedy Azef i Hapon wybierają policję, chociaż wiadomo, że wielkie usługi oddawali rewolucji, a Degajew i Bogrow chwytają za podsunięty rewolwer, chociaż słyszymy, że znakomicie zasłużyli się policji. Znajdujemy się tu w świecie mroku, w świecie mętów społecznych, bo ani organizacja tajna, ani policja polityczna światła dziennego nie lubi. A w tym mroku trudno odróżnić właściwe oblicza, niepodobna rozróżnić pobudek, następuje jakieś dzikie pomieszanie pojęć i stanowisk. I jeżeli przedstawimy sobie terrorystów i ścigającą ich policję, jako dwie walczące z sobą potęgi, stwierdzić musimy, że złe wystawiają sobie świadectwo, szukając wzajemnie współpracowników w swoich własnych szeregach. Znajdujemy się tu poza zakresem wszelkich, choćby najelementarniejszych pojęć moralnych, i dlatego brak nam zupełnie nici orientacyjnej dla rozplątania faktów.

*

*

*

Przez dwa tygodnie byliśmy świadkami okrutnego znęcania się tłumu nad garstką nieszczęśliwych. Znamy na pamięć wszystkie argumenty, które twierdzeniu temu przeciwstawić można:

i konieczność jawności obrad sądowych wraz z procedurą kontradycyjną, i konieczność zaspokajania przez prasę ciekawości informacyjnej czytelników, ale wszystkie te licznym nie pokrywają faktu złych instynktów tłumu. Nie chodzi tu o to, czy oskarżeni są winni czy niewinni: w chwili, kiedy piszemy te słowa, nie wiemy, jaki będzie wyrok sprawiedliwości ludzkiej, nie przesądzamy, czy główny oskarżony jest czy nie jest naprawdę waryatem, słowem, nie mamy na myśli tego, co od dwóch tygodni zapełnia szpalty pism, służy za temat wszystkich rozmów a nieraz i namiętnych sporów. Widzimy natomiast przed sobą gromadkę nieszczęśliwych, nietylko oskarżonych, ale i ofiar, widzimy wywleknięcie najdrobniejszych szczegółów ich życia prywatnego, złośliwe publiczne komentowanie ich na użytek oskarżenia czy obrony, widzimy przypatrujący i przysłuchujący się z ordynarnym śmiechem i wybuchami wesołości tłum, który tylko dlatego nie woła chleba, że niewielka sala sądowa może pomieścić jedynie ustosunkowanych, a więc sytych, ale, jak plebs rzymski, zawsze równie jest żądny igrzysk i widowisk, w których ceną jest życie ludzkie, widzimy daleko liczniejszy tłum, pozostawiony poza wrotami sądu, zaczytany, zaszuchany gorączkowo w podawane mu z za wrót wieści. Widok taki każe wątpić o istotnym postępie uczuć i upodobań ludzkości, zawsze, mimo lepszych form zewnętrznych, w gruncie barbarzyńskich. I mimowoli nasuwa się uwaga, jakich dzieł pozytywnych dokonaćby mogła ta ogromna ilość energii, wyładowywana jedynie w celu zaspokojenia najpierwotniejszej i najędźniejszej ciekawości ludzkiej.

Myśl litościwa zwraca się ku jakiemuś skromnemu mieszkaniu miejskiemu, gdzie wije się z bólu młoda kobieta i troje drobnych dzieci. To są prawdziwe ofiary: nie ten, którego już niema i nie ten, który, jeżeli czyn zbrodniczy popełnił, rozpocznie zaraz za niego ekspiację i umrze śmiercią cywilną, gdy tamci żyć muszą i żyć będą, smagani, gdziekolwiek się ukażą, wspomnieniem i piętnem hańby i zbrodni, rozdwojeni w najbardziej zasadniczych przywiązaniach rodzinnych, gdy gra toczy się między ojcem i dzieciem a mężem i ojcem o tegoż głowę. Proces taki nasuwa pełne gorzkiego sceptycyzmu pytanie, czy mimo wszelkich udoskonaleń w zakresie form życia dno duszy ludzkiej nie pozostaje jeszcze ciągle barbarzyńskim?

*

*

*

Jesteśmy krajem bardzo katolickim, ale jesteśmy społeczeństwem dosyć leniwem. Dlatego, kiedy wierność dla Stolicy Apostolskiej wchodzi w zatarg z wadą narodową, pierwsza zaczyna się chwiać. A dowody tego mamy przed oczami w nastroju i w rozprawach z powodu ostatniego rozporządzenia Piusa X, ograniczającego liczbę uroczystych świąt katolickich z siedemnastu na osiem, zawartego w dekreście *De diebus festis*. Rozporządzenia Stolicy Apostolskiej muszą być u nas niejako kontrasygnowane, wprowadzane w życie przez rząd centralny; w chwili obecnej obowiązują tedy przepisy Komitetu Ministrów z d. 5 i 19 maja 1881 r., na których zasadzie obserwujemy bezwarunkowo oprócz 52 niedziel w roku 17 dni świątecznych; nie liczone są tu obchodzone częściowo, zwyczajowo, dzień Zaduszny i dzień św. Stanisława. Ponieważ duchowieństwu naszemu nie wolno stosować się do dekretów Stolicy Apostolskiej, ogłoszonych tylko w Aktach Apostolskich, przeto wykonanie rozporządzenia *De diebus festis* musi być na razie wstrzymane aż do chwili przeprowadzenia odpowiedniej korespondencji dyplomatycznej. Tymczasem więc możemy spać spokojnie, sondować opinię i przeprowadzać rozprawy przygotowawcze.

Zasługa rozpoczęcia poważnej dyskusyi w tej sprawie i postawienia jej na właściwym gruncie przypada znakomitemu pisarzowi, Bolesławowi Prusowi, który uczynił to w liście otwartym, przedrukowanym przez wszystkie pisma. Robi w nim obrachunek następujący: „Ażeby zrozumieć potęgę dni i godzin pracowitych, w porównaniu do czasu odpoczynkowego, wyobraźmy sobie dwu robotników. Obaj są płatni po 10 kop. za godzinę, ale Paweł pracuje 10 godzin na dobę, Gaweł tylko 9, Paweł trzodzi się przez 305 dni w roku, Gaweł tylko przez 290. Przypuśćmy nadto, że wartość towaru, który każdy z nich produkuje, jest 7 razy większą od zarobku. Otóż roczne rezultaty działalności każdego z nich uplastyczni następująca taliczka:

	Paweł	Gaweł
Pracuje godzin w roku . . .	3,050	2,610
Zarabia rocznie rubli . . .	305	261
Roczna wartość produkeji rb.	2,134	1,827

„Innemi słowy: Paweł, pracując rocznie więcej od Gawła o 440 godzin, zarabia o 44 ruble więcej i daje społeczeństwu za 308 rubli więcej towarów.

„A teraz zróbmy jeszcze jedno przypuszczenie. Wyobraźmy sobie, że jakiś kraj posiada milion Pawłów pracowitszych o go-

dzinę na dobę i o 15 dni na rok, zaś inny kraj cieszy się milio-
nem Gawłów, którzy... lubią oszczędzać swoje cenne siły i zapy-
tujemy, jak będą wyglądały te dwa kraje naprzykład po 25 la-
tach, co odpowiada działalności jednego pokolenia?

Kraj Pawłów Kraj Gawłów

W ciągu 25 lat klasa robotnicza zarobi 7,625 mil. rb.	6,524 mil. rb.
Wyprodukuje towaru za 53,375 „ „	45,664 „ „

„Innymi słowy: po upływie jednego pokolenia kraj Pawłów będzie miał przeszło o siedem miliardów rubli więcej bogactw, aniżeli kraj Gawłów, a robotnicy pierwszego kraju oszczędzą dla siebie przeszło miliard rubli więcej niż Gawłowie. Łatwo pojąć, że przy tak wielkiej różnicy bogactw, no... i rozsądku kraj Pawłów musi być zdrowszy, silniejszy, bezpieczniejszy, wygodniejszy, sytszy, weselszy, oświecenijszy, i — wolniejszy, aniżeli kraj Gawłów.“

Porównyując dalej pracę naszą i zagranicy, Prus stwierdza, że podczas gdy „Niemcy i Stany Zjednoczone obchodzą na rok 8 dni świąt, Francuzi i Belgijczycy 7, Szwajcarowie 4, Żydzi 16 i pół, my obchodzimy 17 (Rocz. Geb. i Wolffa). Naprawdę jednak robotnicy nasi, nawet w Warszawie, świętują daleko więcej, mianowicie: 3 dni na Zielone Świątki, 4 na Boże Narodzenie i 5 dni na Wielkanoc. Razem 25 dni, oprócz 52 niedziel. Nadto, według obserwacji inż. St. Manduka, robotnicy prowincjonalni, z powodu świąt parafialnych i odpustów, mają jeszcze ze 4 dni odpoczynku. Kiedy u nas robota w fabrykach trwa 9 godzin (na prowincyi 10), prawie we wszystkich zachodnio-europejskich zakładach pracuje się godzin 10, a naprzykład w Holandyi ślusarze, kowale, tokarze, elektrotechnicy trują się przeważnie po 11 godzin, niekiedy po 12. W naszych fabrykach roczna ilość godzin pracy wynosi około 2,600, w paru fabrykach prowincjonalnych 2,900; w Warszawie najwięcej pracuje Lilpop, Rau i Loewenstein, bo 2,637 godzin. Otóż fabryki zachodnio-europejskie od tej naszej najpracowitszej pracują daleko dłużej, a różnica dochodzi do 300, 400... nawet 700 godzin pracy na rok!“ Wniosek ostateczny jasny: pracujemy zbyt mało i z radością należy powitać rozporządzenie Piusa X, które nas do bardzo nieznacznie większej, ale przecież większej pracowitości zmusi.

Posłuchajmy teraz głosu najbardziej zainteresowanych. W rozporządzeniu—pisze robotnik do „Wiadomości Codziennych“—„lud robotczy widzi tu jakby swoją klęskę, czy też specjalnie wyrzą-

dzoną mu krzywdę. Święta dla niego są jedyną osłoda po trudach i mozolach i dają mu możność spędzenia czasu na łonie rodziny, w gronie przyjaciół i znajomych; pozwalają mu wytchnąć po ciężkiej pracy, rozerwać się, pocieszyć w smutkach i kłopotach. Robotnik nasz każdego święta wygląda i oczekuje z utęsknieniem. Dodanie zaś kilku dni roboczych w ciągu roku nie przysporzy mu fortuny. Z tego powodu niezadowolony, zwrócone przeciw Kościołowi i jego Sternikowi.“ W temże piśmie ksiądz streszcza zarzuty, jakie dają się słyszeć ze strony ludu wiejskiego: „Najpierw wielu z młodzieży ubolewa, że gdy nie będą mieli drugich dni świąt Bożego Narodzenia, Wielkiejnocy, Zielonych Świątek — ustaną zabawy, muzyki i tańce, które często kawał w noc się przeciągały. Wszak czas mamy, jutro święto, odpoczynek, bawmy się — mówiono. Czy to nie ciężki cios dla tak starodawnego i pięknego zwyczaju, jakim jest „dyngus“ albo „śmigus“ w drugim dniu Wielkiejnocy? — biadają chłopcy. Co znów będzie ze zwyczajem sypania się owsem w drugim dniu Bożego Narodzenia? Co się też stanie ze zwyczajem wycieczek i majówek, jakie, szczególnie po miastach, urządzano w drugim dniu Zielonych Świątek? Wszak gdy jeden dzień tylko zostanie, nie będzie na zachowanie tak pięknego zwyczaju ani czasu, ani sposobności! Czyż to nie cios dla „święconego,“ lamentują gospodynie, gdy nie będzie drugiego dnia świąt Wielkanocnych? czyż będzie się opłacało urządzać coś na ten jedyny dzień święta?“

P. J. D., dobry znawca warunków pracy w zakładach przemysłowych, polemizując z Prusem, mówi, że „dobrobyt zachodniej Europy nie wynika wyłącznie z większej ilości dni roboczych, ale przede wszystkim z systemu produkcji, z wprowadzenia ulepszeń technicznych, organizacyjnych i t. p., co właśnie miało ten błogosławiony skutek, iż umożliwiło znaczne już dzisiaj zredukowanie godzin pracy robotnika, bez przeszkody dla przemysłu. Jeśli zatem idzie o to, by naśladować Zachód, należałoby jąć się tych samych metod, inaczej ograniczenie liczby świąt upodobni nas z Zachodem tylko zewnętrznie, a przemysł krajowy, jak kulał, tak kuleć w dalszym ciągu będzie. Przedział, jaki istnieje pomiędzy krajem naszym a Zachodem w omawianej dziedzinie, po zredukowaniu liczby świąt bynajmniej wcale się nie zmniejszy. Przemysł zresztą zachodnio-europejski rozwinął się nie kosztem wyłącznie przedłużenia dni roboczych lub też godzin pracy robotnika, ale przeciwnie, wraz z rozwojem przemysłu — długość dnia roboczego ulegała stopniowemu zmniejszeniu.“ W dalszym ciągu zwraca uwagę na lepszy podział pracy w fabrykach zagranicz-

nych, który oszczędza sił i czasu robotnikowi i dochodzi do wniosku, że „jakkolwiek projekt ograniczenia liczby świąt w stosunku do naszego kraju zawiera pewne, nieznaczące zresztą, plusey ekonomiczne, to jednak nie brak mu również licznych minusów. Wszak święto w życiu robotnika, to moment, w którym on uzupełnia swoją fizyczną i duchową istotę, jej braki, to moment, który wyzyskuje w kierunku samokształcenia, kiedy duchowo i fizycznie zbliża się do reszty społeczeństwa, uczy się być pożytecznym jego członkiem. Jeśli zatem porównać wątpliwe zresztą korzyści ekonomiczne, płynące z ograniczenia liczby świąt, z nieuniknionymi w tym wypadku stratami innego rodzaju, których się łokciem wymierzyć, ani też pieniądze ocenić nie da, kto wie, czy te ostatnie nie będą większe od zysków.“

Po wysłuchaniu tych różnych głosów przejdźmy do konkluzji własnej. Zaczniemy od stwierdzenia faktu, że zmniejszenie ilości świąt znajdzie gorących rzeczników wśród właścicieli sklepów, fabryk i t. d., wzmaga bowiem niewątpliwie, choć nieznacznie, obroty handlowe i wartość produkcji. Za pokrzywdzonych bezwzględnie mogliby się uważać tylko pracownicy sklepowi, kantorowi i fabryczni, płatni miesięcznie, którzy za tę samą płacę musieliby pracować o 8—10 dni dłużej w roku; słusznemu temu niezadowoleniu możnaby zapobiedz albo przez odpowiednie, nieznaczne zwiększenie pensyi lub gratyfikacyi, albo też przez przedłużenie urlopów o taką samą ilość dni, co uważalibyśmy nawet za racjonalniejsze z tego względu, że ostatecznie wzmożenie odpoczynku pracowników wychodzi zawsze na korzyść interesu. Możnaby zaradzić, gdyby właściciele równie czujnie chcieli słuchać uzasadnionych żądań, jak miłych wieści o zwiększeniu obrotów, a więc i o podwyższeniu zysków.

Co do robotników fabrycznych, rolnych i wogóle pracowników, płatnych za dniówkę, to oczywiście przy zmniejszeniu ilości świąt odpowiednio wzrosłyby ich zarobki; jakkolwiek wzrost taki byłby niewielki, przecież lekceważyć go nie można, nieznacznie bowiem, ale w odpowiednim stopniu wzmógłby dobrobyt robotnika. Rzecz jasna, że same tylko zmniejszenie ilości świąt nie podźwignie naszego przemysłu, jak tego chce Prus, ale zawsze wzmocze nieco jego produkcję. Do dźwignięcia trzeba by całej masy innych czynników, w których nieostatnim byłoby zwiększenie intensywności pracy naszego robotnika. Ogólnie stwierdzonym faktem jest, że nasz robotnik, czy to przemysłowy w Stanach Zjednoczonych, czy rolny w Prusach, Danii, Szwecyi lub Szwajcaryi pracuje nieskończenie lepiej, niż u nas. Przypuszcza-

mý, że wpływa na to przede wszystkim otoczenie, bardziej do dyscypliny pracy przystosowane, bardziej wytężonem życiem żyjące. Do stworzenia u nas takiej dyscypliny dążyć trzeba. W twardej tej szkole jednym z drobnych kroków jest zastosowanie się do rozporządzenia Stolicy Apostolskiej.

Jego słuszności ekonomicznej dowodzi prosty rachunek; znaczenia obyczajowego nadaje wzmoczenie wydajności pracy. Wreszcie ze stanowiska interesów katolicyzmu posiada także doniosłość niemałą. Niejednokrotnie wrogowie, wykazując zwyciężanie w walce o byt narodów katolickich przez protestanckie, jako jeden z argumentów wysuwali nadnierną ilość świąt katolickich. Argument ten został obecnie otwarty. Z tego, z innych, wyżej wyłuszczonej względów krok ten Stolicy Apostolskiej należy powitać z zupełnem uznaniem.

*

*

*

Spółczeństwo nasze zaalarmowane zostało nową groźną wieścią o zamierzonym przez skarb państwa skupie kolei wiedeńskiej. W sferze licznych zamierzeń i poczynań, przeciw narodowości naszej skierowanych, mamy tu do czynienia z jednym z najgorszych, wśród prawdopodobnych strat z jedną z najcięższych. Rezultatem skupu będzie ciężka strata kulturalna, obniżenie poziomu kultury całej, obszernej połaci kraju. Kolej wiedeńska, jedyna arterya, łącząca nas z blizkim nam cywilizacyjnie Zachodem, jest jedyną linią kolejową, która ilością i szybkością pociągów, sprawnością taboru i przewozu towarów, przypomina nam ten Zachód, dokąd tak często jeździmy i dokąd nieraz z takim utęsknieniem oczy nasze zwracamy; w dziedzinie komunikacyjnej jest jedyną placówką, naszą przynależność do kultury Zachodu stwierdzającą.

O wiele dotkliwszą byłaby strata narodowa. Tysiące rodzin polskich znalazłoby się bez chleba i bez dachu nad głową. Miejsca ich zajęliby obcy przybysze, niczem z kulturą kraju, z jego interesami, z jego życiem obywatelskiem nie związani; przez nich promieniowałyby i oddziaływały prądy obce na dziesiątki małych światków, dla których dworce i stacje są ośrodkami krystalizacyjnymi. Odwieczny mieszkaniec kraju i na tej linii kolejowej

miałby to wrażenie, którego doznaje już dziś na innych, że jest na tej własnej ziemi przybyszem, tak mało go łączy węzłów z obsługą kolejową, tak obce i przykre mu są jej porządki. Wierzymy z pewnością w wieczną trwałość naszej kultury narodowej, niemniej z trwogą patrzymy na ponoszone przez nią codzienne straty.

Argumenty powyższe nie zdołałyby z pewnością twórców projektu przekonać, mogłyby tylko wpłynąć na tem większe forsowanie skupu. Na szczęście są i inne, wynikające już bezpośrednio z interesów skarbu. Dotąd w polityce kolejowej sporną jest kwestya eksploatacyi kolei przez państwo. Za przykład zachęcający nad wszystkie służą tylko Prusy ze swoją idealną siecią kolejową, przynoszącą skarbowi znaczne dochody; rezultaty zawdzięczają zupełnie niezwykle precyzyjnie działającemu aparatowi służbowemu i rzadkiej osobistej uczciwości urzędników. We Włoszech i we Francyi eksploatacyja państwowa jest zbyt niedawna, aby cośkolwiek stanowczego powiedzieć o niej można; już dziś wszakże stwierdzić można rezultaty średnie; w Austryi najsprawniejsze linie pozostają dotąd w ręku towarzystw prywatnych, w krajach anglosaskich przeważa dotąd zasada eksploatacyi prywatnej, w Stanach Zjednoczonych nawet zupełnie wolnej konkurencyi. Przeciwnicy skupu, ekonomiści, dwa zwykle wysuwają przeciw niemu argumenty: większą sprawność działania przy oparciu eksploatacyi na zysku prywatnym i nadmierne wzmocnienie wpływu rządu przez oddanie w jego ręce i uzależnienie od zmiennych prądów politycznych dziesiątków i setek tysięcy stanowisk.

My tu w Królestwie wiemy, że przejście w ręce państwa kolei nadwiślańskiej, terespolskiej i iwangrodzko-dąbrowskiej obniżyło znacznie poziom przewozowy tych kolei. Wie społeczeństwo rosyjskie chociażby z obrad w Izbie państwowej o nadużyciach i kradzieżach, popełnianych na rosyjskich kolejach skarbowych, udaremniających wszelką prawidłową eksploatacyę i wszelkie zyski. Wie o tem minister skarbu, że nie warto wyrzucać kilkudziesięciu milionów rubli na to co w myśl koncesyi za lat dwadzieścia jeden można dostać za darmo i że nie warto pozbywać się drugich kilkudziesięciu milionów rubli, reprezentujących olbrzymie zyski skarbu za ten okres czasu z eksploatacyi kolei wiedeńskiej przez towarzystwo prywatne.

Mimo to... Mimo te wszystkie argumenty projekt skupu kolei wiedeńskiej na jesieni przyjdzie pod obrady Rady ministrów. Spotka tam pono jednego tylko zasadniczego przeciwnika. A gdy

w Radzie ministrów zyska przewagę, przejdzie zwykłą procedurę i w obu izbach znajdzie z pewnością powolną większość. Będzie to nowy owoc z drzewa złego, zachłannego nacyonalizmu. Te prądy znieść nie mogą, że w kraju polskim istnieje jedyna jeszcze wielka kolej polska. A gdy na tych prądach szczerpi się jeszcze żądza chleba, gdy o tysiącach nowych posad marzą dziesiątki tysięcy nacyonalistów, trudno przypuszczać, by mogły je wstrzymać tamy zdrowego rozsądku. Przecież jeszcze nic nie skończone, nawet nie zaczęte, mogą zająć jakieś nowe okolicznosci. Więc miejmy nadzieję, że do skupu nie dojdzie, nadzieję—przeciw nadziei.

*

*

*

Z pośród licznych pokazów i wystaw jesiennych, których opisywać nie mamy miejsca ani możności, wybieramy jedną tylko, sandomierską, a czynimy dla niej wyjątek ze względu na to, że obrazowała okolicę Królestwa odległą i mało znaną. Miejsce wystawy, Sandomierz, jest to miasto podobne do magnata, który w nędzy świetność swoją dawną reprezentuje. Jedno z najstarszych miast Królestwa, w wieku XIII było już możnym i znacznym i z tej epoki nawet pamiątki posiada. Później było kluczem do panowania nad Małopolską, przechodziło z rąk do rąk, zniszczone zostało przez nawałę tatarską, świetnie odbudowane przez Kazimierza Wielkiego i posiadające kilka ładnych gmachów (zwłaszcza ratusz), poczęło upadać w w. XVI równocześnie ze wzmoczeniem się Lwowa, Lublina i przeniesieniem stolicy do odległej Warszawy. Dziś nędzne miasteczko, stolica bardzo żyznej i bogatej okolicy, dzięki świetnym gruntom pszenicznym.

Wystawy prowincjonalne mają tę dobrą stronę, że pozwalają wnikać w stan kultury różnych okolic kraju; dają też zwykle asumpt do opracowywania szczegółowego statystyki danej okolicy w mapach poglądowych. Nie wiemy, co się następnie z temi mapami dzieje. Byłoby do życzenia, aby się wszystkie centralizowały w jednej instytucji, np. w Centralnem Towarzystwie Rolniczem i były tym sposobem dostępne dla badaczy; możnaby też było z czasem pomyśleć o odpowiednim wydawnictwie, które dałoby nam obraz statystyczny całego kraju; w ostatnich

latach mieliśmy tyle wystaw prowincjonalnych, że niewiele już jest zapewne zakątków kraju, któreby swego obrazu w cyfrach i mapach nie posiadały, byłyby więc zapewne czas, aby o urzeczywistnieniu powyższego projektu pomyśleć.

Wystawa obejmowała dwa powiaty: sandomierski i opatowski. Z jej działu naukowego dowiadujemy się, że w powiecie sandomierskim własność włościańska stanowi 46.3% ogółu ziemi, dworska zaś 37.8%; reszta przypada na grunty drobnej szlachty (1.5), majorackie (8.2), rządowe i miejskie; w pow. opatowskim włościanie mają 44%, dwory zaś 41.9% ogółu ziemi. Cyfry te świadczą o niewielkim stosunkowo ruchu parcelacyjnym. Nic w tem dziwnego, jeżeli się zważy żyzność ziemi, której się zasiedziali oddawna właściciele więksi niechętnie pozbywają, oraz cenę jej, dostępną tylko dla bardzo zamożnych włościan; cena morgi dochodzi dziś do 375 rb., gdy w r. 1877 płacono za morgę 23 rb. Musi to być istotnie ziemia urodzajna, skoro do takich cen dochodzi, pomimo braku komunikacji kolejowej.

W poprzednich kronikach wspominaliśmy pokrótce o wystawach w Radzyminie i Mławie. Gdybyśmy ich obrazy z sandomierskiem szczegółowo porównać chcieli i mogli, wypadłyby zupełnie różnie i pod względem bogactwa okolic, i pod względem ustosunkowania własności. W tych różnicach widzimy oddziaływanie bardzo odległych wpływów kulturalnych. Małopolska, jedna z najstarszych dzielnic Polski, podlegała oddawna promieniowaniu kulturalnemu dawnej stolicy krakowskiej; obok zasobnego szlachcica rósł w zasobność i godność kmieć, ale arystokratyczny szlachcic nie chciał mieć równych obok siebie — stąd taka mała ilość szlachty drobnej. Wprost przeciwnie na ubogiem i ciemnem Mazowszu; później weszło ono w skład Korony, nie podlegało wpływom kulturalnym, bo Warszawa nie miała nigdy dla Polski tego cywilizacyjnego znaczenia co Kraków; za to w dobach przełomów coraz szerzej zagarniało przywileje i zostało dotąd krainą szlachty drobnej. Upadł Sandomierz, wysycha Wisła, gdzieindziej budują koleje i gościńce, a cechy dawno minionych lat trwają w całej sile. Aż chciałoby się przerobić przysłowie o czasach, które się zmieniają w rzeczywistości, gdy my trwamy, zawsze ci sami...

*

*

*

Jeszcze przed laty kilkunastu Piotr syn Arkadyusza Stołypin był jednym z wielu nieznanym ogółowi marszałków szlachty i gubernatorów—następnie. Ze służby swej z nominacji, w gub. kowieńskiej, wyniósł nie przywiązanie, nie obojętność, lecz głęboką niechęć do najkulturalniejszego żywiołu miejscowego, niechęć, która pełny swój wyraz znalazła w jego późniejszej działalności państwowej. Szczegółem do karyery posłużyło mu uspokojenie rozruchów chłopskich w gub. saratowskiej. Wbrew wszelkim tradycjom biurokratycznym, ten młody, dla wysokich kół petersburskich nowy człowiek został odrazu ministrem spraw wewnętrznych. A kiedy z trybuny pierwszej Izby rozlegały się buńczuczne okrzyki, że w pałacu Taurydzkim stoi jedyna tama, chroniąca państwo od rozhukanych fal rewolucyi, on jeden pojął, że żadna rzeczywistość nie kryje się poza tym gromkim frazesem i jako prezes ministrów miał odwagę tamę ową jednym pociągnięciem pióra rozwalić.

Znany jest program, z którym do pracy przystąpił: uspokojenie a potem reformy, program, z którego wykonana została tylko część pierwsza. Czyż stąd wątpić mamy o szczerości zmarłego męża stanu? Nie. W okolicznościach tylko upatrywać trzeba przyczyn takiego a nie innego postępowania. Stołypin, jako człowiek nowy właśnie, człowiek, któremu obca była dawna rutyna biurokratyczna, uchodził z początku w dość szerokich kołach za ministra raczej liberalnego, konstytucyjnego. Porozumiewał się z kadetami, zwracał się z propozycją portfelów do wybitnych członków stronnictwa odrodzenia pokojowego (Lwow). Ale z tej strony oparcia znaleźć nie mógł: zbyt wielką była różnica poglądów w sprawach najbardziej zasadniczych. Z drugiej—pomiędzy nim a Monarchą usiłowano wznieść mur intryg osobistych najbliższych kół dworskich; zaufanie mógł zdobyć i zdobył tylko energicznym uspokojeniem, że zdobył, świadczy ostatni i jawny akt intrygi w Radzie Państwa (Durnowo), w którym Stołypin jako zwycięzca wystąpił.

Szukając oparcia, zapatrzony we wzory z za miedzy granicznej, z blisko przed pół wieku (Bismarck), usiłował stworzyć sobie własne stronnictwo. W tym celu rozpełtał tkwiące w głębi społeczeństwa ciemne instynkty nacyonalistyczne, a potem, gdy fala ich szła znacznie dalej, niż sam chciał początkowo, stał się ich niewolnikiem, zmuszony był im ulegać. Obrana przez zamordowanego premiera droga była zresztą drogą najłatwiejszą, drogą najmniejszego oporu, drogą znaną już z historii Rosyi: wszak rodzący się liberalizm rosyjski zatopiono przed pół wiekiem bliz-

ko w powodzi represyi popowstaniowych polskich. Że zaś Polacy i Finlandczycy z pośród „inorodców“ byli żywiołem najkulturalniejszym, najbardziej w oczy kulturą swoją kłującym, więc przeciw nim przedewszystkiem zwróciło się ostrze polityki premiera. Łatwo było przeprowadzać popularne projekty, jak zmniejszenie liczby posłów polskich, jak ziemstwa dla Litwy i Rusi, jak wyodrębnienie ziemi chełmskiej, jak ograniczenie praw Finlandyi i także wyodrębnienie z niej dwóch parafii. Bardzo łatwo.

Trudniej szło z innymi reformami. Były połowiczne. Państwo rosyjskie jest dziś konstytucyjnym, a nie posiada najbardziej zasadniczych wolności konstytucyjnych: druku, słowa, zgromadzeń i stowarzyszeń. Jedyna większa reforma — nowe prawo rolne — zostało dokonane połowicznie i w formie wątpliwej. Dla tych, dla których jedynie istotną była pierwsza część programu premiera — zostanie on w historii wielkim mężem stanu; dla stronników czynów pozytywnych — nie.

Na nas Polakach, krupiała się przedewszystkiem polityka Stołypina. Mimo to zamach potępiamy, a w zamordowanym umiemy ocenić te ogólnoludzkie cechy charakteru, które szanujemy zawsze i wszędzie: wielką odwagę, niepospolitą siłę charakteru i śmierć na posterunku. Te cechy wynoszą wysoko Stołypina ponad przeciętny poziom biurokratów, którzy olbrzymiem państwem kiedykolwiek rządili i zapewniają mu osobną kartę w jego historii.

Nasuwa się teraz pytanie, czy po śmierci Stołypina zmieni się polityka rządu w stosunku do Polaków? Polityka ta jest niewątpliwie wynikiem całego splotu nastrojów i przyczyn; ale zmarły mąż stanu nadawał jej specyficzne osobiste piętno, a był jednostką zbyt wybitną, aby to piętno nie miało być czynnikiem przeważającym.

Na pytanie powyższe odpowiedzieć niepodobna; można je conajwyżej rozbić na drobniejsze i uwypuklić kilka przesłanek, jako materyał do wyprowadzenia wniosków. Przesłanką główną będzie zupełne przeciwieństwo usposobień zmarłego premiera i jego następcy, Kokowcowa. Jeżeli pierwszego określano słusznie, jako człowieka namiętnego, kierującego się przedewszystkiem uczuciem, drugi jest wyrazicielem chłodnego, obrachowującego rozumu. Piszący te słowa wywołuje wspomnienie obu premierów na trybunie: Stołypina, usiłującego mimo wszystko ogniem i swadą swoją słuchaczy przekonać i lekceważącego Kokowcowa, odrabiającego zresztą bardzo dobrze ciężki referat, obu — jedynych mężów stanu, przemawiających wówczas śmiało w tem wrogiem i hałaśliwym otoczeniu. Przypomnijmy jeszcze historyczne słowa

nowego premiera, określające jego stosunek do Izby, a wypowiedziane 24 kwietnia 1908 roku z tejże trybuny: „Chwała Bogu — u nas niema parlamentu!”

Na czele rządu staje nietylko biurokrata starej daty, ale i bardzo zdolny minister finansów, którego stanowisko w wielu sprawach określać będą względy budżetowe. Naszym przyjacielem ani wrogiem nie jest; ucisk systematyczny, beznamiętny, bez niepotrzebnych zadrażnień o tyle może w nim znaleźć zwolennika, o ile jest właśnie artykułem wiary programu biurokratycznego. W sprawach najbliżej nas dziś obchodzących, ze względów budżetowych był wyraźnym przeciwnikiem wyodrębnienia ziemi Chełmskiej i wykupu kolei wiedeńskiej. Czy ze zmianą stanowiska zdoła utrzymać dawne swoje poglądy, czy podkopie je rozszalała opinia nacjonalistyczna, czy też wysokie i potężne wpływy złamią nawet opór bierny nowego prezesa ministrów — tego dziś stwierdzić jeszcze niepodobna. W każdym razie my, Polacy, nie mamy powodu do niezadowolenia z najnowszej nominacji. Między innymi może i dlatego, że położenie naszej sprawy w tem państwie dziś nic prawie pogorszyć nie może...

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Książę Kardynał Puzyra.

Przyszły historyk oceni, czy właściwym ze stanowiska narodowego był protest przeciw wyborowi kard. Rampolli na papieża; znaczenie protestów ze stanowiska interesów katolicyzmu potępiła już Stolica Apostolska, znosząc prawo protestów raz na zawsze. Przyszłość oceni również, czy słusznem lub niesłusznem było zamknięcie podwoi Wawelu przed prochami Słowackiego. My, współcześni, przed otwartą trumną możemy pochylić głowy z uszanowaniem nie tylko przed wysokim dygnitarzem Kościoła, ale jeszcze przed mężem wielkiego hartu duszy, niezłomnej siły woli, niezwyklej odwagi swoich wierzeń i przekonań, wielkiej mocy czynu.

Czycimy także w zmarłym kapłana z prawdziwego powołania. To nie dziecię wieśniaczej strzechy szło na księdza, by kiedyś byt swoim zapewnić, to nie potomek hetmanów i wojewodów przekraczał progi seminarium, by rodowi swemu nową infułą splendoru przyczynić, — to mąż w sile wieku, człowiek dojrzały, przed którym otwierała się zwykła i łatwa karyera życiowa, rzucił świat, jego rozkosze i pokusy, aby przywdziać na siebie szaty żołnierza Chrystusowego, wierze i Kościołowi w czystości i zaparciu a nieugięcie służyć.

W postaci zmarłego kardynała ta cecha żołnierska uderzała przedewszystkiem. Gdy było potrzeba, umiał słuchać, gdy losy wyniosły go na posterunek rozkazodawczy, posłuchu bezwzględnego bez szemrania wymagał, nadużycia wykorzeniał, opieszających do pracy pędził, przypominając obrazy duchownych średniowiecza, w połowie zakonników, w połowie wodzów wojennych.

Kiedy młody jeszcze stosunkowo kanonik przemyski został biskupem sufraganiem lwowskim, postawił sobie dwa cele: podniesienie gorliwości duchowieństwa i podniesienie katolicyzmu zachodniego we wsiach mieszanych, gdzie ustępował przed zwyciężskim pochodem katolicyzmu greckiego; nie potrzeba podkreślać, że była to owocna praca dla polskośći. W tym celu zwrócił przede wszystkim uwagę na wykształcenie duchowieństwa i wychował sobie nowe pokolenie księży, energicznych działaczy na podobieństwo swoje, następnie wprzągnął do pracy ideowej apatyczne dotąd ziemiaństwo i inteligencyę.

Kiedy obejmował nowy posterunek po kardynale Dunajewskim, ucieczyę zastał bardzo zapuszczoną z powodu wielkiej łagodności poprzednika. Zaradzały złemu niezmordowane, częste wizytacye parafii, bez ostentacyi, bez przyjęć, bez świty, ale połączone z ostrą nieraz naganą, czasem z surowemi karami; na dalszą metę zaradzała znowu intensywna działalność wychowawcza. Obok tego szła troska o odnowienie katedry na Wawelu, mimo różnych krytyk pomyślnie do skutku doprowadzona.

Popularnym, lubianym nie był zmarły kardynał. Nie dbał o to. Nie spowiadał się przed nikim z motywów i pobudek swoich czynów. Wywoływał też często niechęć, przeciwstawiając się uczuciom i nastrojom większości społeczeństwa. Dziś dopiero, przy trumnie, z kompetentnego źródła odsłonięto rąbek tajemnicy okrywający dwa najniepopularniejsze jego czyny. Protestował przeciw wyborowi kard. Rampolli, w głębi swego serca polskiego uważał bowiem wybór ten za szkodliwy dla spraw polskich. Nie dopuścił prochów Słowackiego na Wawel, bo groby za królewskie uważał, a obok widomych koron i bereł tylko Mickiewicza i Kościuszkę za królów idei w dwóch jej postaciach uważał.

Dostojnik ten był bardzo dobrotliwy. Asceta, człowiek niesłuchanie małych potrzeb osobistych, szafował szeroko wielkimi swymi dochodami, świadcząc bardzo wielu miłosierdzie. I dlatego z pewnością wśród tłumów, odprowadzających go na miejsce wiecznego spoczynku, była gawiedź, ciekawa pompy pogrzebowej, ale były i tysiące innych, maluczkich, którzy mieli kardynałowi wiele do zawdzięczenia i niejedną łzę szczerego żalu uronili, choć łez tych było naogół niewiele. A znalazł spoczynek wieczny wśród królów, w katedrze, którą ukochał i utrwalił.

*

*

*

Jan, książę na Kozielsku, książę biskup krakowski, ks. kardynał Puzyna, urodził się w Gwoźdźcu, w Małopolsce, w r. 1842, jako czwarty syn ś. p. Romana księcia Puzyny, pana na Gwoźdźcu, Czechowie i Ostapkowcacli, majora pułku krakusów wojska Księstwa Warszawskiego (w r. 1811), kawalera złotego krzyża *Virtuti militari*, i ś. p. Hortensyi z Dwernickich z Zawala. Po ukończeniu nauk wyższych otrzymał w r. 1870 stopień doktora praw, poczem przez sześć lat pracował w dyrekcyi skarbu, ale powołanie do stanu duchownego zwyciężyło i po krótkich studiach seminaryjnych w r. 1878 otrzymał święcenia kapłańskie. W r. 1880 mianowano go kanonikiem katedralnym w Przemysłu, a w r. 1886 wstąpił na sufraganię lwowską, jako biskup memfiski *in partibus infidelium*. Na stanowisku tem był wikaryuszem generalnym i oficyałem, tudzież kustoszem kapituły metropolitalnej lwowskiej, oraz rektorem seminaryum tamtejszego. W tym czasie położył on wielkie zasługi nietylko dla sprawy kościelnej, lecz i narodowej przez zainicyowanie i przeprowadzenie na szerszą skalę zaniedbanej poprzednio zupełnie sprawy budowy kaplic dla ludności obrządku łańcińskiego w Galicyi Wschodniej.

Po śmierci ks. kardynała Dunajewskiego, wyniesiono go na krakowską stolicę biskupią, na której otrzymał kapelusze kardynalski w r. 1901. Jako biskup krakowski, żył zdala od ruchu narodowego i społecznego, nie biorąc w nim bezpośredniego udziału osobistego. Między zasługi na tem stanowisku policzyć mu należy pozyskanie od rządu dóbr Tynieckich, w których skład wchodzi 11 folwarków, które kardynał Puzyna uzyskał dla słabo pod względem materyalnym wyposażonej kapituły krakowskiej, pozwalając tenutę dzierzawną odciągać od swej pensyi. Dobra te przeszłyby prawdopodobnie w ręce niepowołane, a tak, dzięki jego staraniom, stały się źródłem poważnych dochodów kapituły krakowskiej. Pozatem, odebrawszy z rąk Misyonarzy kierownictwo seminaryum duchownego, mieszczącego się na Stradomiu, zbudował nowy gmach seminaryjny pod Wawelem na gruntach kapituły, uzyskawszy od rządu potrzebne fundusze. Nadto ufundował kosztem kapituły krakowskiej i składek od księży małe seminaryum na wzór lwowskiego, gdzie znajduje pomieszczenie 35 uczniów. Nie szczędził również grosza na budowę bursy św. Jana Kantego, przeznaczonej dla młodzieży gimnazyalnej. Za rządów kardynała Puzyny odnowiono również katedrę na Wawelu, podźwignięto z zaniedbania i upiększono nowymi zabytkami. Zjawily się tam dawne i świeże malowidła, witraże, sarkofagi Jadwigi, Warneńczyka i innych. Przeszło półtora miliona koron obrócono dotychczas na odnowienie katedry, głównie za jego rządów. W r. 1907 założył w Krakowie Muzeum dycecyjalne, a w roku 1910 komisję artystyczną dla wykładów o sztuce kościelnej.

Podczas ostatniego konklawe, w r. 1903, przy wyborze Piusa X-go, założenie przez ks. kardynała, imieniem Austrii, weta przeciw mianowaniu kardynała Rampolli nabrało wszechświatowego rozgłosu i pociągnęło za sobą w ostatnich czasach zniesienie tego prawa zwyczajowego. Głośna była również przed kilku laty sprawa wydanego przez kardynała Puzynę zakazu przeniesienia zwłok Juliusza Słowackiego do grobów królewskich na Wawelu,

ś. p. D-r Jan Stella Sawicki

(PUŁKOWNIK STRUŚ).

Znowu odszedł od nas jeden z ostatnich romantyków, człowiek z tych, co mieli młodość górną i chmurną, wiarę, nadzieję i miłość, która kazała im rzucić wszystko, gdy idea tego od nich zazaądała, a po niepowodzeniu składali dowody niepospolitej żywotności, rozpoczynając życie na nowo już w wieku, gdy każdy przeciętny zjadacz chleba ma je oddawna ustalone.

Jan Sawicki urodził się w Szawłach w roku powstania, 1831 r. Obrął sobie karierę wojskową i uczył się w szkole kadetów. Jako młodziutki oficer odbył kampanię węgierską, a że był zdolny, więc bardzo młodo dosłużył się wysokiego stopnia podpułkownika sztabu generalnego i po licznych podróżach osiadł w Kownie, jako szef sztabu miejscowego.

Jak tyłu innych, Padlewski, Sierakowski, Dąbrowski, którym życie świetną słało karierę wojskową, porzucił ją bez wahania, gdy ogłoszone zostało powstanie 1863 roku. Jako „pułkownik Struś“ walczył pod Radziwiłowem, a potem po gen. Wysockim został naczelnym organizatorem Galicyi.

Na wygnaniu, w Szwajcaryi, miał się wszelkiej pracy, byle żyć. A równocześnie miał dosyć siły woli, aby oddawać się nauce i prowadzić studia medyczne. Ukończył je w r. 1870 i odznaczył się odrazu, pod przybranem nazwiskiem d-ra Stelli, jako szef ambulansu przy oblężeniu Strasburga.

Dzięki usilnym staraniom Smolki, pozwolono mu w następnym roku powrócić do Galicyi. Zajął się tu szpitalnictwem. Już w 1873 r. został mianowany inspektorem wszystkich szpitali galicyjskich i na tem stanowisku, pracując niezmiernie, przetrwał lat 35. Jakie ta praca wydała owoce, świadczy statystyka. Ś. p. Sawicki ustępując, pozostawił liczbę szpitali podwojoną, a jak go ceniono na tem stanowisku, świadczą dyplomy Żółkwi i Jasła, które go podnoszą do godności honorowego obywatela, uznania Sejmu i t. d.

Oprócz tego pracował na polu literackiem. „Pamiętniki pułkownika Strusia“ i „Galicya w r. 1863“ należą do najciekawszych prac, owej epoki dotyczących. W dziedzinie medycyny, jego książki, dotyczące higieny panien i męzatek, należą do najlepszych, popularnych tego rodzaju podręczników.

Zmarł mąż zacny, prawy, wielkiej i wszechstronnej pracy. To mało powiedziane. Przy zwłokach tych trzeba oddać hołd całemu pokoleniu. Łatwa jest krytyka polityczna po pół wieku blisko, łatwe zarzuty mylnych kroków. Ale ludzie, ale charakter, jakież inne, jak odporne, jakże dzielne w przeciwieństwie. Kiedy się to pokolenie porównywa z następnymi, nie można, niestety, powtórzyć za Wajdelotą, że „i swoich czasów śpiewak nie obwini...“

L. W.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI.

— Posiedzenie Komisji do badania historii sztuki odbyło się dn. 23-go czerwca 1911 r. pod przewodnictwem d-ra Stanisława Tomkowicza.

Prof. Jerzy hr. Mycielski przedłożył pewne szczegóły o malarzu Tomaszu Dolabelli, którego działalność w zakresie malarstwa portretowego i dekoracyjnego tak znaną jest w Polsce. Zanim jednak może być mowa o jego działalności w Polsce, należy zbadać, czy i jakie jego pendzla zabytki pozostały w jego ojczyźnie — Włoszech. Wiadomości i dat, dotyczących tej najwcześniejszej epoki jego działalności, niema prawie żadnych. Z dzieła Pellegrini'ego „Tre Bellunesi in Polonia“ dowiadujemy się jedynie, że został urodzony około r. 1570. Dalej Historia Malarstwa Ridolfiego poucza, że w młodym wieku—a więc w początku XVII stulecia—opuszcza Włochy i osiada na stałe w Polsce, jako malarz nadworny Zygmunta III-go, maluje portrety jego i królowej Konstancji, jak również ich synków. Co zaś do dzieł we Włoszech wykonanych, wspomina Ridolfi, że w Wenecyi, w kościele dei SS. Apostoli, mistrz jego Vassilacchi wraz z uczniami malował sufit. Dzieło to zrujnowane w połowie XVII wieku nas nie doszło. Doszło nas natomiast inne w palazzo Ducale, w sala del Senato. Jest to kompozycya dekorująca sufit, a przedstawiająca dozę weneckiego, Ciccognę (1585—1595), adorującego przenajśw. Sakrament. Ciekawem jest, że, sądząc z obrazu tego, Dolabella wzorował się nie na dziełach swego mistrza, zimnego na ogół dekoratora, lecz raczej na dziełach Jacopa Tintoretta i Bassanów. Nawet późniejsze obrazy jego, jak na przykład obrazy u Dominikanów w Krakowie, potwierdzają to spostrzeżenie. Obraz wyżej wymieniony mógł zapewne powstać jeszcze za życia doży, a więc około r. 1595, w przeddzień wyjazdu Dolabelli do Polski. Prelegent wyjaśnił wywody swoje fotografiami z utworu tego, tudzież z obrazów innych wspomnianych Wenecyan. P. Mieczysław Skrudlik następnie odczytał swą pracę o klasztorze Kapucynów w Krakowie i znajdujących się w nim obrazach,

w szczególności zaś o obrazach Pietra Dandinięgo, malarza z Florencyi. Kapucyni przybywają do Krakowa w r. 1695. Budową kościoła początkowo zajęty jest arch. Ceroni, później od r. 1699 arch. Pellegrini. Ukończono budowę w r. 1703. Całość przedstawia się bardzo skromnie: kościół barokowy, jednonawowy, z trzema bocznymi kaplicami (kaplica loretańska jest późniejsza, bo z lat 1712—1719). W wielkim ołtarzu znajduje się obraz Zwiastowania, dzieło Pietra Dandinięgo, dar księcia Toskany Kuźmy III Medyceusza. Nadesłany w r. 1701 do Krakowa, jest on kopią obrazu z XIV wieku, znajdującego się w bocznej kaplicy kościoła Serwitów we Florencyi. Dandini starał się utrzymać archaiczny wygląd obrazu, całość jednak wskazuje technikę końca XVII wieku. Zaraz potem nadeszły inne dzieła Dandinięgo: Ukrzyżowanie, św. Antoni i św. Kajetan—z tych pozostał do dzisiaj tylko ten ostatni. Pietro Dandini był nadwornym malarzem Medyceuszów, pochodził z artystycznej rodziny, zmarł w r. 1712 we Florencyi. Prócz obrazów Dandinięgo w kościele Kapucynów znajdują się w bocznych ołtarzach obrazy: św. Franciszek (Czechowicza z r. 1775), św. Antoni (sprowadzony z Bolonii). W górnej części wielkiego ołtarza św. Józef (Molitora), w drzewce Głowa Chrystusa (niemieckiej szkoły XVI w.). W pokojach t. zw. gościnnych znajdują się portrety Pawła i Michała hr. Sołtyków, pendzla Lampiego; nareszcie w refektarzu portret Jana III, kopia Zwiastowania znajdującego się w wielkim ołtarzu i obraz Bożego Narodzenia, pochodzący z r. 1720.

W dyskusji nad referatem, w której brali udział pp. Tomkowicz, Mycielski i Pagaczewski, podniesiono podobieństwo w układzie obrazów Zwiastowania znanych nam w Zamościu (Carlo Dolci), we Florencyi (Santissima Annunziata), w katedrze gnieźnieńskiej, w zbiorach gabinetu Archeologicznego w Krakowie.

— W SPRAWIE ŻYCIORYSU KSIĘCIA MARSZAŁKA LEONA SAPIEHY.

D-r Bronisław Pawłowski, przystępując do wydania wspomnień i życiorysu księcia Marszałka Leona Sapiehy, zwraca się do wszystkich posiadających jakiegokolwiek papiery, odnoszące się do jego działalności publicznej o łaskawe nadesłanie ich pod adresem: Lwów, Biblioteka Uniwersytecka, d-r Bronisław Pawłowski.

N O W E K S I A Ź K I.

— ALEKSANDER BOLESŁAW BRZOSTOWSKI. *Ci, których znałem*. Garść luźnych wspomnień, opisów i wrażeń. Warszawa, 1911, str. 130.

Jest to zbiór przyczynków życiorysowych do biografii Ujejskiego, Goszczyńskiego, Grozy i Ordoña, wskrzeszający przed czytelnikiem te postaci tak niedawne jeszcze, a dziś już w znacznej części przysypane popiołem niesłusznego zapomnienia. Skreślone barwnie, choć bezpretensjonalnie, dorzucają garść nieznanych szczegółów, nieobojętnych dla historyków literatury, oraz dla badaczy tła obyczajowego i literackiego w drugiej połowie ubiegłego stulecia.

— *Pamiętki Starej Warszawy*, zebrane na wystawie, urządzonej staraniem Tow. opieki nad zabytkami przeszłości w maju i czerwcu 1911 roku. Warszawa, 1911, str. 158.

Katalog sympatycznej, choć nieco niesystematycznej wystawy zabytków naszej stolicy, sporządzony nader starannie i opatrzony dobrymi reprodukcjami ciekawszych pamiątek przeszłości.

— *Encyklopedia wychowawcza*, tom VIII, zeszyt 6-ty. Warszawa 1911.

Niniejszy zeszyt cennego tego wydawnictwa zawiera artykuły: Piramowicz, przez K. Dąbrowskiego; Pisownia, przez St. Szobera; Plato, przez F. Kierskiego; Plebański, przez Wł. Nowickiego; Plenkiewicz, przez tegoż; Plutarch, przez tegoż; Podręczniki szkolne, przez K. Kaszewskiego; Poglądowa metoda, przez A. Szycównę.

— JAN KARŁOWICZ. *Słownik gwar polskich*. Tom szósty do druku przygotował J. Łoś. Kraków, 1911. Nakł. Akademii Umiejętności, str. 470.

Końcowy tom pomnikowego dzieła zawierający wyrazy gwarowe od U do Ż. Opracowanie uskutecznione przez prof. Łosia stoi na dawnym wysokim poziomie naukowym.

— *Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie*. Tom IV za 1910 rok. Druk Józefa Zawadzkiego w Wilnie, 1911, str. 142.

Zawiera prace następujące: d-ra J. Trzebińskiego: „Przyczynki do znajomości flory w gubernii kowieńskiej (powiaty wilkomierski i jeziorowski)”; d-ra Władysława Zahorskiego: „Listy nieznanne Tadeusza Kościuszki 1814—1817” (przeważnie do Józefa Sierakowskiego); Henryka Mościckiego: „Dziennik Teodora Krasieńskiego, ucznia uniwersytetu wileńskiego w 1816—1818 r.”; Michała Brensztejna: „Zatarg dworu z klasztorem” (ustęp z większej monografii szkoły kroskiej na Litwie); X. Z. Dunin-Kozickiego: „O pasownikach Madziarskich”; d-ra Władysława Zahorskiego: „Dwa dokumenty z r. 1812” (Podanie prof. Jędrzeja Śniadeckiego do wojennego gubernatora wileńskiego Korsakowa i wykaz liczby jeńców francuskich w Wilnie w grudniu 1812 r.); Ludwika Czarkowskiego: Bibliografia druków polskich wydanych w Wilnie w r. 1910.

— D-R WŁODZIMIERZ BUGIEL. *Studia i szkice literackie*. Poznań, 1911. Str. 408.

Szereg subtelnych analiz z dziedziny literatury hiszpańskiej i francuskiej, oraz trzy prace Polski dotyczące: o Bohdanie Zaleskim, Tle ludowem „Balladyny” i Materyałach ludoznawczych w pamiątnikach Paska.

— *Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej. Zyciorysy, streszczenia, wyjątki pod redakcją Br. Chlebowskiego, Ign. Chrzanowskiego, H. Gallego, G. Korbuta, St. Krzeńskiego. Tom VI. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa. Str. VIII + 483.*

Tom niniejszy zawiera biografie i wypisy z dzieł autorów następujących: A. J. Czartoryskiego, Kajsiowicza, Al. Jełowickiego, Ign. Prądzyńskiego, Kar. Rózyckiego, Tom. Aug. Olizarowskiego, Pola, Ujejskiego, Józ. Gołuchowskiego, Mich. Czajkowskiego, Trentowskiego, Józ. Kremera, Libelta, Andr. Edw. Koźmiana, Stan. Koźmiana, Jana Koźmiana, Ewarysta Estkowskiego, ks. Al. Prusinowskiego, hr. Maur. Dzieduszyckiego. Pożyteczne to i doniosłe wydanictwo omówione zostanie obszerniej po jego ukończeniu.

— STANISŁAW KUTRZĘBA. *Historja ustroju Polski w zarysie. Wydanie trzecie. Lwów, 1912. Str. XV + 288.*

Powszechnie uznane dzieło, zawierające całości kształt naszej wiedzy współczesnej o ustroju Rzeczypospolitej, uzupełnione na podstawie najnowszych studyów w tym zakresie. Tom niniejszy poświęcony został przeobrażeniom, zachodzącym w ustroju Korony, tomy następne, zapowiedziane przez autora, obejmą historję Litwy, oraz historję ustroju ziem polskich po rozbiorach do chwili obecnej.

— HENRYK MOŚCICKI. *Dzieje porozbiorowe Litwy i Rusi. Zeszyty VI, VII i VIII. Wilno, 1911.*

Zeszyty niniejsze poświęcone zostały insurekcji Kościuszkowskiej na Litwie i Rusi. W naszej literaturze historycznej temat ten po raz pierwszy tak wyczerpująco opracowano, dotychczasowe bowiem badania nad wypadkami 1794 r. dotyczyły przeważnie wydarzeń na głównym terenie walki, t. j. w prowincjach koronnych. Autor wyzyskał sporo nowych materyałów archiwalnych, między innymi: protokoły wileńskich Deputacyi: Tajnej i Bezpieczeństwa publicznego, listy Jasińskiego, dokumenty niektórych komisji porządkowych litewskich, korespondencje rady miejskiej wileńskiej, pisma prezydenta Tyzenhauza, urzędowe raporty rosyjskie i t. d. Źródła rzeczzone pozwoliły wyjaśnić powody ustąpienia Jasińskiego z Litwy, stosunek Litwy do Korony w dobie powstania, przebieg insurekcji w kresach ukraińskich, w Kurlandyi i t. p. Dzieło ilustrują liczne portrety i ryciny.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa. Wrzesień, 1911. Treść: Księgarstwo wobec bibliotek publicznych; — Brzozowski Korab Wincenty: Dusza mówiąca; — Ciembrowicz Józef: Z życia zwierząt; — Cztery głosy o poecie: R. W. Emersona, K. Spittellera, H. J. Hofmannsthal'a i R. Dehmla; — Dembiński Henryk, generał wojsk pol-

skich: Pamiętnik;—Gawalewicz M.: Gąbka;—Gnoiński Bolesław Zygmunt: Rok 1812. Ze wspomnień mojego dziadka;—Grochowska Wanda: Dwór i chata, —Jaroszyński Tadeusz, d-r: W sprawie psychoterapii;—Jellenta Cezary: Druid Juliusz Słowacki;—Koschembar-Łyskowski J.: O stanowisku prawa rzymskiego w powszechnej ustawie cywilnej dla Cesarstwa austriackiego;—Makowski Wacław: Zbrodnia, kary i sądy wyjątkowe;—Marciszewska Stefania: O nauczaniu religii;—Montaigne Michał: Wybór dzieł (?);—Puławski Wincenty, d-r: Chata wiejska a choroby zakaźne;—Rudowska M-ka: O ewolucyi miłości;—Rybarski Roman, d-r: Sprawa włościańska na Sejmie w roku 1831;—Rygier-Nalkowska Zofia: Narcyza;—Sznea Michał: O pochodzeniu człowieka;—Urbański M. F.: Prowokatorzy czyli apostołowie wstecznictwa;—Wasmann E.: Trzy odczyty o ewolucyi;—Waśniewski B.: Byt i warunki pracy robotników w przemyśle cukrowniczym Królestwa Polskiego;—Wais Kazimierz, ks. d-r, prof. uniwers.: O zwierzęcem pochodzeniu człowieka;—Wiszniewski Włodzimierz, kand. praw: Bóg Jezus;—Żukowski Otton M.: Fryderyk Chopin w świetle poezyi polskiej;—Żukowski Stanisław, ks.: Komunia dzieci w świetle dekretu „Quam singulari“;—Żywot Benvenuto Celliniego;—Pod prasą;—Kronika;—Czasopisma;—Bibliografia;—Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

ANGIOLINI ALFRED: Dzieje socjalizmu we Włoszech do 1910 r. włącznie. Z upoważnienia autora przełożył i ostatni rozdział oryginalnie pod kierownictwem autora dzieła napisał Jerzy Heryng. Kraków. Spółka nakładowa „Książka.“ Warszawa. G. Centnerszwer i S-ka.

DUMAS ALEKSANDER: Neron. Romans historyczny. Warszawa, nakładem „Biesiady Literackiej.“

DZIEDUSZYCKA EWA, Hr.: Wgnani z raj. Szkic powieściowy. Nakładem księgarni Albin Standacher i S-ka (Maryan Haskler). Stanisławów, 1911. Warszawa, E. Wende i S-ka.

FREUD ZYGMUNT, PROF. D-R: O psychoanalizie. Pięć odczytów, wygłoszonych na uroczystość 20-letniego jubileuszu założenia Clare University w Worcester Mass. Przełożył na język polski D-r Ludwik Jekels z upoważnienia autora. Lwów, 1911. Nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

GORDZIAŁKOWSKA ZOFIA: Böcklin w poezyi. Wydanie ozdobione reprodukcjami obrazów Böcklina. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

GOSZCZYŃSKI SEWERYN: Pieśni Ossyana. Wydanie poprawione pod redakcją Zygmunta Wasilewskiego. Lwów, 1911. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Warszawa. E. Wende i S-ka.

GRABOWSKI EDWARD: Ubezpieczenia społeczne w państwach współczesnych. Kraków. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i S-ki. Warszawa. Gebethner i Wolff.

— Z dziejów teorii i praktyki stanów wyjątkowych. Odbitka z „Gazety Sądowej Warszawskiej.“ Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

GRABOWSKI TAD. STAN.: Sprawa grobu i szczątków Władysława Warneńczyka. (Przegląd źródeł, materiałów i pamiątek). Warszawa, 1911. Księgarnia E. Wende i S-ka.

GREDESKUŁ M A., Prof. Uniwersytetu Charkowskiego: Marksizm i Idealizm. Z upoważnienia autora przełożył z wtórego wydania rosyjskiego Stanisław Kijewski. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ki (T. Hiża i A. Turkuła).

HAUMANT EMILE, professeur-adjoint à la Sorbonne: Pouchkine. Paris, 1911. Bloud C-ie, Éditeurs.

HAUSNER ARTUR, INŻYNIER: Odrodzenie Galicyi a drogi wodne. Z 2 tablicami i rysunkiem w tekście. Kraków, 1911. Skład główny w Warszawie, G. Centnerszwer i S-ka.

HEBBEL FRYDERYK: Dzienniki. Wybrał i przełożył Karol Irzykowski. Wydawnictwo „Symposion.“ Nakładem księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Lwów, 1911.

HEILPERN M.: Co człowiek zdoła a czego nie zdoła zrozumieć? Książnica ludowa. Warszawa, 1911. Skł. głów. w księg. G. Centnerszvera i S-ki.

HEINE HENRYK: Z nietłómaczonych poezyi. Pieśni współczesne (1839—1846). Przełożył z niemieckiego Władysław Nawrocki. Warszawa, 1909. Wydawnictwo „Sfinksa.“

HUGO WIKTOR: Han z Islandyi. Powieść historyczna. Tom I. Warszawa, 1911. „Biesiada Literacka.“

JESKE-CHOIŃSKI TEODOR: Teror. Powieść historyczna z czasów rewolucyi francuskiej. Z portretem autora. T. I, II i III. „Nowości literackie,“ tomy 48, 49 i 50. Warszawa, 1911. Nakładem księgarni St. Sadowskiego.

KADEN JULIUSZ: Niezguła. Powieść. Lwów, 1911. Nakładem księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

KASPROWICZ JAN: Chwile. Poezye. Lwów, 1911. Nakładem Towarzystwa wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

KRÓTKI PRZEWODNIK po Krakowie i okolicy. Z planem i 17 ilustracjami. Kraków. Wydany nakładem Krajowego Związku Turystycznego.

KRÓTKI PRZEWODNIK po Lwowie i okolicy z planem i 13 ilustracjami. Lwów. Wydany nakładem Krajowego Związku Turystycznego.

KRZEMIŃSKI STANISŁAW: Nowe szkice literackie. Z podobizną autora według portretu K. Mordasewicza. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

KUTRZEBA STANISŁAW: Historia ustroju Polski w zarysie. Wydanie trzecie. Lwów, 1912. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

LUTOSŁAWSKI WINCENTY: Iskierki warszawskie. Z portretem autora. „Nowości literackie“ t. 46. Warszawa, 1911. Nakładem księgarni St. Sadowskiego.

ŁUNIŃSKI ERNEST: Napoleon. Jego życie i czyny w obrazach. (Legiony i Księstwo Warszawskie). Zeszyty III, IV, V, VI i VII. Druk i nakład Tow. akc. S. Orgelbranda S-ów. Warszawa.

MAJEWSKI ERAZM: Nauka o cywilizacji i prolegomena do socjologii i antropozofii. Wydanie drugie, przejrzone przez autora. Warszawa, 1912. Nakładem księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

MAKUSZYŃSKI KORNEL: Dziwne powieści. Okładka wedle rysunku Witolda Gordona. Lwów, 1911. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

MINKIEWICZ ROMUALD: Młodzież a Uniwersytet. (Z powodu zajęć krakowskich). Rozważania ogólne i historyczne. Przedłożenia doraźne. Konkretny plan naprawy stosunków. Kraków, 1911. Wydawnictwo „Życie.“ Warszawa. Skład główny G. Centnerszwer i S-ka.

MOŚCICKI HENRYK: Dzieje porozbiorowe Litwy i Rusi. Zeszyty II, III, IV, V, VI i VII. Wilno, 1911. Druk Józefa Zawadzkiego.

PISMA ALEKSANDRA JABŁONOWSKIEGO. Tom IV. Wołyń, Podole i Ruś Czerwona. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

RAFAEL, CORREGIO, TICIAN. Żywot ich i twórczość. Tłómaczone z francuskiego przez Joannę W. 1911. Odbito w drukarni A. Koziańskiego w Krakowie. Nakładem autora.

ROLLAND ROMAIN: Jan-Krzysztof III. Młodzieniec. Przełożyli z upoważnienia autora Jadwiga Sienkiewiczówna i Henryk Sienkiewicz. Biblioteka „Sfinksa.“ Warszawa, 1911.

ROSTAND E.: Chantecler. Z francuskiego oryginału przetłómaczył D-r Józef Kadyi. „Biblioteka utworów dramatycznych,“ t. XIX. Nakładem księgarni H. Altenberga we Lwowie.

SAND HERBERT: Współczesna polska twórczość dramatyczna. Książnica naukowa i artystyczna. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

SPRAWOZDANIE z czynności Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich za rok 1910. Lwów, 1911. Nakładem Zakładu Narodowego Im. Ossolińskich.

STAFF LEOPOLD: Gałąź kwitnąca. Wydanie drugie. Lwów, 1911. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

— W cieniu miecza. Lwów, 1911. Nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

SZUMAN J. N.: Pogląd krytyczny na Metafizykę Kanta. Poznań, 1911. W drukarni „Dziennika Poznańskiego.“

SZYDELSKI, KS. D-R: Początki chrześcijaństwa. Studium historyczno-krytyczne. Warszawa, 1911. „Biblioteka Dzieł Chrześcijańskich.“

SZYSZŁO WITOLD: Meksyk, z cyklu podróży naokoło świata. Warszawa, 1912.

TOŁSTOJ HR. LEW: Wojna i Pokój. Rok 1812. Romans historyczny. Część XII. Warszawa, 1911. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“

TRZYDZIESTE DZIEWIĄTE sprawozdanie związku spółek zarobkowych i gospodarczych w W. Ks. Poznańskim i w Prusach Zachodnich za rok 1910. Poznań, 1911.

V-TE E.—M. DE VOGÜE: Sous les Lauriers. Eloges Académiques. Paris, 1911. Librairie Bloud & Cie.

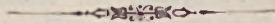
WASIUTYŃSKI BOHDAN: Ludność żydowska w Królestwie Polskiem. Odbitka z „Ekonomisty.“ Warszawa, 1911. Skład główny w księgar. E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

WĘDRYCHOWSKI BOLESŁAW: Spadkobiercy. Komedya w 3-ch aktach. Kraków, 1911. Nakładem autora.

WOLSKI WACŁAW: Arcana. Z portretem autora. „Nowości literackie,“ t. 47. Warszawa, 1911. Nakładem księgarni St. Sadowskiego.

ZAHORSKI BOHDAN, D-R: O formach współżycia płciowego ze stanowiska socyologicznego. Kraków, 1911. G. Gebethner i S-ka. Warszawa. Gebethner i Wolff.

ZALEWSKI K.: O materyalistycznym pojmowaniu dziejów. Wilno, 1911. Nakładem „Wiedzy.“ Warszawa. Skł. głów. w księg. G. Centnerszvera i S-ki.



Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURZYCY hr. ZAMOYSKI.
